

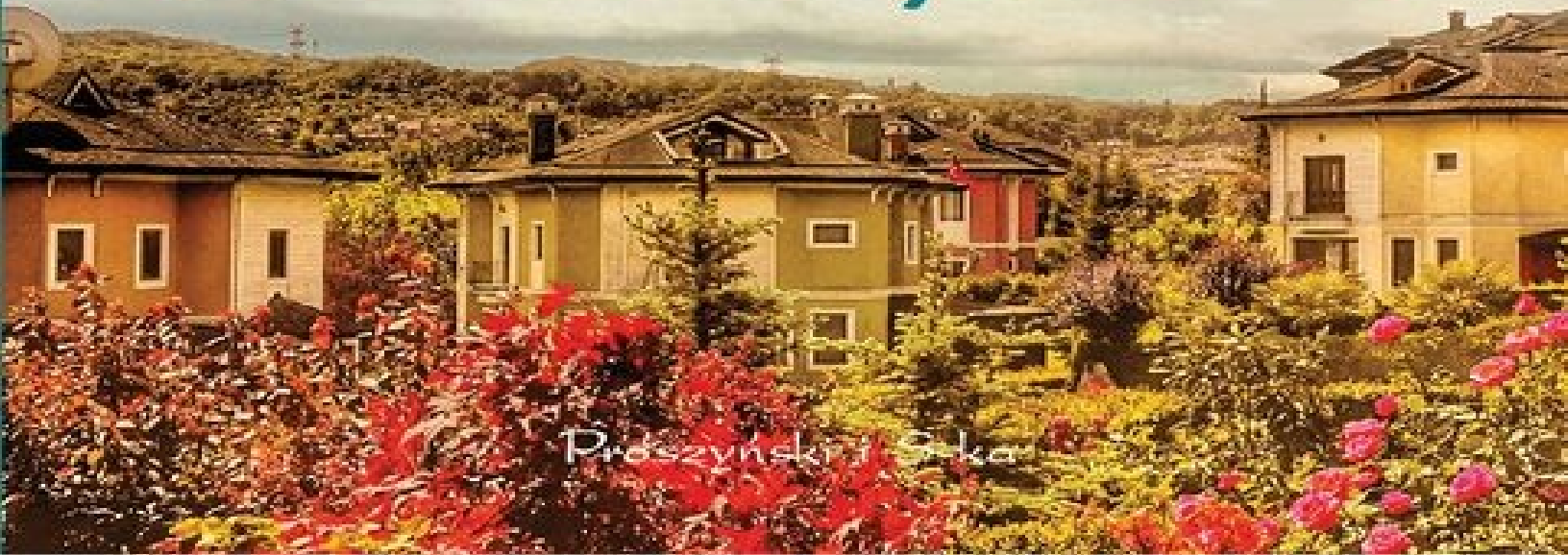


P O S A S I E D Z K U

MIESZKAŃCY ULICY RÓZANEJ SĄ JAK RODZINA – LUBIĄ SIĘ,  
NIENAWIDZĄ, INTRYGUJĄ, PLOTKUJĄ, KOCHAJĄ,  
POSZUKUJĄ AKCEPTACJI I SZCZĘŚCIA.

KASIA BULICZ-KASPRZAK

# *Szlachetne pobudki*



Prószyński i S-ka



P O S A S I E D Z K U

KASIA BULICZ-KASPRZAK

*Szlachetne pobudki*

Prószyński i S-ka

## MIESZKAŃCY ULICY RÓŻANEJ

### Jezierscy

- Leokadia – seniorka rodu, mąż Konrad nie żyje od czterdziestu lat
- Maria – córka Leokadii, stara panna, nauczycielka, pisze wiersze, od lat kocha się skrycie w Januszu Krupskim
- Tadeusz – syn Leokadii, wdowiec, prowadzi kancelarię adwokacką, od jakiegoś czasu podkochuje się w Teresie Domańskiej
- Olgierd – syn Tadeusza, były mąż Marty Krupskiej
- Konrad – syn Tadeusza, mąż Karoliny
- Karolina – żona Konrada, ambitna, lecz nieradząca sobie w życiu matka dwójki chłopców
- Kacper i Kuba – synowie Karoliny i Konrada

### Krupscy

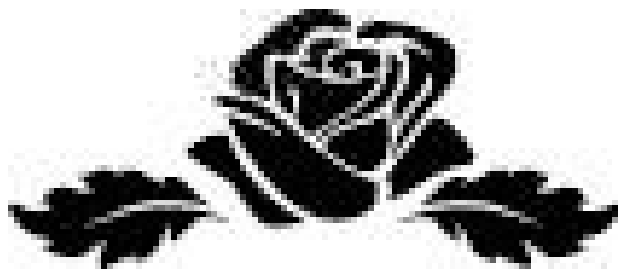
- Janina – pięćdziesięciolatka, żona Janusza, nieszczęśliwa w małżeństwie, zdradzająca męża z Sewerynem Starskim
- Janusz – policjant, częściowo sparaliżowany po wypadku, który sprowokowała jego żona
- Marta – córka Janiny i Janusza, rozwiodła się z Olgierdem, który ją skrzywdził, choć był jej odwieczną miłością
- Mateusz – syn Janiny i Janusza, który skonfliktowany z ojcem wyprowadził się z domu i realizuje się jako policjant

### Brzozowscy

- Michał – rozwodnik, układający sobie życie na nowo ze znacznie młodszą Agatą
- Agata – szalona dwudziestoczterolatka, która chce się ustakować przy boku męża, w którym jest szalenie zakochana
- Sylwia – była żona Michała, piękna, wybuchowa i ciężarna, rzecz w tym, że nikt nie wie, kto jest ojcem dziecka
- Julka – córka Michała z poprzedniego małżeństwa z Sylwią, nastolatka, która w imieniu przyjaciółki zemściła się na chłopaku, który ją obgadywał

### Pozostali

- Domańska Teresa – elegancka żona skorumpowanego polityka, która nie radzi sobie w życiu, od kiedy jej mąż znalazł się w więzieniu
- Starski Seweryn – stary kawaler, który większość życia spędził stłamszony przez matkę, w tajemnicy adoruje Janinę Krupską
- Zdunkowska Wanda – wnuczka mieszkającego niegdyś w domu na skraju staruszka, który po śmierci żony stracił rozum, wyjechała z Rubinia robić karierę, wróciła jako alkoholiczka, która straciła wszystko
- Jabłoński Tomek – kierownik domu kultury, z którym Janina ma plan wyswatać Martę
- Maciejewski Adam – licealista, zakochany w Julce Brzozowskiej
- Konstanty – kot, mieszkający razem z Sewerynem, wnikliwy, acz zblazowany obserwator stosunków międzyludzkich
- Freddy – szczeniak, którego Michał sprowadził do domu, żeby zacieśnić związek z Agatą
- Królik Oskar – tajna, niszcząca ogrody broń biologiczna Karoliny, która okazała się ulubieńcem dzieci



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### Róża Chopin

*Róża Chopin, dzieło Stanisława Żyły, to niewątpliwie jedna z najpiękniejszych róż stworzonych przez polskich hodowców. Jej kremowobiałe pełne kwiaty osiągają rozmiar trzynastu centymetrów i mają delikatny, przyjemny zapach. Eleganckie tło stanowią dla nich duże matowe liście w kolorze jasnozielonym. Bardzo grube pędy z jasnymi kolcami charakteryzują się silnym wzrostem i tworzą ładny, wysoki i zwarty krzak. Róża ta jest całkowicie odporna na mróz. Dzięki swojej eleganckiej urodzie zrobiła międzynarodową karierę, ozdabia ogrody Castel Gandolfo, a obowiązkiem każdego ogrodnika jest mieć ją w swoim rosarium.*

Deszczowe chmury niepokojąco wolno sunęły nad ziemią. Wydawało się, że lada moment zaczepią o wierzchołki drzew i kolejna fala wody zaleje szary, mokry świat. Wszystko wokół tonęło w mglistej wilgoci. Obwisły od niej liście na drzewach. Trawa, podobna do mokrej, zwierzęcej sierści, przylgnęła do ziemi. Choć było wczesne popołudnie, odnosiło się wrażenie, że jest wieczór. Choć było lato, wydawało się, że to zima.

Kobieta zadrżała i szczerzej otuliła się żółtym płaszczem przeciwdeszczowym. Z jej twarzy nie zniknął wyraz wystudiowanej powagi.

Maria odeszła od okna.

– Nadają na żywo – poinformowała Leokadię, a gdy ta nie zareagowała, sama włączyła telewizor. Kiedy na ekranie pojawiła się kobieta w żółtym płaszczu, Maria pomyślała, że to dziwne móc ją widzieć również przez okno. Program był nadawany z miejsca, które przedwczoraj było ich piękną ulicą Różaną, a wczoraj zmieniło się... Telewizja nie zdołała oddać ogromu zniszczenia, całej tej tragedii, która się tu wydarzyła dzień wcześniej.

– ...się w miejscowości Rubiń. Jej mieszkańcy przeżyli chwile grozy, gdy wczoraj rano wylała rzeczka Młynówka. Kilka godzin wystarczyło, by niewielki strumień zmienił się w śmiertcionośny żywioł. Mieszkańcy ulicy Różanej, przy której właśnie się znajdujemy, całą noc walczyli, układając zapory z piasku, niestety, kilka minut po dziewiątej rzeka przerwała prowizoryczny wał. Częściowo zalała dawną dzielnicę przemysłową i, niestety, wylała również tu, w dzielnicy willowej. Najbardziej ucierpiała ulica Różana, gdzie się właśnie znajdujemy. Teraz woda powoli opada, ale wszyscy patrzymy w niebo z niepokojem, tym większym, że są doniesienia o ofiarach...

– Wyłącz to – powiedziała Leokadia do córki, a gdy ta nie zareagowała, sama sięgnęła po pilota.

– To przecież wiadomości – próbowała protestować Maria, gdy ekran telewizora zgasł.

– Nadają je z naszego ogródka, więc ubierz się i idź posłuchać, skoro to takie ważne. – Leokadia wyszła z pokoju, zabierając ze sobą pilota.

Maria podeszła do okna. Na ulicy, otoczona wianuszkami gapiów, stała ekipa telewizyjna: mężczyzna z kamerą, drugi z mikrofonem i ta kobieta w żółtym płaszczu. Tacy statyczni, skupieni. Nagle coś się zmieniło, gapie poruszyli się nerwowo. Operator kamery coś do nich powiedział. Maria nie mogła usłyszeć słów, domyśliła się ich jednak, gdy od zebranych odkleiła się jedna osoba, przyjaciółka Marii, Wanda, i stanęła obok dziennikarki.

– Jakbyś tam poszła, to mogłabyś ty stać przed kamerą. Reklamę byś zrobiła swoim wierszydłom.

Maria odwróciła się od okna i popatrzyła na matkę stojącą w drzwiach salonu. Próbowwała zrozumieć, co czuje Leokadia. Złość? Strach? Ból? Ostatnie kilkanaście godzin było dla mieszkańców ulicy Różanej jazdą na emocjonalnym rollercoasterze. Obawę, że rzeka wyleje, zastępowała nadzieja, bo ktoś mówił: „Będzie dobrze, musimy się o to modlić”, i nagle wszyscy wierzyli, że tak właśnie będzie, że są bezpieczni. Chwilę później znów wyla syrena i znów wszyscy czekali w napięciu. Gdy rzeka wylała, w pierwszej chwili poczuli ulgę, stało się.

Teraz woda powoli, bardzo powoli opadała, a oni nie wiedzieli, jak sobie poradzić nie tylko z tymi szkodami, które wyrządziła na ich ulicy, ale również z tymi w ich sercach.

Leokadia nigdy nie była osobą szczególnie miłą, a po ostatnich wydarzeniach zrobiła się jadownicie wredna. Maria starała się znosić to cierpliwie, choć nie było łatwo.

– Nasza Wandzia ma parcie na szkło – zauważyła staruszka.

Maria podążyła wzrokiem w stronę, gdzie stał dom przyjaciółki. Nie mogła go stąd zobaczyć, wiedziała jednak, jak wygląda – jakby szalony budowniczy postawił go w złym miejscu, na środku rwącej rzeki, w ten sposób, że okna znajdowały się tuż nad taflą wody.

– Myślę, że nie ma nic złego w tym, że to Wanda opowie o naszej sytuacji. W końcu najbardziej ucierpiała.

– Nie, moja droga. Najbardziej ucierpiała Janina.

Myśl, że coś zaniedbał, była tak silna, że wyrwała Tomka Jabłońskiego ze snu. Rozejrzał się zdezorientowany, próbując sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. To nie było jego mieszkanie ani łóżko. Zasnął w niewygodnym fotelu tak mocno, że teraz czuł, jakby jego umysł wypełzał z głębokiej piwnicy. Dopiero kiedy wzrok padł na chłopca zwiniętego w kłębek na starym sportowym materacu, wspomnienia wróciły, a serce ścisnął bolesny skurcz.

Bez względu na to, jak bardzo Tomek nie chciał o tym myśleć, wszystko, co wydarzyło się w ciągu tych dwóch ostatnich dni, samo do niego wracało. Przedwczoraj wieczorem usiadł na kanapie w swoim mieszkaniu z pilotem w jednej, piwem w drugiej ręce. Na ogół nie pił, nie lubił. Chciał jednak, żeby to był typowo męski wieczór, a puszka jęczmiennego trunku wydawała się niezbędnym atrybutem. Udało mu się nawet trafić na powtórkę meczu, który przegapił, bo wolał spędzać czas z Martą. Marta! W ogóle nie powinien o niej myśleć, ale nie potrafił. O co jej chodziło? Najpierw była zdystansowana, a chwilę później dosłownie zwariowała na jego punkcie. I nagle trach! Koniec. Nie odpowiadała na telefony, nie chciała rozmawiać, a on nie miał pojęcia, co zrobił nie tak. Czy ona nie rozumie, że łatwiej przeproszać, kiedy się wie, za co?

Przez te myśli wypił piwo szybciej, niż powinien. Ogarnęło go zniechęcenie i senność. Wyłączył telewizor, nie czekając nawet na koniec pierwszej połowy. Rozłożył się na kanapie, naciągnął na siebie koc i zasnął.

Obudziła go głośna rozmowa na schodach. Spojrzał na zegarek, był środek nocy. Podeszedł do wizjera. Sąsiadka z naprzeciwka, ta, która wyglądała jak relikwiarz Peerelu, wiecznie w nonajronowym fartuchu i wałkach na głowie, rozmawiała z matką hałaśliwych bliźniaków z drugiego piętra. Zaniepokojenie na twarzach kobiet sprawiło, że otworzył drzwi. I zanim zdążył zapytać, co się stało, usłyszał, że tragedia.

– Powódź, panie Tomku, powódź nas zalewa.

– Teraz? – W jego głosie zabrzmiała pretensja do powodzi o tę niefortunnie wybraną chwilę, gdy on jest taki zaspany i zły.

– Właśnie teraz. Cała jestem w strachu. Sąsiadka ma jeszcze gorzej, bo to dzieci małe...

Tomek dyplomatycznie przemilczał fakt, że owe małe dzieci chodziły już do liceum, i zapytał, czy są jakieś wiadomości, nakaz ewakuacji, cokolwiek.

– No właśnie nic nie wiadomo – poinformowały jednocześnie, patrząc na Tomka wyczekująco.

– To może ja się spróbuję czegoś dowiedzieć, dobrze?

Dziesięć minut później biegł ulicą w stronę domu kultury. Wiedział już, że telefony komórkowe nie działają, a rzeka jeszcze nie wylała. Wiedział, że nawet jeśli to się stanie, woda nie dotrze tak wysoko, by zagrozić zbiorom w podległej mu placówce. Uznał jednak, że należy wszystko zabezpieczyć. Tak na wszelki wypadek. Poza tym musiał się czymś zająć, inaczej wciąż myślałby o Marcie. Po raz kolejny pohamował chęć, by pędzić na Różaną. W domu kultury był telefon stacjonarny. Zadzwoń. Jeśli cokolwiek jest nie tak, wtedy pójdzie, na razie nie będzie niepotrzebnie panikował. Tak wówczas myślał... I tak go to zaabsorbowało, że nawet nie zwrócił uwagi, iż drzwi są otwarte. Ciało słońce pograżonym w mroku korytarzem, umysł błędził na Różanej do chwili, gdy przywołało go z powrotem szuranie w auli. Tomek zamarł, nasłuchując. Ktoś przesunął krzesło. Złodziej? To była pierwsza myśl, ale zbyt ją uśmiechem, tak absurdalna mu się wydała. Co można by stąd ukraść? Przedwojenne gazety, monografię miasta, kilka obrazów lokalnych malarzy? Owszem, miało to wartość historyczną i pamiątkową, ale nawet nie kolekcjonerską.

Pewnie pani Zefiryra, pomyślał. I chyba dlatego wszedł do auli. I dlatego zdążył. Otworzył drzwi w chwili, gdy chłopak kopnął krzesło, na którym stał. Tomek momentalnie rzucił się do niego, złapał tamtego za nogi i nie pozwolił, by całym ciężarem ciała zawisł na sznurze.

– Co ty wyprawiasz, idioto, co ty wyprawiasz? – darł się, usiłując przytrzymać chłopaka i jednocześnie postawić krzesło. Dzieciak nie ułatwiał zadania, szamotał się jak szalony. – Zdejmij sznur! Zdejmij, kurwa, ten sznur!

Jakimś cudem udało mu się podstawić krzesło z powrotem pod nogi chłopca. Wspiął się na nie i przełamując opór niedoszłego samobójcy, zdjął mu pętlę z szyi. Kiedy obaj znaleźli się na ziemi, Tomek nie wytrzymał i z całej siły przyłożył tamtemu w twarz. Dzieciak zachwiał się, zatoczył, a gdyby nie ściana, upadłby na pewno. Oparł się jednak o nią, a potem osunął na ziemię i zaczął okropnie, zwierzęco zawodzić.

Tomek najpierw wszedł na krzesło i odwiązał sznur zaczepiony o hak od żyrandola. Dopiero potem podszedł do chłopca. Położył mu rękę na plecach.

– Już dobrze, już po wszystkim – zapewnił i słuchając jego szlochów, zastanawiał się, co powinien zrobić. Zadzwoń na policję? Zabrać go do szpitala? Powiadomić rodziców? To okropne wydarzenie odebrało mu zdolność logicznego myślenia. Dlaczego ten chłopak postanowił zrobić rzecz tak okropną? Ile mógł mieć lat? Szesnaście, siedemnaście? Przecież to jeszcze dziecko.

– Już dobrze, już dobrze – powtarzał raz po raz, bardziej, by uspokoić siebie.

W końcu szloch ustały, a chłopak popadł w omdlenie. Leżał skulony na podłodze, niezdolny do jakiegokolwiek działania. Tomek uznał, że może go na chwilę zostawić. Poszedł do biura, by skorzystać z telefonu stacjonarnego. Komórka uparcie twierdziła, że brak zasięgu. Najpierw zadzwonił do domu Marty. Nikt nie odebrał. Po chwili zastanowienia wystukał numer pani Marii Jezierskiej. Skoro mieszka na tej samej ulicy, może coś wiedzieć. Na szczęście odebrała. Marta jest u nich, bezpieczna. Kiedy po trzech minutach rozmowy odkładał słuchawkę, wiedział, że nie ma sensu dzwonić na policję. Sytuacja nad rzeką stała się tak poważna, że nikogo nie będzie obchodził los niedoszłego samobójcy. Wieść go do szpitala też chyba nie ma sensu. Trzeba się skontaktować z jego rodzicami, niech decydują. Zaczeka na nich tutaj.

W apteczce znalazł tylko przykurzone bandaże. Pomyślał o butelce wina, która została z wieczorku

poetyckiego, uznał jednak, że to zły pomysł. Nagle przypomniał sobie, że pani Zefiryra wspominała coś o kroplach na nerwy. Przełamując moralny opór, zajrzał do jej szuflady. Mała apteka, pomyślał. Były tam leki przeciwbólowe, przeróżne witaminy, maść na oparzenia i prawie pełna butelka nerwosolu.

– Wypij to! – Prawie siłą wepchnął chłopakowi do ust lekko przybrudzoną łyżeczkę z brunatnym płynem o intensywnym ziołowym zapachu. – Chodź, w moim gabinecie będzie nam wygodniej.

Szarpnął nastolatka i siłą powlókł przez korytarz. Potem przyciągnął z zaplecza materac i kazał się na nim położyć. Usiadł obok, patrząc, jak tamten skulił się w pozycji embrionalnej.

– Powiesz mi, dlaczego to zrobiłeś? – Odpowiedziało mu milczenie. Czego innego można się spodziewać? – Chciałbym zadzwonić do twoich rodziców. – Brak odpowiedzi. – Dobra, dam ci jeszcze trochę czasu.

Chłopak patrzył na ścianę wzrokiem tak pustym, że Tomkowi kroilo się serce. W końcu nie wytrzymał, podszedł i przytulił go tak, jakby tamten był jego własnym synem, który wrócił z bardzo dalekiej podróży.

– Przepraszam. Bardzo pana przepraszam – te słowa zostały wypowiedziane najcichszym szeptem. – Nie chciałem panu narobić kłopotów.

– Och! Synu, pomyśl, co chciałeś zrobić swojej matce, swojemu ojcu. Pomyśl, co chciałeś zrobić sobie.

Chłopak się rozplakał, tak zwyczajnie, jak dziecko. Tomek znowu wlał w niego nerwosol i czekał cierpliwie, aż łzy przyniosą ulgę.

– Powiesz mi chociaż, jak się nazywasz?

– Maciejewski, Adam Maciejewski.

– A chciałeś się zabić, bo...?

– Ona mnie nie kocha.

Tomek mocniej przytulił chłopca.

– Gdyby każdy facet, którego nie kocha dziewczyna, kończył ze sobą, ludzkość wyginęłaby już dawno temu. – I z niechęcią pomyślał o Marcie, a także o dziewczynie, co nie chciała Maciejewskiego, i całym rodzie niewieścim.

Minęło sporo czasu, zanim Adam wyznał, że rodzice pracują w Niemczech, mama przyjeżdża na weekendy, ojciec prawie wcale. Prośbami i perswazjami Tomek wydobył numer telefonu do matki. Trzęsły mu się ręce, gdy wybierał kolejne cyfry.

– To nie jest zła wiadomość – powtarzał sobie. – To na szczęście nie jest zła wiadomość. – Mimo to przestraszył kobietę.

– Poczekam na panią, tak długo, jak to będzie konieczne – zapewnił. – Proszę na siebie uważać. Adamowi nic nie jest...

...to tylko złamane serce.

I tak tkwili tutaj we dwóch. Rubiń zalewała woda, a im było to obojętne. Mieli własną tragedię.

Janina Krupska ze zdziwieniem wpatrywała się w młynek do kawy. Nie mogła zrozumieć, jak to się stało, że jest w domu, że próbuje wykonać tę naturalną czynność, którą jest zaparzenie szklanki kawy. Jak się tu znalazłam? – zapytała samą siebie. Wspomnienia z ostatnich kilkunastu godzin były albo zaskakująco dokładne, albo nie było ich wcale.

Pamiętała, że poszła do domu Leokadii Jezierskiej. Marta tam była. Pamiętała, że przytuliła się do córki, wtuliła twarz w to miejsce między szyją a barkiem, gdzie ciągle jeszcze można było wyczuć dziecięcy zapach, który od urodzenia towarzyszył Martusi.

Salon starej Jezierskiej wypełniały przerażone kobiety. Żadna z nich nie znalazła się dotąd w, jak to później określił Janusz, sytuacji kryzysowej. Leokadia, chcąc rozładować napięcie, zaproponowała wszystkim herbatę i Janina widziała, jak szcodrze sypie do dzbanka liście melisy.



Zaproponowała pomoc przy zmywaniu i musiała wysłuchiwać gderania na temat zaginionych srebrnych łyżeczek, bo przecież było sześć, a są trzy, więc trzeba sprawdzić, czy nie spadły na podłogę, bo to przedwojenna robota, trzeba szanować. Ruszyła do salonu, gdy drzwi wejściowe się otworzyły i stanął w nich Janusz.

Janina pamiętała, jak za jej plecami stłoczyły się kobiety, histerycznie wypytując, czy rzeka wylała. Janusz tylko zaprzeczył ruchem głowy. Ona jedna o nic nie pytała. Już sobie uświadomiła, że wśród stojących obok nie ma Marty. Znała swojego męża ponad trzydzieści lat i wiedziała, że to, z czym przyszedł, było skierowane do niej. Nie chciała tego usłyszeć. Proszę cię, Janusz, nic nie mów, tylko nic nie mów, błagała go w myślach. Oczywiście nie mógł jej posłuchać.

– Marta wskoczyła do wody.

To było tak absurdalne, że gdyby nie ta pustka w jego oczach, nigdy by nie uwierzyła. Poczwała czyjaś dłoń na ramieniu, ale strząsnęła ją z obrzydzeniem. Ostatnim, co zapamiętała, był moment, gdy Janusz odciągał ją od Marii. Dlaczego chciała ją pobić? Nie pamiętała. Nie wiedziała również, w jaki sposób znalazła się w radiowozie. Miała w pamięci tylko spokojną twarz policjanta, gdy pytał, czy niczego jej nie trzeba. Kolejna dziura. I nagle z mroku niepamięci wyłania się twarz Janusza. Jedź do domu, mówi, przebierz się, napij się kawy. Jak to, do domu? Przecież istnieje zagrożenie powodziowe. Okazało się, że rzeka zdążyła już wylać, powodując znaczne straty. Ta wiadomość nie zrobiła wrażenia na Janinie. Inni nic jej nie obchodzili, chciała tylko, żeby jej córka znów miała pięć lat i żeby ona, Janina, mogła ustrzec ją przed całym złem tego świata.

Myśl o tym, co się stało, wywołała ból tak silny, że aż nie do zniesienia... Młynek poszybował przez kuchnię. Jego obudowa chrupnęła, a tam, gdzie dotknął ściany, powstało małe wgłębienie i rysa.

Kobieta w żółtym płaszczu przeciwdeszczowym z powagą zreferowała wydarzenia ostatnich godzin w Rubiniu i teraz czekała na pytania ze studia w Warszawie. Głos potrzebował kilku sekund, by dotrzeć do słuchawki, którą reporterka miała przypiętą do ucha.

– Okropnie to wygląda, nie? – Karolina odwróciła się w stronę Agaty. Ta na moment podniosła wzrok znad swojego telefonu i rzuciła szybkie spojrzenie w stronę ekranu.

– Miej świadomość, że w telewizji wygląda lepiej niż w rzeczywistości.

– Naprawdę?

– Dodaj do tego szum, smród, wystające z wody gałęzie, które okazują się nie gałęziami, tylko nogami martwych zwierząt.

Karolina wymownie spojrzała w stronę bawiących się na podłodze chłopców.

– To po co pytasz? – burknęła Agata i wróciła do zabawy telefonem.

Napięcie dało im się już we znaki. Trzy kobiety, dwoje dzieci, pies i królik w jednym pokoju małego pensjonatu, którego właścicielka patrzyła podejrzliwie, dopóki Agata nie zapłaciła za pobyt z góry.

– Może powinniśmy wracać? – po raz nie wiadomo który zapytała Julka. Macocha posłała jej mordercze spojrzenie.

– A niby dokąd mamy wracać? Mój dom został zalany wodą.

– Tata mówił...

– Wiem, co mówił twój ojciec. Uwierz mi, ma teraz wystarczająco dużo kłopotów na głowie i świadomość, że my dwie jesteśmy suche, syte, a przede wszystkim bezpieczne, jest mu bardzo potrzebna.

Początkowo plan Agaty zakładał ucieczkę w bezpieczne miejsce, przeczekanie, a na koniec szczęśliwy powrót do domu. Wbrew zdrowemu rozsądkowi wierzyła, że skończy się na kilku chwilach grozy. Niestety, rzeka wylała, pozbawiając ją dachu nad głową. Ale to nie był jedyny problem, z jakim przyszło jej się zmierzyć.

Sylwia trafiła do szpitala. Lekarze stwierdzili, że to stres i hormony, to się zdarza kobietom w ciąży... W ciąży! Na szczęście wszystko będzie dobrze, zdrowiu Sylwii i dziecka nic nie zagraża. Jednak Michał miał inny powód do zmartwień.

– Wepchnęła go do wody, rozumiesz? – Głos mu drżał i Agata wiedziała, jak wygląda zdenerwowana twarz męża, jak trzęsą mu się ręce. – Jeśli postawią jej zarzuty... Wiesz, że to może być usiłowanie morderstwa? Tylko nie mów nic Julce, dobrze?

– Niestety, mamy tu telewizję.

– Mówili coś?

– Doniesienia o ofiarach, żadnych szczegółów.

– Tak długo, jak to będzie możliwe, trzymaj Julkę z daleka od całej sprawy. Ja muszę się zająć jej matką.

Agata próbowała opanować złość, którą wywołały w niej te słowa. Miejsce Michała było tu, przy niej, a nie gdzieś daleko, przy Sylwii. Świrniętej Sylwii. Skończyło się tak, jak podejrzewałam, pomyślała Agata. Zaczęła od przebijania opon, skończyła na mordowaniu ludzi. Gdyby ktoś odpowiednio wcześniej zareagował, nie doszłoby do tragedii.

– Tęsknię za tobą. Freddy też strasznie tęskni – spróbowała nawiązać więź, by samą siebie przekonać, że między nią a Michałem wszystko jest w porządku.

– Muszę już kończyć. Pa!

Urywany sygnał w telefonie. Gdzieś tam daleko był Michał, zaabsorbowany sprawami żony. Pierwszej żony, eksżony, aktualnie ciężarnej z Olgierdem. Strzępy informacji, które od niego dostała, usiłowała złożyć w całość, jak puzzle. Gdy odjechały, on ciągle szukał Sylwii, był pod bankiem, potem wrócił na Różaną. Rozmawiał z Martą, a chwilę później parkował pod domem byłej. Wtedy zdał sobie sprawę, że coś dzieje się tam, gdzie układali worki z piaskiem. Usłyszał krzyk Sylwii. Gdy dobiegł na miejsce, ciągle krzyczała. Olgierd i Marta byli już w wodzie. Sylwię, po tej przepychance z Jezierskim, Michał zabrał do szpitala. Trzęsa się i płakała. Lekarz chciał jej dać leki uspokajające, a wtedy powiedziała, że jest w ciąży, że to dziecko Olgierda, ale on nie chce się do tego przyznać i dlatego się kłócili. Zrobiono badania, które potwierdziły jej stan. To był początek ósmego tygodnia. Agata przeliczyła szybko w myślach i uświadomiła sobie, że w owym czasie był wieczór poezji Marii Jezierskiej. Pamiętała miłosne westchnienia Sylwii, które dochodziły z ciemni. Więc to Olgierd z nią tam był? W ten sposób włożyła ostatni element układanki w puste miejsce i powinna była zobaczyć obrazek. Tymczasem coś nie pasowało. Nawet nie myśl, bardziej przeczucie mówiło jej, że wie coś ważnego... To przypominało moment, gdy w ciemności ktoś zapalił latarkę. Przed chwilą Agata błędziła po omacku, teraz widziała wszystko. Przecież gdy szła korytarzem domu kultury, szukając Marty, minęła Olgierda. Wyszedł z męskiej toalety i skierował się ku wyjściu. Agata, oszołomiona odkryciem, przygryzła skórę na dłoni. Nie, nie było możliwe, żeby przeoczyła jego wyjście z ciemni i wejście do łazienki.

Agata nie wiedziała, czy kłamał Olgierd, czy też Sylwia, czy może obydwójce. Wiedziała jednak, że drogę do majtek byłej żony Michała znał jeszcze jeden mężczyzna. Ponieważ nie miała pojęcia kto, postanowiła zachować to dla siebie. W końcu nie była plotkarą.

Tak była zaabsorbowana swoim odkryciem, że gdy Julka zapytała, co u mamy, potrzebowała chwili, by się uspokoić i nie wygadać.

– Ale wszystko w porządku? – dopytywała się zaniepokojona dziewczyna.

– Wszystko w porządku. Mama cała i zdrowa, ojcu też nic nie jest. Nasz dom został zalany, wy macie wodę w piwnicy.

Po minie Julki można było poznać, że zamierza dążyć, jednak Karolina jej nie pozwoliła.

– Czy Michał mówił coś może...? Ciągle nie mogę się dodzwonić. Mówił coś?

Agata zaprzeczyła ruchem głowy. Zapadło milczenie. Karolina nie miała żadnych wieści o Konradzie. Ostatni raz widziała go przedwczoraj przy śniadaniu, pożegnał ją słowami: „Nie czekaj z kolacją, mam

sporo roboty, wrócić późno”.

Kiedy dwadzieścia pięć lat temu mąż pokazał jej plany ich przyszłego domu, Teresa pogardliwie wyduła usta i oświadczyła, że będzie się czuła, jakby mieszkała na poddaszu dREWUTNI.

– Potrzebujemy porządnej piwnicy – upierała się.

– Może schronu? – śmiał się Zbyszek i tłumaczył, że tak będzie lepiej, nowocześniej. Po co kopać kosztowną piwnicę, skoro ziemniaki można kupować w zieleniaku.

– A gdzie będę trzymała przetwory?

– W spiżarni. Zrobimy śliczną spiżarnię między garażem a kotłownią.

– Szaleństwo jakieś. Na co nam garaż, skoro nie mamy samochodu?

– Przecież będziemy mieli.

Protestowała jeszcze przeciwko tym planom, jednak Zbyszek się uparł. Taki już był, tylko udawał, że jej słucha, i robił wszystko po swojemu. A teraz nie mieli już samochodu ani pieniędzy na koncie, Zbyszek stracił wolność, a ona zaś musiała... no cóż, musiała jakoś sobie radzić w tej okropnej sytuacji.

Teraz, patrząc na swój dom, pomyślała, że garaż na dole to dobry patent na czas powodzi. Woda zalała prawie puste pomieszczenia. Ucierpiały narzędzia ogrodnicze i prawdopodobnie piec centralnego ogrzewania. Trzeba będzie wezwać kogoś, kto się zna na takich urządzeniach. Teresę czekało wiele, wiele sprzątnięcia, ale w przeciwieństwie do Wandy nie została w jednej sukience. Zawróciła spod swojej furki i ruszyła do domu Leokadii, gdzie jeszcze przez kilka dni miała nocować, dopóki woda całkowicie nie opadnie. Wtedy zadzwonił telefon. Spojrzała na wyświetlacz. Zakład karny. Świetny moment wybrali.

Przestała odwiedzać Zbyszka pół roku temu. Wyprawy do niego to była tylko strata pieniędzy. Nie przynosiły im nic poza żalem i złością. Nie chcieli, a może już nie potrafili, ze sobą rozmawiać. Siedzieli więc naprzeciwko siebie w napięciu, czekając, by strażnik dał znak, że czas minął. Zadzwoniła kilka razy, co okazało się równie niesatysfakcjonujące jak wizyty. Ten dziwny człowiek, zamknięty w więzieniu, to nie jej mąż. I czegoż ten ktoś może od niej chcieć?

Ale to nie Zbyszek dzwonił. Dzwonił mężczyzna, który najpierw podał stopień, później nazwisko, imię pominął, nic bowiem nie znaczyło w jego sformalizowanym świecie.

– Czy rozmawiam z panią Teresą Domańską? – upewnił się, choć przed momentem sama podała mu nazwisko. Potwierdziła. – Pani mąż miał zawał.

– Nie żyje?

– Proszę się nie martwić. – Teresę zaskoczył ludzki ton w głosie funkcjonariusza. – Jest w szpitalu. Może go pani odwiedzić w każdej chwili.

Podziękowała wylewnie z fałszywą serdecznością. Potem się rozłączyła i wsunęła telefon do kieszeni swetra z takim obrzydzeniem, jakby to urządzenie ponosiło winę za złe wieści, które właśnie otrzymała.

Co mam teraz robić? – zapytała samą siebie, a to pytanie uświadomiło jej, jak nienormalne jest w tej chwili jej życie. Nie trzeba było dwóch lat, by z szanowanej małżonki lokalnego polityka, zamożnej i zadowolonej, stała się ubogą żoną więźnia, nieszczęśliwą i zgorzkniałą. Gdyby w tym poprzednim życiu zdarzyło się, że Zbyszek dostałby zawału, natychmiast by się przy nim zjawiała. Nie szczydziłaby pieniędzy na najlepszych lekarzy. Dziś natomiast zastanawiała się, czy warto wydać pięćdziesiąt złotych na podróż. No bo czy to coś zmieni, że ona tam będzie? Nie może pomóc mężowi i może lepiej, żeby skoncentrowała się na pomocy sobie, na ratowaniu tego, co im zostało – domu i ogrodu.

Przyszło jej do głowy, że należało sprzedać dom, gdy jeszcze było to możliwe. Teraz nie tyle straciła na wartości, ile na wyglądzie, wiadomo jednak, że nieszczęście jednych bywa wykorzystywane przez innych i nikt nie zechce zapłacić za dom tyle, ile jest wart. Te sępy będą się starały jak najwięcej obniżyć cenę. Ależ była głupia, wierząc, że wszystko wróci do normy, że będzie tak, jak dawniej. Pewne sprawy zmieniają życie raz na zawsze. Zbyszek brał łapówki, zdefraudował publiczne pieniądze i przyczynił się

do śmierci niewinnego człowieka. Przekonywanie siebie o jego niewinności to łganie w żywe oczy. Gdyby od początku nie oszukiwała sama siebie, jej sytuacja teraz wyglądałaby inaczej. Ocaliłaby oszczędności. Rozstałaby się ze wspomnieniami, sprzedając dom. Zachowałaby szacunek dla samej siebie. Bo choć myślała, że jest ofiarą tego, co ją spotkało, prawda była taka, że sama też dopuściła się przestępstwa.

Co mam teraz robić? – zapytała siebie ponownie. Nie potrafiła odpowiedzieć. Może warto z kimś porozmawiać? Pomyślała o Januszu Krupskim. Był taki miły i opiekuńczy. Tylko że zachowywał się tak, zanim spadły na niego własne troski. To egoizm zawracać teraz mu głowę. Jednak z drugiej strony... Myśl, że komuś innemu też jest ciężko, może być krzepiąca. Przecież niczego od niego nie oczekuje. Po prostu chciałaby z kimś porozmawiać. Tylko tyle.

Tadeusz Jezierski obserwował Teresę, która przez chwilę stała przed furtką swojej willi, a potem ze spuszczoną głową wróciła do domu jego matki. Poczł bolesny skurcz w okolicach serca. Tak bardzo chciałby jej pomóc, ale nie mógł. Nie teraz, gdy Olgierd walczył o życie w szpitalu, a Konrad... Gdzie, do cholery, podziewa się Konrad?

Spotkał się z synem w dniu poprzedzającym powódź. Chyba żaden z nich nie przypuszczał, że rozmowa, która miała być omówieniem bieżących spraw kancelarii, przerodzi się w awanturę. Właściwie Tadeusz był zły na Olgierda, lecz nie wiedzieć czemu postanowił się wyżyć na młodszym synu. Ten zaś sprawiał wrażenie obrażonego na cały świat. Od słowa do słowa – i zrobiło się bardzo nieprzyjemnie. Konrad wyszedł, trzaskając drzwiami, a Tadeusz wrócił do domu wściekły. Zamknął się w gabinecie, dając Januszowi sygnał, że nie ma ochoty na towarzystwo, i siedział tam do czasu, aż krzyki Seweryna zaalarmowały mieszkańców Różanej.

– Zajmij się nim – polecił Krupski, gdy razem doholowali Seweryna do domu. – Trzeba go pilnować, żeby nie zrobił czegoś głupiego. – A później zasugerował, żeby Starskiego zaprowadzić na piętro, do sypialni.

Seweryn, gdy doszedł do siebie po ciosie Janusza, nie był w nastroju do robienia głupstw. Pogadał trochę o dzielności kota, po czym wypił dwie szklanki whisky i zapadł w drzemkę. Tadeusz zaś chodził nerwowo od okna do okna. Kiedy Karolina wyszła przed dom, zauważył, że nie ma z nią Konrada. Nie powinna być sama, pomyślał. Wyszedł na ulicę w tym samym momencie, w którym odjeżdżał samochód Agaty. Pomyślał z ulgą, że to dobrze, jego wnuki są bezpieczne, nienarażone na traumę wydarzeń, które być może się rozegrają na Różanej. Wtedy to jeszcze było „być może”. Podszedł pod dom syna. Drzwi były zamknięte, światła zgaszone. Konrada na pewno tam nie było. Powinien być przy żonie i dzieciach, pomyślał Tadeusz i, wymyślając nieobecnemu od najgorszych, wrócił do domu Starskiego. Miał zamiar lekko się zneutralizować alkoholem, a potem zdrzemnąć na kanapie, i już sobie nalewał wódkę do kieliszka, gdy w drzwiach stanął Janusz.

Z takim wyrazem twarzy można przynosić tylko złe wieści.

– Olgierd wpadł do wody.

W zestawieniu z powagą na twarzy Krupskiego te słowa zabrzmiały tak idiotycznie, że Tadeusz zapytał:

– I co, spodnie sobie zamoczył?

Janusz potrzebował chwili, by zdać sobie sprawę, że przyjaciel nie rozumie powagi sytuacji.

– Wpadł do rzeki, nurt go porwał, szukają...

Pod Tadeuszem ugięły się nogi. Świat zawirował; żeby nie upaść, oparł się o barek. Słowa Krupskiego tłukły mu się w głowie, coraz głośniejsze: „Olgierd wpadł do wody, do wody, do wody!”. I nagle w sercu Tadeusza znalazł się tylko strach o dziecko, syna, którego z największą delikatnością Ewelina włożyła mu w ramiona, mówiąc: „Byłby przepiękny, gdyby nie odziedziczył po ojcu tego chmurnego

wyrazu twarzy”, i śmiała się, bo była szczęśliwa. I on był wtedy szczęśliwy, a jeśli Olgierdowi coś się stanie, nigdy już nie zazna tego stanu.

W tym czasie Janusz spokojnie stał obok i nie rozumiał, przez co on, Tadeusz, w tej chwili przechodzi, więc ten, wściekły, wykrzyczał to Krupskiemu w twarz.

– To ty nic nie rozumiesz. – W odpowiedzi otrzymał gorzki uśmiech. – Moja Marta skoczyła mu na ratunek. Jej też szukają.

Na wspomnienie tej chwili Tadeusza zapiekły ze wstydu policzki. Zwłaszcza gdy się okazało, że Olgierd wyszedł z tego wypadku prawie bez szwanku... W Jezierskim odezwała się prawnicza natura. To nie był wypadek, Sylwia Brzozowska umyślnie wepchnęła jego syna do wody. Usiłowanie! I nie wywinie się z tego. Tadeusz zajmie się tą sprawą, gdy tylko odszuka Konrada.

Wiedział już, że synowie pili razem w mieszkaniu Olgierda. Potem jeden pojechał na Różaną, a co robił w tym czasie drugi – nie wiadomo. Wypytywanie sąsiadów i dzwonienie w najróżniejsze miejsca nie przyniosło rezultatu.

Najbardziej dołowały go telefony od Karoliny. Spokojnie powtarzał, że wszystko w porządku, niedługo sprawa się wyjaśni. Nie ma sensu narażać chłopców na cały ten stres. Woda, błoto, zagrożenie epidemiologiczne. Powinni zostać tam, gdzie są, najdłużej, jak to możliwe. Ona, Karolina, na nic się tu nie przyda. Każda taka rozmowa wiele go kosztowała i w myślach błogosławił młodą Brzozowską, że wywiozła jego synową. Nie spodziewał się po tak młodej osobie takiego opanowania i hartu ducha. Zaimponowała mu.

Nawet nie zauważył, kiedy Teresa zniknęła z ulicy. Myślenie o niej wydało mu się w tej chwili nie na miejscu. Później, pomyśli o niej później.

Kot Konstanty leżał na parapecie uchylonego okna. Strumień powietrza, który wlewał się do pokoju, był przesycony wilgocią o gnilnym zapachu mułu z dna rzeki. Kot czuł się tak, jakby ktoś zanurzał mu wąsy w grząskim szlamie. Było to nad wyraz nieprzyjemne, a jednak leżał tu i wdychał wodne opary. Czemu robił coś tak głupiego? Prawda jest taka, że Konstanty był wewnętrznie rozdarty, bo kiedy się okazało, że woda nie zatopi jego domu, poczuł, że panikując, zrobił z siebie idiotę. Z drugiej strony woda to woda, nie można jej ufać. Leżał więc na parapecie, żeby z jednej strony mieć powódź na oku, z drugiej, by dobrze zapamiętać czas, gdy emocje nieco go poniosły, i nie powtórzyć tego błędu.

Oczywiście współlokator widział to inaczej. On uważał Konstantego za bohatera, a swój podziw oraz wdzięczność wyrażał a to polędwicą wołową, a to kawałkiem jagnięciny czy inną mięsną delicją. Współlokator, który wcześniej lubił Konstantego, teraz czcił ziemię, po której kot stąpał. No ale czy można go traktować poważnie? Przez ostatnie dwa dni nie robił nic innego, tylko gapił się w okno. Twierdził, że rozmyśla. Kot prychnął delikatnie, słysząc to słowo, bo czymże jest rozmyślanie, jak nie stratą czasu? Czy kiedy komu coś z tego przyszło? No gdyby jeszcze współlokator rozmyślał o czymś mądrym, może nie byłaby to taka bezsensowna strata energii. Ale nie. On się zastanawiał, czy powinien iść do kobiety z przeciwka, czy też w chwili obecnej nie należy komplikować jej życia. Cóż za megalomania ze strony współlokatora myśleć o sobie jako o komplikacji.

Olgierd otworzył oczy i zobaczył nad sobą biały sufit. To znaczy kiedyś niewątpliwie biały, teraz poszarzały. Jednak kolor nie miał dla niego znaczenia. Za każdym razem, gdy otwierał oczy i widział nad sobą sufit, traktował to jak cud.

Pamiętał czarny odmęt nieświadomości, w którym torował sobie drogę, i ten moment, gdy otworzył oczy i patrząc w sufit, próbował dociec, gdzie jest i co się stało.

– Doktorze, pacjent się obudził – dobiegło z miejsca poza zasięgiem jego wzroku.

Po chwili pojawiła się nad nim niemłoda już, męska twarz, a wyraz skupienia na niej zastąpił serdeczny uśmiech. Usłyszał, że wszystko w porządku, że jest w szpitalu i żeby odpoczywał. I nim Olgierd zdążył o czymkolwiek pomyśleć, jego świadomość znów pogrążyła się w czerni.

Za każdym razem, gdy jego świadomość wypływała na powierzchnię, próbował ze strzępów pamięci złożyć obraz tego, co się stało. Aż do tej chwili – bezskutecznie. Teraz leżał, patrząc w sufit, i po raz pierwszy od dawna czuł, że od razu nie zaśnie. Skoncentrował się, by z zakamarków pamięci wydobyć wspomnienia, które przecież musiały tam być. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, był uśmiech Konrada. Dlaczego się uśmiechnął? Bo Olgierd zgodził się z nim napić. Pili w milczeniu, niechętni sobie, Konrad zdesperowany, może zły, może nieszczęśliwy. Alkohol ich uspił. W środku nocy Olgierd się obudził i poszedł do łazienki. Pamiętał rdzawy zaciek, który utworzyła woda, powoli sącząca się z nieszczęlnego rezerwuaru. Pomyślał wtedy, że powinien coś z tym zrobić, ale naprawdę nie miał pojęcia co. Nigdy się nie zajmował domowymi naprawami. W domu nie było takich tradycji, wiecznie zapracowany ojciec w potrzebie wzywał fachowców, więc synowie nie odróżniali klucza szwedzkiego od francuskiego. Marta miała o to pretensje. „Uszczelka kosztuje dwa złote. Dokładnie dwa złote, a hydraulik weźmie pięćdziesiąt” – mówiła zirytowana, jemu zaś nie chciało się tłumaczyć, że ich małżeństwo nie musi być odbiciem związku ich rodziców. I nie było. Starzy Krupscy i młodzi Jezierscy wybrali zupełnie inne drogi, żeby doprowadzić do destrukcji swoich małżeństw.

Olgierd odtwarzał w pamięci kolejne sceny, przypominało to pokaz slajdów. Widział Konrada, śpiącego na kanapie, mężczyznę w pstrokatym swetrze, Janusza Krupskiego. Cały czas czuł dziwny niepokój. To miało związek z tym, co powiedział Krupski: „Wszystko w porządku. Byłem tam przed chwilą. Bardziej się przydasz nad rzeką, trzeba układać worki z piaskiem”. Nie! To nie to. Musiało chodzić o coś innego.

Poczuł się wyczerpany. Zamknął oczy, ale nie odpłynął. Wsłuchał się w dźwięki, które go otaczały – rozmowa, prowadzona przyciszonymi głosami, jęk, głośne wołanie: „Grażynka, mozesz na chwilę?”, brzęk metalu, trzaśnięcie drzwi.

Ktoś wszedł do sali. Z odgłosów krzątania Olgierd wywnioskował, że to pielęgniarka. Otworzył oczy. Mimo że była zajęta wpisywaniem wyników do karty, natychmiast się zorientowała, że pacjent odzyskał przytomność.

– Jak się pan czuje? – zapytała.

– Dobrze. – Słowo, jak kawałek papieru ściernego, drapało go w gardle. – Co się stało?

– Miał pan wypadek. Już wszystko w porządku. Żadnych poważnych urazów, długo pan tu nie zostanie. A teraz proszę odpoczywać. – Uśmiechnęła się do niego. To nie był wyuczony, profesjonalny uśmiech, przemknęło Olgierdowi przez myśl, gdy za pielęgniarką cicho zamykały się drzwi.

Wypadek. Obracał to słowo w myśli, czekając na moment olśnienia. Bezskutecznie. Czuł tylko dziwny niepokój i wiedział, że ma związek ze słowami Krupskiego. Może on wtedy skłamał? Może Marta nie jest bezpieczna? Szczery wyraz twarzy Krupskiego, utrwalony na zdjęciu pamięci, przeczył tej myśli.

Niech to szlag! – Olgierd zaklął bezgłośnie. Próby przypomnienia sobie czegokolwiek przypominały składanie w całość podartej kartki papieru.

Ponownie pozwolił myślom dryfować, zasłuchany w odgłosy szpitalnej krzątania. Niespodziewanie zobaczył swoje ręce, sięgające po worek z piaskiem. Rzucił go na budowaną pośpiesznie zapórę, a chwilę później... Sylwia. Przypomniał sobie jej słowa. Cięża! Większy absurd trudno byłoby wymyślić.

I w tym momencie do Olgierda dotarło, co się stało. Wspomnienia wróciły, takie dokładne i tak bolesne.

Sylwia popchnęła go z wściekłością. Pamiętał, jak się zachwiał i szukał nogą oparcia, by zachować równowagę. Niestety, trafił na błotnisty grunt, stopa zjechała w bok, worki, które tam leżały, dały jej oparcie, ale tylko na moment, bo cały już leciał w dół. Wpadł do wody. Usiłował wstać, jednak rwący nurt okazał się zbyt silny. To było najgorsze pięć minut w życiu Olgierda. Najpierw próbował się

wydostać na powierzchnię, pełen wiary, że stopy trafią na twarde grunto, bo przecież tu nie mogło być głęboko, to tylko Młynówka, wezbrana, ale Młynówka. Jednak ubrania, które nasiąkły wodą, ciągnęły go na dno, krępowały jak kaftan bezpieczeństwa, uniemożliwiając spójne ruchy, więc miotał się chaotycznie, tracąc siły. Gdy znalazł się pod wodą, przez minutę zdołał wstrzymać oddech. Uczepił się myśli, że pomoc nadchodzi, przecież wszyscy widzieli, jak wpada do rzeczki. Już łapia bosaki i liny, za chwilę poczuje coś, czego będzie mógł się uchwycić. Jest blisko brzegu. Próbował otworzyć oczy, by swoją gotowością pomóc ratownikom. Otaczała go bura, brudna woda, w której nic nie zdołał dojrzeć. Płuca piekły ogniem, domagając się tlenu. Nie wytrzymał, otworzył usta, bo odruch był silniejszy niż świadomość, że nie ma co liczyć na haust powietrza. Wodę, która wdarła mu się do ust, początkowo połykał, aż był jej tak pełen, że mógł już tylko zwymiotować. Wtedy przestał sam siebie mamić wizją ratunku. Zdał sobie sprawę, że została mu minuta, może dwie, zanim woda całkowicie zaleje mu płuca. To będzie koniec.

W tym momencie poczuł, że chwyta go silne ramię. Chciał pomóc, lecz nie zdołał. Chyba stracił przytomność. Odzyskał ją na błotnistym brzegu. Woda spływała mu z ubrania, leciała z uszu, ściekała po włosach. Wymiotował wodą, kaszląc, próbował jej się pozbyć z płuc. Wszystko go bolało, miał świadomość, że zaraz zemdleje.

Ocknął się na noszach. Stał nad nim ratownik, poważny i skupiony, oraz Janusz Krupski, którego twarz wykrzywiało przerażenie.

– Gdzie ona jest? – zapytał. Olgierd nie rozumiał pytania. – Gdzie, do cholery, jest Marta? Co się z nią stało? – Olgierd poruszył głową, nie mógł bowiem zrozumieć, co się stało. Przecież Marta siedziała bezpiecznie w domu jego babki. – Uratowała cię, idioto, ale nie możemy jej znaleźć. Jeśli... – Widać było, że Janusz boi się wypowiedzieć na głos swoje obawy. – ...Jeśli coś jej się stało, to przyrzekam, zabiję cię, gnoju.

Wtedy znów zemdlał.

Dlaczego chciał sobie to wszystko przypomnieć? Po co mu wspomnienia, które jak imadło ściskają mu serce, czyniąc życie niemożliwym. Jeśli jej się coś stało... Przecież bez niej jego życie nie ma sensu. Poczul łyzy, spływające jedna za drugą po twarzy.

Ponownie otworzyły się drzwi i Olgierd podniósł rękę, by zetrzeć z policzków tę oznakę słabości. Jednak zaplątał się w kabel od kroplówki. Szarpnął.

– Spokojnie – powiedział do niego ojciec. Podeszedł do łóżka, uwolnił rękę syna i podał mu papierową chusteczkę. Metalowe krzesło skrzypnęło, gdy siadał. – Nie mogłem przyjść wcześniej. Potrzeba ci czegoś? Wody?

Tylko nie wody, poprosił w myślach Olgierd. Wspomnienie burej brei o błotnistym smaku bolesnym skurczem ściskało mu żołądek.

– Wszystko w porządku – wychrypiał.

A potem trwali w milczeniu. Olgierd myślał o tym, jaką torturą jest dla ojca przebywanie tu. Wiedział, że stary nienawidzi szpitali.

– Muszę już iść. Wpadnę niedługo.

– Tato. – To tak dawno niewypowiedane słowo zdziwiło ich obu. – Czy wiadomo...

– Nie. Nadal nic nie wiadomo. Dzwoniłem we wszystkie możliwe miejsca. Jak kamień... Tak myślałem, że może ty coś pamiętasz, widziałeś go ostatni. Chciałem zapytać, ale lekarz zabronił ci denerwować.

Myśli Olgierda przesuwaly się powoli, ociężale, dotarło do niego jednak, że ojciec nie udzielił mu odpowiedzi na pytanie.

– Kogo widziałem?

– Konrada.

– Piliśmy. Był zdesperowany. Kiedy wychodziłem w nocy, spał. Dlaczego pytasz?

Po chwili ciszy usłyszał:

– Twój brat zginął. I ja muszę go odnaleźć.

Ojciec wyszedł, nim Olgierd zdążył powtórzyć swoje pytanie. Może to i lepiej? Bo jeżeli Marta też...  
jak kamień w wodę?





## ROZDZIAŁ DRUGI

### Róża Maizner Fastnacht

*Róża Maizner Fastnacht. W sercach niektórych hodowców róż drzemie miłość do osobliwości, dlatego nie ustają oni w próbach wyhodowania błękitnej róży. Nikomu to się nie udało, choć trzeba przyznać, że Mathias Tenton był naprawdę blisko, gdy stworzył Maizner Fastnacht. Kwiaty tej róży, pojedyncze na szypułce, pełne, w środku są jasnofioletowe, a na zewnątrz fioletowe ze srebrnym połyskiem. W parze z wyjątkowym kolorem idzie niespotykany, intensywnie korzenny zapach. Liście tej róży – duże, matowe – początkowo są jasnozielone, z czasem ciemniej. Krzak niewysoki, do siedemdziesięciu centymetrów, lubi miejsca słoneczne i niezbyt wilgotne, dobrze radzi sobie z mrozem. Ze względu na swą unikalność róża ta zdobyła wielu wielbicieli, z których najsłynniejszym był Freddie Mercury.*

Czterooosobowej sali na oddziale położniczo-ginekologicznym nie można było nazwać miejscem przyjaznym. Ładny, niebieski kolor ścian nie sprawi przecież, że ktoś poczuje się lepiej, Sylwia Brzozowska była o tym głęboko przekonana. Znała już każdy szczegół tego pomieszczenia, w którym tkwiła trzeci dzień – wszelkie zadrapania na ścianach, wyłobienia w podłodze, rysy na suficie.

Poza nią w sali były jeszcze dwie kobiety. Jedna młoda, może dwudziestolatka, w dość zaawansowanej ciąży, ciągle opowiadała każdemu, kto tylko się nawinął, historię o Maciusiu, któremu na świat śpieszno. Druga, ledwo po trzydziestce, mówiła niewiele, o ciąży zaś wcale. Sylwia, usłyszawszy przypadkiem, jak tamta pytała lekarza, czy nie będzie tak, jak poprzednio, rozumiała małomówność kobiety. Sama też nie chciała rozmawiać, ukrywała się za kolorowym czasopismem, a na pytania odpowiadała monosylabami.

– Podobno w telewizji mówili o naszej powodzi – zagadnęła ją dwudziestolatka. – Telewizja wczoraj była, pokazywali Różaną. Ciekawe, czy znowu będzie coś w wiadomościach?

– Wątpię. – Trzydziestolatka była sceptyczna. – Wszyscy żyją teraz piłką.

I bardzo dobrze, pomyślała Sylwia. Jeszcze tego brakowało, bym stała się gwiazdą wieczornego wydania wiadomości.

Zamknęła oczy, udając, że śpi. Miała nadzieję, że dobre wychowanie każe współtowarzyszkom uszanować jej sen i zaniechają rozmowy. Niestety, tylko ściszyły głosy. I teraz docierały do niej pojedyncze słowa. Irytujące pojedyncze słowa, a przecież psycholog, która rozmawiała z Sylwią po wypadku, wyraźnie podkreślała, że dla dobra zarówno swojego, jak i dziecka powinna ograniczyć stres.

– Proszę pamiętać, co w tej chwili jest najważniejsze. – A potem było dużo terapeutycznego bla, bla, bla, zakończonych życzliwą prośbą: – Niech pani się nie obwinia o to, co się stało.

Skinieniem głowy dała znak, że się postara, ale nic nie obiecuje. Prawda była taka, że nie zamierzała dzielić się z panią „ukończenie psychologii daje mi kwalifikacje, by zbawić świat” swoimi uczuciami. To, co ją ogarnęło, nie było to poczucie winy, tylko złość. Wściekłość spowodowana postawą Olgierda.

Nie, wcale nie chodziło o to, że Olgierd nie zachował się tak, jak oczekiwała, tylko o to, że nie postąpił jak normalny, przyzwoity facet. Nie miała pretensji, że podał w wątpliwość swoje ojcostwo; Sylwia żyła na tym świecie wystarczająco długo, by się nauczyć, że faceci wszystko kwestionują, taka ich natura. Jednak w obliczu zbliżającej się klęski żywiołowej należało powiedzieć: „Super, kochanie, ale góra worków z piaskiem to nie jest najlepsze miejsce, by o tym rozmawiać. Wrócimy do tego tematu, gdy będzie bezpiecznie”. I jeśli zamiast takich słów mówi się: „Co ty mówisz, nawet mnie przy tym nie było”, to tylko do siebie można mieć pretensje, że zdenerwowana rozmówczyni postanawia natychmiast wyładować złość wywołaną tymi słowami. O to, że jest się ciamajdą i nie potrafi utrzymać równowagi, również należy winić siebie. Owszem, Sylwia uderzyła Olgierda, ale tylko uderzyła, i nie pozwoliła sobie wmówić żadnego wepchnięcia do wody. To nawet nie jest wiarygodne – słaba kobieta wrzuca silnego, dorosłego faceta do rzeki. Kto w to uwierzy?

Tak czy inaczej, Sylwia nie pozwoliła sobie wmówić żadnego wepchnięcia, z premedytacją czy bez. Może jeszcze Martę ma wziąć na sumienie? Przecież wszyscy widzieli, że z własnej woli skoczyła do wody. Swoją drogą dziwne to priorytety – dla byłego męża ryzykować życie. Sylwia zrobiłaby coś takiego tylko dla dziecka. Dzieci, poprawiła się w myśli, odruchowo kładąc rękę na brzuchu. Mamusia cię kocha, skarbie, i nie pozwoli, by stało się coś złego – zapewniła je, teraz już całkiem pogodzona z faktem, że w jej brzuchu kiełkuje nowe życie. Kiedy się dowiedziała, nie była pewna, co robi. I jeszcze ten zbliżający się żywioł. Nic dziwnego, że była zagubiona. Rozmowa z Olgierdem zupełnie wytrąciła ją z równowagi, wpadła w histerię, a jadąc karetką do szpitala, przez chwilę myślała, że poronienie rozwiązałoby wszystkie problemy. Jak bardzo głupie to było, uświadomiła sobie podczas USG. Z niepokojem wpatrywała się w twarz lekarza, a gdy w końcu powiedział, że wszystko w porządku, poczuła ogromną ulgę. I teraz nie chciała już myśleć o niczym innym, tylko o zdrowiu i szczęściu swoich dzieci.

Rozległo się pukanie, a chwilę później „Proszę” jednej z pacjentek. Sylwia patrzyła obojętnie na drzwi, ale ożywiła się, gdy stanął w nich Michał. Pocziwy, kochany Michał. Był przy niej, kiedy przywieźli ją do szpitala, zapewnił bezpieczeństwo ich córce. „Julka jest daleko stąd, nic jej się nie stanie. Teraz martwimy się tylko o ciebie”. Zawsze taki był. A ta mała suka Agata podstępnie wykorzystywała jego dobroć i naiwność.

Sylwia uśmiechnęła się na przywitanie, a gdy Michał usiadł przy łóżku, wzięła go za rękę. Nie protestował.

– Co u naszej córki? – zapytała.

– W porządku. Gdyby nie martwiła się o ciebie, uznałaby to za wakacje.

– Niepotrzebnie jej mówiłeś.

– Nie będę oszukiwał dorosłej kobiety. Zresztą wie tylko tyle, ile powinna, nic ponadto. – Uspokajająco poklepał dłoń Sylwii. – Wszystkim się zajmę.

Popatrzyła na niego z wdzięcznością.

– Jesteś wspaniały. Zawsze tak uważałam, choć nie mówiłam tego zbyt często. Może wcale i dlatego... powiedzmy, że poszedłeś szukać uznania gdzie indziej. – Chciał jej przerwać, ale nie pozwoliła. – Nie mam pretensji. Biorę na siebie swoją część winy za rozpad naszego małżeństwa. Może by do tego nie doszło, gdybym nie lekceważyła drobnych symptomów. Ale wiesz, tak bardzo w nas wierzyłam, nigdy bym nie pomyślała, że może nam się nie udać.

Przez chwilę milczeli oboje, zdziwieni szczerością i trafnością słów, które właśnie padły. Po chwili Sylwia znowu się odezwała:

– Przepraszam za wszystko, co ostatnio robiłam. Wybaczysz mi, jeśli zrozumiesz, że nie chciałam się mścić. Raczej desperacko walczyłam, by cię odzyskać. To było głupie, wiem. I dlatego... dlatego proszę, Michał, zostańmy przyjaciółmi.

Nachylił się, objął ją i delikatnie poklepał po plecach.

– Myślę, że to możliwe – powiedział.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę o Julce, w końcu Sylwia zebrała się na odwagę, by zapytać o ofiary wypadku, ale poza tym, że Olgierd odzyskał przytomność, nie dowiedziała się niczego nowego. Potem Michał się pożegnał i wyszedł cicho, odprowadzany ciekawskimi spojrzzeniami dwóch pozostałych pacjentek.

Michał to dobry człowiek, pomyślała Sylwia. Udowodnił też, że potrafi być dobrym ojcem. A dziecko potrzebuje taty, który wcale nie musi być biologiczny, ważne, żeby je kochał. Julka przyszła na świat, kiedy obydwójce byli młodzi i nie potrafili w pełni docenić uroków rodzicielstwa. Teraz jest zupełnie inaczej. Dlaczego nie mieliby przeżyć tego jeszcze raz?

Michał wyszedł na szpitalny korytarz i rozejrzał się za miejscem, gdzie mógłby spokojnie chwilę porozmyślać. Wykusz okienny na półpiętrze wydawał się dobrym miejscem. Przystanął i odruchowo obmacał kieszeń spodni. Przeklął, bo przecież od roku nie palił. Tydzień wcześniej roześmiałyby się w twarz temu, kto by go przekonywał, że nadejdzie chwila, gdy zatęskni za papierosem. Teraz wiele by dał za możliwość zaciągnięcia się dymem.

Biedna Sylwia. Kiedy do niej szedł, obiecywał sobie, że będzie szczery. Jednak gdy zobaczył jej bladą, nagle o dekadę postarzałą twarz, słowa nie chciały mu przejść przez gardło.

Powinien jej powiedzieć, przygotować ją. A może narazić na kolejny stres? Przecież i tak się dowie, pomyślał. No ale jeszcze nie teraz i nie od niego. Właściwie dlaczego mam być posłańcem, pytał sam siebie. Kim jest dla mnie Sylwia? Przecież od dawna nic nas nie łączy. No i kimże jest dla mnie Tadeusz, że miałbym słuchać jego rozkazów? W tej chwili Michałowi przypomniawszy się czerwona z wściekłości twarz starego Jezierskiego, gdy krzyczał: „Nie zostawię tak tego! Powiedz jej, że sprawa wylądowała w sądzie. Pozwę ją za usiłowanie morderstwa. Nie wywinie się, nie wywinie!”. Michał poszedł do niego dziś rano, licząc, że skoro życiu Olgierda nic nie zagraża, tamten zmieni zdanie. Nic podobnego. Żadne argumenty do niego nie trafiały, nawet to, że Sylwia jest w ciąży.

– Przez pana żonę dwoje ludzi wylądowało w wodzie. Powinna była zastanowić się nad konsekwencjami, zanim doprowadziła do tej sytuacji – chłodno oznajmił Jezierski.

– To był wypadek.

– O tym zadecyduje sąd. – I zatrzasnął mu drzwi przed nosem.

Michał ze zdziwieniem stwierdził, że martwi się o Sylwię. Kiedy Julka powiedziała, że mama dziwnie się zachowuje... no cóż, Agata powiedziała to na głos, on tylko pomyślał, że w dziwnym zachowaniu byłej żony nie ma nic niezwykłego. Szukając jej, walczył z narastającą irytacją. Powinien być przy Agacie i Julce, powinien dbać o ich bezpieczeństwo, zamiast szukać kobiety, która jeszcze przed rozwodem była mu obca.

A kiedy znalazł ją na brzegu rzeki, przeraźliwie krzyczącą, naprawdę miał ochotę dać jej w twarz. Powstrzymało go poczucie przyzwoitości. I tylko dlatego, że był dobrym człowiekiem, pojechał do szpitala, by sprawdzić, co się dzieje z matką jego córki. Wtedy dowiedział się, że Sylwia jest w ciąży. To było zaskakujące i jednocześnie bolesne. Teraz naprawdę potrzebował papierosa. Musi tu być jakiś kiosk. Ruszył schodami w dół, zastanawiając się, kiedy ostatni raz był w szpitalu. Pewnie wtedy, gdy przywieziono tu ojca Sylwii. Tętniak aorty, nic nie dało się zrobić. Ze wszystkich wydarzeń tamtego dnia pamiętał tylko chwilę, gdy żona przytuliła się do niego. Objął ją ramieniem i dopiero gdy poczuł na koszuli wilgoć, zdał sobie sprawę, że Sylwia płacze. Podniósł jej twarz – nie szlochała, tylko łzy jedna za drugą płynęły z jej oczu.

– Już dobrze – powiedziała. – Już jestem dzielna.

Dzielna. Taka właśnie była. Ojciec Michała, który zmarł krótko po ich ślubie, nie doczekawszy nawet narodzin wnuczki, mówił o synowej „cholerna kobita”, co wbrew pozorom było wielkim komplementem.

Kobity były szykowne, przystojne, eleganckie, oczywiście czasem głupie i paskudne. Cholernymi nazywał tylko te, które pomimo delikatnej urody trzymały życie za mordę, tak jak potrafiło niewielu facetów.

A teraz ta Sylwia, która do tej pory świetnie sobie radziła ze wsparciem męża czy bez, potrzebowała pomocy. Michał czuł się odpowiedzialny za sytuację, w jakiej znalazła się była żona.

Kiosk znajdował się zaledwie kilka kroków od szpitalnej bramy. Brzozowski już widział rząd kolorowych paczek, prawie mógł odczytać te wszystkie ostrzeżenia, jakimi teraz ozdabiano pudełka, już sięgał po portfel, gdy nagle przysłała mu do głowy pewna myśl.

Zawrócił, postać chwilę przy rejestracji, czekając, aż wyondulowana sześćdziesięciolatka odmówi litanię swoich dolegliwości, by znudzona rejestratorka mogła mu powiedzieć, gdzie leży Jezierski.

Tak naprawdę Olgierd nie miał ochoty na kolejne odwiedziny ojca. Może dlatego ucieszył się, widząc w drzwiach niesforną czuprynę Michała i jego pogodne szare oczy.

– Wpadłem zobaczyć, jak się czujesz – zaczął Brzozowski, siadając przy łóżku. Olgierd smutnym uśmiechem dał znać, że bywało lepiej. – Strasznie mi przykro. To wszystko, co się wydarzyło, jest wprost nieprawdopodobne.

– Nie chcę o tym mówić – uciął Jezierski. Chciał zapytać o Martę. Musiał tylko znaleźć w sobie odwagę, by mężnie wysłuchać odpowiedzi, bez względu na to, jaka będzie.

– Rozumiem. – I przez chwilę wydawało się, że Michał naprawdę rozumie, bo milczał. W końcu jednak podjął temat. – Byłem u Sylwii, ona też źle znosi tę sytuację. To wszystko jej nie służy. Wiesz, że jest w ciąży? – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Wiem, ale nie ja... – Olgierd chciał wyznać, że nie przyczynił się do odmiennego stanu Sylwii. Nie zdołał, bo Michał mu przerwał.

– Posłuchaj, Olgierd, to są sprawy między wami. Opadną emocje, porozmawiacie i podejmiecie jakieś decyzje.

Usta Olgierda wykrzywił uśmiech kwaśny jak cytryna.

– Podczas ostatniej rozmowy wrzuciła mnie do wody, chyba nie będę ryzykował kolejnej.

Michał skinieniem głowy dał znać, że rozumie.

– Wiem, o czym mówisz. Ta kobieta potrafi pokazać pazury. Po rozwodzie zamieniła mi życie w piekło. Zresztą wcześniej też nie było łatwo. Ale to matka mojego dziecka, więc musiałem zagryźć zęby i wytrzymać jej humory.

– Ja nie muszę.

– Nie powiesz mi, że będziesz ze spokojem patrzył, jak twój ojciec zamyka matkę twojego dziecka w więzieniu.

– O czym ty mówisz? – Olgierd nie rozumiał.

– Twój ojciec chce wytoczyć Sylwii proces. Zrozum, ona nie może pójść do więzienia.

– A ja myślałem, że to zwykła, przyjacielska wizyta.

– Jestem twoim przyjacielem. Nie powinieneś w to wątpić. Ale jestem również przyjacielem Sylwii, a z was dwojga to ona w tej chwili bardziej potrzebuje pomocy.

– O, jakież to szlachetne – zakpił Olgierd, ale Michał nie dał się sprowokować. Widać było, że chce coś powiedzieć, szukał jednak właściwych słów, by to, co miał do przekazania, zabrzmiało tak, jak trzeba. Olgierd też szukał słów, z których mogłoby się składać pytanie o Martę. W tym momencie do sali weszła pielęgniarka. Widok Michała przy łóżku Jezierskiego ją rozzłościł. Nie poprosiła, by wyszedł, tylko rozkazała mu natychmiast to zrobić.

– Twój ojciec nie szuka sprawiedliwości, tylko zemsty, bo tam nad rzeką to był nieszczęśliwy wypadek. Pomyśl o tym, Olgierd. Pomyśl o tych wszystkich, którzy mogą ucierpieć, o mojej córce, o swoim dziecku. I pamiętaj, że jestem twoim przyjacielem, choćby nie wiem co.

– A powiesz mi, co z...

Pielęgniarka prychnęła jak rozjuszona kotka, zagłuszając Olgierda.

– Wyjdzie pan wreszcie czy mam zawołać ochronę?! To nie jest jakiś klub dyskusyjny, pacjent potrzebuje ciszy i spokoju. Nie rozumie pan?

Choć drzwi za nimi się zamknęły, Olgierd ciągle słyszał strofujący głos pielęgniarki. Pewnie miała dziś gorszy dzień i postanowiła wylać na Michała wszystkie swoje frustracje. Dobrze mu tak. Olgierd był na niego zły. I wcale nie dlatego, że tamten przyszedł wstawić się za Sylwią. Miał rację, ojciec nie powinien się do tego mieszać. Jeśli prokuratura uznałaby, że doszło do przestępstwa, jeśli rodzina Marty chciałaby dochodzić swoich praw, to co innego. Ale w żadnym wypadku Jezierscy nie powinni pierwsi wszczynać tej sprawy. Olgierd spotykał się z Sylwią, a nawet się z nią przespał, a głębokie przekonanie, że to nie on jest ojcem, opierał na jej słowach o seksie w ciemni. Nie był z Sylwią w żadnym miejscu, które można by określić mianem ciemni. Kochali się tylko w hotelu, dwa razy i za każdym razem pamiętał, by się zabezpieczyć. Taki nawyk, wyrobiony podczas małżeństwa z Martą. Teraz czuł żal, że nie zapytał. Michał na pewno wiedział.

Wrócił myślami do tego miejsca, w którym na cukierkowym obrazku ich małżeństwa pojawiła się pierwsza rysa. To było tuż przed Bożym Narodzeniem. Niewinne pytanie, co zamierza kupić jej matce pod choinkę, stało się początkiem awantury, gdyż Olgierd odpowiedział, że nie zamierza nic kupować, bo przecież nie jadą do rodziców na święta.

– Jak to nie? – Marta patrzyła na niego jak na heretyka.

– Myślałem o romantycznym wyjeździe w góry. Tylko my dwoje, biały śnieg, narty.

– Wigilia jest po to, żeby ją spędzać z najbliższymi, z rodziną.

– Teraz ty jesteś moją rodziną.

– Twój ojciec, brat, babcia, oni się nie liczą?

– Nic im się nie stanie, jeśli raz nie stawię się na dorocznej konsumpcji karpia. – Jeszcze próbował żartować, ale ona była już zła i gotowa do kłótni. Padło więc wiele nieprzyjemnych słów. W końcu Olgierd podszedł do szafy, wyjął najlepszą koszulę i ulubioną marynarkę.

– Dokąd idziesz? – zapytała Marta pełnym urazy głosem.

– Na wigilię pracową.

– Miałeś nie iść.

– Wiesz, Wigilia jest po to, żeby ją spędzać z najbliższymi.

Po takich słowach nie musiał trzaskać drzwiami.

Imprezy nazywane wigiliami pracowymi nigdy nie mają nic wspólnego z cichą, postną wieczerzą. Jedzenia było mnóstwo, hostessy z firmy cateringowej ciągle uzupełniały tace. Alkoholu jeszcze więcej. Olgierd bawił się świetnie, pił, jadł, tańczył, a potem już tylko pił.

Obudził go ból głowy, zapowiedź gigantycznego kaca. Językiem dotknął podniebienia, które przypominało papier ścierny. Otworzył oczy, a potem je zamknął, bo to, co zobaczył, wcale mu się nie podobało. Był w obcym mieszkaniu, zagraconym i niechlujnym. Leżał na wersalce, w nieświeżej pościeli, wtulając policzek w alabastrową pierś młodej dziewczyny. Niech mi się to śni. Błagam, niech mi się to śni, powtarzał w myślach, choć dobrze wiedział, że to jawa i nic nie zdoła odmienić wydarzeń tej nocy. Przez chwilę żywił nadzieję, że był zbyt pijany, by mogło dojść do czegokolwiek. Jednak zaschnięta sperma zlepiająca jego włosy łonowe była niezbitym dowodem wiarołomstwa.

Mrucząc pod nosem: „kurwa, kurwa, kurwa”, wstał z tego ohydneho wyra i zaczął się rozglądać za swoimi ciuchami.

– Co tam? – zapytała dziewczyna. Nie znał jej imienia, ale wiedział już, że była hostessą na przyjęciu, bo wśród leżących na podłodze ciuchów znalazł fartuszek.

– W porządku, muszę do łazienki.

Wskazała kierunek ręką, przekręciła się na drugi bok i na powrót zapadła w sen.

Olgierd wszedł do pomieszczenia tak małego, że poza sedesem i kabiną prysznicową nic więcej nie powinno się w nim znajdować. A jednak była tu szafka z lustrem, kosz na pranie, plastikowy pojemnik wypełniony kosmetykami i kilka sznurków, na których suszyły się najróżniejsze majtki – od seksownych stringów, przez koronkowe figi po bawełniane bokserki. Pewnie w nich spała, pomyślał, Marta też tak robiła. Myśl o żonie sprawiła, że jego serce ścisnął bolesny skurcz. Jak ma jej spojrzeć w oczy? Jak powiedzieć o tym, co się stało? Przecież to nic nie znaczyło, powinna to zrozumieć, przekonywał sam siebie, wylewając na dłoń sporą ilość szamponu o dziwnym, orientalnym zapachu. Może nie mówić? W jego głowie odezwał się prawnik i zaczął wygłaszać mowę o niepoczytalności. To się nigdy nie powtórzy.

Nie zamierzał nic mówić, ale ona już wiedziała. Pewnie zapach włosów go zdradził. Siedziała przy kuchennym stole, który zrobili sami z drzwi wyszperanych na targu staroci i pięknych brzozowych pni, które znajomy Olgierda miał zamiar pociąć, by palić nimi w kominku. Piła poranną kawę. Po jej oczach widział, jak bardzo jest smutna. Postawił więc na szczerość, wyznał, że był wściekły, wypił więcej, niż zamierzał, a potem urwał mu się film.

– To się nigdy nie powtórzy – zapewnił.

Marta, bawiąc się pustym już kubkiem, powiedziała, że są słowa, których kobieta nigdy nie powinna usłyszeć od kochającego ją mężczyzny i „to się nigdy nie powtórzy” do nich należy.

– Spróbuję ci wybaczyć, a ty postarasz się więcej mnie nie zdradzić. Gdyby jednak znów miało do tego dojść, to się zabezpiecz. I mówię to nie dlatego, że martwi mnie ciąża innej kobiety. Troszczyć się tylko o siebie i niepokoi mnie to, co możesz mi przynieść w prezencie, od HIV poczynając, na raku szyjki macicy kończąc.

Zapewnił ją, że coś takiego nigdy więcej się nie zdarzy, że był głupcem, że ona jest jego całym światem. Naprawdę wierzył wtedy, że zdrada się nie powtórzy. I cieszył się, że Marta nie jest wściekła. Trochę czasu minęło, nim zrozumiał, że nie chciała mu pokazać, jak bardzo ją skrzywdził.

A zdrada się powtórzyła. Bo przecież gdy chcemy kogoś zranić, uderzamy tam, gdzie zabolą najbardziej.

Teraz, leżąc na szpitalnym łóżku i gapiąc się w sufit, Olgierd próbował zrozumieć, co kierowało Martą, gdy skoczyła mu na pomoc. Przecież ją skrzywdził, i to nie raz. Sprawił, że ich małżeństwo zamieniło się w pole walki. A ona, która tyle razy życzyła mu śmierci, teraz wyrwała go z jej objęć.

Leokadia Jezierska pewnym krokiem przemierzała szpitalny korytarz. Chciała odwiedzić wnuka od razu po wypadku, ale syn ją powstrzymywał. „Twoja obecność tam na nic się nie przyda – tłumaczył. Nie zgadzała się z nim. Przecież zawsze znajdzie się lekarz, którego trzeba zmotywować do lepszej pracy, czy pielęgniarka potrzebująca zachęty do troskliwszej opieki. Leokadia wiele mogła powiedzieć o swoim synu i to, że brzydził się słowem „łapówka”, również. Właściwie ona też nie lubiła tego słowa, bardziej jej się podobało określenie „gratyfikacja”. Kiedy Tadeusz zadzwonił do niej z radosną wieścią, że Olgierd odzyskał przytomność, od razu złapała torebkę, sprawdziła zasobność portfela i zadowolona ruszyła do szpitala.

Dzieliło ją zaledwie kilka kroków od drzwi, gdy te się otworzyły. Na szpitalny korytarz wyszedł najpierw Michał Brzozowski, a zaraz za nim czerwona z irytacji pielęgniarka.

– Czy tak trudno zrozumieć, że pacjent jest po wypadku? Trzeba przyłazić, głowę mu zawracać? To szpital, nie kawiarnia. Na pogaduchy pójdziecie sobie, jak tamten wydobrzeje. A teraz proszę opuścić oddział, a jak pana jeszcze raz zobaczę, to od razu zawołam ochronę. A pani tu czego? – Popatrzyła na Leokadię podejrzliwie.

– A ja lekarza szukam. Taki wysoki, szpakowaty...

– Nazwisko?

– Leokadia... – zawahała się, bo przecież jak poda własne, pielęgniarka od razu wszystkiego się domyśli. – Dąbrowska – skłamała, upewniwszy się, że Michał już nie może jej słyszeć.

– Lekarza nazwisko.

– Nie pamiętam. Wie pani, wiek robi swoje. To może być nawet alzheimer, tak wszystko zapominam. Wychodziłam z domu i myślałam: pójdę do doktora, zapytam, bo mnie tak w sercu uciska, może przez tę powódź, wszak to stres. Z drugiej strony, nie mam pewności, czy to ucisk...

Pielęgniarka miała dość. Nie trzeba było być specjalistą od mowy ciała, by odczytać komunikat „Najpierw tamten facet, teraz babcia, a dopiero zaczęłam dyżur i kawy bym się napiła”. Leokadia postanowiła to wykorzystać.

– Wie pani co? Mnie to chyba nic nie jest, wrócę do domu. Tylko chwilę odsapnę, bo po schodach wchodziłam. – Oparła się o ścianę i zaczęła grzebać w torebce.

Pielęgniarka westchnęła, by okazać, że ona musi pracować, a wszyscy wciąż zawracają jej głowę, i poszła sobie.

Leokadia odczekała chwilę, aż tamta już na dobre zniknęła z pola widzenia, a potem ruszyła ku sali Olgierda. Pilnowała, by otworzyć i zamknąć drzwi możliwie najciszej.

Jak biednie wyglądał jej ukochany wnuczek. Poszarzała i zmięta skóra na policzkach dodawała mu lat. I jeszcze ten zarost! Potęgował wrażenie zapuszczenia, które sprawiały przetłuszczone włosy i brzydka, pasiasta piżama. Czy Tadeusz nie wie, że istnieją ładne piżamy?

Podeszła do łóżka z wesołym „Dzień dobry”, na które Olgierd odpowiedział smutnym uśmiechem.

– No jak tam, syneczku? Dobrze wyglądasz. Może ci czegoś trzeba? – zagrychała.

W odpowiedzi dostała kolejną porcję tego smutnego uśmiechu. Oczywiście rozumiała, że tak traumatyczne wydarzenie i całe życie przed oczami wywołują u człowieka pewną apatię i chęć przemyślenia sobie wszystkiego. Tylko te myśli powinny być optymistyczne, a Olgierda ewidentnie coś trapiło.

– Czego chciał Michał? – zapytała, bo przecież nie była głupia i potrafiła dodać dwa do dwóch.

– Tak wpadł zobaczyć, jak się czuję.

Akurat!

– To miłe z jego strony. Zawsze uważałam go za przyzwoitego faceta. I tak tylko w odwiedziny wpadł czy może pogadać?

Olgierd spojrział na nią wymownie.

– No bo on wychodzi, a ty tu leżysz taki zafrasowany. Martwię się o ciebie.

Widziała, że zdobył się na wysiłek, by wykrzesać z siebie odrobinę radości.

– Cieszę się, że przyszłaś. A martwić się nie musisz. Wszystko ze mną w porządku. Michał to mój przyjaciel, więc normalne, że przyszedł.

Leokadia zrozumiała, że jej wysiłki są bezcelowe, Olgierd postanowił nie mówić prawdy. Dlatego, zamiast naciskać, odpuściła i opowiedziała mu o wszystkim, co się działo na Różanej – o bohaterskim kocie Starskiego, telewizji, wodzie, która zalała najbliższej rzeki stojące domy, i o tym, ile czasu zajmie sprzątnięcie ulicy.

– Pójdę już, bo widzę, że prawie cię uspiłam moimi historiami – skomentowała brak zainteresowania wnuka.

– Przepraszam, babciu, jestem zmęczony. Ale naprawdę się cieszę, że przyszłaś.

W ostatnie słowa uwierzyła. Bo chciała.

Podnosiła się, gdy coś w twarzy Olgierda ją powstrzymało. Coś go trapiło, o coś chciał zapytać.

– No co tam? – zachęciła go.

– Czy ty nie wiesz... Czy rodzice Marty wniosą oskarżenie przeciwko Sylwii?

– Teraz to im nie w głowie. Bardziej martwią się o córkę niż o sprawiedliwość.

– Wiadomo, co z nią?

– Bez zmian. Ale lekarze są dobrej myśli.

– Lekarze?

W jednej chwili na twarzy Olgierda odmalowały się radość i niepokój, strach i niedowierzanie. A Leokadia zrozumiała, że to nie Michał był przyczyną zmartwienia.

– Nie wiedziałeś? Nikt ci nie powiedział i ty biedaku myślałeś...? Ta dziewczyna dokonała heroicznego czynu i los nie mógł być dla niej okrutny. Wyszła z wody wycieńczona, z paskudnie złamaną nogą i pogruchotanymi zębami, lecz żywa. Straciła dużo krwi i wciąż jest nieprzytomna, ale wszystko będzie dobrze.

– Pamiętam, że Janusz... pytał o nią. Szukali jej.

– Wypchnęła cię na brzeg, ale sama nie dała rady wyjść, było ślisko, obsuwała się. Pewnie nie planowała odpływać tak daleko, ale musiała walczyć z nurtem. Na szczęście wyszła z tego żywa.

Olgierd odetchnął z ulgą.

– Ja teraz idę jej poczytać. Podobno to dobrze, gdy mózg osoby nieprzytomnej jest stymulowany. Powiem, że się martwiłeś, ucieszy się. I wiesz, tak sobie myślę, że te sprawy między wami... jak opadną emocje, to powinniście porozmawiać i zdecydować, co dalej.

Zanim wyszła, rozejrzała się po korytarzu. Bezpiecznie, można iść. Pielęgniarka chyba już zapomniała o dziwnej staruszce. Zresztą pewnie i tak by na nią nie nakrzyczała. Im człowiek starszy, tym więcej uchodzi mu na sucho. Tak jak w dzieciństwie, a nawet lepiej, bo kiedy jest się małym, błędy wynikają z nieświadomości. No a gdy jest się starym, na brak doświadczenia nie można narzekać. Kłamstwo, manipulacje i drobne przewinienia nie mają źródła w niewiedzy, wręcz przeciwnie, są przemyślane i skalkulowane. I cudownie uchodzą na sucho, bo kto by krzyczał na biedną staruszkę?

Janusz znał swoją żonę, dlatego wiedział, co Janina myśli na temat kawy z automatu, ale ponieważ w szpitalu nie serwują świeżo mielonej, podał małżonce tekturowy kubek z brązowym napojem. Trochę trwało, zanim zrozumiał instrukcję obsługi i wybrał z długiej listy możliwości coś, co jego zdaniem przypominało zwykłą kawę z cukrem.

– Americano. Może wolałabyś latte? – Tak naprawdę nie miał pojęcia, co to latte, ale nazwa go zaintrygowała.

– Nie. Taka jest dobra. Dziękuję. – Podniosła napój do ust, jednak był zbyt gorący. Obracała kubek w dłoniach, czekając, aż ostygnie.

– Powinnaś iść do domu, odpocząć.

– Wariuję tam. Wolę być tutaj.

Janusz pomyślał o zniszczonym młynku, który znalazł w kuchni Janiny, skinął głową i usiadł na niewygodnym krześle obok żony. W obliczu tego, co się stało, zawarli przymierze. Milczące porozumienie, by się wspierać i opiekować sobą nawzajem, dopóki ten koszmar się nie skończy. Obydwoje zdawali sobie sprawę, jaką tragedią byłaby utrata Marty. Na szczęście przeżyła. Byli za to wdzięczni losowi i nie widzieli powodu, by nad łóżkiem córki roztrząsać małżeńskie sprawy, które teraz wydawały się głupie i nic nieznaczące.

– Kiedy Mateusz odjeżdżał, przekonywałam go, żeby został jeszcze kilka dni. A teraz się cieszę, że nie posłuchał.

Tak, chociaż raz z jego krnąbrności wynikło coś dobrego, pomyślał Janusz.

– Pewnie bardzo przeżywałby tę sprawę z Konradem – kontynuowała Janina. – Wiadomo coś?

Janusz zaprzeczył ruchem głowy. Konrad zniknął, przepadł. Według Janusza, gdy wraz z człowiekiem znika jego samochód, to bardziej niż czarne scenariusze pasuje stwierdzenie: „Wyszedł z domu i dotychczas nie powrócił”. Niestety, wtrąciły się żądne sensacji media. Skoro młody mężczyzna o nazwisku Jezierski wpadł do rzeki i ktoś dzwoni do szpitali, pytając, czy nie trafił tam młody



mężczyzna o nazwisku Jezierski, wniosek może być tylko jeden. Takim to sposobem wiadomości podały informację o ofierze powodzi. A wiadomo, że telewizja nie kłamie.

– Nawet nie chcę myśleć, co przeżywa Tadeusz.

Janusz bladym uśmiechem dał znać, że robi, co może. Wciąż wydzwaniał do kolegów z policji, nękając ich prośbami o pomoc i zaangażowanie się w tę sprawę. Czuł jednak, że to może być misja niemożliwa, bo trudno znaleźć kogoś, kto nie chce być odnaleziony.

W tym momencie na korytarzu pojawiła się Leokadia i Janusz pomyślał, że nie ma na świecie miejsca, do którego mógłby uciec przed Jezierskimi.

Staruszka grzecznie się przywitała, spytała o stan Marty i poinformowała, że była u Olgierda, który, choć wygląda mizernie, czuje się całkiem dobrze.

– Janusz, a czy ja mogę zamienić z tobą słówko? – dodała, czym zaskoczyła Krupskiego, zaraz jednak sam sobie wytłumaczył, że musi to mieć związek ze zniknięciem Konrada. Może Leokadia chce się czegoś dowiedzieć, może sama coś wie. Skinieniem głowy dał żonie znak, że będzie w pobliżu, po czym ruszył za Jezierską ku przeciwnemu końcowi korytarza.

– Wiesz, to nie moja sprawa, ale Teresa teraz u nas mieszka i rano usłyszałam przypadkiem, jak rozmawiała przez telefon.

Słowa „usłyszałam przypadkiem” wzbudziły w nim wesołość.

– Wydaje mi się, że chodzi o Zbyszka. Coś się stało. Teresa jest skryta, no i musi się bardzo wstydzić, bo ta sprawa... sam zresztą wiesz.

– A co ja mam do tego?

– Ty z łatwością się dowiesz, o co chodzi, masz znajomych w więzieniu. Chodzi mi o strażników.

– Wśród skazanych też by się paru znalazło – rzucił z ironią.

– Nie to chciałam powiedzieć.

– Nie musisz się tłumaczyć, nie jestem adwokatem, żeby łapać za słówka – dociął jej z przyjemnością i żeby nie pozwolić na ripostę, dodał: – Mam popytać, co ze Zbyszkiem?

– Dobrze by było. A potem może byś porozmawiał z Teresą. Wiesz, tak szczerze, ale jako policjant. Dobrze by było, gdyby ktoś okazał jej wsparcie i jednocześnie zaznaczył, że czuwa, zanim...

– Zanim?

– Nie, nic. Głupia stara, gadam, a nie myślę. Skleroza po prostu.

Kiedy się przesłuchuje kogoś, kto nie jest podejrzanym, często następuje ten moment, gdy ta osoba nie chce już mówić prawdy. Jakby ten ktoś się bał, że szczerota zostanie wykorzystana przeciwko niemu. Wtedy dobrym ruchem ze strony przesłuchującego jest zdradzić jakiś swój własny sekret. Ot, choćby wyznać, że ma się słabość do sudoku. Ważne, by ów ktoś myślał, że jesteście w tej samej sytuacji – ty masz coś na niego, on ma coś na ciebie.

– Chciałaś powiedzieć, że ktoś musi porozmawiać z Teresą, zanim zrobi coś naprawdę głupiego. Ja wiem.

– Wiesz?

– Wiem. Kiedy siedzisz na wózku, gapiąc się przez okno, zauważasz sporo szczegółów.

Leokadia wyglądała, jakby jej ulżyło. Nawet spojrzała na Janusza z lekką sympatią, choć nigdy za nim nie przepadała, a gdy wyszła na jaw historia Marysi, niechęć przerodziła się w jawnie okazywaną pogardę.

– Początkowo myślałam, że mi się wydaje. Nawet gdy nabrałam pewności, nie chciałam rzucać podejrzeń. To było takie niewiarygodne. Mówiłam do siebie: „Jesteś stara, coś przeoczyłaś, to nie może być prawda”. Ale skoro tak, musimy pomóc Teresie. Ja posiedzę z Janinką, a ty idź do niej, porozmawiaj.

– Teraz? – zdziwił się Janusz.

– Wystarczająco już zwlekaliśmy. Ta kobieta naprawdę jest zdesperowana, a z desperacji ludzie robią bardzo, bardzo głupie rzeczy.

W domu Leokadii Teresa czuła się dziwnie. Zresztą nie tylko ona, bo nie wyglądało na to, by Wandę i Marię cieszył fakt, że tu mieszkają. O ile w pierwszym wypadku to nie dziwiło, jako że Zdunkowskiej nigdy nic nie mogło ucieszyć, o tyle w drugim, jeśli idzie o Marysię, było zastanawiające. Wszak to jej dom rodzinny. A Leokadia, choć bywała wredna, nie była ani złą matką, ani złym człowiekiem. Starła się, by goście dobrze się u niej czuli. Teresa z uśmiechem przyjmowała drobne przejawy troski, nie sprawiły one jednak, że przestała się czuć obco i nie na miejscu. A w chwilach takich jak ta, gdy nikogo nie było, bo Leokadia poszła do szpitala, a Maria z Wandą wybrały się na zakupy, Teresa czuła się wyjątkowo źle, potrzeba powrotu do własnego domu zaś doskwierała jej wyjątkowo silnie.

Gdy odezwał się dzwonek u drzwi, przez chwilę zastanawiała się, czy powinna otworzyć. Oczywiście, że powinna, przecież to może być listonoszka.

Gościa, który stał na progu, zupełnie się nie spodziewała. Zmieszana zaczęła tłumaczyć, że Marysi nie ma, ale powinna niedługo wrócić.

– Przyszedłem do ciebie – wyjaśnił Janusz i nie czekając na zaproszenie, wszedł do domu.

– Napijesz się czegoś? – zapytała, by czymś wypełnić ciszę, która zapadła, gdy stanął na środku salonu. To, że nie znała celu jego wizyty, wprawiało ją w zdenerwowanie. Nie tylko ją. Po Januszu widać było, że szuka właściwych słów.

– Słuchaj... Rozmawiałem ze znajomym. Wiem o stanie Zbyszka.

Teresa poczuła, że musi usiąść. Najbliżej stał fotel.

– Powinnaś do niego pojechać, porozmawiać. Powinnaś też pójść do Tadeusza. To dobry moment, żeby poszukać nowych możliwości, by wyciągnąć twojego męża z więzienia.

– Tadeusz nie zajmuje się już tą sprawą.

– Wiem, ale wciąż najwięcej o niej wie. Poza tym przydałoby mu się jakieś zajęcie. Nie może ciągle myśleć o synu.

Milczała przez chwilę, udając, że się zastanawia nad jego słowami.

– Nie, nie chcę, żeby Tadeusz się tym zajmował – oświadczyła zdecydowanie.

Janusz podszedł do niej, przykucnął tak, by ich oczy były na tej samej wysokości, i położył na jej dłoni swoją. Teresa ze zdziwieniem zauważyła, że wciąż nosił obrączkę.

– Nie decyduj od razu, dobrze? Będziemy posuwać się do przodu małymi krokami. Najpierw pojedziemy do Zbyszka, a potem zastanowimy się, co dalej.

Czuła, że on oczekuje jakiejś reakcji, ale nie była zdolna nic powiedzieć. Zinterpretował jej milczenie jako zgodę.

– Przygotuj się, poczekam przy samochodzie – powiedział, prostując się z pewnym wysiłkiem.

– Teraz chcesz jechać?

– Nie ma na co czekać. Zresztą wolałbym załatwić to jak najszybciej, żeby wrócić do Marty.

Tym argumentem uniemożliwił jej dalsze prowadzenie dyskusji.

– Będę gotowa za dziesięć minut.

Stał przed domem, oparty o samochód. Rozmawiał z Marią i Wandą. Teresa usłyszała pytanie Jezierskiej: „Może wpadniesz do nas wieczorem”, i ze zdziwieniem stwierdziła, że odmowna odpowiedź Janusza ją ucieszyła. Za to Maria nie kryła rozczarowania.

Ten grymas na twarzy przyjaciółki niespodziewanie przypomniał się Teresie, gdy już wracali ze szpitala. Poprawiała pas, który ją uwierał, i wtedy pomyślała, że to życie ją uwiera. Spojrzała na Janusza, który milczał, skupiony na prowadzeniu samochodu, i zastanawiała się chwilę, czy on czuje podobnie. Ustabilizowane życie, które do niedawna wiodło każde z nich, dosłownie z dnia na dzień się skończyło. Nadeszły zmiany. W pewnym wieku człowiek źle na nie reaguje, brak mu elastyczności. Próbowwała to wyjaśnić Zbyszkowi, ale nie zrozumiał. Może nie chciał.

Odtworzyła w myślach przebieg wizyty. Obecność Janusza wszystko ułatwiła, za co Teresa była mu ogromnie wdzięczna, choć dotąd tego nie okazała. Nie musiała nikogo o nic pytać, nikomu się

przedstawić, po prostu szła za Krupskim przez szpitalny korytarz, aż w końcu stanęła przed salą, w której leżał jej mąż.

– Gdybyś czegoś potrzebowała, daj znać – powiedział.

Kilka metrów od nich stało samotne krzesło. Janusz wskazał je wzrokiem, dając znak, że będzie tam czekał.

Zapukała nieśmiało, ale weszła, nim ze środka zabrzmiało „proszę”. Sala szpitalna w niczym nie różniła się od tych, które Teresa widziała wcześniej.

Zbyszek, leżący na łóżku pod oknem, w niczym nie przypominał jej męża. Postarzał się o dobre dziesięć lat, zmizerniał, zgubił ten okrągły brzusek, który z czułością poklepywała, odmawiając mu kolejnego kieliszka wina. Włosy były jego ozdobą dawno temu i przez bardzo krótki czas. Blond grzywka zawadiacko spadała mu na oczy, a gdy ją odrzucał, serce jej miękło jak wosk. Potem pojawiły się zakola, włosy mocno się przerzedziły, dlatego strzygł je dość krótko. Nie tak krótko, jak teraz. Wyglądał, jakby był łysy, i dopiero gdy usiadła na brzegu łóżka, dostrzegła delikatny puch porastający skórę czaszki. W zestawieniu z nim zarost na twarzy potęgował wrażenie zaniedbania. Jakby Zbyszek od dawna się golił, jakby o sobie nie dbał, a przecież... Może jednak właśnie tak było, skąd mogła wiedzieć, nie widziała go przecież od dawna.

– Dzień dobry – powiedziała jak do kogoś obcego.

– Tereniu, tak się cieszę, że jesteś. – W jego głosie usłyszała tyle czułości. Nagle ucieszyła się, że tu jest, nawet poczuła żal, że wcześniej go nie odwiedzała.

– Co mówi lekarz? – zapytała.

– Och, to nic groźnego. Prowadzę niezdrowy tryb życia. Za mało ruchu – próbował żartować. – Co u ciebie?

– Dobrze.

– Czy powódź zniszczyła dom?

– Mieliśmy dwadzieścia centymetrów wody w garażu, więc ściany i podłoga nie wyglądają ładnie. I trzeba będzie wyrzucić wszystko, co tam stało, ale nie jest najgorzej.

– A ogród?

Teresa odwróciła głowę i zacisnęła powieki, by się nie rozpłakać.

– Wygląda na to, że w tym roku nie wygram.

– Tak mi przykro.

– Nie ma powodu. Nie jesteś odpowiedzialny za powódź. – Tylko za wszystko inne, dodała bezgłośnie.

Jakby usłyszał jej myśli, bo jego twarz posmutniała jeszcze bardziej. Milczeli, oboje zajęci tym, co chcieliby, a czego jednocześnie nie mogli powiedzieć.

– Nie spodziewałem się, że przyjedziesz. Dawno mnie nie odwiedzałaś.

Może to nie był wyrzut, ale Teresa tak to zrozumiała.

– Wiesz, moja sytuacja jest bardzo ciężka... – zawahała się. Czy powinna mówić o pieniądzach?

– Masz rację. Tobie jest ciężko, gdy tymczasem ja czuję się tu jak na wczasach.

Te słowa zerwały tamę, która do tej pory powstrzymywała cały żal przed wylaniem. Teresa powiedziała, że sam jest sobie winien. Wciągnął ją w sytuację, na którą się nie pisała. Mieli wszystko, ale jego nienasycenie było tak ogromne, że nie potrafił tego docenić. Została sama, całkiem sama, bez pieniędzy, bez nadziei na poprawę. A teraz, kiedy jest chory, ona zupełnie nie wyobraża sobie, co dalej. Nie myślał o niej, jak brał te pieniądze. Tymczasem ona myślała o nim, gdy trafił do więzienia, i walczyła dopóty, dopóki miała czym płacić za adwokatów. Teraz nie ma już nic. Powódź zniszczyła dom, co obniżyło jego wartość, nawet gdyby znalazł się kupiec, a to wątpliwe. Przez kilka najbliższych lat ludzie będą się bali mieszkać na Różanej, bo przecież nie wiadomo, czy taka sytuacja się nie powtórzy.

Podniósł dłoń, jakby chciał otrzeć łzy z policzka Teresy, więc się odsunęła.

– Przepraszam – powiedział. – Znajdę sposób, żeby wszystko naprawić.

– To niewykonalne.

Znowu zapadło milczenie, takie nieprzyjemne, ciężkie. I znów to Zbyszek je przerwał.

– Sama przyjechałaś?

– Janusz mnie przywiózł.

– To miłe z jego strony. Nie lubił mnie, wiedziałem o tym, choć nigdy tego nie okazał. Zawsze był bardzo w porządku. Zawołasz go, chciałbym... – widać było, że szuka pretekstu – ...chciałbym mu podziękować, że cię przywiózł.

Skinęła głową i wstała. Nie potrafiła pocałować go na pożegnanie, wziąć za rękę, spojrzeć mu w oczy. Odwróciła się, by odejść, ale jego głos ją zatrzymał.

– Myśl o mnie, co chcesz i jak chcesz. Rozumiem twoją złość. Tylko, proszę, pamiętaj, że nie chciałem cię skrzywdzić. Jesteś dla mnie zbyt ważna. Jesteś i zawsze byłaś najważniejsza.

„Kocham cię” – czekała na te słowa, lecz nie padły. Może i dobrze, bo co miałyby odpowiedzieć?

Teraz, siedząc w samochodzie i patrząc na drogę, pomyślała, że sama powinna była mu to powiedzieć. Nawet jeśli było to kłamstwo, należało się Zbyszkowi.

Krople wody spływające po plecach, czy może być coś przyjemniejszego? Tomek sięgnął po żel i wycisnął kolejną porcję na dłoń. Spienił i zaczął wcierać w skórę. Czuł się tak, jakby właśnie wrócił z obozu wędrownego. Natrysk bez żadnych ograniczeń był błogosławieństwem.

Wytał się pobieżnie, owinał ręcznik na biodrach, przetaił zaparowane lustro i sięgnął po golarkę. Czuł się wolny, bo nie był już odpowiedzialny za Adama.

Kilkanaście godzin wcześniej zjawiała się matka chłopca, Dorota Maciejewska. Z półsnu wyrwały Tomka kroki na korytarzu. W pierwszej chwili pomyślał, że to pani Zefiryra, która dzwoniła kilka razy, bo bardzo chciała przyjść do domu kultury. „Na pewno potrzebna jest pomoc, trzeba zabezpieczyć zbiory, może coś posprzątać” – upierała się, gdy Tomek zapewniał, że świetnie daje sobie radę. A gdy usłyszał odgłos kroków, przestraszył się. Pomyślał, że jak to wygląda – on sam ze śpiącym na materacu chłopcem, który wygląda jak naćpany, a w dodatku ma sine wybroczyny na szyi. I jeszcze ta mieszanka zapachów ich spoconych, brudnych ciał. Ktoś mógłby wyciągnąć niewłaściwe wnioski. Tomek żałował, że od razu nie zawiadomił policji. W końcu to nie była jego sprawa, argumenty, którymi racjonalizował swoje zachowanie, z perspektywy czasu wydawały się głupie.

Wyskoczył na korytarz, zamykając za sobą drzwi. Na widok obcej kobiety poczuł ulgę. Domyślił się, że to matka Adama. Chłopak był do niej podobny – takie same oczy, wyraz twarzy. Musiała być ładną kobietą, zanim przestała o siebie dbać.

– Adam naprawdę to zrobił? – zapytała, nawet się nie przedstawiając.

– Usiłował. – Tomek poczuł zimny pot na karku. Działo się tak, ilekroć przypominał sobie wiszące w powietrzu nogi chłopca.

– Chcę się z nim natychmiast zobaczyć.

Wskazał jej drzwi. Sam został na korytarzu. Słyszał pojedyncze słowa, jednak puszczał je mimo uszu. Nie był ciekaw, marzył o własnym łóżku. Chciał, by cała ta sytuacja stała się już epizodem z przeszłości.

Po chwili matka Adama wyszła na korytarz.

– Kiedy pan zadzwonił, pomyślałam, że to jakiś głupi żart, i byłam na pana wściekła. A teraz... Wydawało mi się, że znam syna, że Adam mówi mi o wszystkim i nigdy nie zrobiłby takiego głupstwa. A jednak zrobił. Jestem zła, smutna, załamana i oszołomiona. Rozumiem, że pan czuje się podobnie.

Przede wszystkim był zmęczony. Do chwili jej pojawienia się pilnował chłopaka. Bał się, że gówniarz znowu to zrobi, jak nikt nie będzie patrzył. Teraz obowiązek pilnowania go spadał na matkę. Tomek czuł,

jak uchodzi z niego napięcie, natychmiast zastępowane przez apatię i znużenie.

– Co pani zamierza?

– Chciałabym zabrać syna do domu.

– Jeśli chciałaby pani zawiadomić policję...

– Po co? Żeby ktoś w majestacie prawa powiedział mi, że jestem złą matką? Nie czuję się na siłach słuchać tego, o czym dobrze wiem.

Tomek bezradnie rozłożył ręce.

– Nie to miałem na myśli. Chodziło mi o to, że może pani robić, co chce. Zgłosić to albo nie. Wezwać psychologa, lekarza... Ja tego nie zrobiłem, uznałem, że nie mam prawa.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– I bardzo dobrze pan postąpił. Mam nadzieję, że cała ta sprawa na zawsze zostanie między nami.

– To nie jest coś, o czym chciałbym rozmawiać ze znajomymi.

– Pan nie rozumie...

Tomek podniósł rękę, przerywając kobiecie.

– Nie, to pani nie rozumie. To musi być wstrząs dowiedzieć się nagle, że syn chciał popełnić samobójstwo. Ale nie było tam pani, nie widziała pani jego twarzy, nie walczyła z nim samym o jego życie. Chyba zajmie mi trochę czasu uporanie się z tym, ale nawet wtedy nie będę chciał do tego wracać. A teraz proszę go zabrać, po prostu proszę go zabrać.

Odwrócił się i ruszył przed siebie korytarzem. Wszedł do toalety, usiadł na klapie od sedesu, nie zadając sobie trudu, by zamknąć drzwi. Czekał. Wyszedł dopiero wtedy, gdy uznał, że już ich nie ma. Sprzątnął obozowisko, wyrzucił śmieci, a potem pojechał do domu, gdzie rzucił się na łóżko i zapadł w mocny sen, potrzebny, by ukoić nerwy i zregenerować siły.

Teraz ścierał resztki piany z twarzy i myślał, że musi z kimś porozmawiać. Nie, nie o tym, co się stało w domu kultury. Musi porozmawiać w zwykły sposób, w jaki prowadzi się banalne pogawędki. To przywróci go do rzeczywistości. Upewni, że nic się nie zmieniło, życie toczy się dalej.

Numer Marty wybrał tylko dlatego, że nie miał do kogo zadzwonić. Gdy nie odebrała komórki, spróbował pod numer pani Marii Jezierskiej.

– Pan o niczym nie wie? – rzuciła w odpowiedzi na jego pytanie, czy może z nią rozmawiać.

– Coś się stało?

– Marta jest w szpitalu. Miała wypadek.

Tomek poczuł, jak drżą mu kolana.

Janina nie wysilała się, by udawać, że towarzystwo Leokadii sprawia jej radość. Z ulgą przyjęła odejście starszej pani. Nareszcie została sama, taka sytuacja najbardziej jej odpowiadała. Krupska mogła spokojnie myśleć o tym wszystkim, co się stało, o córce, o sobie. Dlaczego Marta skoczyła do wody? Czy gdyby tego nie zrobiła, Olgierd by przeżył? O, zapewne! Był najgorszym, co spotkało Martę, i Janina nie miała nadziei, że to się zmieni.

W tym momencie podniosła oczy i zobaczyła idącego korytarzem Tomka. Może się myliła, może to nadzieja właśnie się zbliża? Przecież Marta musi mieć kogoś, kto będzie nią się opiekował, odseparuje ją od byłego męża. Inaczej zawsze będzie narażać życie, by ratować Olgierda z opresji.

Odpowiedziała grzecznie na przywitanie Tomka i na pytanie, co się stało.

– Jak to, wskoczyła do wody? – nie rozumiał.

– Ratowała człowieka. Cała Marta.

– Kogo?

Człowieka, przecież powiedziała, że też on musi się dopytywać, jakby to miało znaczenie!

– Olgierda Jezierskiego.

– Swojego męża?

– Byłego męża – doprecyzowała. – Od dawna nic ich nie łączy. – Wyraz twarzy Tomka świadczył, że chłopak wątpi w te słowa. – Moja córka to wspaniała dziewczyna. Zrobiła to, by ratować człowieka. Nie miało dla niej znaczenia, kto to.

Janina sama chciała w to wierzyć. Myśl, że Marta skoczyła do wody właśnie dla Olgierda, wydawała jej się idiotyczna. Przecież Marta od niego odeszła, wróciła do Rubinia nie tylko dlatego, że tu był jej dom, lecz również chcąc być daleko od byłego męża. Bo nienawidziła go za wyrządzone krzywdy. Nie mogło być inaczej, po prostu nie mogło.

– Nie będę pana okłamywała. Nie rozumiem, dlaczego moja córka tak postąpiła. Może chciała coś udowodnić człowiekowi, który ostatnio bardzo ją zaniedbał.

Przez chwilę wydawało się, że Tomek nie rozumie tych słów. Szkoda, bo przytyk zdawał się bardzo celny.

– Mówi pani o mnie? – A jednak trafiło!

– Jak pan myśli?

– To nie ja zostawiłem Martę. To ona się ode mnie odwróciła, nawet nie podając przyczyny. Jednego dnia... – zarumienił się, zawstydzony tym, co chciał powiedzieć. – No w każdym razie byliśmy bardzo blisko i nagle Marta zerwała, nawet nie podając przyczyny.

– I uznał pan, że tak jest dobrze?

– Oczywiście, że nie – zachnął się. – Próbowałem z nią rozmawiać.

– Proszę mi wybaczyć, ale tylko słowo „próbowałem” jest wiarygodne. Bo nie rozmawiał pan z moją córką, nie stał pan pod naszym domem, nie prosił mnie, bym na nią wpłynęła. Powiedzmy sobie szczerze, nie zależało panu na niej.

– Bardzo mi zależało, ale to Marta mnie odtrąciła i nagle się odsunęła.

Janina uśmiechnęła się z przekąsem.

– Gdyby panu na niej zależało, byłby pan tam i powstrzymał ją przed zrobieniem tej głupoty. Tymczasem gdzie pan był?

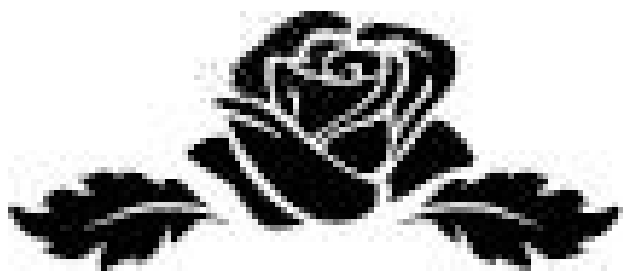
– W domu kultury. Zabezpieczałem zbiory.

Nuta bólu w jego głosie powiedziała Janinie, że należy przestać. Osiągnęła efekt, wzbudziła w Tomku wyrzuty sumienia. Ten chłopak zrobi wiele, żeby je uciszyć. A ona mu pomoże i gdy Martusia otworzy oczy, zobaczy przy łóżku kochającego mężczyznę.

– Marta będzie teraz potrzebowała wsparcia. Mam nadzieję, że możemy na pana liczyć.

Skinął głową.

– Ta sprawa między wami... Kiedy to już minie, porozmawiacie sobie spokojnie i wyjaśnicie wszystko.



## ROZDZIAŁ TRZECI

### Róża Pomponella

*Róża Pomponella jest ze wszech miar godna uwagi. Przede wszystkim jest to ładny krzak o ciemnozielonych, półmatowych liściach, który szybko się rozrasta, co trzeba wziąć pod uwagę, wybierając dla niej miejsce w ogrodzie. Ciemnoróżowe kwiaty mają kształt małych kuleczek o średnicy czterech centymetrów, zebrane w baldaszki zwykle po pięć lub siedem. Czasem, przy zbyt obfitym kwitnieniu, pędy opadają. Pomponella ma tak słaby zapach, że niektórzy zastanawiają się, czy w ogóle pachnie. I to jedyna wada tej baśniowej róży, zrekompensowana kwitnieniem od czerwca aż do mrozów, intensywnym wzrostem i odpornością na choroby.*

Janusz z pewnym ociąganiem podniósł głowę z poduszki. Nie wyspał się. Dawniej zarwanie nocy nie stanowiło problemu, a kilka godzin snu wystarczyło, by znów czuł się jak młody bóg. Jednak czas płynął nieubłaganie i Krupski powoli zaczynał zauważać symptomy zmian, które zachodziły w jego organizmie. Najgorzej było po wypadku. Wtedy był naprawdę starym człowiekiem. Potem nastąpił moment, gdy znów poczuł się młody i pełen werwy, ale teraz, gdy Marta leżała w szpitalu nieprzytomna, starość wróciła.

Ubrał się i szedł do kuchni, gdzie Tadeusz dopijał poranną kawę. Janusz mruknął „...bry”, na co tamten nieznacznie skinął głową, i wstawił wodę.

Janina proponowała, by wrócił do domu. Po tym, co się stało, czuła niechęć do wszystkich Jezierskich. Janusz, owszem, był wściekły na Olgierda i chętnie by łeb gnojowi rozwalił albo zrobił coś jeszcze gorszego. Ale jego gniew omijał Leokadię, Marię i Tadeusza. Więcej, w tym ostatnim Janusz odnajdywał bratnią duszę, ojca, podobnie jak on sam, martwiącego się o życie i zdrowie dziecka. Dzieci. Bo jest przecież kwestia owego tajemniczego zniknięcia Konrada. Chyba już lepiej widzieć swoje dziecko w szpitalu, niż w ogóle nie wiedzieć, co się z nim dzieje.

– Karolina chce dziś wrócić do domu – poinformował go Tadeusz, wstawiając kubek do pełnego zlewu. Janusz zrobił przeproszającą minę, wczoraj była jego kolej zmywania. – Uważam to za głupi pomysł, ale się uparła.

– Mogę w czymś pomóc?

Spojrzenie Tadeusza było pełne smutku.

– Znajdź mojego syna. – Był już w drzwiach, gdy dodał: – I pozmywaj.

Janusz uśmiechnął się do pleców przyjaciela. Odkręcił kran i wypowiedział wojnę zaschniętemu tłuszczeniowi. W domu nigdy tego nie robił, wyręczała go Janina, a czasem Marta. „W domu”, tak ciągle myślał, ale tego nie czuł. Dlatego odrzucił propozycję Janiny. Znacznie bardziej cenił towarzystwo Tadeusza.

Wylał ręce w pasiastą ścierkę i sięgnął po kubek z kawą. Rozpuszczalna, dobra rzecz. Wsypał do niej

dwie łyżeczki cukru i pomieszał. W tym momencie zadzwonił telefon. Janusz wyjął go z kieszeni i ze zdziwieniem spojrział na wyświetlacz. Mateusz?

– Cześć, tato! Jak leci? Zdrówko dopisuje?

Mateusz! Janusz poczuł, że natychmiast musi usiąść. Odsunął od stołu krzesło, na którym wcześniej siedział Tadeusz, opadł na nie ciężko.

– Tato, jesteś tam?

– Taa... Czy wszystko w porządku?

– Przestraszyłem cię? – Mateusz się roześmiał.

– Nie zwykłeś do mnie dzwonić i pytać o zdrowie. – Janusz przypomniał sobie ostatnią rozmowę, którą odbył z synem. Chłopiec miał wtedy dwanaście lat, dzwonił od Leokadii, bo Marty nie było, a on, Janusz, nie mógł się dostać do domu. Niedługo potem przestali rozmawiać nie tylko przez telefon, ale w ogóle. – W pierwszej chwili myślałem, że powiesz coś o raku.

Mateusz śmiał się w dalszym ciągu.

– Wybacz, staruszk, nie mam dla ciebie aż tak dobrych wieści.

Janusz zaklął, by okazać, jak bardzo nie bawi go ten dowcip.

– Sorki – rzucił syn, choć nie sprawiał wrażenia przejętego tym, że uraził ojca. – To też poważna sprawa. Musisz mi pomóc. W zasadzie to nie o mnie chodzi, ale musisz pomóc.

– W czym?

– To nie jest sprawa na telefon. Mógłbyś do mnie przyjechać? Ja wiem, że z Martą nie jest najlepiej, a do mnie kawał drogi, ale naprawdę cię potrzebuję.

Janusz skinął głową, zupełnie nieświadom, że tamten nie może go zobaczyć.

– Tato? – mocno ponagłające, a po chwili jego własny głos:

– Jasne, synu. Przyjadę.

Przez ostatnie dwanaście lat Mateusz nie przepuścił okazji, by mu dokuczyć. Kpinami, żartami i wiecznym sprzeciwem okazywał swoją ogromną nienawiść do niego. Janusz zaś całą rodzicielską uwagę skupił na Marcie, żeby okazać, jak bardzo ma to wszystko w dupie. Tak było łatwiej, poczucie winy tak nie dokuczało. W chwilach, gdy zdarzyło mu się spojrzeć chłopakowi w oczy i zobaczyć tam siebie takiego, jakim widział go Mateusz, czuł się naprawdę podle, poza tym dawał sobie radę z całym tym syfem w duszy. Kiedy syn wyjechał, było już całkiem dobrze.

Teraz zadzwonił, bo potrzebował Janusza. Wiedział, że ojciec kocha go jak nikogo na świecie i nigdy sobie nie wybaczy tego, co zrobił wiele lat temu... I choć Janusz bardzo nie chciał, wrócił myślami do tego majowego dnia.

Tak się złożyło, że zostali z Mateuszem sami. Marta już studiowała, Janina pojechała ze swoją klasą na wycieczkę do Krakowa. W takim męskim duecie zupełnie sobie nie radzili z gospodarstwem, ale raczej ich to bawiło, niż martwiło.

Rankiem tego fatalnego dnia okazało się, że nie ma pieczywa, i Janusz już miał po nie wyjść, gdy zadzwonił telefon.

– Zbieraj się, Janusz, podam ci adres – rzucił oficer dyżurny.

– Mam dziś wolne.

– Już nie. Wszyscy na pokład. Mamy morderstwo.

Słyszac to słowo, Janusz poczuł przypływ adrenaliny. W ich małym mieście zbrodnie nie zdarzały się często. I nikt z nich, teraz policjantów, nie narzekał. Jednak w tych rzadkich chwilach, gdy padały słowa „rozbój”, „kradzież”, „gwałt” czy „morderstwo”, czuli pewne podniecenie. Jak niczego na świecie pragnęli dopaść tego sukinsyna, sprawcę zbrodni.

W tym momencie w kuchni pojawił się Mateusz. Z wyrzutem spojrział na pusty chlebak.

– Mówiłem ci wczoraj, że trzeba kupić chleb.

– Zapomniałem. Słuchaj, muszę lecieć. – Janusz sięgnął po portfel i wyjął banknot



pięćdziesięci złotowy. Niech szlag trafi tę cholerną denominację, ciągle miał w głowie stare nominały i nie wiedział, czy daje chłopakowi zbyt dużo, czy zbyt mało. – Kup sobie coś na śniadanie i obiad. I kolację, bo ja prawdopodobnie nie wrócę na noc. Morderstwo – wyjaśnił i natychmiast pożałował, bo syn zrobił taką minę, jakby go to fizycznie zabolalo.

Wychodząc z domu, Janusz myślał o tym, jak różne są jego dzieci. Marta miała bzika na punkcie sportu i sprawności fizycznej. Biegała, pływała, jeździła na rowerze. Uwielbiała, gdy zabierał ją na strzelnicę. Owszem, lubiła czytać, ale poświęcała czas książkom tylko wtedy, gdy pogoda więziła ją w domu. Mateusz bał się huku wystrzałów, za cały sport wystarczał mu spacer nad rzekę. Zaszywał się tam, by całymi godzinami czytać. Wybierał lektury, zdaniem Janusza, zupełnie nieprzystające do wieku. Czytał powieści psychologiczne i eseje filozoficzne. Potem przy obiedzie tłumaczył, kim byli francuscy egzystencjaliści. Matkę to cieszyło, ojca nie. Uważał, że każdy chłopak od czasu do czasu powinien zachowywać się jak chłopak.

Zwłoki znaleziono po drugiej stronie miasta, za ogródkami działkowymi. Wiodła tam nierówna polna droga, na której samochód nieustannie podskakiwał. Janusz zostawił auto na poboczu i pieszo przeszedł ostatnie pięćdziesiąt metrów do miejsca, gdzie młody policjant, Rafał Zawisłak, próbował zapanować nad grupą ciekawskich. Janusz machnął mu legitymacją i przesunął się pod biało-czerwoną taśmą, którą uwiązano z jednej strony do siatki ogradzającej działki, a z drugiej do krzaka bzu, by oddzielić drogę od miejsca zbrodni. Był maj i bzy kwitły jak szalone, a obciążone kiśćmi kwiatów gałęzie gięły się ku ziemi. Pachniało upojnie i dlatego minęła chwila, nim w zapachu kwiatów Janusz rozpoznał inny – słodkawą, mdlącą woń rozkładu.

Podszedł do miejsca, gdzie technik policyjny błyskał fleszem. Pod krzakami leżało ciało dziewczyny. Przeżył szok – ofiara miała na sobie niebieską bluzkę, zupełnie taką samą, jaką nosiła Marta. Potrzebował chwili, by wyjaśnić sobie samemu, że to nie może być jego córka, bo przecież wczoraj z nią rozmawiał. Ta dziewczyna leżała tu co najmniej trzy dni.

– Tutejsza – zauważył Janusz.

Włodek Janas rzucił mu pytające spojrzenie.

– Moja córka ma taką bluzkę. Można je było kupić u starej Boguckiej, w tym sklepie przy rynku. Podobno z Anglii czy coś.

Marta raczej nie interesowała się modą, dlatego zapamiętał, gdy prosiła Janinę o pieniądze, bo koniecznie, koniecznie musiała mieć tę bluzkę, która jest świetna, modna, angielska i markowa, a co najistotniejsze, wszystkie dziewczyny już takie mają.

Janas zanotował to sobie w małym notesie, który zawsze nosił w kieszeni marynarki. W tym momencie technik odwrócił ciało. To jeszcze dziecko, pomyślał z bólem Janusz. Co za sukinsyn mógł zrobić coś takiego?

– Co już wiadomo?

– Najpierw ją zgwałcił, a później zamordował. Obie rzeczy ze szczególnym okrucieństwem.

Janusz chciał przestać patrzeć i jednocześnie nie mógł. To mogła być moja córka, myślał. To jest czyjaś córka... Znajdziemy skurwiela!

– Zawisłak to widział? – zapytał Janasa, a gdy tamten zaprzeczył, zawołał chłopaka. Patrzył, jak zmieniała się twarz młodego, słuchał, jak tamten wymiotuje w krzakach nieopodal. Wiedział, że to lekcja, którą każdy glina powinien odrobić jak najwcześniej. Zawsze „zachęcał” adeptów do zapoznawania się z miejscem zbrodni. Tym razem jednak zrobiło mu się głupio, bo gdy patrzył na reakcję chłopaka, czuł sadystyczną satysfakcję.

Pracował przy tej sprawie cały dzień, mając dziwne poczucie, że osobiście go dotyczy. Ciągle miał przed oczami uroczą twarzyczkę dziewczyny, zeszeconą przez cierpienie i śmierć. I jeszcze te wszystkie drobiazgi, które go dołowały. Pierścioneczek z błyszczącym oczkiem, rzemyk ze srebrnym medalikiem, mającym chronić od złego, różowy lakier na połamanych paznokciach i zielona frotka, przytrzymująca

włosy – te wszystkie elementy z dziewczęcego świata, które znał. Nie jest dobrze, gdy policjant osobiście angażuje się w śledztwo. Traci wtedy perspektywę i może nie dostrzec czegoś istotnego, bo pragnienie zemsty staje się silniejsze niż zdrowy rozsądek. Janusz dobrze o tym wiedział i dlatego kilka minut po czwartej oznajmił Janasowi, że musi iść do domu. Przełożony nie zadawał pytań, zrozumiał.

Zostawił samochód pod komendą i wracał do domu piechotą. Uznał, że spacer dobrze mu robi. Kiedy wszedł na Różaną, poczuł się jak w innym świecie. Otoczyła go cisza, spokój i morze kwiatów. Do zachodu słońca została jeszcze ponad godzina, ale niebo zaczynało się już złocić i czerwienić. Było tak pięknie, że tamta śmierć wręcz zabolala go fizycznie. Ta dziewczyna została pozbawiona możliwości, by cieszyć się światem. Tym światem, najlepszym, bo jedynym, który istniał. Janusz nie wierzył w Boga ani życie po życiu. To naprawdę wiele ułatwiało w zawodzie, jaki wybrał.

Drzwi do domu były otwarte. Pomyślał, że koniecznie trzeba uraczyć Mateusza pogadanką na temat bezpieczeństwa. Wszedł najpierw do kuchni. Na stole leżało tekturowe pudełko po pizzy. Na szafce stały dwie puste butelki po piwie. Oto kolejny temat rodzicielskiego wykładu: zgubny wpływ alkoholu na życie i zdrowie nieletnich. Trzeba jednak pamiętać, żeby nie wygadać się przed Janiną, w końcu to nic takiego, normalne wysoki dorastającego chłopaka.

Zlustrował kuchnię w poszukiwaniu innych dowodów zbrodni, ale nic już nie znalazł, więc ruszył do salonu, gdzie spodziewał się zastać syna.

Pierwsze, co tam zobaczył, to nagi tyłek. Męski tyłek. Jego właściciel ze spodniami spuszczoneymi do kostek stał na środku pokoju. Słyszac za sobą odgłos kroków, odwrócił się. Był to Konrad Jezierski.

– Kurwa! – zaklął i jedną ręką zakrywając genitalia, schylił się po portki, które pętały mu nogi.

Janusz miał teraz widok na cały salon i wstrząsnęło nim to, co zobaczył. Jego własny syn również był półnagi, a jego lekko wzniesiony penis zawadiacko przekrzywił się w prawą stronę.

Janusz chwycił Konrada za kark.

– Wypierdalaj stąd! – krzyknął i pchnął chłopaka w stronę kuchni, specjalnie tak, by tamten trafił w futrynę. – Nie chcę cię tu nigdy więcej widzieć, pedale!

– Tato, to nie tak... – zaoponował Mateusz.

– Nie tak? A jak? Dwóch facetów z gołymi kutasami to coś innego niż pedały? Masz na to inną nazwę? Geje? Tak lepiej?

– My tylko... tylko porównywaliśmy... – Przestraszony Mateusz zaczął płakać.

– Nie wychowywałem syna na sodomitę! Rozumiesz? Nie tak cię, kurwa, wychowałem.

Nie wiedział, jak to się stało, że jego ręka trafiła na klamrę paska i już po chwili pokój wypełniły odgłosy razów. Przestraszony Mateusz krzyknął z bólu, raz, drugi. A potem zagryzł zęby, by powstrzymać łzy i w milczeniu znosił ojcowską furję.

– Jeśli jeszcze raz cię z nim zobaczę...

– Nie zrobisz mi nic więcej ponad to, co zrobiłeś dzisiaj – odparł Mateusz nie swoim, poważnym głosem.

Janusz spojrział na syna i się przeraził. Nie tylko dlatego, że uderzenia paska znaczyły czerwonymi pręgami skórę chłopca. Najgorsze było to spojrzenie dorosłego człowieka.

Powinien był rzucić się na kolana i błagać syna, by mu przebaczył. Jednak zazwyczaj ciężko nam przyznać się do błędów. Wolimy w nie brnąć, ukrywać je, tuszować. Janusz wyszedł z domu, trzaskając drzwiami. Gdy Janina po powrocie zapytała, skąd te siniaki, powiedział, że Mateusz wdał się w bójkę. Syn potwierdził skinieniem głowy, patrząc na niego z ironią. Odtąd chłopak robił wszystko, by staremu dokuczyć. Tylko subtelnie i nigdy nie przekraczając granic.

Zabójcę dziewczyny aresztowano tydzień później. Janas pochwalił wkład Krupskiego w rozwiązanie tej sprawy. Sam Janusz nie potrafił się cieszyć.

Te wspomnienia, do których nie chciał wracać przez tyle lat, teraz wywołały tyle smutku, że nie mógł opanować łez. Spływały po policzkach i skapywały na stół, by wsiąknąć w obrus.

– Nie wiedziałem, że jeszcze jesteś. – To Tadeusz. Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zmienił zamiar. Janusz poczuł jego rękę na ramieniu. Trwali tak przez chwilę. – Marta wydobrzeje, zobaczysz – zapewnił go Jezierski, opacznie tłumacząc sobie powód smutku przyjaciela.

Nie ma nic piękniejszego niż ogród na początku lata. Sezon wegetacyjny jest w pełni i rośliny wprost prześcigają się w ilości kwiatów, które kolorem i zapachem wabią najróżniejsze owady. Szczególnie magnetycznie działa sadziec dęty, jeżówka purpurowa czy czyściec; powietrze nad nimi wibruje, wprawiane w ruch tysiącem małych skrzydełek.

Leokadia Jezierska stała przed swoim domem i z satysfakcją patrzyła na efekt, jaki przyniosła jej wspólna praca z Martą. Jak to dobrze, że woda tu nie dotarła. Nagle Leokadia poczuła, że musi sprawdzić, jak wygląda sytuacja w innych ogrodach. Co prawda miała zamiar zaraz po śniadaniu iść do szpitala, zmieniła jednak zdanie. Będzie tam potrzebna, dopiero gdy Marta się obudzi. Tymczasem może zająć się czymś pożyteczniejszym niż fałszywie uprzejme rozmowy z Janiną.

Woda zalała najniżej położoną część ulicy. Częściowo ucierpiał ogród Karoliny. Ucierpiał? Bądźmy szczerzy, nie było widać różnicy. Małe potwory, którym matka nie potrafiła założyć kagańców, czyniły większe spustoszenie niż woda. Gorzej było u Teresy. Cały ogród znalazł się pod wodą, a teraz, kiedy opadła... płakać się chciało. Biedna Teresa, tyle ostatnio na nią spadło, a zniszczony ogród to cios najboleśniejszy.

Najbardziej ucierpiały stojące nad wodą segmenty. Nie wzbogaci się na nich deweloper. Zanim zdążył je sprzedać, już musi odnawiać. Tylko Brzozowskich szkoda. Ta nowa żona Michała to bardzo fajna dziewczyna. Odważna i zdecydowana. Leokadia widziała w niej samą siebie sprzed lat.

Dom Wandy wyglądał jak człowiek, który nie może dojść do siebie po wypadku. Rozglądał się na wszystkie strony wybitymi szybami i nie mógł zrozumieć, co go spotkało. To jedyny wypadek, w którym powódź można było uznać za błogosławieństwo. Chaszczce, które otaczały budynek, należało wytrzebić dawno temu. Chaszczce, które wyrosły w duszy biednej Wandy, też należałoby powyrzywać. Marysia sobie z tym nie poradzi. Robi, biedactwo, co może, by pomóc przyjaciółce wyjść z nałogu, ale to znacznie przekracza jej możliwości. No cóż, ona, Leokadia, tym się nie zajmie, ma teraz inne sprawy na głowie. Trzeba pomóc dojść do porozumienia Marcie i Olgierdowi.

Zawróciła i wolno ruszyła w górę ulicy. Pomyślała, że to jakby droga z Hadesu ku Polom Elizejskim – ze strefy śmierci i zniszczenia do miejsca niesamowitego spokoju. Wtedy usłyszała głośną rozmowę, dobiegającą z jej domu. Spokój! Cztery kobiety pod jednym dachem to antonim spokoju. A przecież kiedy Marta wyjdzie ze szpitala, będzie potrzebowała ciszy. Leokadia nie miała wątpliwości, że dziewczyna z nią zamieszka. Byłoby cudownie, gdyby jakimś sposobem udało się tu ulokować również Olgierda. Niestety, nie ma już miejsca...

Ależ jest! Trzeba tylko pozbyć się z domu tych okropnych bab. Niech wracają do siebie. Stan zagrożenia minął. Teraz trzeba posprzątać.

– Marysiu, znajdź moje okulary i książkę telefoniczną – zakomenderowała, wchodząc do domu. – Musimy poszukać firmy, która zajmuje się wywózką śmieci.

Uśmiechnęła się szeroko do siedzących w salonie kobiet, które patrzyły na nią zdezorientowane.

– No, kochane, jest już po powodzi. Czas wziąć się do usuwania szkód.

Prawda była taka, że Agata nie chciała wracać do Rubinia. Gdy po latach wyparcia trauma z dzieciństwa dochodzi do głosu, trudno nad nią zapanować. Agata pamiętała powódź tysiąclecia, która w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym nawiedziła Dolny Śląsk. Pod koniec czerwca mama zawiozła ją do dziadków pod Wrocław, bo, jak sama to określała, miała urwanie głowy ze studentami.

Jeszcze wiele lat później Agatę budził sen, będący kompilacją wspomnień z nocy, którą spędziły wraz z babcią na dachu jej domu. Czekały na ewakuację, babcia martwiła się o dziadka, który poszedł na wał sprawdzić, „jak wygląda sprawa tej powodzi”, i nie wrócił. Oczywiście nie dawała po sobie poznać, jak bardzo czarne myśli przychodziły jej do głowy, i cały czas dodawała wnuczce otuchy, tłumacząc, że dziadkowi nic się nie stało, po prostu woda go od nich odcięła, ale gdy tylko przyleci po nie helikopter, a to już niedługo, spotkają się wszyscy, a potem Agatka będzie miała co w szkole opowiadać.

A ona wątpiła, czy dożyje pierwszego września. Nie martwiła się też o dziadka. Jej dziecięcą duszyczkę trapiło coś innego. Bała się, że została oszukana i Boga nie ma. Było bowiem jasne, że gdyby istniał, one nie siedziałyby na dachu domu, patrząc na przybierającą wodę. Może to nawet lepiej, myślała dziewczynka, ucieszona, że wizja, w której po śmierci miałyby nastąpić sąd, a Pan Bóg, marszcząc brwi zupełnie tak samo jak mama, wypominałby wszystkie nieszczerości, złe oceny i tego ślimaka, którego Agata z ciekawości wrzuciła do ognia, nigdy nie stanie się prawdą.

Świtało, kiedy wreszcie nadeszła pomoc. Żołnierze przyплыли pontonem i zabrali je do ośrodka dla powodzian, pełnego zmęczonych ludzi, owiniętych w koce, gdzie podawano niesmaczną herbatę – zbyt słabą i niedosłodzoną. I gdzie, ku szalonej radości babci, czekał przerażony dziadek.

Zmarznięta i przestraszona dziewczynka marzyła, by mama przyjechała, ale to musiało poczekać. Drogi były nieprzejezdne, bo odwołali pociągi. Chciała opowiedzieć mamie o kociakach z piwnicy babcinego domu. Słowem o nich nie wspomniała. Rok wcześniej też znalazła kociaki, a gdy powiedziała dziadkom o swoim odkryciu, maluchy zniknęły. Kotka przeniosła je w bezpieczne miejsce, wyjaśniła babcia. Agata wiedziała, że to kłamstwo i owo miejsce jest bezpieczne, bo po śmierci nikomu już nic nie grozi. W tym roku chciała ocalić kocięta, ale także jej się nie udało. Kotka pewnie też nie przeżyła, myślała dziewczynka, nie wiedząc, czy powinna się cieszyć, bo teraz wszyscy są w kocim niebie, czy martwić, że umarli.

Mama stanęła na wysokości zadania i zaprowadziła Agatę do miłej pani psycholog, która odpowiedziała na wszystkie nurtujące dziewczynkę pytania, te o kotach też, a potem zapewniła matkę, że to tylko strach, który z czasem minie.

Okazało się, że nie minął, tylko przycisnął się tak, że nawet Agata nie mogła go zauważyć. Milczał, gdy wylegiwała się na plaży czy spacerowała nad rzeką. Ale teraz się obudził i sprawił, że nie była w stanie myśleć racjonalnie. Najchętniej do końca życia siedziałyby w tym wynajętym pokoju.

Karolina, początkowo zdezorientowana, godziła się z jej decyzjami. W końcu się zbuntowała. Była zdecydowana wrócić do domu i stawić czoło rzeczywistości, bez względu na to, jaka jest. Chciała wiedzieć, co spotkało jej męża, i podjąć wszelkie możliwe działania. „Przecież woda już opada, no nie?” – mówiła do przyjaciółki. Co ty wiesz o wodzie, myślała Agata i miała nadzieję, że uda jej się odwlec powrót jeszcze o jeden dzień. Jednak kiedy również Julka oświadczyła, że chce do domu, nie było wyjścia. Agata pomyślała, że po prostu je odwiezie, a sama... no zobaczy. Jeśli uzna, że jest źle, natychmiast się ewakuuje, tym razem sama i naprawdę daleko.

Nerwowy nastrój udzielił się wszystkim, nawet królikowi. Freddy też nie chciał siedzieć spokojnie, podobnie jak synowie Karoliny. Agata w końcu się nauczyła, że starszy to Kuba, a ten drugi to Kacper, i teraz, prosząc przyjaciółkę, by uspokoiła swoje dziecko, mogła używać imienia. „Zapnij Kubie pasy. Powiedz Kacprowi, żeby się nie kręcił. Niech Kuba zabierze tego miśka, ogranicza mi widoczność” – wyrzucała z siebie co chwilę. Początkowo Karolina reagowała, w końcu zdała sobie sprawę, że Agata po prostu szuka ujścia dla swojej złości, więc siedziała w milczeniu, nie reagując. Znużeni chłopcy zasnęli, pozbawiając Agatę pretekstu do wymówek, i w samochodzie zapanowało milczenie. Przerwała je Julka, gdy wjechali do miasta.

– W telewizji wyglądało gorzej – zauważyła.

Agata prychnięciem wyraziła swoją pogardę dla myśli, że nie jest źle.

Zajechały na Różaną i zatrzymały się przed domem Karoliny. Dalej nie było sensu jechać.

– Chcesz iść, zobaczyć, jak to wygląda? – zapytała dziewczyna.

Agata zaprzeczyła ruchem głowy. Poleciała Julce, by pomogła Karolinie, a sama zadzwoniła do Michała. Który to już dzisiaj raz?

– Słucham. – Miękki, męski głos męża zaskoczył ją, bo dotychczas włączała się automatyczna sekretarka.

– Jesteśmy na Różanej. A gdzie ty jesteś?

– W szpitalu.

– Coś się stało? – zaniepokoiła się. Może dlatego nie odbierał.

– Wypisują Sylwię. To trochę trwa.

Uroczo! Ona martwi się o męża, a on tymczasem martwi się o inną kobietę. Mimo wszystko postanowiła być miła.

– Przyjechać do ciebie?

– Nie trzeba. Poczekaj na nas w domu, to znaczy u Sylwii. Chyba że Julka nie ma kluczy?

– Nie ma problemu. Poczekamy u Karoliny. – I rozłączyła się, uniemożliwiając tym samym Michałowi dalsze pogrążanie się. Z każdego faceta, choćby był nie wiadomo jak wspaniały, wcześniej czy później wylezie fiut.

Schowała telefon do kieszeni i podeszła do Karoliny. Jezierska jak kwoka otoczyła ramionami synów i klatkę z królikiem, nie wiedząc, co ma teraz ze sobą począć. Agata delikatnie pchnęła przyjaciółkę w stronę drzwi. Ta uśmiechnęła się, sięgnęła do torebki po klucz, powiedziała coś o herbacie i wtedy Kuba zapytał:

– A gdzie tata?

Karolinie oczy zaszczyły łzami i Agata już wiedziała, że tamta za chwilę się rozryczy i przerazi biedne dzieci.

– Jak to, gdzie tata? – zapytała nadmiernie głośno i nadmiernie radosnym tonem. – Była powódź, pamiętacie. I wszyscy z tej ulicy uciekli w bezpieczne miejsca. Wasz tata też. I wróci. Tylko trochę później. A teraz nie zawracajcie mamie głowy, bo czeka ją sporo sprzątanina. Widzicie, co ta niedobra powódź zrobiła z waszym pięknym ogrodem?

Dzieci, uspokojone, na tyle jeszcze małe, że ufały dorosłym, pobiegły do swojego pokoju. Pewnie bardziej tęsknią za zabawkami niż za ojcem, którego nigdy nie ma, pomyślała Agata. I otworzyła ramiona, by przytulić zapłakaną Karolinę.

– To moja wina. To, że Konradowi coś się stało, to moja wina.

– Głupstwa gadasz – pocieszała przyjaciółkę Agata, głaszcząc ją po głowie.

– Powinna być w domu. Pewnie zaczął nas szukać i zdarzył się jakiś wypadek. To moja wina. Trzeba było na niego czekać.

I bądź tu, człowieku, dobry, pomyślała Agata. Najdalej jutro to ja będę wszystkiemu winna, bo ją stąd zabrałam. Na przyszłość ratuję tylko swój tyłek. Swój i Freddy'ego.

To na pewno nie był dzień, który można by zaliczyć do udanych. O tym, co przyniosą następne, Agata bała się myśleć.

Maria stała przy zlewie i zmywała kubki po kawie. Cztery kobiety w domu oznaczały pełen zlew, nawet gdy była to tylko poranna kawa. Patrzyła na strumień wody ściekający po beżowej kamionce i rozmyślała. Jeszcze nigdy w całym swoim życiu nie była tak zagubiona. Czuła się tak, jakby ktoś porzucił ją na środku bezkresnego oceanu. Bez względu na to, jaki kierunek obierała, nie było szans, by dotarła do brzegu. Jeszcze kilkanaście dni temu wydawało jej się, że ogarnia życie. Ba! Można było nawet powiedzieć, że wszystko idzie we właściwym kierunku. Ziściło się jej marzenie o wydaniu wierszy. Poznała prawdę na temat ukochanego. Dowiedziała się, że gdy Janusz szedł do ołtarza z Janiną,

to nie miłość go tam wiodła, tylko szlachetność, poczucie odpowiedzialności za życie, które sprowadził na ten świat. Świadomość, że to ona, Maria, jest miłością jego życia, uskrzydlała. Maria, upojona szczęściem, pisała wiersz za wierszem i była szansa, że niedługo będzie miała materiał na kolejny tomik. Wymyśliła nawet tytuł „Miłość mnie uskrzydliła”, co brzmiało odpowiednio romantycznie. Czytelnicy, którzy nie szczędzili pochwał, wielokrotnie podkreślali, że w napięciu oczekują na kolejny zbiór jej poezji.

No i, co bardzo istotne, Maria czuła się potrzebna. Opieka nad Wandą nadawała jej życiu jakiś inny, praktyczny cel. Przyjemnie było myśleć o sobie, że z jednej strony jest uduchowioną poetką, spacerującą po ogrodzie Apollina, a z drugiej strony altruistką, która nie szczędzi sił, by pomagać potrzebującym.

Maria wróciła do tej chwili w czasie powodzi, gdy Janusz dał jej pierścioneł. Zachowała się jak trzeba, tak wtedy myślała. Za dzień, za dwa woda opadnie, wyznamy sobie z Januszem miłość, on złoży pozew rozwodowy i będziemy żyli długo i szczęśliwie. Niestety, jutro, na które czekała, nie nastąpiło. I gdyby chodziło tylko o to, że Janusz nie interesuje się nią, bo Marta jest nieprzytomna, nie byłoby problemu. Dzieci dla rodziców zawsze są ważniejsze od... od wszystkiego. Jednak wnikliwa obserwacja wykazała, że sprawa wygląda inaczej. Janusz nie tylko troszczył się o Martę, ale również o Janinę, o Tadeusza, a ostatnio i o Teresę, co bądźmy szczerzy, zabolalo Marię najbardziej. A gdy próbowała się czegoś dowiedzieć i zaczęła delikatnie wypytywać sąsiadkę o cel tajemniczej podróży, tamta odpowiedziała, że to sprawa osobista. Osobista! Maria czekała na Janusza całe życie i nic, co go dotyczyło, nie mogło być sprawą osobistą innej kobiety.

Miała w sobie tyle emocji, że po prostu musiała je z siebie wyrzucić. Odstawiła nieopłukany kubek na ociekacz, wytarła ręce w kuchenną ściereczkę, która zdecydowanie powinna już trafić do pralki, i pobiegła na górę do swojego pokoju. Zamknęła drzwi od wewnątrz, by zapewnić sobie maksimum prywatności, i wyciągnęła notes.

*Kochanków północ zastała w ogrodzie miłości,  
Szeptali sobie wzajemne wyznania.  
Miał ich ranek połączyć węzłem nieprzerwanym,  
Lecz świt przyniósł rozstanie.  
Była jego przyczyną straszna czarownica,  
Która ogród rozdzieliła nieprzebraną wodą.  
Dziewczkę łka i szuka swojego kochania,  
Ten w łodzi wiedźmy odnalazł ratunek.  
Wypił tam wino, magią przyprawione,  
Zapomniał o dziewczynie, przysiędze miłości.  
Patrzy teraz w paskudne wiedźmowe oblicze,  
A wzrok jego trucizną okrutną zamglony.  
I miast głowy gorgony widzi słodkie lico,  
Zamiast garbu dziewczęcy wdziek  
Widzi i powab.  
Nie ma dla ciebie, dziewczę, już żadnej nadziei  
Z odejściem kochanka do innej się pogódź...*

– Nigdy! – Maria uderzyła pięścią w stół i aż się wzdrygnęła, tak bardzo zdziwiła ją własna reakcja. – Nigdy – powtórzyła już spokojniej.

Czas czekania minął. Przez lata cierpliwie wypatrywała znaku ze strony Janusza, słuchała matki, była

cicha i pokorna. I gówno z tego miała! A wystarczyła odrobina działania z jej strony i wszystko się zmieniło. Spełniły się jej dwa najskrytsze marzenia. No, to drugie jeszcze nie do końca. Ponieważ jednak połowy dokonał, kto zaczął, Maria nie może teraz odpuścić. Będzie walczyć o siebie i Janusza.

Pojedzie do szpitala, stanie wraz z nim przy łóżku Marty. Niech Janusz wspiera Janinę, to nawet dobrze, bo ona, Maria, będzie wspierała jego. A gdy to wszystko się skończy, będzie wiedział, co i komu zawdzięcza.

W tym momencie zadzwoniła komórka. Zdziwiona spojrzała na wyświetlacz, numer zdecydowanie nie był znajomy. Po chwili wahania zdecydowała się odebrać.

– Dzień dobry, moja godność Teodor Marciniak. Czy ja mam przyjemność rozmawiać z panią Marią Jezierską?

– Aha – mruknęła wymijająco, czekając, co ma jej do powiedzenia „moja godność Teodor Marciniak”.

– Dzwonię do pani, bo w związku z nagrodą chciałbym zadać kilka pytań.

Telemarketing, uznała Maria. „Wygrała pani koc/kolczyki/perfumy, które można odebrać na spotkaniu, na którym kupi pani garnki/kołdrę/odkurzacz”. Słyszała to już ze sto razy.

– Przepraszam, nie mam czasu... – Zawahała się i to ją zgubiło, bo rozmówca wykorzystał moment.

– Zdaję sobie sprawę. Na wywiad umówimy się w dogodnym dla pani terminie i miejscu.

– Nie będę panu udzielała żadnego wywiadu.

– No to niepokieszony będę. Po raz pierwszy nagroda poetycka Purpurowego Erosa trafia do poetki z naszego rejonu i pani nie udzieli wywiadu mojej gazecie?

– Jaka nagroda? O czym pan mówi?

– Tomik pani poezji zajął pierwsze miejsce w dolnośląskim konkursie poezji. Moim zdaniem zasłużenie. Jestem wielkim fanem pani wierszy, przyznam się, że czytałem z wypiekami na twarzy.

Maria poprawiła telefon w spoczonej dłoni.

– Jestem zaskoczona. Nie wiedziałam.

– To wspaniale. To wprost cudownie, że ja pierwszy przynoszę pani tę wspaniałą nowinę. Laudację zwykle wysyłają pocztą wraz z zaproszeniem na uroczystość rozdania nagród. Gdyby coś, proszę mnie poinformować, wszystkim się zajmę. Jest pani pod moją szczególną opieką. I nie będę już czasu zajmował. Tylko jeszcze jedna sprawa – to kiedy ten wywiad?

– Może po niedzieli?

Odłożyła telefon na biurko, nie potrafiąc rozstrzygnąć, czy to uśmiech czy też żart losu. A potem spojrzała na wiersz i skreśliła dwie ostatnie linijki.

*Wtem dziewczęce wołanie wpół rozdziera ciszę.  
Choć słabe, silniejsze jest ponad wszelkie czary.  
Poznawszy wiedźmę, chłopak wrzuca ją w odmęty  
I gna ku ukochanej, by być z nią na zawsze.*

Takie zakończenie o wiele bardziej podobało się Marii. I sprawi, że w życiu sprawy potoczą się tak samo.

Johnnie Walker, kadarka, porter, tokaj, śliwowica, żołądkowa, piwo jasne, ciemne, rum, cokolwiek, nawet czysty spirytus, byle się napić, upić, zasnąć, zapomnieć. Wanda marzyła, by się napić. Była tak wściekła, że aż nią telepało. Przeszukała wszystkie szafki w domu Jezierskich i nie znalazła ani kropli alkoholu. Czy oczekiwała od losu zbyt wiele? Nie. Ktoś, kto startuje w życiu z takiej pozycji jak ona, nie da się zwieść i oszukać. Nie wierzy w szczęście, miłość i inne bzdury, tylko trzyma się konkretów.

Pieniądże są konkretne i ciężka praca, by je zarobić, długo dawała jej satysfakcję. Gdy to wszystko się skończyło... Mogła się radośnie zapisać na śmierć, a zamiast tego postanowiła pomóc bliźniej. W efekcie wylądowała w domu starej Jezierskiej, która była tak okropną babą, że to, iż mieszkająca z nią Marysia, zamiast popaść w alkoholizm, pisała poezje, należy uznać za cud.

Kiedy zagroziła im powódź, w instynktownym odruchu uciekła z domu, by ratować życie. Mijały godziny, a ona coraz bardziej zdawała sobie sprawę, że nie ma sensu ratować czegoś, na czym zupełnie jej nie zależało. A przecież mogła się napić, zasnąć w fotelu i pozwolić, by woda załatwiła resztę. To nawet nie byłoby samobójstwo, tylko nieszczęśliwy wypadek. Może Marysia by po niej płakała, ale nikt więcej.

Teraz znalazła się w sytuacji, która nie przynosiła jej niczego poza napięciem nerwowym, a z tym Wanda nie radziła sobie najlepiej. Jak z całą masą innych spraw, gdy wyruszyła w życie nieprzygotowana i poraniona.

Nie powinna o tym myśleć i nie powinna wracać do miejsca, gdzie to wszystko się wydarzyło. Nie powinna była pozwolić sobie wmówić, że jest taka jak matka, że ponosi odpowiedzialność za jej wybory. W końcu mama nie zrobiła nic złego. Świat pełen jest facetów chętnych, by przespać się z młodą, ładną dziewczyną. Być może gdyby wychowano ją inaczej, pokazano drugie oblicze ludzkiej natury, potrafiłaby się ustrzec błędu. A nawet jeśli nie, to co? Jak świat światem, rodziły się nieślubne dzieci. Dziś już nikogo to nie dziwi. Dojrzałe, mądre kobiety, świadome, czym może być małżeństwo, często z niego rezygnują i wybierają samotne macierzyństwo. Ale nawet pół wieku temu nie był to grzech tak wielki, by tak okrutnie ukarać za niego trzy kobiety. Babcia mówiła, że dziadek jest zasadniczy i ma trudny charakter. Nie powinna była szukać dla niego usprawiedliwień. Należało powiedzieć wprost, że jest popieprzonym sukinsynem, niezdolnym do odrobiny czułości. Żadna z nim nie wytrzymała, wszystkie uciekły. Mama i babcia na tamten świat. Wandzie początkowo wydawało się, że ucieczka do innego miasta załatwi sprawę. Ale nie można uciec przed tym, co w nas siedzi. Zabrała swoją traumę i niosła ją przez całe życie, coraz bardziej rozgoryczona i nieszczęśliwa. W końcu zrozumiała, że droga, którą poszły mama i babcia, jest właściwa. Wkroczyła więc na nią przekonana, że tylko tak uda jej się odnaleźć spokój.

No a chwilę potem zatrzymała się, by pomóc Marysi. Jak bardzo było to głupie, widziała dopiero teraz.

Co powinna zrobić?

Z zamyślenia wyrwała ją Leokadia.

– Rozmawiałam już z firmą, która postawi nam jutro kontener na śmieci z zalanych domów. Pomogą też w przenoszeniu ciężkich rzeczy. Dobrze by było jednak, żebyśmy już dziś sprzątnęły wszystkie drobne rupiecie, to jutro pójdzie szybciej. Więc zamiast szukać wódki, bierz rękawice, idziemy sprzątać u Teresy. Czas, żeby wszystko wróciło do normy.

– Myślisz, że to możliwe?

Leokadia się uśmiechnęła. Twarz miała starą, a oczy, które zachowały młody wygląd, zupełnie do niej nie pasowały, zwłaszcza gdy matka Marysi się uśmiechała.

– Życie nauczyło mnie, że wszystko jest możliwe. Ja wiem, o czym myślisz. Chciałabyś zniszczyć swój dom, tak jak zniszczyłaś życie, bo wydaje ci się, że to dobry sposób na wszystko, co stało się kiedyś. Tylko, widzisz, tak się składa, że od przeszłości nie ma ucieczki. Przeszłość nas określa. Dzięki niej jesteśmy, kim jesteśmy.

Wandę rozbawiła ironia zawarta w tych słowach. Jeszcze chwila, a Leokadia zacznie jej wmawiać, że powinna uznać dziadka za błogosławieństwo, bo dzięki niemu coś w życiu osiągnęła.

– Tylko wiesz, żeby nauka do czegoś się przydała, należy uruchomić myślenie, a nie użalać się nad sobą. Kiedy zmarł mój mąż, mogłam albo się rozkleić, albo być twardą kobietą. Wybrałam to drugie. Ty niczego nie wybrałaś, nie podjęłaś żadnych decyzji, tylko szukałaś miejsca, by użalać się nad sobą przy



kieliszku wódki. Oto twoje życie, moja droga.

Wanda zdała sobie sprawę, że wymierzyła Leokadii policzek, dopiero gdy poczuła, jak piecze ją dłoń. Chciała coś powiedzieć, przeprosić, ale głos uwiązł jej w gardle.

Starsza kobieta miała taki wyraz twarzy, jakby przed chwilą nic się nie stało.

– Jak widać, mam rację. A teraz bierz rękawice i do roboty.

I wyszła, zostawiając Wandę samą z marzeniem o kieliszku wódki.

Janina patrzyła na Janusza idącego ku niej szpitalnym korytarzem i myślała, jak skomplikowani są ludzie. Jednocześnie znała i nie znała człowieka, z którym przeżyła ponad trzydzieści lat i wychowała dwoje dzieci. Patrząc na niego w tej chwili, wiedziała, że mąż ma do zakomunikowania coś ważnego, a ponieważ obawiał się jej reakcji, szukał odpowiednich słów. Jednocześnie nic nie mogła powiedzieć o tym, co działo się w jego sercu.

Nadstawiała policzek, by Janusz mógł musnąć go ustami na przywitanie, i odpowiedziała na szereg pytań o stan Marty. Potem czekała, by mąż wyjawił to, co miał do powiedzenia.

– Dzwonił Mateusz – wyrzucił z siebie w końcu, a ona wiedziała, że to coś poważnego, i dlatego spytała, czy z synem wszystko w porządku.

– Nie wiem. To znaczy jest zdrowy. Chodzi o coś innego, ale nie chciał o tym rozmawiać przez telefon.

Zamilkł, więc Janina zasypała go mnóstwem pytań, na które nie potrafił odpowiedzieć.

– Będę wszystko wiedział, kiedy się z nim spotkam.

– Mateusz przyjeżdża?

– Nie, to ja do niego jadę.

Janina zaprotestowała. Jego miejsce jest teraz przy Marcie. Córka potrzebuje świadomości, że bliscy ją wspierają.

– Będziesz nas godnie reprezentować – odrzekł z ironią.

Janinie przebiegła przez głowę myśl, że właśnie owej cierpkiej ironii Janusza przez te wszystkie lata nie znosiła najbardziej. Nie miała jednak czasu, by głębiej się zastanawiać nad wadami męża, bo w tej chwili na końcu korytarza pojawiła się Maria. Energicznie stawiała te swoje drobne kroczyki i już była przy nich. Pocałowała niedawną przyjaciółkę w policzek, a potem podeszła do Janusza. Musiała stanąć na palcach i przytrzymać się jego ramienia, by dosięgnąć jego twarzy. Delikatne, prawie niedosłyszalne cmoknięcie było dla Janiny jak ukłucie nożem w serce. Zagryzła zęby, by nie okazać, jak ją to zabolowało.

– Masz rację, kochanie – zwróciła się do Janusza tonem, jaki kochająca żona przybiera w czasie rozmowy z mężem – musisz jechać.

– O co chodzi? – zapytała Maria, ale Janina udała, że nie słyszy.

– Idź, pożegnaj się z córką – poleciła mężowi. Janusz posłusznie poszedł do sali, w której leżała Marta.

– Wszystko w porządku? Dokąd jedzie Janusz? – dopytywała się Maria.

Janina przez chwilę rozważała, czy nie zbyć jej czymś w stylu „to nasze rodzinne sprawy”. Uznała jednak, że prawda może mieć większą siłę rażenia.

– Jedzie do naszego syna. Mateusz go potrzebuje, a wiesz, jakim Janusz jest wspaniałym ojcem, świata poza synem nie widzi, choć niektórym mogłoby się wydawać inaczej, bo bywał dla Mateusza oschły. Tylko że to było takie męskie wychowanie, żeby chłopak nie wyrósł na mięczaka. Czasem sama tego nie rozumiałam, ale teraz widzę, że takie postępowanie miało sens. I jest między nimi więź, bo do kogo Mateusz dzwoni z problemem? Właśnie do ojca.

Po minie Marii można było poznać, że nie spodobało jej się to, co usłyszała. Dobrze ci tak, jaszczurko, pomyślała Janina. Czas przyjaźni i przebaczenia się skończył, gdy woda zaczęła opadać. Trzy dni temu potrafiła wybaczyć przyjaciółce, że przez lata skrycie kochała się w Januszu. Dziś sprawy wyglądały

zupełnie inaczej. Przede wszystkim Janina czuła, że tamta zrobiła z niej idiotkę. Przez lata wypłakiwała się przed Marią, otwierała przed nią drzwi do własnego domu i serca. Zdradzała sekrety, nawet te najintymniejsze. A Marysia słuchała i kiwała głową. Pocieszała, buntowała, doradzała. Ale co tak naprawdę myślała? Czy miała nadzieję, że małżeństwo Krupskich się rozpadnie? Może delikatnie próbowała się do tego przyczynić? Janina dobrze wiedziała, że nigdy już nie zaufa tej kobiecie. Zwłaszcza że Jezierska w ewidentny sposób dybała na Janusza, którego w tej chwili Janina tak bardzo potrzebowała.

Zestawiła w myślach męża i Seweryna. Mężczyzna na czas wojny i mężczyzna na czas pokoju. Z ogromnym sentymentem wspomniała kochanka, którego nie widziała od ponad tygodnia. Był cudowny, taki zabawny i czuły. Przy nim czuła się piękna, mądra, a przede wszystkim najważniejsza na świecie. Za tym poczuciem własnej cudowności tęskniła najbardziej. Jednak Janina była nie tylko kobietą, lecz również, a może przede wszystkim, matką. Córką bardzo jej potrzebowała, a dziś okazało się, że syn również może jej potrzebować. W trudnych chwilach dzieci potrzebują świadomości, że między rodzicami dobrze się dzieje. Dlatego należy zapomnieć o Sewerynie, choć będzie to trudne i bolesne, i skupić się na budowaniu stabilnej relacji z Januszem. Maria może w tym przeszkodzić, ale ponieważ trzydzieści lat temu to na Janinę padł wybór, należy się spodziewać, że i tym razem tak będzie. Nie ma oczywiście szans, że uda się powtórzyć numer z ciążą, jest na to za stara, ale... Numer z ciążą? Przecież Marta może ich uczynić dziadkami. To by było cudowne. Nic tak nie łączy małżonków, jak wnuk. A w spojrzeniu Tomka widać, że darzy Martusię głębokim uczuciem i kiedy tylko ona wydobrzeje...

– Nad czym tak się zamyśliłaś? – To Maria.

– Wiesz, myślałam o tym, jak wspomniałbym ojcem i mężem jest Janusz, jak bardzo mi pomaga i wspiera. Nie wiem, co bym bez niego zrobiła.

Jej słowa pozostały bez komentarza.

W tym momencie na szpitalny korytarz wyszedł Janusz i Maria zapytała, czy może na chwilę zajrzeć do Marty. Janina łaskawie udzieliła zgody, a sama podeszła do męża i stanęła tak blisko, tak nieprzyzwoicie blisko, że cofnął się krok do tyłu. Udała, że tego nie zauważyła.

– Po drodze zadzwoń do mnie przynajmniej dwa razy, żebym się nie musiała o ciebie niepokoić. I natychmiast daj znać, co z naszym synem. O mnie się nie martw, dam sobie radę. Będę cię informować o wszystkim. – Przytuliła się do męża, a on jej nie odtrącił. Stali tak przez chwilę. Dosłownie kilka sekund, ale wystarczyło, by zobaczyła ich Maria.

Olgierd usiadł na szpitalnym łóżku i przez chwilę masował przedramię. Skóra pod plastrem przytrzymującym wenflon swędziała nieprzyjemnie, odczuwał też ból, gdy poruszał ręką. Był to ten rodzaj bólu, związany z uszkodzoną żyłą i obcym ciałem. Miał wrażenie, jakby stalowa igła co chwila zahaczała o wnętrze żyły. Nie mógł się doczekać, kiedy go wypiszą. Podczas porannego obchodu lekarz powiedział, że wypiszą go jutro albo pojutrze. Słowo „pojutrze” nie spodobało się Olgierdowi. Czuł, że nic mu nie jest, a siedzenie tu tylko potęgowało frustrację. Chciał wrócić do domu i na coś się przydać. Wesprzeć ojca, znaleźć brata, cokolwiek, co pozwoliłoby oderwać myśli od... Tak jak z gołębiami na rynku: spłoszysz je, odlecą, masz nadzieję, że na zawsze, ale one tylko zataczają w powietrzu krąg i wracają – tak było z myślami o Marcie. Uparcie wracały, każąc mu wciąż od nowa rozważać, jakie pobudki nią kierowały, gdy wskakiwała do wody. Może zrobiła to bezmyślnie, może z miłości? Znajdował argumenty na poparcie każdej z tych możliwości.

Prawda była taka, że tylko była żona znała odpowiedzi na nurtujące go pytania. Nie wiadomo jednak, czy zechce ich udzielić. Zastanawiał się, jak teraz będą wyglądały ich wzajemne relacje. A jeśli będą podobne do tych, jakie łączyły ich przed wypadkiem? Cyniczny uśmiech zagościł na ustach Olgierda. Powinien być zesobą szczerzy i przyznać, że dobre relacje łączyły ich dwoje bardzo dawno i bardzo

krótko. Potem wszystko się spierniczyło. Ale czy to znaczy, że na zawsze i nie da się tego naprawić? Przecież Marta zrobiła coś niewyobrażalnie heroicznego.

Może czas, żeby on, Olgierd, zrobił coś dobrego dla Marty? I gdy tylko zadał sobie to pytanie, dotarło do niego, jak bardzo pragnie ją zobaczyć.

Wstał, przez chwilę patrzył przez okno na zielony, ciepły letni wieczór. Słońce ani myślało, by iść spać, a jego jasne światło wlało w serce Olgierda szczerą nadzieję, że wszystkie błędy można naprawić.

Ruszył szpitalnym korytarzem na tyle żwawo, na ile pozwoliło obolałe ciało, do sali, gdzie leżała Marta. Szedł z uśmiechem, zadowolony z siebie, w jego głowie pojawiły się załączki myśli, które miały szansę rozwinąć się w plan.

Jego uśmiech zgasł na widok Cerbera. Gdyby spojrzenia mogły zabić, Olgierd dokonywałby właśnie żywota na szarym linoleum szpitalnego korytarza. Tak, w uczuciach byłej teściowej nic się nie zmieniło, nienawidziła go równie mocno, jak kiedyś. Ależ nie, nienawidziła go zdecydowanie mocniej.

– Czego chcesz? – zapytała chłodno.

Jeszcze jedno takie przywitanie i efekt cieplarniany już nam nie grozi, pomyślał Olgierd.

– Chciałem zobaczyć Martę – powiedział.

Myślał, że napotka opór, tymczasem teściowa gestem wskazała drzwi do sali i przesunęła się, by mógł wejść, nie musząc jej omijać.

W sali panował półmrok, okno było zasłonięte wertikalami. Ciszę wypełniało regularne posapywanie i popiskiwanie urządzeń monitorujących funkcje życiowe. Ta blada Marta, która leżała w płataninie rurek, w niczym nie przypominała dawnej siebie. Przetłuszczone włosy okleiły jej czaszkę, a pojedynczy kosmyk przykleił się do czoła i wyglądał jak rana. Po chwili Olgierd uświadomił sobie, że to była rana o różowych, lekko opuchniętych brzegach. Jedyne miejsce na twarzy, które wyglądało na żywe. Skóra, lekko poszarzała i sucha, przywodziła na myśl pergaminową stronicę starej księgi. Nic młodego, żywego, radosnego w niej nie było.

Ogarnął go niewyobrażalny smutek i wzruszenie. Łzy zakręciły mu się w oczach i jedna po drugiej zaczęły spływać po policzku. Ścierając je wierzchem dłoni, uświadomił sobie, że od kilku dni się nie golił. Marta lubiła jego zarost, a jednak, jakby wbrew niej, zawsze gładko się golił. I w tym momencie poczuł, że bez względu na wszystko musi uczynić ją szczęśliwą.

Zostałby dłużej, najchętniej zostałby na zawsze, ale świadomość irytacji, jaką jego obecność tutaj wzbudza w Janinie, kazała mu wyjść.

– Okropnie to wygląda, prawda? – zwróciła się do niego była teściowa, gdy z powrotem znalazł się na korytarzu. Olgierd skinął głową. – Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że to twoja wina?

Oczywiście!

– Posłuchaj... – zaczął i zamilkł. Przez lata nazywał Krupską „mama” i omal nie użył tego słowa teraz, na szczęście zdał sobie sprawę, że mogłaby mu za to oczy wydrapać. – Posłuchaj – powtórzył. – Nie chciałem, żeby Martę spotkało coś złego. Nie chciałem, żeby wskakiwała za mną do wody i jeśli pytasz, czy czuję się winny, odpowiedź brzmi: tak. I zrobiłbym wszystko, dosłownie wszystko, by do tego nie doszło.

– Nie obchodzi mnie to. – Janina pogardliwie wydeła usta. – Jesteś odpowiedzialny za całe zło, które spotkało Martę. Odebrałeś jej pasję, namówiłeś, by zmieniła kierunek studiów, dla ciebie zrezygnowała z marzeń. Rozwiodłeś się z nią, ale na tym nie koniec. Przyjechałeś za nią do Rubinia i znieważyłeś ją, romansując z Sylwią. A gdy wściekła kochanka wepchnęła cię do rzeki, pociągnąłeś moją córeczkę za sobą. Zdajesz sobie sprawę z tego, jak wiele mieliście szczęścia?

– To nie szczęściu zawdzięczamy życie, tylko determinacji Marty i...

Janina chciała mu przerwać, nie pozwolił.

– Ja to doceniam. Wiem, że nie układało się między nami najlepiej, ale zrobię wszystko, żeby to naprawić.

– Nie pozwolę na to.

– Nie mam zamiaru pytać cię o zdanie. Tylko od Marty będzie zależało, kogo z nas wybierze, ciebie czy mnie.

– Po moim trupie.

– Uważaj, Janino, czego sobie życzysz. Kocham Martę i będę o nią walczył.

Odszedł, nie dając jej szansy na ripostę. Może powinien był odejść chwilę wcześniej? Nerwy go poniosły, teraz czuł, że powiedział o kilka słów za dużo. Teściowa nigdy go nie lubiła, ale nie warto robić sobie z niej śmiertelnego wroga.

Nie powinien się nią przejmować. A może wprost przeciwnie? Może źródłem wszystkich problemów było to, że się nie przejmował Janiną? Trzeba to sobie przemyśleć, zanim Marta wyjdzie ze szpitala.

Przekraczając próg własnego domu, Teresa poczuła się dziwnie. Nie potrafiła sprecyzować owego dziwnego niepokoju, podobnego do tego, który ogarnia człowieka, gdy znajdzie się sam w cudzym domu, albo gdy po długiej nieobecności odwiedza miejsce, kiedyś dobrze mu znane.

A przecież to był jej dom. Znała go od początku, od dnia, gdy trzech robotników, ubranych w poszarzałe podkoszulki, zaczęło wylewać fundamenty. Pamiętała hurgot betoniarki i ciężkie młaińnięcia, gdy gęsta szara masa wpadała do dołów w ziemi. Odtworzyła w pamięci widok pnących się ku górze ścian. I moment, gdy wstawiono okna i pojęła, dlaczego nazywa się je oczami domu. Najzabawniejsze było meblowanie. W czasach, gdy sklepy świeciły pustkami, zdobycie ładnej ławy czy szafek kuchennych stanowiło wyzwanie. Na szczęście Zbyszek miał znajomego, a ten miał znajomego, który znał kogoś, kto miał dojścia. Cały Zbyszek, zawsze taki zaradny. Przywołała jego obraz z czasów, gdy powstawał ich dom. Opaloną twarz męża rozjaśniał promienny uśmiech zadowolenia z siebie. Lubiła, gdy tak się uśmiechał.

Poznała ich ze sobą wspólna koleżanka, Jadźka. Pracowała razem z Teresą i dobrze się dogadywały. Od niedawna była mężatką, a odkrycie uroków życia we dwoje sprawiło, że chciała swatać wszystkich. Z jej słów wynikało, że Zbyszek jest szalenie przystojny. Dlatego gdy w sobotnie popołudnie Teresa weszła do mieszkania Jadzi i zobaczyła chłopaka, nie potrafiła ukryć rozczarowania. Nie to, że był paskudny. Po prostu okazał się zwyczajny, a ona oczekiwała filmowej urody. Od razu zauważył jej zawód, co popsło mu humor. Na dodatek koleżanka zachowywała się jak etatowa swatka, wychwalając to jedno, to drugie. W końcu Teresa nie wytrzymała i zasłaniając się kłamliwą wymówką, oznajmiła, że musi już iść do domu. „Odprowadzę cię” – powiedział Zbyszek i ani słyszeć nie chciał, że nie trzeba, poradzi sobie, to blisko.

– Mogę ci się nie podobać, ale nie pozwolę, byś wracała sama po nocy – usłyszała od niego, gdy znaleźli się na ulicy.

Jego troska i jej wcześniejsze zachowanie sprawiły, że poczuła się zawstydzona. Postanowiła być uprzejma, nie chciała pozostać w jego pamięci jako nadąsana i rozkapryszona. Nie widzieli się później przez trzy tygodnie. Jadzia proponowała, by znów do niej wpadła, ale Teresa wciąż znajdowała wymówkę.

Ponownie spotkali się ze Zbyszkiem przypadkiem, na ulicy, w dzień tak paskudny, że było to wprost niewiarygodne, że wiatr i deszcz mogą przemienić świat w tak nieprzyjemne miejsce. Ulice były puste. Teresa musiała zostać dłużej w pracy i z trudem szła do domu, walcząc z wiatrem, usiłującym jej odebrać parasolkę, którą chciała się osłonić przed strugami deszczu.

– Teresa! – W głosie chłopaka było tyle radości, że udzieliła się i jej, a deszcz jakby nieco osłabł. – Przemokłaś – zatroszczył się. – Daj ten parasol.

Na niewiele się to zdało. Zanim doszli do kamienicy, w której wynajmowała kawalerkę, obydwójce byli przemoknięci do suchej nitki. Zaproszenie na gorącą herbatę nie było uprzejmością, tylko

koniecznością. Gdy kręciła się po mieszkaniu, a właściwie po jednym pokoju z wnęką kuchenną w korytarzyku, od czasu do czasu zerkała na Zbyszka. On patrzył na nią bez skrępowania, a jego spojrzenie wskazywało bez wątpliwości, że zaprzętała mu myśli przez ostatnie trzy tygodnie. To było miłe. Na tyle, by pozwoliła mu zaprosić się do kina, ale nie na tyle, by mógł zostać na noc.

Zdarzyło się to dopiero pół roku później, w niedzielne majowe popołudnie. Zbyszek zjawił się z kwiatami, oficjalnie sztywny, jakby był kimś obcym.

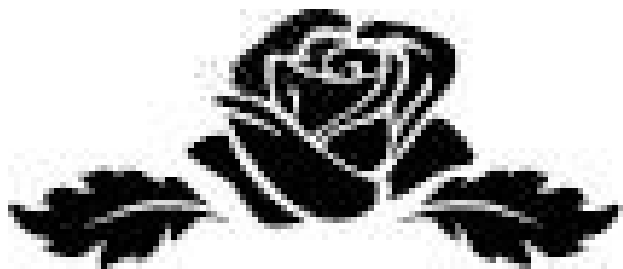
– Wyjdiesz za mnie? – zapytał, wręczając jej wiązkę gerber. Chciała powiedzieć, że tak, jednak zaskoczenie odebrało jej mowę. Opacznie zrozumiawszy to wahanie, Zbyszek zaczął ją przekonywać. On wie, że jej się nie podoba, ale robi wszystko, by była szczęśliwa. Zatrószczy się o Teresę jak nikt inny. Zapewni jej wszystko, czego ona pragnie.

– Tak. Oczywiście, że za ciebie wyjdę – powiedziała, trochę zła na siebie, bo teraz on będzie myślał, że zgodziła się nie z miłości, tylko z powodu jego obietnic.

Trzeba przyznać Zbyszkowi, że potrafił dotrzymać słowa. Teresie niczego nie brakowało. Przed wszystkim zaś nie brakowało jej miłości. Była słońcem planetarnego układu Zbyszka, ani na moment nie przestała być centrum.

Dlaczego się pogubili? Dlaczego jedno stało się dla drugiego przyczyną zguby? Trudno teraz odpowiedzieć, ale znajdą przyczynę w czasie długich szczerych rozmów i znajdą też sposób, by w przyszłości uniknąć zgubnych skutków niewłaściwych decyzji. Jak to mówią? Jutro jest zawsze świeże i wolne od błędów – właśnie tak. Czas, gdy ich małżeństwo tkwiło w mroku, minął, nadchodzi ranek, teraz wszystko naprawią.

Zamykając za sobą drzwi, Teresa z ufnością patrzyła w przyszłość. Jak to dobrze, że tu przyszła. To jej dom, jej i Zbyszka. Tu wspólnie spędzą resztę życia, znowu szczęśliwi. W końcu tylko miłość się liczy.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

### Róża Iceberg

*Róża Iceberg jest różą pnącą. Ma kwiaty białe z delikatnym kremowym nalotem, luźne, osiągające wielkość ośmiu centymetrów, pachnące słabo, ale bardzo przyjemnie. Ponieważ ta róża powtarza kwitnienie, możemy się cieszyć jej uroczymi kwiatami, których na pędzie jest czasem kilkanaście, aż do późnej jesieni. Ze względu na obfitość kwiatów, ich barwę i subtelny urok oraz towarzyszące im gęste liście Iceberg jest uważana za najpiękniejszą z białych odmian róż pnących. Wymaga jednak stabilnych podpór dla swoich cienkich, wijących się pędów, gęsto pokrytych twardymi, sztywnymi kolcami.*

Lato w ogrodzie to czas pracy nie tak ciężkiej fizycznie, jak zajęcia jesienne czy wiosenne, ale męczącej swoją nieustannością. Wystarczy, że ogrodnik zrobi sobie dzień, dwa odpoczynku, a jego lenistwo natychmiast zostaje ukarane. Zaczynają panoszyć się chwasty, rośliny więdną, bo brak im wody, a to, co jeszcze wczoraj było barwnym kwiatkiem, dziś jest paskudnym, suchym badylem.

Leokadia z irytacją złamała łodygę piwonii. Z nimi jest najgorzej; kwiaty – cudne pompony z różowych płatków o delikatnym różanym zapachu, szybko zmieniają się w zwiędłe kule, które od zawsze kojarzyły jej się z łonem starej kobiety. Dziś, gdy sama była stara, wiedziała już, że te dwie rzeczy w ogóle nie są podobne. Jedyne, co je łączy, to obrzydzenie, jakie w niej wzbudzały.

Nie, nie ma sensu zrywać ich ręcznie. Trzeba iść po sekator, bo nie tylko piwonie przekwitły, ale też róże i agapant. Pelargonie też wymagają uwagi; jeśli nie usunie się przekwitniętych kwiatostanów, zaczną tworzyć nasiona i ograniczą kwitnienie. A Leokadia niczego teraz tak nie potrzebowała, jak widoku pięknych kwiatów. Patrzenie na ich zniewalające piękno przynosiło jej ukojenie.

W tej chwili z pewną wdzięcznością pomyślała o Boskim Ogrodniku, który w swej niezmierzonej łaskawości postanowił zachować jej ogród niezniszczony. Może pomyślał, że wszystko, co się wydarzy, uderzy w tę kobietę, i uznawszy, iż to wystarczające nieszczęście jak na jedną staruszkę, zdecydował, że nie należy jej odbierać ostatniej radości, toteż zatrzymał wody, nim dotarły do tego miejsca.

Odłożyła sekator, zebrała ścięte kwiaty i liście, by rzucić je na kompost. Trzeba skrupulatnie oddawać ziemi to, co się z niej zabiera, oto jeden z sekretów pięknego ogrodu. Kwiaty są bezmyślne, egoistyczne. Czerpią z gleby to, co im potrzebne, nie zastanawiając się nawet, czym będą się żywić w kolejnym sezonie. Nie martwią się o przyszłe pokolenie, choć tworzą tysiące nasion. Podnoszą do słońca swoje urocze główki i szepczą: *Carpe diem*. Niestety, niektórzy ludzie zachowują się podobnie. Na szczęście Leokadia do nich nie należała. Los własnych dzieci bardzo ją obchodził, choć nie zawsze to okazywała. Cóż, powinna być ze sobą szczerą i przyznać, że „nie zawsze” oznacza „prawie nigdy”. Taka już była ta jej matczyna miłość – z wierzchu szorstka, czasem cyniczna, w głębi jednak szczerą i mocną.

Gdy patrzyła teraz na swoje dzieci, serce pękało jej z bólu.

Tadeuszowi synowie przysporzyli ostatnio więcej zmartwienia niż kiedykolwiek. Na szczęście Olgierd wyszedł już ze szpitala, ale za dobrze to on nie wyglądał. Na dodatek nie chciał zamieszkać ani z ojcem, ani nawet z nią. Uparł się, by wrócić do mieszkania nad kancelarią. Co się działo z Konradem, nie wiadomo. Leokadii przychodziły do głowy najgorsze scenariusze, a wiedziała, że Tadeusz myśli podobnie.

Marysia bardzo przeżywała to, że sprawy z Krupskim znów nie potoczyły się tak, jak sobie wymarzyła. Jej ukochany miał głowę zaprzątniętą własnymi dziećmi. Martwił się o Martę, która wciąż była w szpitalu. Potem musiał jechać do Mateusza. Nikt nie wiedział, po co ani dlaczego. Co prawda Janusz wrócił wczoraj wieczorem, ale jedyną osobą, z którą rozmawiał, była Janina. Siedzieli w kuchni prawie do pierwszej w nocy, a Marysia tkwiła na tarasie, wpatrzona w ich okno, póki światło nie zgasło. Pewnie płakała biedaczka.

W tym momencie przed bramą zatrzymał się elegancki, drogi samochód. Leokadia nie znała się na markach, ale tu nie trzeba było specjalisty. Grafitowa karoseria błyszczała, jakby auto właśnie zjechało z linii produkcyjnej. Jego właściciel musiał być zamożny. Mężczyzna, który wysiadł zza kierownicy, potwierdził przypuszczenia Jezierskiej. Tanie garnitury nigdy tak dobrze nie leżą. Pewnie znowu ktoś z telewizji, pomyślała i już miała wrócić do przerwanych zajęć, gdy usłyszała:

– Dzień dobry. – Powitanie zostało wypowiedziane nadspodziewanie grzecznym tonem. – Bardzo ładny ogród.

– Dziękuję – odrzekła bez entuzjazmu i przyglądała się przybyszowi zaintrygowana. – Pan do mnie? Błysnął w uśmiechu złotą piątką. Poprzedni ustrój nawet w stomatologii był okresem błędów i wypaczeń, pomyślała Leokadia.

– Moja godność Teodor Marciniak i szukam pani Marii Jezierskiej.

– Moja godność Leokadia Jezierska – nie mogła powstrzymać się od tej drobnej złośliwości. – Jestem mamą Marii. Czego pan chce od mojej córki?

Wyglądało na to, że gość nie zamierza kryć celu swojej wizyty, już prawie usta otwierał, by zaspokoić ciekawość Leokadii. Niestety, na ścieżce prowadzącej do furtki zastukały obcasy pantofli. To Maria, która prawie biegła do furtki z radosnym:

– Dzień dobry, panie Teodorze, jakże mi przykro, że musiał pan czekać. Mamo, to pan Teodor, panie... Ach! Już się poznaliście, to cudownie. Możemy jechać. Pa!

– Przejechało mi auto w białych kłębach benzyny, zafurkotał na wietrze trzepoczący się szal. – Leokadia zacytowała poetę, który pragnął spalić Paryż, a skończył w bezimiennej mogile pod Moskwą z sowiecką kulą w głowie.

Jak się nad tym głębiej zastanowić, to nie jemu jedynemu pisanie poezji nie przyniosło nic dobrego. Należy mieć nadzieję, że Marysia nie dołączy do tego smutnego grona.

Żeby tylko ta trzpiotka nie narobiła sobie kłopotów. Kim, do cholery, jest ten Marciniak?

W tym momencie dotarło do niej, że nie jest sama. Ogrodową ścieżką szedł ku niej Olgierd. Jego nagłe pojawienie się w chwili, gdy mówiła do siebie, zawstydziło Leokadię; poczuła się tak, jakby została przyłapana nago.

– Zobaczyłem, że jesteś w ogrodzie, i postanowiłem się przywitać.

– To miłe. – Choć zupełnie niepotrzebne, dodała w myślach. Chciała być sama.

– Wpadłem zobaczyć się z Michałem... – Nuta niepewności w głosie wnuka sprawiła, że Leokadia przyjrzała mu się uważniej. Błady był. I chyba postanowił oszczędzać na żyłkach. Ciemny zarost nadawał jego twarzy wyraz nieutulonego żalu.

– To prawda, że najłatwiej zastać go na Różanej, choć to dziwne, bo teraz ani tu mieszka, ani pracuje. Olgierd się skrzywił jak ktoś, kto nie lubi skrzywienia kredy po tablicy, a właśnie usłyszał taki dźwięk.

– Nie bardzo wiem, jak mam się zachować – wyznał.

– Są sytuacje, w których każde twoje zachowanie będzie złe. Co nie znaczy, że zamiast robić

cokolwiek, lepiej siedzieć samotnie i zapuszczać brodę. Michał musi zdecydować, czy jego miejsce jest przy Sylwii, czy przy Agacie. Ty zaś powinieneś się cieszyć, że nie masz takich dylematów. Twoje miejsce jest przy Marcie. Dlaczego nie siedzisz w szpitalu?

– Janina.

No tak.

– Czy nie sądzisz, mój drogi, że na zbyt wiele jej pozwalasz?

Czy nie sądzisz, że na zbyt wiele jej pozwalasz? – zapytała samą siebie. Janina Krupska wystarczająco namieszała w sercowych sprawach Jezierskich. Czas temu położyć kres.

Tomek siedział przy kuchennym stole w swoim mieszkaniu i udawał, że nie widzi zlewu wypełnionego brudnymi talerzami. Nie mógł się pozbierać. Ostatnie dni były dziwne, takie nierzeczywiste. Przywoływane w pamięci sprawiały wrażenie scen z dawno obejrzanego filmu, gdy już sami nie wiemy, co było prawdą, a co dziełem naszej wyobraźni, która uzupełniała dziury we wspomnieniach.

Na stole przed nim wciąż stały dwa kubki po herbacie. Pamiątka po wczorajszej wizycie. Tomek przyglądał im się, nie mogąc zdecydować, czy sprawa go dotyczy, czy jednak nie.

Kiedy poprzedniego wieczoru usłyszał dzwonek do drzwi, był pewien, że to jedna z tych troskliwych sąsiadek, które uważały, że samotny mężczyzna potrzebuje do szczęścia ich serników i makowców. Przestraszył się, zobaczywszy na progu matkę Maciejewskiego. Już widział policję, salę sądową, proces.

– Możemy porozmawiać? – zapytała, a on bez słowa wpuścił ją do mieszkania.

Nie miało sensu pytanie, jak go znalazła. Wprawdzie Rubiń nie był miastem, gdzie wszyscy się znali. Piętnaście tysięcy mieszkańców dawało przyjemne poczucie anonimowości. Z drugiej strony jednak to oczywiste, że gdy chce się kogoś znaleźć, wystarczy zapytać, bo zawsze trafi się ktoś, kto zna kogoś, kto zna tego, o kogo nam chodzi.

Zaprosił gościa do pokoju, zaproponował herbatę i ruszył do kuchni, by mieć chwilę na opanowanie rozbieganych myśli. Jednak kobieta ruszyła za nim. Nogi taboretu zaszurały o podłogę i Maciejewska usiadła, ciężko przy tym wzdychając.

– Chodzi o Adama, pan się chyba domyśla.

Nie. Nie myślał o chłopcu. Bał się, że rozmowa będzie dotyczyła jego, Tomka, udziału w całej sprawie. Słowa „konsekwencje” i „głupota” tłukły mu się po czaszce. W tym momencie woda zabulgotała w elektrycznym czajniku. Wlał ją do kubków i uświadomił sobie, że nie wrzucił saszetek. Patrzył, jak papierowe torebki nasiąkają wodą, i czekał w napięciu.

– Proszę usiąść – powiedziała tak, jakby to on był gościem. Posłusznie zajął miejsce naprzeciwko. – Nie wiem, co mam robić. Nie wiem, dlaczego wydawało mi się, że to będzie proste. Pójdziemy do psychologa, a on naprawi to wszystko, czego nie załatwią szczerze rozmowy. Tymczasem Adam nie chce rozmawiać, nie zgadza się na psychologa, widzę, jak jest zagubiony, i czuję się coraz bardziej bezradna.

– Przykro mi.

Kobieta w milczeniu wpatrywała się w ciemny napar. Jakby rozważała, czy może go bezpiecznie wypić.

– Tak sobie pomyślałam, czy mój syn powiedział panu, dlaczego to zrobił?

– Nie – bez zastanowienia odpowiedział Tomek. Zdziwił się, jak łatwo przyszło mu skłamać.

– Tak sobie myślę... gdybym знаła przyczynę, może łatwiej byłoby mi pomóc.

Tomek uznał, że czas powiedzieć coś mądrego, pocieszającego i uniwersalnego. Może „miłość matki to największa pomoc” albo „miłość cierpliwa jest”? Zanim zdążył sformułować w myśli odpowiednie zdanie, kobieta znów się odezwała:

– Czy mógłby pan się z nim spotkać?

W jej spojrzeniu było tyle niemego błagania, że się ugiął.



– Oczywiście – powiedział, natychmiast tego żałując.

Podziękowała mu wylewnie, zostawiła adres i wyszła. Nawet nie tknęła herbaty, a Tomek nie miał ochoty sprzątać. Był na siebie wściekły, bo nie powinien bardziej brnąć w tę sprawę.

Tak myślał wczoraj. Dziś widział to inaczej. Czuł, że sam potrzebuje owej rozmowy i odpowiedzi na pytania, które go nękały. Dlaczego młody człowiek robi coś tak głupiego z miłości do dziewczyny? I kim ona jest? Chciał też powiedzieć Adamowi, jak on, Tomek, się czuje. Jak bardzo ta sprawa nim wstrząsnęła, jak jest zły.

Spojrzał na kartkę z adresem, a potem na naczynia. Stoją od trzech dni, kilka godzin nie robi im różnicy. Złapał kluczyki od samochodu i wybiegł z mieszkania.

Maciejewscy mieszkali w jednej z odrestaurowanych kamienic niedaleko rynku. Tomek nacisnął dzwonek, a w mieszkaniu rozległo się bicie dzwonów. Nie najlepiej mu się to skojarzyło. Nie było reakcji i już podniósł rękę, by zapukać, nie chciał bowiem ponownie usłyszeć dzwonów, gdy usłyszał kroki za drzwiami. Otworzyła mu Maciejewska. Mrugnęła do niego, dając do zrozumienia, że są przyjaciółmi w spisku.

– Proszę wejść, zaraz zawołam syna. Adasiu, masz gościa! – krzyknęła w głąb mieszkania, co nie wywołało żadnej reakcji. Uśmiechnęła się przepaszająco i ruchem ręki zaprosiła Tomka, by za nią poszedł. Zapukała do pierwszych drzwi po lewej stronie i uchyliła je, nie czekając na odpowiedź. – Pan Tomek do ciebie.

Odsunęła się, by mógł wejść. Pokój, w którym się znalazł, był typowym pokojem nastolatka – na ścianach plakaty, na półkach gadzety, w powietrzu zapach przepoconych skarpet i burzy hormonalnej.

Pod ścianą, na czarno-białym worku sako siedział Adam. Półleżał właściwie, swoją pozą dając do zrozumienia światu, jak głęboko ma go w dupie. Świat jednak nie wydawał się tym przejmować i na tym głównie polegało nieszczęście młodego człowieka.

– Wpadłem pogadać – zaczął przyjaźnie Tomek. Chłopak odruchowo poprawił arafatkę, którą miał związaną wokół szyi. – Nie. Nie o tym. – Tomek rozejrzał się za czymś do siedzenia. Przysunął sobie krzesło, które stało przy biurku, i usiadł. – Właściwie o tym też. Ciągle śni mi się w nocy, że przychodzę zbyt późno...

– Możemy gdzieś pójść? – zapytał Adam.

Tomek skinął głową. Gdy wychodzili, delikatnie ścisnął dłoń matki chłopca, by dać znak, że wszystko jest w porządku.

Pojechali na wzgórze za miasto. Usiedli na trawie i długo w milczeniu kontemplowali panoramę. Tomkowi przyszło do głowy skojarzenie z malarstwem naiwnym, pełnym jasnych, wesołych barw. Odrestaurowane kamieniczki na rynku, bloki z nowymi elewacjami, skwery upstrzone kwiatami. W zestawieniu z tym dzielnica fabryczna i ulica Różana, kilka dni temu zalane wodą, wyglądały jeszcze żałośniej. Jak gdyby rozzłoszczony malarz chwycił szeroki pędzel, zanurzył go w burej farbie i maznął po płótnie, by je zamalować. Że chciał usunąć z obrazka dzielnicę fabryczną, to nic dziwnego, ale dlaczego przy okazji dostało się Różanej, która była najpiękniejszym zakątkiem miasta, tego nie wiadomo.

– Mówiłeś, że myślisz o tym, co by było, gdybyś nie zdążył... – Adam przerwał milczenie. – Też o tym myślę. Wolałbym, żebyś wtedy nie przyszedł.

– To się zmieni.

– Kiedy?

– Kiedyś. – Tomek wyobraził go sobie, jak delikatnie bierze w ramiona pulchne niemowlę. – W dalekiej przyszłości będzie taki moment, że pomyślisz o mnie z wdzięcznością.

– Matka się boi, że znowu to zrobię.

– A zrobisz? – Przecież i tak nie powie prawdy, pomyślał natychmiast. Mylił się. Po chwili wahania chłopak wyznał:

– Nie zrobię. Teraz brakowałoby mi odwagi. I to jest wkurwiające, bo... czuję się, jakby moja dusza

już była w piekle.

Tomka rozbawił młodzieńczy patetyczny ton, jednak nie dał tego po sobie poznać.

– Mnie też niedawno rzuciła dziewczyna – wyznał.

Adam o nic nie zapytał, ale ponieważ widać było, że się zainteresował, Tomek kontynuował opowieść.

– Była jedną z pierwszych osób, które poznałem po przyjeździe tutaj. Urocza, ładna, wysportowana i wesoła. Dobrze nam było razem, sprawy szły we właściwym kierunku i nagle, zupełnie bez powodu, zerwała. Czuję się jak pies wyrzucony z domu.

– Między nami sprawy nigdy nie szły we właściwym kierunku. Udawała, że jej zależy.

– Czasem mam wrażenie, że moja dziewczyna też udawała. Ale to nie zmienia faktu, że wciąż ją kocham.

Adam czuł podobnie. Tomek zauważył, jak ukradkiem wyciera oczy. Biedny dzieciak.

– I dlatego zamierzam spróbować jeszcze raz.

– Serio? – Chłopiec patrzył na niego zdziwiony.

– Skoro i tak cierpię, co mi szkodzi spróbować? Ludzie się zmieniają, ich sytuacja i emocje się zmieniają. Wiesz, ta moja dziewczyna jest w szpitalu, potrzebuje opieki. Może moja troska ją przekona?

– Moja ma innego.

– Istnieje podejrzenie, że ta moja też ma. Ale, jak już mówiłem, zamierzam spróbować.

– Ja sobie odpuszczę. Powie pan mamie, żeby się tak o mnie nie trzęsła?

Tomek wyciągnął do chłopca rękę.

– Możesz mi mówić po imieniu. Porozmawiam z twoją matką, wątpię jednak, by to od razu poskutkowało. Potrzebuje czasu. My wszyscy go potrzebujemy.

Te słowa sprawiły, że znów zapadło milczenie. Długo siedzieli zamyśleni, niby razem, a każdy osobno. Nie przeszkadzali sobie i może dlatego wstawali z ociąganiem, gdy Tomek uznał, że czas wracać.

Byli już prawie przy samochodzie, gdy zapytał Adama:

– Powiesz mi, kim jest ta dziewczyna?

– Julka Brzozowska.

Tomkowi wydawało się, że zna to nazwisko. Ależ tak! To ta, która z takim zaangażowaniem recytowała wiersz Marysi Jezierskiej. Wyglądała na niezłe ziółko. A może to poza? Poczuł, że musi z nią porozmawiać, że jest odpowiedzialny za Maciejewskiego i idące w złym kierunku sprawy między tą dwójką.

Tego ranka Janusz Krupski obudził się kilka minut po szóstej. Pijąc kawę, przeglądał pozostawioną na kuchennym stole starą gazetę. Gdy jego wzrok padł na informację o zaginionym podczas powodzi Konradzie Jezierskim, pomyślał, że nic na tym świecie nie jest takie, jak nam się wydaje. Dopił kawę i wstawił kubek do pustego zlewu. Umyłby go od razu, ale nie chciał obudzić Tadeusza. Nie był jeszcze gotów na szczerą rozmowę z tamtym. W zasadzie nie był gotów na żadną rozmowę z Jezierskim i cieszył się, że Mateusz chce to rozegrać po swojemu. Mateusz – Janusz zdał sobie sprawę, że przez wszystkie ostatnie lata nie myślał o chłopaku tyle, ile w ciągu ostatnich kilku dni.

Zamknął drzwi wejściowe ułamek sekundy po tym, gdy na piętrze skrzypnęła podłoga, bo Tadeusz wyszedł ze swojej sypialni. Każdego innego dnia Janusz zaczekałby na przyjaciela, by mogli pójść razem – jeden do swojej kancelarii, drugi do komendy. Ale dziś nie chciał wysłuchiwać żalów na opieszałość policji, która nie potrafi znaleźć Konrada. Niedługo poznasz prawdę, pomyślał, gdy szedł ścieżką prowadzącą od drzwi do furtki. Rosły wzdłuż niej krzewy białych róż, Janina pewnie wiedziałaby, jak się nazywają. Przekwitnięte kwiaty zwisały smętnie, zaschnięte płatki, niedawno takie śliczne, teraz, podobne do skrawków szarego papieru, opadały na ziemię. Dla Janusza ów brak troski o ogród był najlepszym dowodem na to, jak bardzo Tadeusz cierpi. Jak wróczę, pomyślał, powiem mu, że zajmimy

się tym razem. Trzeba zrobić tu porządek.

Komenda policji mieściła się w starym, ponemieckim budynku z początku dziewiętnastego wieku. To był czas największej bawełnianej prosperity, a za rozwojem przemysłu szedł wzrost zatrudnienia. Do miasta ściągano mnóstwo ludzi w poszukiwaniu pracy. Nie wszyscy szukali uczciwych zajęć, dlatego też władze miasta postanowiły zwiększyć środki bezpieczeństwa i w pierwszej kolejności zastąpiono stary budynek policji nowym, z większym aresztem. Solidne mury przetrwały dwie wojny. Po roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym pojawił się plan przeniesienia komendy Milicji Obywatelskiej do nowej siedziby, ale zanim doszło do jego realizacji, przysłała zmiana ustroju i redukcja etatów. Okazało się, że nawet taki budynek jest zbyt duży; większość pomieszczeń stała pusta.

– A ty co się tu pętasz? – życzliwie przywitał Janusza dyżurny. – Zwolnienie masz, wynoś się do domu.

– Wpuść, sprawa służbowa.

Brzęczyk cicho zaterkotał.

– Kiedy do nas wracasz?

– W poniedziałek.

Przechodząc przez kratę, Janusz zauważył ciepłe spojrzenie tamtego. Tęsknili za nim. Fajnie, bo jemu tego miejsca i tych ludzi brakowało jak cholera.

Mateusz Krupski obudził się kilka minut przed szóstą. Zamknął drzwi do sypialni, żeby nie zbudzić gościa, i wszedł do łazienki. Była ciasna, zarośnięta brudem charakterystycznym dla mieszkań przez lata wynajmowanych. Początkowo próbował coś z tym zrobić, w końcu dał za wygraną i się przyzwyczał. W końcu to nie było jego miejsce na ziemi, tylko rodzaj schowka, w którym przyczał się przez chwilę, zanim wyruszy w szeroki świat.

Zimna woda, spływająca po plecach, zmyła resztki snu i poranna kawa była raczej przyjemnym przyzwyczajeniem niż potrzebą. Pijąc, kartkował książkę, która od kilku dni leżała na kuchennym stole. *Upadek Camusa* stanowił dla Mateusza niewyczerpane źródło nowych przemyśleń. Miał plan przeczytać ją po raz kolejny, dlatego po powrocie z Rubinia zdjął książkę z półki i położył na stole. A potem nagle wydarzyło się tyle spraw i nie było mowy o spokojnej lekturze, choć na brak przemyśleń Mateusz nie mógł narzekać.

Przywołał wspomnienia dnia, kiedy wszystko się zaczęło. W środku nocy obudził go telefon. Odebrał przed czwartym dzwonkiem, prawie przytomny. Matka. Powiedziała, że woda zalewa miasto, ale nie ma powodu do obaw. Skoro nie ma, to dlaczego dzwoni i go budzi? Cynizm tego pytania nie trafił do Janiny, jak zwykle zresztą. Matka zbyt go kochała, by usłyszeć, co naprawdę mówił.

Tak. Jej miłość do syna była absolutna. Absurdalna, bo niezmienna od czasu, gdy był niemowlęciem, które, kiedy wsunęło się palec pomiędzy jego miniaturowe paluszki, ścisnęło kurczowo piąstkę. W tym momencie dziecko nie jest jeszcze sobą, tylko projekcją marzeń rodziców, i ma zrealizować to wszystko, na co im zabrakło odwagi.

Taki stan trwa do momentu, w którym dziecko ujawnia swoją osobowość. „Boję się wysokości” – mówi i ojciec już wie, że jego potomek nie będzie lotnikiem ani himalaistą. „Nudzi mnie to” – takie stwierdzenie w odpowiedzi na propozycję wspólnego rysowania sprawia, że matka traci nadzieję na wernisaż w Zachęcie. Większość rodziców szybko godzi się z porażką, zaczyna patrzeć na dziecko jak na byt niezależny i uczy się kochać je takim, jakie jest.

U Krupskich ten proces przebiegł inaczej. Matka uparła się, by nie dostrzegać faktu, że Mateusz skończył trzy lata. Ojciec poczuł się tak rozczarowany synem, że postanowił go nie kochać. Z chłodnym dystansem obserwował chłopca, jakby ten był kryminalistą, winnym popełnienia poważnego przestępstwa.

Mateusz, który miał matkę wspierającą go we wszystkim i ojca, który mu w niczym nie przeszkadzał,

mógł wybrać dowolną życiową ścieżkę. Co więc spowodowało, że wstąpił do policji? Sam się zastanawiał. Chęć zrobienia na złość staremu była zbyt słabą motywacją.

Skończył nocną rozmowę najszybciej, jak to było możliwe, i położył głowę na poduszce. Ledwo zasnął, znów odezwał się telefon. Matka. Z jej histerycznego bełkotu nie mógł nic zrozumieć, więc się rozłączył, słusznie rozumując, że jeśli zalewa ich woda, to nawet gdyby wyruszył natychmiast, dotrze na miejsce za kilka godzin i wtedy już na nic się nie przyda. Równie dobrze może się wyspać przed pracą. Gdy telefon znów zadzwonił, Mateusz poczuł się dziwnie, jakby oglądał film, który niespodziewanie się zapętla. Tym razem matka mówiła spokojnie. Znaleźli Martę. Mateusz wyraził swoją radość, choć nawet nie wiedział, że zaginęła. Przynależał matce, że nie będzie się zamartwiał, i szczerze zamierzał dotrzymać obietnicy.

Na posterunku poznał szczegóły dotyczące powodzi w Rubiniu. Ponieważ odbył kurs reagowania w sytuacjach kryzysowych, wiedział, że choć zniszczenia wyglądają gorzej niż w telewizji, to niebezpieczeństwo jest mniejsze i dotyczy jedynie osób lekceważących zagrożenie. Z głosu matki wynikało, że ona niczego nie lekceważy, można więc było uznać, że wszystko jest w porządku.

Po powrocie do domu miał nawet włączyć telewizor, by wysłuchać wiadomości, zmienił jednak zdanie i zajął się swoimi kaktusami. W rodzinnym domu kolekcja kolczastych roślin zdobiła kuchenne okno i sukulenty od zawsze fascynowały Mateusza. Był w piątej klasie, kiedy zaczął się nimi zajmować. To były trudne początki i niewiele roślin je przetrwało, umierały z braku wody albo z jej nadmiaru. W końcu przyszedł taki moment, że fascynacja stała się pasją. Pierwszą rzeczą, jaką wniósł do tego mieszkania, gdy je wynajął, była skrzynka z doniczkami.

Dzwonek do drzwi wyrwał Mateusza z zamyślenia. Zdziwił się, gdyż rzadko ktoś go odwiedzał. A kiedy otworzył drzwi, po prostu go замуrowało.

– Kidżej? Co ty tu robisz?

Jeziński nie odpowiedział. Przytulił się do Mateusza, tak jak dziecko tuli się do matki, i zaczął łkać.

– Może wejdziesz? – Krupski wciągnął przyjaciela do mieszkania i podholował go do kanapy, a tam delikatnie z siebie strząsnął. – Dam ci jakiejś wódki. Chcesz szluga? – Otworzył szufladę w poszukiwaniu papierosów.

Co prawda zapewniał właściciela, że nigdy w domu nie pali, ale któż z nas nie kłamie, a mieszkanie tak już przesiąkło smrodami kolejnych najemców, że zapach dymu papierosowego mógł mu jedynie pomóc, a nie zaszkodzić. Mateusz przez chwilę zastanawiał się, czy to nie jest właśnie ten specjalny moment, na który miał zachomikowanego jointa, uznał jednak, że nie. Wyjął z paczki dwa papierosy, włożył obydwa do ust, zapalił, po czym podał jednego Konradowi.

– Chcesz pogadać?

– Bardziej chcę się upić.

Mateusz skinął głową i poszedł do kuchni po szklanki.

– Nie powiesz nikomu, że tu jestem?

To była prośba i nie mógł odmówić przyjacielowi. Potem się upili. Konrad do nieprzytomności, a on na tyle, by nazajutrz zdołał pójść do roboty. To jeden z plusów pracy w policji – zjawiasz się w komisariacie nieogolony, śmierdzisz wódką jak gorzelnia, a nikt ci o to głowy nie zmyje. Gdyby Mateusz lubił pić, mógłby to docenić. Ale nie lubił.

Sytuacja „nie mów nikomu” nigdy nie jest prosta, a tu dochodziły jeszcze dodatkowe, niesprzyjające okoliczności. Konrad najpierw był poszukiwany jako ofiara powodzi. Szybko jednak zdano sobie sprawę z nieporozumienia, niemniej wciąż był na liście osób zaginionych. Być może nikt się nie zorientuje, czy samochód stoi pod blokiem Mateusza. Może jednak się zdarzyć, że wypatrzy go patrol straży miejskiej czy policji. Nie postawi to Krupskiego w dobrym świetle, a stwierdzenie, że Konrad, jako osoba pełnoletnia, może przebywać, gdzie chce, nie jest żadnym tłumaczeniem.

Dobrym sposobem, by się dowiedzieć, dlaczego ktoś uciekł z własnego życia, jest przesłuchanie.

Kłopot jednak w tym, że w obliczu problemu ludzie na ogół milkną. Co jest naturalne, nie lubimy bowiem źle o sobie myśleć ani tym bardziej mówić. Wybielamy się, jak możemy, kłamiemy i manipulujemy prawdą, taka już nasza ludzka natura. Jej znajomość ułatwia prowadzenie przesłuchania, które nie jest niczym innym niż nakłanianiem przesłuchiwanego, by mówił. Dobry przesłuchujący potrafi odkryć prawdę w kłamstwach, które usłyszy.

Mateusz otworzył lodówkę i wyjął dwie butelki piwa. Postawione na kuchennym blacie pokryły się warstewką wilgoci.

– Kidżej, strzelimy sobie browca? – Nie czekając na odpowiedź, złapał butelki, otwieracz i ruszył do sypialni, którą od przyjazdu okupował przyjaciel. Z uśmiechem podał Konradowi butelkę. Alkohol cudownie rozwiązuje język, szkoda, że nie można go stosować w pracy policyjnej. Mateusz wskazał na telewizor. – Mówili o Rubiniu?

– Nie. Koniec tematu. Teraz interesujemy się wyłącznie futbolem.

– A kto gra?

– A cholera wie. Nie rusza mnie to.

Fajnie, mnie również. Czy możemy teraz porozmawiać o tym, co cię rusza? – zapytał w myśli Mateusz, tak przy tym manipulując butelką, by się wydawało, że pije.

– Ciekawe, jak to wygląda po powodzi, co? – zagaił.

– Szczerze? Nic mnie to nie obchodzi.

Krupski przez chwilę zastanawiał się, co powinien powiedzieć. Postawił na prowokację.

– A ja chętnie bym zobaczył. Wiesz, nasza ulica zawsze taka wymuskana, a tu chlust! I już nie ma ogródeczków. – Roześmiał się, co wyszło trochę sztucznie, ale Konrad nie zauważył. – Szkoda, że woda nie pochłonęła mojego starego. A ty kogo byś utopił?

– Domańską – wyznał tamten. Ta nagła szczerzość zaskoczyła jego samego. Na moment otworzyły się drzwi jego duszy. Mateusz to dostrzegł i przytrzymał je, by przyjaciel nie zdążył na powrót ich zamknąć.

– Opowiedz mi, powiedz, co się stało. Przecież jestem twoim najlepszym przyjacielem – przekonywał „dobry glina”.

Zrobił to skutecznie, bo Konrad pękł, a to, co się z niego wylało, wprawiło Mateusza w osłupienie.

– Zrobiłem coś, za co mogę pójść do więzienia. Nawet jeśli udałoby mi się z tego wywinąć, jako prawnik jestem skończony. Jasne, można sobie znaleźć inne zajęcie, ale ja zawsze marzyłem o kancelarii. Co za ironia – ojciec chciał, żeby to Olek był spadkobiercą rodzinnych tradycji, tylko że mój brat się do tego nie palił, ja natomiast bardzo, jednak stary nawet mnie nie zauważał. Nie zrobiłbym tych wszystkich głupot, gdybym wiedział, że Olgierd rzuci kancelarię i straci ojcowską miłość. Nagle znalazłem się na szczycie listy, lecz było już za późno. A wszystko przez tę idiotkę.

– Domańską?

– Mówię o Karolinie. To jej wina. To przez nią zmarnowałem sobie życie.

Mateusz poczuł ten rodzaj satysfakcji, który odczuwamy, gdy możemy powiedzieć: „A nie mówiłem?”. Powstrzymał się jednak od wyartykułowania tego na głos, bo nie chciał, by opowieść została przerwana.

– Ty nigdy za nią nie przepadałeś, prawda?

Mateusz skinął głową, a zapytany o powód wzruszył ramionami.

– Powinienem być słuchać twojego rozsądku, a posłuchałem własnego kutasa. Taka jest prawda. Ja wtedy... teraz też... ale... – Konrad się zawahał. Widać było, że szuka odpowiednich słów, dzięki którym przemilczenie nabierze pozorów otwartości. – Byłem zakochany, jednak tamta wydawała się poza zasięgiem, a Karolina nie mogła się doczekać, żeby wskoczyć mi do łóżka. No i, idiota, pomyślałam: Dlaczego nie? Pewnie gdyby nam było źle... Masz jeszcze piwo? – Pociągnął długi łyk z nowej butelki. – Na początku Karolina była jak dynamit, dotykałem jej i bum! Oboje eksplodowaliśmy. Było kosmicznie! Debil! Uznałem, że tak będzie zawsze i dobry seks mi wystarczy. Kiedy zaczęła gadać o ślubie, pomyślałem, co mi zależy? Jest fajna, lubię ją, czas się ustatkować. Nawet do łba mi nie przyszło, że ona

już wszystko obmyśliła. Mówiąc „tak”, zgodziłem się na udział w jakichś durnych zawodach, każda rzecz na czas, wszystko według rozpiski. „Musimy się pieprzyć, bo zaraz, natychmiast chcę mieć dziecko. Teraz drugie. Wynoś się z sypialni, bo trójki nie było w planie. Dom muszę mieć na Różanej. Samochód. Żeby mi zazdrościły!” – piskliwie przedrzeźniał żonę. – A na wykonanie tego potrzebne były pieniądze. Zasuwałem od rana do wieczora, ale wciąż było mało. Moje życie było tak do dupy, że trudno w to uwierzyć. Wiesz, że poszedłem do Olka, żeby się z nim napić? Rozumiesz ironię? Było tak źle, że zrobiło mi się wszystko jedno, w którym towarzystwie się upiję.

Konrad zamilkł. Mateusz nie ponaglał, wiedział już, że przyjaciel powie wszystko, bo tak jak wcześniej pragnął ukryć prawdę, tak teraz potrzebował się wygadać, przedstawić tę bielszą wersję wydarzeń, w której on sam jest ofiarą złego świata.

– Pamiętam, że obudziły mnie hałasy. Syreny wyły. Myślałem, że to pożar, ale ktoś powiedział, że powódź na Różanej. Wsiadłem w samochód i pojechałem do domu, do chłopców. Nie było ich już. Moja żona zabrała dzieci i uciekła. Nie myślała o mnie. Wtedy uznałem, że może to i lepiej, że moje życie bez niej będzie łatwiejsze. No i przyjechałem tutaj.

Konrad był mocno zawiany, język mu się plątał, więc Mateusz, usatysfakcjonowany opowieścią, miał już odpuścić, gdy nagle zabręczał mu w głowie sygnał ostrzegawczy. „Instykt psa” – jak określiliby to Janusz Krupski.

– A co ma z tym wspólnego Domańska? – zapytał.

Przyjaciel spojrzał na niego zamglonym wzrokiem.

– Ale co Domańska?

– Mówiłeś, że chciałbyś, żeby się utopiła.

– No bo wtedy by się nie wydało.

Tamten z wolna tracił zdolność logicznego myślenia. Mateusz wiedział, że nie może już liczyć na sensowne odpowiedzi.

– Co by się nie wydało?

– Wyłu...wyłudzenie. Wszyscy mó...mówili, że Domańscy śpią na forsie. Myś...ślałem, że jak sku...bnę, nikt... nie zauważy. Ale to były plotki. – Popatrzył Mateuszowi w oczy. – Nie powiesz... sze tu jestem? Pomoże...esz mi?

– Jasne, że pomogę. Jestem twoim przyjacielem. – Klepnął Konrada w ramię. – A w kim to byłeś zakochany?

Pijacki rechot Jezierskiego był naprawdę paskudny.

– Tej jednej rzeczy nigdy ci nie... nie powiedziałem. Tylko tego jednego...

– Teraz mi powiesz?

– A co mi zale... eży. To była... to jest... – Imię zaszeleściło między jego wargami jak zeschnięty liść. Mateusz nie dosłyszał, poprosił, by Konrad powtórzył. Odpowiedziało mu milczenie, tamten zasnął.

Młody Krupski zebrał butelki i wyniósł do kuchni. Wstawiając je do kosza na szkło, zadał sobie dwa pytania. Na pierwsze – kim była miłość przyjaciela – znalazł odpowiedź bardzo szybko. Musiało chodzić o Martę. Zakochana w Olgierdzie znajdowała się poza zasięgiem jego młodszego brata. A to, że była siostrą Mateusza, stanowiło powód, by nie przyznawać się do tego uczucia.

Drugie pytanie było trudniejsze. Odpowiedzi nie znalazł od razu i długo zastanawiał się nad tą kwestią w drodze do pracy. Należało w jakiś sposób wyplątać Konrada z tej dziwnej sytuacji możliwie jak najmniej boleśnie. Krupski wiedział, że to zadanie go przerasta, i potrzebował kogoś, kto podejdzie do sprawy poważnie, ale z dystansem. Rozum podpowiadał mu, że najlepiej zadzwonić do ojca. Przez chwilę jednak coś się w Mateuszu buntowało. Nie lubił swojego starego i nie miało to nic wspólnego z tamtą sytuacją, gdy ojciec, złapawszy jego i Konrada na szczeniackich wygłupach, sprzął syna jak mokre żyto. Chodziło raczej o to, że stary Krupski nie miał poczucia humoru i na wszystko patrzył ze śmiertelną powagą. Dlatego lepiej dogadywał się z córką i nigdy nie rozumiał jego, Mateusza.

Tylko że w tej chwili nie chodziło o relacje ojca z synem. Chodziło o Konrada, a Mateusz dobrze wiedział, że dla przyjaciela jest w stanie zrobić wszystko. Dlatego wyjął telefon i zadzwonił.

Zdziwiło go, jak szybko doszli do porozumienia. Janusz miał odwołać poszukiwania i przygotować Tadeusza na powrót syna. Mateusz przekona Konrada, by wrócił i wyznał swoje winy. Już w Rubiniu wszyscy czterej zastanowią się, co dalej.

Rozmyślania nad owym „co dalej” przerwało brzęczenie zamka. Mateusz pchnął stalowe drzwi i wszedł na posterunek.

Agata uśmiechała się radośnie, promiennie, serdecznie. Szczęrzyła się miło i przyjaźnie. Kąciki jej ust wędrowały tak wysoko do góry, że aż łapały ją skurcze w policzkach, choć tak naprawdę była zła. Po prostu wściekła! Nie miała domu, nie miała ogrodu i czuła, że lada chwila nie będzie miała również męża. Temu, kto zapłodnił Sylwię, nawet przez myśl nie przeszło, jak wielką krzywdę wyrządzi przy okazji Agacie. Ponieważ Olgierd, uważany za sprawcę, nie poczuwał się do odpowiedzialności, Michał postanowił być tym szlachetnym.

– Ona nikogo nie ma – tłumaczył Agacie.

– To tak jak ja.

– Nieprawda, ty masz mnie.

– No to tak jak ona.

A biedny Freddy przenosił wzrok z jednego na drugie, przestraszony i zagubiony.

Mieszkali w biurze, bo dom wymagał kapitalnego remontu. Problem polegał na tym, że Michał nie miał czasu, by znaleźć ekipę, bo woził Sylwię na zakupy albo do lekarza, albo gdzie tam sobie zażyczyła. Agata nie była głupia, zdawała sobie sprawę z tego, co knuje pierwsza pani Brzozowska. Próbowwała to wytłumaczyć mężowi, ale ten nawet nie chciał słuchać i wmawiał jej, że jest zazdrosna.

– Mieliśmy z Sylwią swoją szansę i nie wypaliło – uspokajał Agatę, gładząc ją po włosach. – Ale teraz ona potrzebuje pomocy, a ja jestem ojcem Julki.

– Na razie jesteś ojcem jednego jej dziecka, za chwilę będziesz ojcem dwojga. – Trzaśnięciem drzwi dała do zrozumienia, że temat skończony.

Przestraszony Freddy pisnął i Agata zdała sobie sprawę, że nie wytrzyma dłużej tego napięcia. Złapała torebkę, smycz i zanim się zorientowała, co robi, parkowała przed blokiem rodziców na wrocławskich Krzykach.

– Więc teraz masz psa? – Trudno było orzec, czy matka chce być złośliwa, czy po prostu nie wie, co powiedzieć w sytuacji, gdy od dawna niewidziana córka wpada jak burza do jej mieszkania i zalewa się łzami.

– Może napijesz się herbaty? Pewnie jesteś zmęczona. Niedługo powinien przyjść ojciec. Nie chciałabym być nietaktowna, ale czy to zwierzę wie, że podnózek, który obgryza, pochodzi z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego roku?

– Freddy, zostaw! – Agata usiłowała odciągnąć psa. – Przepraszam.

– Nie szkodzi. I tak za nim nie przepadałam.

– Mówisz o podnóżku czy o moim mężu?

Matka się uśmiechnęła.

– Zaparzę herbatę. Czy jeśli dam psu kość, przestanie rujnować mi umeblowanie?

Chwilę później siedziały przy stole nakrytym koronkową serwetą, a filiżanki i łyżeczki pobrzękiwały subtelnie.

– To bardzo dobra herbata. Znajoma ojca była w Sri Lance i przywiozła nam w prezencie.

Drobiazgi. Małżeństwo córki się wali, a matka mówi o drobiazgach. Agata nie wytrzymała i powiedziała to na głos.

– Dramatyzujesz, moja droga, co uświadamia mi, że poniosłam wychowawczą porażkę.

– Chyba już wcześniej to sobie uświadomiłaś.

Matka upiła łyk herbaty, delektując się smakiem.

– Wcześniej?

– No wiesz, kiedy wyszłam za rozwodnika i zostałam utrzymanką.

– Nie, moja droga. Tamto postrzegałam i nadal postrzegam jako twoją porażkę. Wychowując cię, zawsze kładłam nacisk na utrzymanie odpowiedniego dystansu do otaczającego nas świata. Teraz widzę, że tego nie potrafisz, i czuję, że zawiodłam jako matka.

Serio? – zapytała w myśli Agata i parsknęła śmiechem. Przecież zawiodłaś jako matka na całej linii, od początku do końca. Tak bardzo, że boję się mieć własne dzieci, by niechcący nie powtórzyć patologicznego wzorca.

Matka, jakby świadoma zdania, jakie ma o niej córka, uśmiechnęła się poważnie.

– A jednak to do mnie przyjechałaś w trudnej chwili. Wiesz dlaczego?

– Bo jesteś moją matką i poza tobą nie mam nikogo?

– Nie. Wiesz dobrze, że potrafię zachować dystans, ty zaś się pogubiłaś i potrzebujesz mojego chłodnego osądu. Czy może się mylę? Jeszcze herbaty? Doskonała, prawda?

Agata skinęła głową i była to odpowiedź na wszystkie pytania. Potem, odstawivszy filiżankę, opowiedziała matce, o tyle spokojnie, o ile było to możliwe, o wszystkim, co się ostatnio wydarzyło w jej małżeństwie.

– Twoje podejrzenie, że Sylwia chce upolować Michała, jest jak najbardziej słuszne.

– Nie mogę jej na to pozwolić!

– Żyjemy w dziwnych czasach, gdy łatwiej znaleźć nowego partnera niż ładne mieszkanie, łatwiej się rozwieść, niż spłacić kredyt.

– Sugerujesz, że powinnam odejść od Michała?

– Sugeruję, że powinnaś przestać być głupia. Zlizowałaś lukier z tortu, którym jest małżeństwo, i okazało się, że to, co jest pod spodem, już tak dobrze nie smakuje.

Agacie z nikim nie rozmawiało się tak trudno, jak z matką. Jej porady, bo to, co usłyszała przed chwilą, niewątpliwie było dobrą radą, przypominały zagadki z bajek dla dzieci. Bez pomocy dobrej wróżki czy zaklętego rumaka nie sposób było zrozumieć, o co w nich chodzi.

W przedpokoju skrzypnęły drzwi i po chwili pojawił się ojciec, a za nim bardzo zadowolony z siebie Freddy.

– A ja się zastanawiałem, co tu robi pies. – Objął serdecznie córkę i mocno przytulił. – Wszystko w porządku?

– Zwykle małżeńskie sprawy. Wiesz, jak to jest, zanim ludzie się dotrą. – Matka podeszła do kredensu i wyjęła trzecią filiżankę. – Pogadałyśmy i już jej lepiej. Pijemy tę herbatę od Grażynki, bardzo smaczna.

Matka ma rację, pomyślała Agata, poniosło mnie. Michał właśnie dlatego odszedł od Sylwii, że to głupia świruska. On potrzebuje mnie i mojego spokoju.

– To ja się będę zbierać – powiedziała, odstawiając pustą filiżankę.

– Dokąd?

– Do domu.

– O nie, moja droga. Zostaniesz z nami kilka dni. Myślę, że Michałowi dobrze zrobi mała wycieczka w przeszłość, a ty nabierzesz dystansu, który pozwoli ci zyskać właściwy osąd.

– Jak pani się dziś czuje? – W głosie lekarza słychać było autentyczną troskę.

Ciekawe, czy dla wszystkich jest taki miły, czy tylko dla tych, którzy wracają z tamtej strony. Oczywiście, gdy się obudziła, została poinformowana, że nie było z nią tak źle, jak by mogło się



wydawać, ale Marta odczuwała to zupełnie inaczej. Te kilka dni, kiedy była nieprzytomna, nie przypominały zbyt długiego snu. Nie Morfeusz ją tulił, tylko Tanatos. Dlatego potrzebowała czasu, by znów poczuć, że jest żywa.

– Dobrze – skłamała.

Leki, którymi ją nasączono, nie pozwalały ciału kontaktować się z mózgiem i dlatego nie czuła bólu. Ale odczuwała go duchowo, natrętnie, niepokojąco. Czuła się zagubiona i dezorientowana, więc chciała być sama. Nawet obecność lekarza czy pielęgniarki jej przeszkadzała. Najbardziej jednak przeszkadzała jej matka, zbyt natarczywa, by spokojnie ją znosić. Marta kłamała, że chce jej się spać. Tak naprawdę czuła się jak wtedy, gdy układała puzzle z miliona kawałków – ten sam rodzaj irytacji i natrętna potrzeba, by już skończyć, gdy tymczasem nic nie pasuje i chciałoby się natychmiast poddać.

Lekarz się uśmiechnął i powiedział, że wszystko jest na dobrej drodze, zastosują jeszcze coś tam i on proponuje coś tam. Marta nie rozumiała, wiedziała jednak, że po takiej wypowiedzi lekarz zaraz wychodzi, więc już się cieszyła na czekającą ją samotność.

– Pani mama jest na korytarzu. Może wejść?

– Nie! – rzuciła zbyt gwałtownie, zbyt głośno. – Chciałabym się zdrzemnąć – dodała spokojniej, by usprawiedliwić swoją reakcję.

Lekarz popatrzył na nią badawczo, podszedł do łóżka i przysiadł na jego brzegu. Przypatrywała się drobnym zmarszczkom, otaczającym jego oczy i usta. Miał około pięćdziesięciu lat, lekko przerzedzone włosy były ciągle bardziej brązowe niż siwe. Łagodne oczy patrzyły na świat uważnie i przenikliwie. Marta odniosła wrażenie, że ten człowiek spogląda bezpośrednio w jej duszę.

– Euforia świadków naszego zmartwychwstania może irytować. Nie ma w tym nic złego. Rodzice cieszą się, że pani wraca do zdrowia. A pani jest zagubiona i to tylko pogłębia dyskomfort. Jak tu powiedzieć na głos, że się nie wie, czy chce się żyć?

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Skąd wiedział, co ona czuje?

– Kiedy trudno sobie poradzić z własnymi emocjami, cudze bywają nie do zniesienia. Stres, leki, to wszystko ma na panią ogromny wpływ. Na szczęście minie. Za kilka dni znów pani będzie sobą, wszystko się ułoży, uporządkuje. Powiem, że pani śpi.

Z wdzięcznością skinęła głową. Przymknęła nawet oczy, ale nie spała. Wdychała zapach szpitalnej pościeli, złożony z woni proszku, środków dezynfekcyjnych, gorącej wody i magła. Niczym nie przypominało to świeżo wykrochmalonej domowej pościeli. Czuła też zapach swojego ciała, zalatywała mułem, pewnie wciąż miała drobiny piasku pod paznokciami. Pozwoliła, by te obce i swojskie zapachy ją otuliły i utuliły do snu, w czasie którego nie będzie się zastanawiać, czy jednak nie lepiej byłoby umrzeć.

Obudził ją czyjś wzrok. Czuła, jak przesuwiał się po kołdrze tam i z powrotem. Mogłaby dalej udawać, że śpi, ale wiedziała, że jedyny sposób, by pozbyć się intruza, to otworzyć oczy i powiedzieć: „Wynocha”.

– Jak się czujesz, kochanie?

Odpowiedziała, że dobrze, nawet nie uśmiechając się do matki.

– Tylko jestem zmęczona i chciałabym spać.

– Sen to najlepsze lekarstwo – oświadczyła Janina, ale się nie poruszyła. Marta zamknęła oczy, symulując sen. Nie była jednak przekonująca, bo po chwili usłyszała: – Tomek cię pozdrawia. Dzwonił i pytał, jak się czujesz. Chciałby cię odwiedzić.

Imię Tomka padło już nie wiadomo który raz, gdy tymczasem imię „Olgierd” zostało tylko wymienione w krótkim raporcie o stanie spraw, które z powodu śpiączki mogły Marcie umknąć. „Rzeka wylała. Nasz dom jest bezpieczny. Wszyscy bezpieczni. Olgierd się nie utopił” – tak to mniej więcej brzmiało i słysząc te słowa, Marta się uśmiechnęła, jedyny dotąd raz.

Rozbawiło ją, że matka wspomina o Olgierdzie. Po co? Przecież ona, Marta, doskonale wiedziała, że

się nie utopił. Wypchnęła go na brzeg, choć wydawało się to takie trudne, prawie niemożliwe. Olgierd był ciężki, bezwładny, mokre ubranie spowijało go jak kokon. Potem sama próbowała wyjść na brzeg, ale mokra, pokryta błotem trawa okazała się zbyt śliska, a nurt zbyt silny. Zsunęła się do wody. Była już tak słaba i zaniechanie walki wydawało się kuszące, ale wtedy pomyślała sobie, że to nie będzie szczęśliwe zakończenie. Muszą albo zginąć oboje, albo oboje przeżyć. Pozwoliła, by niosł ją nurt, zbierała siły. W odpowiednim momencie zbliżyła się do brzegu. Kiedy ból zalał falą całe jej ciało, zdała sobie sprawę, że to nie było odpowiednie miejsce. Ból chciał jej odebrać świadomość, lecz nie pozwoliła. Złapała się krzaków, kalecząc sobie dłonie. Nawet tego nie czuła, noga bolała ją bardziej. Tyle, ile zdołała, przeczołgała się na łokciach. Nie miała już sił i nagle świat szarego poranka znikł, zastąpiony czarną dziurą nieświadomości. Ostatnie, co czuła, to ulga, bo Olgierd był bezpieczny. Dlatego, gdy odzyskała przytomność, nawet o niego nie zapytała. Wiedziała, że skoro ona żyje, to on też.

– Jestem zbyt zmęczona, by przyjmować gości.

– Tomek nie jest gościem, to rodzina.

– Czyja?

– Mam nadzieję, że wkrótce nasza.

– To już skończone.

– Nieprawda. Jemu bardzo na tobie zależy. To dobry chłopak, nie skrzywdzi cię. Wiesz już, jak to jest być z kimś, kto się nie stara. Czy nie lepiej związać się z człowiekiem, który ma poważne podejście do życia, do ciebie?

Doprawdy? Rzeczywiście, seks z Sylwią świadczy o bardzo poważnym podejściu do życia. Wspomnienia z wieczorku poetyckiego były tak niesmaczne, że aż ją mdliło. Wyznania Wandy w toalecie, dekonspiracja romansu matki z Sewerynem, a na koniec Agata, mówiąca z uśmiechem, że słyszała faceta, który pokazywał coś Sylwii w ciemni, i głos Tomka w głowie Marty: „Później coś ci pokażę”. Ciekawe, czy były jeszcze inne kobiety, którym kierownik Jabłoński „pokazywał” różne pomieszczenia w podległej sobie placówce?

– Nie chcę o tym teraz rozmawiać. – Poruszyła się niespokojnie. Obecność matki drażniła ją niemal fizycznie.

– Oczywiście, to może poczekać, ale wiedz, że nie pozwolę, by Olgierd znowu pojawił się w twoim życiu i znowu cię skrzywdził.

– A czemu miałby ją krzywdzić? – Ktoś wyjął te słowa z ust Marty i sam je wypowiedział.

Młoda kobieta z trudem odwróciła głowę i zobaczyła w drzwiach Leokadię. Staruszka energicznie wmaszerowała do sali, nawet pełne nienawiści spojrzenie Janiny nie było w stanie jej powstrzymać.

A za Leokadią wszedł on. Cicho zamknął drzwi i oparł się o ścianę tuż obok nich. Nie wyglądał dobrze – szara cera, broda, przetłuszczone włosy. Do tego wymięty bawełniany podkoszulek i stara bluza. Martę to ucieszyło, pomyślała bowiem, że gdyby przyszedł elegancki i wymuskany, czułaby ogromny dyskomfort z powodu swojej piżamy, nieumytej twarzy i zapachu moczu, który wypełzał spod kołdry, wprawiając ją w ciągłe zażenowanie.

Spojrzał na Martę ukradkiem, a ona, uchwyciwszy jego spojrzenie, zdała sobie sprawę, że Olek na żadną inną kobietę nie popatrzy w ten sposób, że ona nie zobaczy takiego wyrazu w oczach żadnego innego mężczyzny. I nagle było tak, jakby świat wokół nich przestał istnieć. Zniknęła matka, Leokadia i kroplówka, do której Marta wciąż była podłączona. W tej fałszywej intymności Olgierd powiedział:

– Dzięki, że uratowałaś mi życie.

– Polecam się na przyszłość.

– Już nigdy cię nie narażę.

– Wiem.

Byli tak blisko siebie, że bliżej chyba nie można, i Marta zdała sobie sprawę, że teraz układanie puzzli będzie łatwiejsze i pójdzie jej o wiele szybciej. Byłe tylko Olek był blisko.

Tadeusz Jezierski podparł głowę rękami i bezmyślnie gapił się w okno. Z powodu ostatnich deszczów kwiaty jego ukochanej róży straciły urok i należało je ścinać. Gdy tylko o tym pomyślał, poczuł się winny. Powinien myśleć o Konradzie, tylko i wyłącznie o nim.

Skrzypnęła furтка i chwilę później w domu pojawił się Janusz. Jak zwykle najpierw poszedł do kuchni. Tadeusz poznał już wszystkie nawyki współlokatora. Wiedział, że za chwilę zabulgocze woda w czajniku i skrzypną drzwi od szafki, gdy Janusz będzie szukał cukru. Potem skrzypną drzwi lodówki, bo według Janusza bułka z szynką to idealna przekąska o każdej porze dnia.

Chciał iść do niego, by zapytać o wieści, i jednocześnie wolał pozostać na miejscu, by nie usłyszeć, że nic nie wiadomo albo, co gorsza, że wiadomo, bo znaleziono ciało...

Nie usłyszał skrzypnięcia lodówki. Coś było nie tak. Podniósł się i ruszył do kuchni.

– Chciałem z tobą pogadać – przywitał go Janusz, nawet nie odwracając się od blatu, na którym stał pękaty kubek. Krupski wsypywał do niego cztery łyżeczki cukru, twierdząc, że mieści się w nim dwa razy tyle herbaty, co w normalnym. To nie była prawda. – Siadaj! – rozkazał, jakby to była jego kuchnia.

– Czy coś...?

Janusz postawił kubek na stole i usiadł.

– Konrad żyje.

Tadeusz odetchnął z ulgą. Nie mógł nie docenić tego, jak przyjaciel zakomunikował mu dobrą wiadomość. Dostrzegł tę bezpośredniość, gdy zamieszkali razem, to ona sprawiła, że nie tylko zaczął cenić Krupskiego, ale też uważać go za przyjaciela.

– No i to na tyle, jeśli chodzi o dobre wieści.

– Miał wypadek?

Janusz zaprzeczył ruchem głowy. Potem wypił łyk herbaty z kubka.

– Cały, zdrowy.

– Gdzie jest?

– Obiecałem, że ci nie powiem...

Tadeusz już zamierzał użyć argumentów, których siła byłaby nie do odparcia, gdy Janusz z uśmiechem na ustach dokończył:

– ...ale ci powiem, jeśli obiecasz, że się z tym nie zdradzisz.

Patrzył na Krupskiego, nie mogąc zrozumieć, dlaczego ta rozmowa przebiega w taki sposób. W końcu dał wyraz swemu zadziwieniu:

– O co tu, do cholery, chodzi?

Ledwo zauważalny uśmiech uniósł kąciuki ust przyjaciela milimetr w górę. Chyba Janusz chciał nadać swojej twarzy wyraz, który uspokaja i pociesza jednocześnie. Niestety, nie miał fizjonomii dobrego wujka i nawet nie powinien próbować robić takiej miny, bo wyglądał, jakby kpił.

– Myślisz, że ja wiem? Zadzwoił Mateusz, prosił, żebym przyjechał. Pokazał twojego Konrada całego i zdrowego. Jedyne, czego się dowiedziałem, to, że młody trochę się zagubił i potrzebuje czasu.

– Muszę do niego jechać, porozmawiać.

– Jasne. – Janusz podniósł kubek do ust. – To świetny pomysł.

Tadeusza zirytowała ironia, którą usłyszał w tych słowach.

– Przecież to mój syn.

– Wiem, że się o niego martwiłeś i teraz pragniesz go natychmiast zobaczyć. Ale uwierz mi, to najgorsze, co możesz zrobić. Jeśli sam nie będzie gotów do rozmowy, a ty się niespodziewanie pojawisz, to znowu ucieknie. A wtedy już go nie znajdziemy. Daj mu trochę czasu. Mateusz nad nim czuwa. – Janusz zrozumiał to, co Tadeusz tylko pomyślał. – Też nie mam do gówniarza zaufania, ale wiem, jak bardzo mu zależy na Konradzie.

Wstał, opłukał kubek wodą i zostawił w zlewie, taki ani brudny, ani umyty. Wytarł ręce w ścierkę do naczyń, po czym rzucił ją na ociekacz, dokładnie w to miejsce, gdzie z suszarki skapywała woda.

– Idę teraz do Marty, nie wiem, kiedy wrócę.

To miało znaczyć, że dziś Tadeusz nie otrzyma odpowiedzi na nurtujące go pytania.

Kiedy kilka minut później rozległo się pukanie do drzwi, Jezierski był przekonany, że to Janusz wraca.

Pewnie znowu zostawił klucze na szafce w przedpokoju.

– Teresa? Co cię sprowadza?

Zadziwiająca była, jak pięknie wyglądała. Kiedyś, dawno temu, Ewelina obserwowała przez okno Domańskich, którzy nieśpiesznie szli Różaną. Przewidywała wtedy, że Zbyszek szybko wyłysieje, a Teresa się roztyje.

– Nadwaga będzie jej najmniejszym problemem – rzuciła ze śmiechem. – Z taka urodą jak jej wygląda się dobrze tylko do trzydziestki. Gdy rysy twarzy się wyostrzą i przyjdą zmarszczki, będzie wyglądała brzydko. Zobaczysz.

Popatrzyła na niego, by sprawdzić, jak zareaguje na tę prowokację.

Uśmiechnął się wtedy.

– Mam nadzieję, że ja nie wyłysieję zbyt szybko – odparł.

Potem podszedł do żony, przytulił ją i dmuchnął jej we włosy, co miało znaczyć: „Nie mówmy o niej. Wiem, że wyczuwasz moją fascynację tą kobietą, ale to nic nie znaczy”.

Teraz z pewną satysfakcją skonstatował, że Ewelina nie miała racji. Wiek nie odebrał Teresie urody, a jedynie dodał jej powagi i teraz wyglądała tak zjawiskowo, że Tadeusza zabolowało serce.

– Szukam Janusza.

Serce zabolowało go jeszcze bardziej.

– Wszedł dosłownie przed chwilą. Może ja mogę ci pomóc?

Ruchem głowy dała znak, że nie. Poczuł, jak złość zaciska mu szczęki.

– Przekazać mu coś? – zapytał, jakby wciąż byli w czasach przed wymyśleniem telefonów. Właśnie! Czemu przyszła do Janusza, zamiast po prostu zadzwonić?

Ten sam ruch głowy. Odwróciła się, by odejść, i teraz światło padło na jej twarz. Ślady wyżłobione przez łyzy były ewidentne.

– Naprawdę nie potrzebujesz pomocy? Może chcesz porozmawiać?

– To sprawa dotycząca Zbyszka – rzuciła chłodno. – Janusz mi... nam – poprawiła się – pomaga.

– Przecież ja też ci mogę pomóc.

– Dziękuję.

– Zajmowaliśmy się tą sprawą. Zrobię, co trzeba.

Za późno zrozumiał, że naciska zbyt mocno. Jej spojrzenie mówiło: „Ty już swoje zrobiłeś”, ale na głos odpowiedziała mu grzecznie, że dziękuje, nie ma sensu zawracać głowy komuś jeszcze.

– I tak już nadużywam uprzejmości Janusza – dodała i pożegnawszy się, odeszła.

Sposób, w jaki mówiła to imię, powiedział Tadeuszowi wszystko. Dlaczego? – pytał sam siebie. Tyle lat milczącej adoracji, której musiała być świadoma, bo kiedy minęła żałoba po śmierci Eweliny, nie krył już tego, że piękna sąsiadka bardzo mu się podoba. Rozumiał, że ona bez względu na to, co czuje, nie może niczego okazać, w końcu jest szczęśliwą mężatką. Ale ostatnio sytuacja się zmieniła, Zbyszek trafił do więzienia i to w pewien sposób uczyniło Teresę wolną. No przynajmniej na tyle, by mogła okazać swoje uczucia. No i okazała. Krupskiemu!

Tadeusz poczuł, że narastająca w nim irytacja potrzebuje ujścia. Poszedł do garażu i sprawdził, czy ma paliwo do kosiarki.

Nic tak nie psuje wyglądu ogrodu, jak zaniedbany trawnik. Bez względu na to, czy decydujemy się na mały skrawek, czy na wielki pas trawy, musimy mieć świadomość, że pochłonie on więcej naszej pracy niż jakikolwiek kwietnik. Kiedy pada deszcz, trawa rośnie intensywnie, kiedy opadów jest zbyt mało, natychmiast usycha, w miejscach zacienionych pozwala, by przerastał ją mech, a tam, gdzie jest dużo słońca, pojawiają się mlecze, stokrotki i babka.

Główną część ogrodu Tadeusza, stylizowanego na rustykalny, stanowił właśnie trawnik, na którym rosła jabłoń, na jego obrzeżach zaś były róże, którym towarzyszyły byliny. Takie połączenie jest idealne, daje wspaniały efekt przy małym nakładzie pracy, co jest istotne dla osób zapracowanych, a dzięki odpowiedniemu komponowaniu roślin mamy rabaty, na których barwy pojawiają się już wiosną, kiedy róże jeszcze nawet nie myślą o kwitnieniu. Dają też możliwość szalonych zestawień kolorystycznych, gdy niebieskie ostróżki połączymy z amarantem róż Acapella, a żółte Beroliny zestawimy z szałwią omączoną czy wrzosami. Tadeusz jednak uciekał od tak intensywnych kontrastów. Wybierał te odmiany róż, które kwitły na białą i różową, dając im do towarzystwa bodziszkę, ślęzy, dzwonki i onętki. Tylko tuż pod domem zdecydował się na mocniejsze połączenie purpurowych malw, różowych New Dawn i żółtych przywrotników.

Paliwo stało na półce w plastikowej butelce po coli. Po chwili warkot kosiarki wypełnił ciszę Różanej. Wysięk fizyczny i zapach skoszonej trawy podziałały uspokajająco.

– Szkoda tylko, że nie zmieniłem butów – powiedział na widok zielonkawych zacieków, którymi sok z trawy pokrył jego skórzane pantofle.

– Tato – wypowiedziane kobiecym głosem słowo spowodowało, że drgnął. Odwrócił się zdziwiony. Przy furtce stała Karolina. Podchodząc do niej, zastanawiał się, czy słyszała, jak mówił do siebie.

– Co cię sprowadza? – zapytał po raz drugi tego dnia.

– Ty. Usłyszałam, że kosisz trawę, i pomyślałam... – Zamilkła. Widać uznała za słuszne nie wyrażać wprost tego, co przyszło jej do głowy. Poszukała oględnych słów. – To dziwne, nie wiadomo, co się stało z Konradem, a ty kosisz trawę.

Tadeusz zaklął w myśli. Powinien był do niej pójść, zadzwonić chociaż. Żona jego syna też się martwiła.

– Janusz ma pewne informacje. Wiadomo, że Konrad żyje.

W spojrzeniu synowej widać było, że choć rozumie słowa, nie jest w stanie w nie uwierzyć.

– To pewne?

– Pewne.

Westchnęła z ulgą.

– Gdzie on jest?

Tadeusz się zawahał. Słowa Janusza, które jeszcze godzinę temu wydawały się absurdalne, teraz stały się logiczne. Konrad mógł nie chcieć kontaktu z ojcem albo, co jeszcze bardziej przekonujące, z żoną. Bo jeśli uciekł, to być może właśnie od niej.

– Karolina, na razie musi ci wystarczyć informacja, że Konrad żyje i ma się dobrze.

– Czy ty słyszysz, co mówisz? – syknęła.

– Sam wiem niewiele więcej.

– Czyli coś jeszcze wiesz?

– Przepraszam. To było nieprecyzyjne. Przekazałem ci tyle, ile wiem.

W jej oczach wyczytał zarzut. „Kłamiesz” – mówiły. Tadeusz bezradnie rozłożył ręce. Karolina odwróciła się i uciekła, ale nie na tyle szybko, by nie zdążył zauważyć łez.

Są w życiu chwile, gdy człowiekowi wydaje się, że za moment utraci wszystko, co dla niego ważne. Tak poczuł się Tadeusz, gdy usłyszał, że Konrad zaginął. Potem dowiedział się, że wszystko z synem w porządku. A teraz, właśnie w tym momencie, utracił to, co miało dla niego znaczenie.

Maria zamknęła się w swoim pokoju. Szczęśliwie udało jej się nie spotkać z mamą. Nie zniosłaby pytań i pewnie polatyby się łzy. Cóż za idiotyczna sytuacja!

Kiedy zgadzała się na spotkanie z panem Marciniakiem... z Teodorem, przecież przeszli na ty. Może jednak lepiej po prostu z Marciniakiem, bo myślenie o nim po imieniu sprawiało, że czuła dyskomfort,

w każdym razie, zgadzając się na to spotkanie, myślała, że ma do czynienia z prawdziwym dziennikarzem, człowiekiem zainteresowanym kulturą. Tymczasem ten Marciniak okazał się pismakiem domorosłym, absolutnym amatorem, z wielkim ego, które wypełniało każde pomieszczenie tak, że nie było czym oddychać. Przez pierwsze pół godziny mówił tylko o sobie.

Maria musiała wysłuchać opowieści o prosperity końca lat osiemdziesiątych, kiedy to handlowało się tureckimi bluzkami w Polsce, a polskimi jajkami w Niemczech, o trudnym początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy okazało się, że jedynym chodliwym towarem jest literatura, i o kryzysie przełomu wieków, gdy znów trzeba się było przebranżowić. Teraz robi w motoryzacji, ale miłość do książek została. Do poezji zwłaszcza, bo to się szybko czyta. Tych grubych książek, co teraz porobiły się takie modne, to on nie uznaje. To głupota jest. Autor się męczy, pisząc, czytelnik, czytając, taka sytuacja. No i z tego wszystkiego kilka lat temu postanowił wydawać gazetę, bo to zawsze organ opiniotwórczy. Ma tam recenzje książek, czasem wywiad z jakimś autorem się trafi. Na swoje wychodzi dzięki ogłoszeniom.

– Obejmuję swoim zasięgiem dawne województwo legnickie, wałbrzyskie i jeleniogórskie. Pani pamięta, że kiedyś tu było jeleniogórskie? Pewnie nie, za młoda jesteś.

Gdyby nie to, że samochód wciąż jechał, Maria poważnie rozważyłaby, czy natychmiast nie wysiąść, bo poczuła się znieważona. Uznała jednak, że sensowniej będzie zostać na miejscu. Swoją urazę manifestowała milczeniem, niestety, taka gaduła jak Marciniak nie była w stanie tego zauważyć. W ten sposób dojechali do Görlitz, gdzie w „lokalu gastronomicznym na takim bardziej europejskim poziomie, bo te rubińskie to zwykle garkuchnie są” miał zostać przeprowadzony wywiad.

Maria najchętniej wróciłaby natychmiast do domu. Niestety, wszystkie wymówki, które przychodziły jej do głowy, brzmiały nieprawdopodobnie. Zapomniała wyłączyć żelazko, przypomniała sobie o innym spotkaniu, dzwoniła mama, bo zasłabła. Właśnie! Matka mogłaby zadzwonić. Zwykle chwyta za telefon, jeszcze nim zdąży się zamknąć furka za Marią. A kiedy przydałaby się jej pomoc, milczy. Czysta złośliwość. Siedzi na tarasie i śmieje się z naiwności córki, która utknęła w niemieckiej knajpie z polskim ćwierćinteligentem.

– Powiem ci, Marysiu, że ja to staram się być z kulturą na bieżąco.

Nie wątpię, pomyślała i natychmiast zganiła się za cynizm.

– Dlatego strasznie mi głupio, że przegapiłem taką perłę. Jakbym wiedział wcześniej, to moja gazeta objęłaby cię patronatem medialnym.

– Och, nie trzeba. – Lekceważąco machnęła ręką, na co Teodor zareagował wręcz gwałtownie. Powiedział, że trzeba, że media zbyt mało uwagi poświęcają kulturze, zwłaszcza tej wysokiej, reprezentowanej przez dobrą literaturę i poezję.

– W mojej gazecie jest inaczej. W przyszłym tygodniu damy recenzję twojego tomiku, a później wywiad. No i oczywiście fotoreportaż z wręczenia nagrody.

Właśnie, nagroda. Maria poszukała informacji o tym wyróżnieniu w internecie, a to, czego się dowiedziała, nie bardzo jej się podobało.

Asertywna to ja nie jestem, pomyślała, pozwalając, by Marciniak wprowadził ją do sali restauracyjnej, która wyglądała jak schludna kuchnia niemieckiej Frau. Z zaplecza pachniało sycącym obiadem. Maria nie dostrzegła różnicy między tym lokalem a jedyną rubińską restauracją, w której bywała. Pewnie jestem za mało europejska, pomyślała. Zaściankowa panna ze mnie, a ta nagroda...

– Zdecydowałam, że jej nie przyjmę. To wyróżnienie dla poezji erotycznej. – Już samo to słowo spowodowało, że na jej policzki wypłynął rumieniec. – Ja piszę poezję miłosną.

– A czy ktoś mówi, że nie? – Teodor wykrzywił usta, co chyba miało być słodkim uśmieszkiem, a wyszło obleśnym grymasem. – Jest miłosna, tylko, że tak powiem, z pieprzem. – I uznawszy widać, że dyskusja o gatunku została zakończona, zapytał: – Co ci zamówić do picia?

– Herbatę.

- A poza tym?
- Herbata wystarczy. Nie jestem spragniona.
- Miałem na myśli alkohol.
- Nie piję alkoholu.
- Nawet wina?

Maria wspomniała noc, kiedy to przywitała Wandę po jej powrocie na Różaną. Tego tylko brakowało, by zrobiła z siebie idiotkę przed Teodorem. Wystarczy, że mama tak o niej teraz myśli.

– Zwłaszcza wina. Wątroba – dodała z przepraszającym uśmiechem, uznawszy, że to słowo wzbudzi współczucie i powstrzyma dalsze nagabywanie.

– W takim razie ja również napiję się herbaty. Porozmawiamy sobie spokojnie, popytam o to i owo, potem spiszę i zrobimy z tego piękny wywiadzik, co ty na to?

Piękny czy brzydki, Maria w tej chwili nie chciała udzielać żadnego. Miała również nadzieję, że mama nie dowie się o nagrodzie. Jeśli tak się stanie, Leokadia do końca swoich dni będzie się z niej naśmiewać. Maria dobrze znała swoją matkę. Wiedziała, jakich słów tamta użyje. Na samą myśl bolało i robiło się smutno.

– Wiem, co czujesz, Marysiu.

Nagła empatia ze strony Teodora była zaskakująca, ale też miła. Maria była gotowa spojrzeć na niego inaczej. Na nieszczęście postanowił jej powiedzieć, co ona czuje.

– Zaskoczył cię rozmiar twojego własnego geniuszu. Wiem, mam podobnie. Ja sam od niedawna piszę poezje. Za mało jeszcze tego na tomik, ale może już niedługo coś z tego będzie. No i ja się specjalizuję w satyrze politycznej, bo co my, faceci, wiemy o serc uniesieniach, no nie? Zechcesz może posłuchać?

Nie chciała, ale i tak się zgodziła. Wszak to spotkanie nie mogło być już bardziej koszarne.

– To tak idzie – Teodor odchrząknął.

*A ta nasza władza  
Ludziom źle doradza  
Patrzy swoich korzyści  
Pieniędzy ma jak liści  
Ludzie ich wybierają  
Potem narzekają.*

Patrzył na Marię z czymś, co można by nazwać nadzieją, ale ona wołała, by zostało to bezimienne. To spotkanie jednak mogło być gorsze, kto by pomyślał.

- Zjadliwe, prawda? – spytał z dumą.
- Niewątpliwie. Mam tylko zastrzeżenie do rymów.
- Rym musi być.

Doprawdy? Sens również. I przydałyby się jeszcze prawdziwe emocje. W tym momencie Maria poczuła, że jakkolwiek daleko jej do geniuszu, to jest znacznie bliżej niż Teodor.

– No ale dosyć już o mnie. – Nareszcie, pomyślała z ulgą. – Co poczułaś, gdy dowiedziałaś się o nagrodzie?

– Nie wiem, czy jest sens o tym rozmawiać, skoro nie zdecydowałam, czy ją przyjmę.

Teodor popatrzył na nią, jakby to jemu odmówiła.

– Pozwól, Marysiu, że podzielę się z tobą osobistym przemyśleniem. Cała ta sytuacja cię zaskoczyła. Z jednej strony się cieszysz, z drugiej zastanawiasz, co powiedzą znajomi. Ja widzę przecież, że ty jesteś skromną osobą. Ale wiesz, w tym kraju mało kto docenia poezję, więc skoro już doceniają, to nie ma co

wybrzydzać. A jeśli masz jakiś moralny opór ze względu na pieniądze, to możesz je przekazać na jakiś szczytny cel.

– Pieniądze?

– Nie mówimy tu o jakiejś wielkiej sumie, bo w końcu co to jest dwadzieścia tysięcy.

Maria poczuła, jak zaciska jej się gardło. Nie mogła przełykać, nie mogła złapać tchu, serce waliło jak oszalałe. Tyle pieniędzy! Mogłaby wyremontować dom Wandy, wyprowadzić się od mamy i zyskać niezależność. Tyle rzeczy mogłaby zrobić. I już zawsze nosić łątkę poetki erotycznej. Uczniowie będą się z niej śmiali. Przecież i tak się śmieją, a taka nagroda to może być dobra reklama.

– Przepraszam cię, Teodorze, ale czy możemy przełożyć ten wywiad na inny termin? Jestem oszołomiona i chyba muszę się lepiej do tego przygotować. Bardzo cię przepraszam, zmarnowałam twój czas.

Zerwał się z krzesła tak gwałtownie, że aż podskoczyły filiżanki, w ułamku sekundy znalazł się przy Marii, chwycił jej dłoń i złożył na niej wilgotny pocałunek.

– Absolutnie nie możesz myśleć, że zmarnowałam swój czas. To był dla mnie zaszczyt, moja perła. Zawsze do twoich usług!

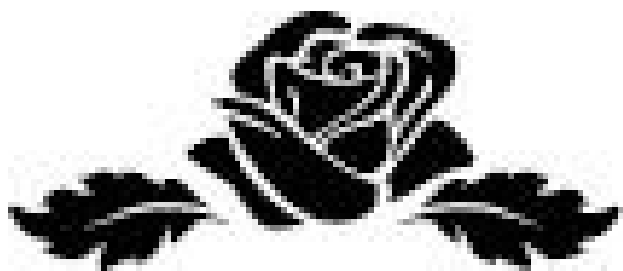
Podziękowała powściągliwie. W drodze powrotnej milczała, udając, że słucha historii dwóch nieudanych małżeństw Teodora.

– Więc teraz jestem chłopakiem do wzięcia.

Teraz jeszcze bardziej mnie przerażasz, pomyślała, wysiadając z samochodu. Rzuciła szybko: „Pa, dzwoniemy się!”, i czmychnęła do domu, szczęśliwa, że na horyzoncie nie widać matki.

No a teraz siedziała w swoim pokoju, patrzyła na kwitnący ogród, myślała o zdewastowanym domu Wandy, o Januszu, o Purpurowym Erosie (nie mógł to być Błękitny Apollo?), o mamie, poezji, miłości i wolności. Myślała o życiu, w którym nic nie wygrała. I uznała, że takie życie jest zupełnie do dupy.





## ROZDZIAŁ PIĄTY

### Róża Heritage

*Róża Heritage to jedna z angielskich róż wyhodowanych przez Davida Austina. Choć bardzo ładna, z całą pewnością nie jest najwspanialszym osiągnięciem tego hodowcy. Ze względu na długie do dwóch metrów pędy można ją prowadzić jako pnącą lub, przycinając, jako krzaczastą. Potrafi zakwitnąć obficie. Płatki jej kwiatów, misternie zwinięte w rozetkę, mają kolor porcelanowego angielskiego różu, pachną goździkami i miodem, nadają się na przetwory. Róża ta jest wrażliwa na choroby i mróz, a obfite deszcze sklejją jej płatki. Ze względu na swoje wysokie wymagania może zawieść początkującego ogrodnika.*

To wszystko przez Leokadię. – Karolina rzuciła pełne nienawiści spojrzenie w stronę domu starej Jezierskiej. – To, że nas zalało, też jej wina.

– Za powódź winiłabym raczej zmiany klimatyczne i brak zbiorników retencyjnych – odparła chłodno Agata.

Wyszła na długi spacer z psem, bo Freddy, podobnie jak ona, męczył się w biurze. Nogi same zaprowadziły ją na Różaną. Przed domem Karoliny zatrzymała się na chwilę.

Chłopcy siedzieli w piaskownicy. Ktoś, kto ich nie znał, mógłby uznać, że się bawią. Jednak Agata wiedziała, ile decybeli osiąga hałas wywołany ich normalną zabawą. Teraz byli cicho i to ją zmartwiło. Wiedziała, że nie potrafią zrozumieć tego, co się wydarzyło – nocnego wyjazdu, niespodziewanych wakacji, nieobecności ojca i dziwnego zachowania matki. Bo Karolina zachowywała się absurdalnie – wyrywała rośliny w tej części ogrodu, którą zalała woda.

Po chwili wahania Agata zdecydowała, że porozmawia z przyjaciółką, a teraz, niecały kwadrans później, bardzo tego żałowała. Karolina była jak czarna napełniona goryczą, którą wylewała na każdego, kto za bardzo się zbliżył. Jakby w ogóle nie myślała o tym, że Agata też ma mnóstwo własnych problemów.

– Mów sobie, co chcesz, ja i tak wiem, że wszystko to wina tej staruchy.

Freddy szarpnął się niecierpliwie. Agata spojrzała na psa. „Róbmy coś” – zdawał się mówić.

– Mogę go spuścić? – zapytała. Wiedziała, że Karolina nie przepada za psem.

– Dobra. Ale pilnuj, żeby nie nabroił.

Trzasnął karabińczyk i uwolniony zwierzak wesoło ruszył przed siebie na spotkanie masy interesujących woni, którymi nasiąkła zalana ziemia. Nie omieszkał do nich dodać czegoś od siebie.

– Co ty właściwie robisz? – zapytała Agata, udając, że patrzy na psa, a w rzeczywistości zainteresowana chaotycznymi działaniami przyjaciółki.

– Doprowadzam ogród do porządku. Z tych roślin nic już nie będzie. Wyrwę je, a na to miejsce posadzę nowe. Za dwa, trzy tygodnie nie będzie śladu po zalaniu. Mój ogród wciąż ma szansę wygrać

w konkursie.

– Wydaje mi się, że w tej chwili nikt nie myśli o ogrodach.

– Uwierz mi, za dwa miesiące nikt nie będzie pamiętał o powodzi. Komisja zjawi się jak co roku, a ja będę na to przygotowana.

Pewnie tylko ty jedna, pomyślała Agata. W tej chwili uznała, że tamta jest okropnie małostkowa, mąż zaginął, a ona myśli o konkursie ogrodniczym. Karolina, jakby czując, co myśli przyjaciółka, i pragnąc jeszcze bardziej się pograżać, znów zaczęła złorzeczyć Leokadii.

– Byłam szczęśliwa, ale klątwa mnie dopadła i popatrz, co się stało z moim życiem!

Nie, nie byłaś szczęśliwa. Agata przypomniła sobie kobietę, którą poznała – zmęczoną, niechętną, nieorganizowaną, samotną i bardzo nieszczęśliwą.

– Wierzysz, że coś, co ktoś powiedział dawno temu, może mieć wpływ na nasze życie?

– A ty nie?

Agata pełnym pogardy wydeciem ust wyraziła swój stosunek do wiary w gusła i klątwy sprzed lat.

– Też taka byłam. Mówiłam sobie: jesteśmy z Konradem szczęśliwi, nic tego nie zmieni. Nagle przyszła powódź, a ja byłam na tyle głupia, żeby porzucić dom. I wtedy mój mąż porzucił mnie.

W tych słowach było coś, może ton, jakim zostały wypowiedziane, co sprawiło, że Agata zrozumiała, jak złożona jest sprawa Konrada. Żyje, tylko odszedł. Biedna Karolina.

– Tak mi przykro.

Skutek był odwrotny do zamierzonego.

– Żałujesz mnie? – zapytała rozżłoszczona Karolina. – Lepiej popatrz na siebie. Twój mąż więcej czasu spędza z byłą niż z tobą. Wiesz, do czego to doprowadzi? Jutro ty będziesz płakała w poduszkę.

– Nawet jeśli Michał zostawi mnie dla Sylwii, nie będzie to wina Leokadii.

Karolina roześmiała się sztucznie i bez słowa wróciła do przerwanej zajęcia.

– Pójdę już. – Agata przywołała Freddy'ego i oddaliła się bez słowa pożegnania.

Poszła pod dom. Nie wyglądał już tak strasznie, jak wtedy, gdy woda opadła, ale i tak był to widok smutny i odbierający motywację do działania. Agata z bólem serca wspominała te wszystkie drobiazgi, którymi się otoczyła, teraz zniszczone przez wodę. Nie miała odwagi zobaczyć, jak jest w środku, obeszła więc segment i zajrzała do ogrodu. Wyglądał jak śmietnisko, woda przywlokła tu gałęzie i kępy trawy, które wcisnęły się w ogrodzenie i pozostały tu, by gnić i śmierdzieć. Muł pokrył wszystko burą powłoką. Nie wszystko. Na drewnianej kratownicy, jakieś półtora metra nad ziemią wisiała doniczka z białą petunią. Jej kwiatki trzepotały nawet w najdelikatniejszych podmuchach. Jakby chciała odlecieć z tego nieprzyjaznego miejsca – pomyślała Agata. Przypomniła sobie dzień, gdy kwiatek trafił do ogrodu. To był wkład Michała, który obserwując starania żony, postanowił sprawić jej przyjemność. Agata podziękowała wylewnie, choć kwiatek wcale jej się nie podobał, nie pasował do ogrodu, a plastikowa doniczka z haczykiem do wieszania była szczytem kiczowatości.

A jednak to ten dowód dobrych intencji Michała przetrwał powódź i teraz petunia przypominała Agacie o tym, co ważne.

– Nie straciłam niczego, czego nie można byłoby odkupić, ale jeśli stracę Michała, stracę wszystko. Karolina nie uświadamiała sobie, jak bardzo była nieszczęśliwa, a ja nie zdawałam sobie sprawy ze swojego szczęścia. – I choć ją samą to zdziwiło, z wdzięcznością pomyślała o matce, która kazała jej wrócić i walczyć o swoje szczęście. To nie klątwy decydują o naszym losie, tylko my sami. Złe decyzje rzadko mają dobre skutki. Karolina powinna popracować nad swoim szczęściem, a nie zwalać winę na klątwę. Samo to słowo brzmi niepoważnie i trudno uwierzyć, że Leokadia stanęła na środku Różanej, by przekląć mieszkańców ulicy, na zawsze odbierając im prawo do szczęścia. Na pewno dała upust żalowi po stracie męża i pewnie były to gorzkie słowa, a ponieważ ludzie mają skłonność do wyolbrzymiania, cała ta sytuacja obrosła legendą. Gdyby Karolina spojrzała na to racjonalnie, zrozumiałaby, że tamte wydarzenia nie mają żadnego związku z rzeczywistością. Jednak co może ją do tego skłonić?

– Prawda – odpowiedziała sobie Agata. – Dowiem się, co się wtedy wydarzyło.

Przechodząc przez pokój, Teresa zauważyła Agatę. Zawahała się i w końcu zdecydowała, że wyjdzie przywitać się z dziewczyną. Prawdę powiedziawszy, tęskniła za jej towarzystwem. Nowa pani Brzozowska ujmowała swoim optymizmem i szczerością. Teresa widziała w niej siebie sprzed lat. Tylko Agata była silniejsza, bardziej stanowcza. Poradzi sobie w życiu lepiej niż Teresa.

Już kładła dłoń na klamce, gdy odezwał się telefon. Spojrzała na wyświetlacz. Dzwonili z więzienia. To pewnie miało związek z powrotem Zbyszka do domu. Jego zawał w gruncie rzeczy okazał się dla nich dobry. Zły stan zdrowia mógł być argumentem w staraniach o wcześniejsze zwolnienie. Prawnik, który teraz zajmował się jego sprawą, twierdził, że właściwie będzie to tylko formalność. Dziwił się też opieszałości Jezierskich w prowadzeniu tej sprawy. „Pani mąż w ogóle nie powinien był trafić do więzienia. Dlaczego poprzedni prawnik na to pozwolił?”. „Mówił, że tak będzie dobrze” – odpowiedziała. „Dobrze? Dla kogo? Chyba tylko dla niego. Na miejscu pani męża natychmiast bym go pozwał”.

– Niewykluczone, że tak zrobimy – mruknęła do siebie, w końcu odbierając telefon. – Słucham?

Poczuła, jak miękną jej nogi w kolanach, i musiała usiąść.

– To jakaś pomyłka. Gdy mąż opuszczał szpital, lekarz powiedział, że rokowania są jak najlepsze, bo to był lekki zawał. Podjęłam starania o powrót męża do domu..

Głos po drugiej stronie słuchawki poinformował, że jest mu przykro. Nie zaszła pomyłka. Zbigniew Domański zmarł. Sekcja wykaze, co było przyczyną zgonu.

– To pomyłka. To jakaś pomyłka – upierała się Teresa, nawet wtedy, gdy głos, zmęczony zapewnieniami, że nie ma mowy o pomyłce, zmienił się w monotony sygnał przerwane połączenia.

W tej chwili jak nigdy w życiu potrzebowała towarzystwa. Odłożyła telefon i podeszła do okna. Agata wciąż stała przed swoim domem. Teresa zawołała, chciała, by zabrzmiało to wesoło, ale jej głos pełen był smutku. Młoda kobieta odwróciła się, a widząc, kto woła, energicznie ruszyła ku domowi Teresy.

– Wszystko w porządku? – zapytała, wchodząc.

– Tak, oczywiście. Pomyślałam sobie, że dawno się nie widziałyśmy i może masz ochotę na herbatę?

Teresa skoncentrowała się na prostych czynnościach, związanych z przygotowywaniem napoju. Kubki, cukiernica, prawie pusta, trudno, łyżeczki, ta jakaś brudna, trzeba wziąć inną, spodeczki, czajniczek, czemu ta woda tak długo się gotuje? Nareszcie, gdzie jest taca?

Postawiła na stoliku dzbanek z herbatą. Czuła na sobie wzrok Agaty, która przyglądała jej się z pewnym zaniepokojeniem.

– Oglądałaś dom?

– Tak. Kiepsko to wygląda. Najgorsze, że musimy się porozumieć z deweloperem, bo on ciągle jest właścicielem dwóch pozostałych segmentów. Jeśli on zdecyduje się na remont, to pewne rzeczy lepiej zrobić wspólnie, na przykład elewację. Michał mówi... Na pewno wszystko w porządku?

Teresa skinęła głową. Niech ta dziewczyna mówi, niech mówi o czymkolwiek, byle zagłuszyła ten głos w głowie, który ciągle powtarzał: „Przykro mi, pani mąż nie żyje”.

– Musi wam być ciężko.

– No trochę się to wszystko skomplikowało. Najbardziej było mi szkoda ogrodu. Ale kiedy tak dziś stałam i patrzyłam na to wszystko, pomyślałam, że nie ma niczego, czego nie dałoby się naprawić. Mam zamiar zacząć od jutra i jeśli zechciałaby pani pojechać ze mną do centrum ogrodniczego...

– To nieprawda.

Agata popatrzyła na nią zdziwiona.

– Są rzeczy, których nie można naprawić.

I Teresa zaczęła mówić, bo nagle poczuła, że coś w niej pękło i musi komuś opowiedzieć o tym

wszystkim, co do tej pory ukrywała. Opowiadała o wstydzie, który czuła, gdy aresztowano Zbyszka, o nadziei na rychłe zakończenie sprawy i rozczarowaniu, gdy okazało się, że będzie to trwać. O pieniądzach, ich braku i tym, jak je zdobywała. Trudno sobie wyobrazić, jak głupie rzeczy robi człowiek zdesperowany.

– Zauważyłam, że gdy wychodziłaś do Karoliny, nie zamykałaś drzwi balkonowych. Sylwia zostawiała zapasowy klucz pod doniczką z hortensją. A Seweryn zostawia szparę dla kota.

Miała nadzieję, że to sytuacja przejściowa. Jeśli zaciśnie zęby i wytrzyma, wszystko zakończy się szczęśliwie. Czekala więc, a tymczasem przyszła powódź i odebrała jej ostatnią cenną rzecz, która jeszcze pozostała – dom. Jakby tego było mało, Zbyszek miał zawał. Pojechała do niego taka rozgoryczona.

Agata objęła ją z zadziwiającą czułością i szeptała:

– Proszę się nie martwić. Wszystko będzie dobrze. Ja tamtych kolczyków nawet nie lubiłam.

W tym momencie do Teresy dotarło, co tak naprawdę zrobiła.

– Zabiłam swojego męża.

I rozplakała się, bo to była prawda.

– Możesz usiąść tu przy mnie – powiedziała Marta, z trudem przesuując się na łóżku. Olgierd poprawił poduszki i usiadł obok niej. Po chwili wahania Marta oparła głowę o jego ramię.

– Śmierdę – zauważyła.

– Nie na tyle, by mi to przeszkadzało – roześmiał się. Lubił naturalny, lekko słonawy zapach jej skóry.

– Marzę o kąpieli. Lekarz powiedział, że pojutrze mnie wypiszą. Nie mogę się doczekać. Pierwszy tydzień spędzę w wannie. Potem pójdę biegać.

– Z tym drugim będziesz musiała poczekać. Siedzenie w wannie też może być trudne. – To mówiąc, delikatnie stuknął w gips, który pokrywał jej nogę.

– Dobra, poczekam z bieganiem do czasu, kiedy zdejmą mi gips.

– Chyba trochę dłużej.

– Nie mam zamiaru czekać.

Olgierd nie wiedział, czy w tej chwili Marta tylko się z nim droczy, czy naprawdę nie wie. Złamanie było skomplikowane, czekała ją długa rehabilitacja i nie było gwarancji, że będzie normalnie chodziła. Czuł opór przed poruszeniem tego tematu, jednak w końcu się zdecydował. Okazało się, że Janina nie przekazała córce pełnych informacji. Musiał patrzeć na smutek w oczach Marty.

– Nie martw się na zapas. To czarny scenariusz i może się nie sprawdzić.

– To moje życie. W nim właśnie czarne scenariusze realizują się najczęściej.

Mocno przytulił Martę i gładząc ją po włosach, zapewniał, że wszystko będzie dobrze. W duchu złorzeczył Janinie, która była głupią babą. Jak mogła nie powiedzieć córce prawdy o jej stanie?

Przez długą chwilę milczeli, wpatrując się w ścianę naprzeciwko. W końcu Olgierd zdecydował się odezwać.

– Ratowanie mnie nie było zbyt mądre.

– Wybacz, to już się nie powtórzy. – Uśmiech słabo maskował smutek w jej głosie.

– Mogłaś zginąć.

– Gdybym nie skoczyła, ty zginąłbyś na pewno. Wiesz, pomyślałam, że nie będę mogła bez ciebie żyć.

– Czyli jednak mnie lubisz.

– Troszeczkę i tylko wtedy, gdy nie jesteś palantem.

– Rzadko nie jestem palantem.

Marta, nie bardzo wiedząc, jak skomentować tę jego samokrytykę, zamilkła. On zaś, ciesząc się w duchu jej słowami, nie chciał nic mówić, by nie zepsuć nastrojowego momentu.

– Czy moglibyśmy jeszcze raz spróbować, gdybym obiecał, że nie będę palantem? – zapytał, kiedy opanował emocje na tyle, by nie dało się ich usłyszeć w jego głosie.

– To będzie trudne. Zdradzałeś mnie – wypomniała.

– Kiedy byłem z innymi kobietami, zawsze zamykałem oczy i widziałem twoją twarz – wyznał, nie myśląc o tym, jaki skutek przyniesie jego szczerość. Spojrzał z niepokojem na Martę, czekając na wybuch.

– A nie sądzisz, że lepiej by było, gdybyś kochał się ze mną? – zapytała tylko.

– Kiedy byliśmy w łóżku, twoja matka zawsze stała obok i komentowała sytuację.

– Nie lubisz jej, co?

Założmy, że dziś jest dzień szczerości, pomyślał Olgierd. Wyznamy sobie wszystko i ruszymy do przodu. I powiedział Marcie, że jego zdaniem to Janina jest winna rozpadowi ich związku. Jej ciągłe wtrącanie się i manipulowanie córką doprowadzało do konfliktów między nimi. Kłótnie wywoływały w nim złość, ta zaś prowadziła do zachowań, których teraz żałuje.

– Nienawidzę twojej matki za wszystko, co nam zrobiła.

– Wtedy myślałam, że mama ma patent na szczęśliwe małżeństwo i jeśli będę jej słuchać, uda mi się powtórzyć ten sukces. Teraz oceniam to inaczej. Wydaje mi się, że ona widziała swoją klęskę i próbowała mnie uchronić przed tym samym.

Olgierd nie podzielił się z Martą swoim zdaniem. Według niego Janina była głupia i nie dostrzegała ani klęski własnej, ani tej, ku której pchała córkę.

– Pozwól, że jeszcze raz zapytam. Czy teraz, mądrzejsi o te doświadczenia, możemy spróbować jeszcze raz? – zapytał.

– Małymi krokami.

– Świetnie, bo tak sobie pomyślałem, że może chciałabyś pojechać ze mną na wczasy?

– To propozycja, która byłaby kusząca, gdybym miała tyle lat, co Leokadia. – Marta się roześmiała. Po raz pierwszy był to zwyczajny wesoły śmiech młodej kobiety.

– Wybacz. To wszystko, co ostatnio przeszliśmy, sprawiło, że poczułem się staro. – Po chwili dodał. – To dobry pomysł. Sprawdziłem kilka ośrodków. Rehabilitacja, masaże, opieka medyczna.

– Uważaj, bo jak mi się spodoba, to poproszę Sylwię, by znów wepchnęła cię do wody.

Olgierd poczuł kropelkę zimnego potu spływającą po plecach.

– Dlaczego ona to zrobiła?

Wzruszył ramionami, by pokazać, jak bardzo obce są mu motywy postępowania Sylwii. To tyle, jeśli chodzi o dzień szczerości. Gdyby nie musiał przekazać Marcie złych wieści o nodze, być może powiedziałaby teraz o absurdalnych wymysłach Sylwii. Nie był ojcem jej dziecka. Po prostu nie mógł nim być, to niemożliwe. Tylko że Marta może tego nie zrozumieć, a nawet cień podejrzenia, że on jest zaangażowany w sprawy tamtej, odbierze jej dobry humor. Tak ładnie się teraz uśmiecha, po co to psuć? Dlaczego Janina nie powiedziała jej o nodze? Marta ma od niego słyszeć same złe wiadomości?

– Sylwia jest nieobliczalna. Nie mówmy już o niej. Wróćmy do kwestii masaży. Czy wiesz, co to jest chińska bańka?

Stanąwszy na Różanej, Tomek poczuł się tak, jakby ktoś zanurzył mu głowę w wiadrze wypełnionym nie wodą, lecz wspomnieniami. To było bardzo nieprzyjemne uczucie i gdyby nie poczucie misji, które go tu przywiodło, natychmiast by uciekł.

Mijając dom Krupskich, spojrzął na niego z wyrzutem. Jakby to sam budynek był odpowiedzialny za wszystko, co się stało. Cóż, czasem trudno przyznać się przed sobą do własnej głupoty. Tomek nie powinien był słuchać matki Marty. „Musisz przy niej być, musisz ją wspierać, Martusia cię potrzebuje”. I nawet wyglądało na to, że miała rację. Dopóki Marta nie odzyskała świadomości. Spojrzała wtedy na

niego i zapytała: „Co ten dupek tu robi? Nie chcę go widzieć”, a jemu nigdy jeszcze nie było tak głupio ani tak przykro.

Jak można być tak naiwnym, by uwierzyć, że kobieta, która bez namysłu wskoczyła w odmęty rzeki, nie kocha mężczyzny, dla którego to zrobiła? Jedyne, czym mógł się tłumaczyć, to uczucie do Marty. Od zakochania człowiek głupieje, cały świat to wie.

W każdym razie Tomek zdecydował się nie odwiedzać już Marty, unikać jej prywatnie i nie odbierać telefonów od Janiny. Marta jest bezgranicznie zakochana w swoim byłym i nie ma szans, że to się zmieni. Należało tylko mieć nadzieję, że miłość Tomka do niej nie była tak silna i z czasem przeminie.

To wszystko kłębiło mu się w głowie, gdy stanął na progu domu Brzozowskich i zadzwonił do drzwi. Długo czekał, zanim zamek zachrobotał. Na progu stanęła Julka. To i dobrze. Co prawda miał przygotowane kilka zdań, by wytłumaczyć matce, dlaczego chce rozmawiać z dziewczyną, ale obyło się bez kłamstw.

– Nie widziałam Adama od dawna. My nawet się nie kolegujemy – powiedziała, gdy Tomek przedstawił cel wizyty.

– Ja wiem, ale... Możemy gdzieś usiąść na chwilę? – Nie chciał rozmawiać w drzwiach.

Poszli do ogrodu, gdzie pośród kwitnących róż stała ładna ławeczka. Tomek usiadł, ale gdy dziewczyna nie poszła w jego ślady, wstał.

– To głupie – zaczął niefortunnie i natychmiast w oczach Julki wyczytał, że ona tak właśnie postrzega tę sytuację. – Przyszedłem tu z prośbą. Zależy ci na Adamie? Tak choć trochę?

Pasmo jasnych włosów z jej długiej grzywki zafalowało, gdy Julka poruszyła głową, by pokazać, że nie, zupełnie jej nie zależy.

– Prawie się nie znamy. Nie mam o nim najlepszego zdania, skrzywdził moją przyjaciółkę.

Ciekawe, jakie zdanie miałabyś o sobie, gdybyś się dowiedziała, jak bardzo skrzywdziłaś jego? – zapytał w myślach Tomek.

– Skoro ci nie zależy – to już powiedział na głos – to chyba nie będzie problemem spełnienie mojej prośby. Chciałbym, żebyś zostawiła go w spokoju.

Julka popatrzyła na Tomka z całą zadziornością nastolatki, która czuje się winna, lecz za skarby świata nie przyzna się do tego.

– Żaden problem. Prawie go nie znam.

– Widzisz, a jemu się wydaje, że zna ciebie. Widzi w tobie mądrą, dobrą i uczciwą dziewczynę, kogoś idealnego, godnego miłości. A może widział. W każdym razie cierpi z twojego powodu, a ja nie chciałbym, żeby cierpiał bardziej, stąd moja prośba – trzymaj się od niego z daleka.

Rumieniec na policzkach Julki był tak intensywny, że wyglądał jak namalowany.

– Spoko – rzuciła, odwróciła się gwałtownie i szybko odeszła. Zanim Tomek dotarł do furtki, usłyszał dochodzące z domu trzaśnięcie drzwi i wykrzywane słowo „duppek”. Może powinien był wyjawic jej więcej? Natychmiast zganił się za tę myśl. Pewne sprawy powinny pozostać tajemnicą, zwłaszcza w małych miasteczkach, gdzie wieści rozchodzą się z prędkością światła. Może to, co powiedział, wystarczy.

W zamyśleniu ruszył przed siebie ulicą. Nie uszedł jednak daleko. W ogrodzie sąsiedniej posesji młoda kobieta bezskutecznie próbowała uruchomić kosiarkę do trawy. Znał tę kobietę z widzenia, Marta pewnie powiedziała mu, kto to jest i jak ma na imię, jednak albo zapomniał, albo nie słuchał z należytą uwagą.

– Może pomóc? – zapytał spontanicznie.

Kobieta przerwała walkę z maszyną i spojrzała na niego zaskoczona.

– Nie trzeba. Wydaje mi się, że coś się zacięło. – I po raz kolejny energicznie szarpnęła za linkę, ale silnik milczał.

Tomek miał odejść, zmienił jednak zdanie. Oparł ręce na ogrodzeniu, podskoczył i w mgnieniu oka był

po drugiej stronie. Uśmiechem zapewnił kobietę, że nie ma wrogich zamiarów, i zdecydowanie przejął kosiarkę. Sprawdził olej i paliwo, kilka razy nacisnął pompkę i w końcu energicznie pociągnął za linkę. Silnik zakaszłał nerwowo, by po chwili dać znać spokojnym mrużeniem, że jest gotów do pracy. Tomek wyłączył maszynę. Teraz dopiero zdał sobie sprawę, że kobieta patrzy na niego z czymś, co mogło być równie dobrze zaintrygowaniem, jak przestachem. Ciekawe, co pomyślała, gdy przeskakiwał płot.

– Przepraszam, nawet się nie przedstawiłem – bąknął zmieszany i wyciągnął rękę. – Tomek.

W odpowiedzi podniosła swoją dłoń, brudną od ziemi i smaru, dając do zrozumienia, że nie może uścisnąć mu ręki. Znowu się wygłupił. Mężczyzna nigdy pierwszy nie podaje ręki kobiecie, bo to niekulturalnie, uczyła go wychowawczyni w szkole. Gdy poszedł na studia, dowiedział się, że może i kulturalnie, ale świadczy to o szowinistycznym podejściu do kobiet. „Mamy trzecią falę feminizmu” – powiedziała mu koleżanka z roku, poprawiając na nosie okulary w rogowej oprawce, i wyjaśniła, które zachowania wobec kobiet są dopuszczalne, a które nie. Gubił się w tym jednak i wołał już urazić kobiety, przepuszczając je w drzwiach, niż wpychać się przed nie na chama, by okazać zrozumienie dla ich nowoczesnych poglądów.

Opuścił rękę i włożył ją do kieszeni.

– Karolina. Chyba znamy się z widzenia.

– Chyba tak.

Cisza, która teraz zapadła, była z gatunku tych dających rozmówcy do zrozumienia, że jedyne, co jeszcze można powiedzieć, to „do widzenia”.

– Może pan się czegoś napije? – zapytała niespodziewanie Karolina.

– Chętnie – odpowiedział Tomek i pozwolił się zaprowadzić do przestronnej, okropnie zabałaganionej kuchni.

– Woda, sok? Przepraszam za bałagan, dzieci – usprawiedliwiła się, choć obydwójce wiedzieli, że to kiepska wymówka, bo chłopcy, którzy bawili się w piaskownicy, nie mogli być odpowiedzialni za zacieki na kuchence i niepozmywane naczynia.

– Moje kawalerskie mieszkanie wygląda gorzej – skłamał. – Może być sok. – Na szklance, którą mu podała, widać było maziaje, ale zakrył je dłońmi. – Ładny ogród.

– Przed powodzią było lepiej. Woda zalała część rabatek i zniszczyła rośliny. Pomyślałam, że kosiarka jest dobrym rozwiązaniem, ale nawet nie potrafię jej uruchomić.

– To dobrze, że właśnie tędy przechodziłem. – Tomek tylko się uśmiechnął, był skrepowany sytuacją i wiedział, że śmiech może zabrzmieć sztucznie.

Karolina odpowiedziała uśmiechem. Tomek, ukryty za szklanką, uważnie jej się przyglądał. Była ładna i ten jej uśmiech też był bardzo ładny, taki ciepły i miły. Nie była ani wysoka, ani szczupła, ale nie wyglądała niezgrabnie mimo fałdki tłuszczu, tworzącej się nad paskiem spodni. Ciemne włosy naturalnie skręcały się w loki. Tomek zwrócił uwagę na jej cerę o ładnym, złocistym odcieniu. Cienie pod migdałowymi oczami świadczyły o zmęczeniu.

Nie chcąc, by zauważyła, że jej się przyglądał, odwrócił wzrok.

– Ładny zegar – powiedział, odstawiając szklankę na upačkany blat.

– Prezent od rodziców. Wiele lat temu wyjechali do Niemiec.

– Do pracy?

– Raczej w poszukiwaniu lepszego bytu. Mamy niemieckie korzenie i krewnych w Szwarzwaldzie. Rodzice jeździli tam co jakiś czas do pracy, w końcu zostali, bo lepiej, łatwiej.

– Nie myślałaś o emigracji?

– Może i tak, ale mój mąż jest nierozzerwalnie związany z tą ulicą... Był związany. – Podbródek jej zadrżał. – Zostawił dzieci, ulicę, mnie i spieprzył, nie wiadomo dokąd. – Łzy zakręciły się w oczach. – Ja nie wiem. – Popłynęły jedna za drugą po policzkach. – W zasadzie nic mnie to nie obchodzi, niech idzie do diabła.

Co może zrobić mężczyzna, który niespodziewanie staje się świadkiem rozpaczki kobiety, porzuconej przez męża? Tylko jedno.

– Dzięki za sok i ja już pójdę kosić te rośliny.

Chwilę później rozległ się warkot kosiarki. Tomek wiedział, że Karolina wykorzysta ten hałas, by wreszcie się wypłakać.

Sylwia Brzozowska spędziła rano, siedząc na brzegu wanny w swojej eleganckiej łazience, wyłożonej błękitną mozaiką, pogrążona w rozmyślaniach. Porannych nudności nie pamiętała z poprzedniej ciąży. Wtedy jej tak nie mdliło. Wymiotowała może dwa, trzy razy, zwalając to na karb jedzenia, bo zdecydowanie odrzucała myśl, że maraton seksu, który sobie urządzili z Michałem, mógł prowadzić do takiego zakończenia. Przecież uważali, Michał się zabezpieczał, obiecał, że nie zrobi jej dziecka.

Poznali się na uczelni. On kończył studia, ona dopiero je zaczynała. Rozmawiał z kolegami, gdy ich minęła. Nie mogła znaleźć sali, czuła się zagubiona, a jednak nie umknęło jej spojrzenie, jakim ją obrzucił. Ciekawe, czy podejście, pomyślała. Nie czekała długo. Michał zostawił kumpli i po chwili był przy niej, oferując pomoc. Zapytał, o której kończy zajęcia, i czekał pod salą. Włóczyli się po mieście, rozmawiając o niczym. Właściwie nie musieli rozmawiać. Był ładny październikowy dzień, tak ciepły, że Sylwia zdjęła sweter i zawiązała go sobie wokół bioder. Gdy niebo nad Wrocławiem zaczęło szarzeć, odprowadził ją do akademika i pocałował na dobranoc. I może dzięki temu była to dobra noc? Jedną z najpiękniejszych w życiu Sylwii. Emocje nie pozwalały jej zasnąć. Przysunęła krzesło do parapetu, na którym położyła przywiezioną z domu poduszkę w pluszowej poszewce. Patrzyła na niebo. Światła ulicznych latarni były tak jasne, że nie pozwalały dostrzec gwiazd, ale ona wiedziała, że tam są, dobre, szczęśliwe gwiazdy, które sprawią, że połączy ją coś niezwykłego z tym bardzo przystojnym, miłym i mądrym chłopakiem.

– Sylwio Ruczaj, jesteś zakochana – powiedziała do siebie, gdy ostatni przechodnie dawno już zniknęli z ulicy. A potem śmiała się tak głośno, że zdenerwowani sąsiedzi zaczęli walić w ścianę.

Michał dawał jej róże, odgadywał myśli, zabierał na randki. Chodzili do małych studyjnych kin na dziwne, czarno-białe filmy, na których się nudziła, lecz gdy nazajutrz opowiadała o tych eskapadach koleżankom, dzięki nazwiskom reżyserów wszystko stawało się jeszcze bardziej romantyczne.

Nie myśleli o łóżku. Żadne „czy powinniśmy to zrobić” nie zaprzętało myśli Sylwii, a widziała po Michale, że on też do tego nie dąży. Dlatego, gdy już się stało – nagle, spontanicznie, bez uprzedzenia – obydwójce byli równie zaskoczeni. I szczęśliwi. I... wygłodniali? Trudno znaleźć odpowiednie określenie, ale Sylwia odczuwała to tak, jakby do tej pory pościła i nagle ktoś postawił przed nią stół ze wszystkimi smakołykami świata. Chciała tylko mieć kontakt fizyczny z Michałem, a gdy chłopak zniknął choć na chwilę, nie była w stanie myśleć o czymkolwiek. Niecierpliwie czekała na moment, gdy znów będzie mogła go dotykać.

Może to endorfiny sprawiły, że nie odczuwała wtedy dolegliwości ciąży? Gdyby nie te dwa, trzy epizody z wymiotami, długo jeszcze oszukiwałyby siebie, że wszystko jest w porządku, a brak miesiączki to tylko naturalna nieregularność.

– Okres mi się spóźnia – powiedziała Michałowi.

Stropił się trochę.

– O ile?

– O sześćdziesiąt trzy dni.

Słowa „o kurwa”, powtórzone wielokrotnie, oznaczały, że romantyczny etap ich związku się skończył.

– Ale ożenisz się ze mną? – zapytała Sylwia, bo doszła do wniosku, że ona również powinna zacząć myśleć praktycznie.



Ich życie się zmieniło. W zawrotnym tempie wkraczali w dorosłość, dzięki pomocy rodziców Sylwii wcale nie taką trudną. Ruczajowie szybko zorganizowali ślub i wesele dla ukochanej jedynaczki. Michał został magistrem i ojcem prawie w tym samym czasie. Sylwia, choć dużo wysiłku włożyła w zaliczenie pierwszego roku, nie miała nadziei na kontynuowanie studiów. Jednak rodzice zaoferowali daleko idącą pomoc, pod warunkiem że młodzi zamieszkają w Rubiniu. Mama pomagała przy Julce, właściwie wszystkim się zajęła, byleby Sylwia dalej się uczyła, nawet jeśli to będą tylko studia zaoczne. Ojciec załatwił Michałowi pracę. Wyłożył też pieniądze na rozpoczęcie budowy domu przy Różanej. To wszystko sprawiło, że uczucie między Sylwią i Michałem przetrwało.

Czasem bywa, że młodzięcza, nawet bardzo silna miłość mija, zgaszona trudami szarej codzienności. Ale oni mieli siebie, wspaniałe dziecko, śliczny dom, pieniądze i wsparcie najbliższych. Czego więcej można chcieć od życia? Zostali skazani na to, by się kochać i być szczęśliwymi.

Zaczęło się psuć, kiedy Michał rzucił dotychczasową pracę i założył własną firmę. Mieli dużo mniej pieniędzy, a on jeszcze dodatkowo miał też mniej czasu. Sylwia postanowiła wspomóc męża i poszła do pracy. Szybko awansowała, więc kiedy firma Michała zaczęła przynosić oczekiwane zyski, żona odmówiła powrotu na stanowisko gospodyni domowej. Czas, który spędzali razem, nie wiedzieć czemu wypełniały kłótnie i chyba dlatego uznali, że lepiej zrezygnować. Oczywiście można było wszystko naprawić, gdyby Michał odpowiednio wcześniej wyznał żonie, że nie jest szczęśliwy. Tymczasem on, zamiast ratować to, co miał, postanowił spróbować ponownie. Znak czasów, kiedy zamiast zanieść buty do szewca, kupuje się nową parę. A przecież ich małżeństwo nie było chińską, jednorazową podróbką. Dostali certyfikat na wieczność, bo co Bóg złączył... Agata jednak odważyła się to rozłączyć. Młoda i wredna, z takimi zawsze są kłopoty.

Przez nudności, które ktoś kłamliwie nazwał porannymi, a które towarzyszyły Sylwii przez cały dzień, spóźniła się do pracy i nie mogła się skoncentrować. Wciąż wracała myślami do Michała. Życie z nim było łatwe i przyjemne. W ciągu tych ostatnich dni, gdy odwiedzał ją w szpitalu i pomagał w domu, przypominała sobie, jak to dobrze mieć na kogo liczyć. Spędzili trochę czasu na rozmowach, głównie o Julce, bo to bezpieczny temat, który jednakowo interesował ich oboje. Omawiali jej osiągnięcia, plany na przyszłość. Przypominali sobie, jacy byli w jej wieku i później, gdy się w sobie zakochali.

– Dlaczego zepsuliśmy coś tak fajnego? – zapytała.

– Po pierwsze, ty to zepsułaś. Po drugie, mam teraz żonę, a ty oczekujesz dziecka, którego ojcem jest Olgierd, więc nie ma sensu zastanawiać się nad przeszłością. Ruszyliśmy do przodu, obydwójce.

Olgierd! Sylwia źle reagowała na to imię. Teraz wyjęła z szuflady biurka swój terminarz. Wertowała go po raz nie wiadomo już który. Przy dacie każdego spotkania z Olkiem narysowane było małe czerwone serduszko. W dwóch miejscach serduszka były duże i uśmiechnięte. Przewróciła strony. Po nocy spędzonej w hotelu miała miesiączkę. Czarne kropki przez pięć kolejnych dni. Zresztą to nie mogło się wtedy zdarzyć. Olgierd zachował się odpowiedzialnie. Szkoda, że za drugim razem zabrakło mu rozumu, by sięgnąć po gumkę.

Szkoda też, że zabrakło jej rozumu, by pogonić go w diabły, gdy po raz pierwszy pojawił się w jej gabinecie. Znała go od lat i dobrze wiedziała, jaki jest. Można go było porównać do czekoladki z alkoholem. Z pozoru słodczy, w środku trucizna. Sylwia położyła dłoń na brzuchu. Byle tylko dziecko nie odziedziczyło charakteru po ojcu. Najlepiej, żeby niczego po nim nie odziedziczyło. A jeszcze lepiej, żeby to ktoś inny był ojcem. Oczywiście czasu nie da się cofnąć, ale tylko głupcy myślą, że wybory z przeszłości determinują naszą przyszłość. Owszem, zaszła w ciążę z Olgierdem, jednak może wychować to dziecko z kimś szlachetnym i odpowiedzialnym. Z kimś, kto już raz się sprawdził.

Wzięła telefon i wybrała numer.

– Możesz mnie odwiedzić do domu? Okropnie się czuję.

– To nie jest najlepszy moment.

– Mnie to mówisz? Z Julką było tak łatwo, a teraz czuję się tak, jakbym za chwilę miała umrzeć. Ciągle

kręci mi się w głowie. No, ale nie ma problemu, dam sobie radę.

– Będę za kwadrans, okej?

Usatysfakcjonowana Sylwia odłożyła telefon. Była kobietą samotną z dorastającą córką i dzieckiem w drodze. Owszem, miała dobrą pracę, ale redukcje etatów dotyczą wszystkich, również kobiet, które właśnie zostały matkami. Wprawdzie prawo zabraniało takich zwolnień, ale Sylwia wiedziała, że w obecnej rzeczywistości nierzadko dochodziło do podobnych sytuacji. Musiała myśleć o sobie i swoich dzieciach. Sorki, Agata, pomyślała, udało ci się wykorzystać chwilę mojej nieuwagi, ale teraz skoncentrowałam się i odzyskam Michała. Bo jest mi potrzebny. Tobie wystarczy pies.

Teren po obu brzegach Młynówki jest płaski. Zaczyna się ledwo zauważalnie wznosić za domami, które stoją najbliżej rzeki, a w połowie Różanej gwałtownie rusza w górę. Ponieważ domy zasłaniają widok, gdy się stoi na ulicy, trudno to dostrzec. Wystarczy jednak wspiąć się wyżej, do miejsca ponad dachami, by widzieć, jak ukwiecony świat spływa nad rzekę, rozlewa się płasko po brzegach, porośniętych wierzbami o czerwonej korze, zielonymi szuwarami o rybnym zapachu, gdzie mają swoje królestwo najróżniejsze ptaki i owady. Do niedawna ulubioną rozrywką Konstantego było wspinanie się na gałąź orzecha rosnącego przy domu i patrzenie w stronę rzeki tak długo, aż przejmująca tęsknota kazała mu tam biec, przemykać się między szuwarami, podejmować nieudane próby wspinaczki po cienkich gałęziach wierzb w nadziei, że uda mu się złapać ptaka. Nawet nie chodziło o to, by go dopaść. Raczej by stąpać bezszelestnie, zacząć się, w nieskończoność trwać nieruchomo, a potem skoczyć i poczuć całe ciało od uszu po koniuszek ogona. Najlepiej było spudłować, gdyż złapany ptak nie nadawał się ani do zabawy, ani do zjedzenia.

Tak, do niedawna Konstanty bardzo lubił eksplorować zarośla nad rzeką. Niestety, deszczowe dni i powódź, która była ich skutkiem, wszystko popsuky. Znikły szuwary, nawet części zarośli, rosnących najbliżej brzegu, nie było, bo rwąca woda poszerzyła koryto. Kiedy opadła, zostało po niej błoto śmierdzące tak, że trudno było oddychać. Po powodzi Konstanty wybrał się nad rzekę tylko raz. Przygłębiło go to, co tam zobaczył i postanowił nie przychodzić tam aż do przyszłej wiosny, kiedy wszystko wróci do normy. Wtedy znów będzie zielono, a ptaki wrócą do opuszczonych gniazd.

Ponieważ stracił ulubioną rozrywkę, miał teraz dużo wolnego czasu. Wypełniał go wygrzewaniem się na tarasie. Bardzo energetyzujące zajęcie. Jedynym minusem był współłokator, który ciągle się kręcił.

– Konstanty, czy ty musisz leżeć akurat tutaj? – pytał co chwila, bo ten dureń nie wyczuwał żył wodnych. Należało ignorować takie pytania, milcząc z wyższością.

Kot leniwie postanowił obrócić się na drugi bok, by równomiernie nagrzać całe ciało. W czasie zmiany pozycji na moment otworzył oczy i zastygł. Przy furtce stała kobieta, Wanda, już ją znał. Była gruba, brzydka i śmierdziała alkoholem. Ludzie chyba tego nie czuli, ale Konstanty tak i bardzo mu to przeszkadzało. Mógł się gdzieś przespacerować i poczekać, aż ona odejdzie. Jednak z drugiej strony, gdy do jego współłokatora przychodziły kobiety, zawsze robiło się ciekawie. Seweryn sobie z nimi nie radził. Z kotem też sobie nie radził, z życiem sobie nie radził. W zasadzie jedyne, co mu się udało, to ogród.

– Dzień dobry – powiedziała Wanda.

Współłokator, który dopiero teraz się zorientował, że ma gościa, odłożył pazurki na ziemię, z wierzchu suchą już, ale wewnątrz wciąż pełną życiodajnej wilgoci.

– Jak miło. Wejdz, napijesz się czegoś?

Zawahała się chwilę.

– Szklanka wody będzie okej. Gorąco dziś.

– Taki piękny letni dzień. Aż trudno uwierzyć w to, co tu się stało – powiedział Seweryn, prowadząc gościa na taras. – To mój bohater. – Wskazał na Konstantego, który z aprobatą poruszył ogonem. Któż

z nas nie lubi być docenianym.

– Pamiętam ten ogród, kiedy zajmowała się nim twoja mama. Wyglądał inaczej – zauważyła Wanda, siadając na wiklinowym fotelu. Mebel jęknął.

– To prawda. Mama po prostu siała kwiaty. Ja realizuję pewną koncepcję.

– Miałaś szczęście, że powódź jej nie zniszczyła.

– To nie kwestia szczęścia, tylko ukształtowania terenu. I wyboru, którego dokonali moi rodzice, kupując tę działkę. Twój dziadek uciekł od ludzi nad samą rzekę. To nie było mądre.

Wanda odstawiła pustą szklanekę na stolik.

– Mój dziadek nie był mądrym człowiekiem.

Zapadła cisza. Zaintrygowany Konstanty wodził wzrokiem po twarzach obojga, usiłując wyczytać z nich to, o czym myśleli.

Wanda ponownie wzięła szklanekę ze stolika i bawiła się, obracając ją w dłoniach. Słoneczne promienie, załamane w szkle, odbijały się i spadały na taras jako jasne, drgające plamki. Trzeba było ogromnej siły woli, by nie wstać i nie zacząć ich gonić.

– Dostrzegam w tym wszystkim pewną ironię – powiedziała. – Przez tyle lat nie potrafiłam pozbyć się domu i wszystkich zgromadzonych tam rzeczy. Kiedy wróciłam, nawet nie zdjęłam jego portretów ze ścian. A tymczasem woda w kilka godzin uporała się z tym, czego ja nie potrafiłam zrobić całe życie.

– Przypuszczam, że wodzie było łatwiej, bo nie ma wspomnień.

Wanda roześmiała się, jakby ją rozbawił, ale tak naprawdę była bardzo smutna. Konstanty to czuł.

– To na pozbyciu się wspomnień najbardziej mi zależało – wyznała i wreszcie odstawiła szklanekę. Konstanty położył głowę na posadzce i przymrużył oczy.

– Co zamierzasz teraz zrobić?

Poruszyła głową, jakby chciała odgonić naprzykrzającego się owada.

– Nie wiem. Kiedy tu przyjechałam, miałam pewien plan, ale uległ zmianie i teraz sytuacja wygląda tak, że mam ponad pięćdziesiąt lat i żadnej recepty na resztę życia.

– Wiem coś o tym. Nie wierzysz mi? Wiesz, zająłem się mamą po śmierci ojca. Nie mam do nikogo pretensji, to był mój synowski obowiązek, tak należało zrobić. Kiedy zmarła, byłem jeszcze na tyle młody, że mogłem założyć rodzinę. Wtedy w moim życiu pojawiła się Janina i nadzieja, że wkrótce będziemy razem. Teraz jestem na tyle rozsądny, by wiedzieć, że to nigdy nie nastąpi. I na tyle stary, by nie mieć złudzeń, że trafi się ktoś jeszcze. Idiota ze mnie. Wstyd mi. Tyle lat grałem komedię, opowiadałem o kobietach w moim życiu, flirtach, podbojach. A tak naprawdę czekałem.

– Trochę inaczej opowiedziałeś mi tę historię, gdy spotkaliśmy się po moim powrocie.

– Miałem się przyznać do życiowej klęski i samotności kobiecie, której nie widziałem trzydzieści lat? A ty opowiadasz wszystkim, dlaczego kiedyś wyjechałaś, a teraz wróciłaś?

– To co innego. Nie muszę się przyznawać do czegoś, o czym wszyscy wiedzą.

Słońce, które powoli przesunęło się po niebie, świeciło teraz Sewerynowi w oczy, dlatego przesunął krzesło. Jego cień padł na Konstantego, który natychmiast wstał i zrobiwszy kilka dystyngowanych kroków, położył się na środku tarasu w miejscu tak rozgrzanym, że prawie parzyło skórę. Cóż za nieziemską przyjemność.

– Rozejrzyj się po ulicy. Wokoło nowi ludzie, których nie obchodzą sprawy sprzed lat. Ty o tym wiesz, ja trochę wiem, bo mi powiedziałaś. Janiny to by nie zainteresowało, a Marysia zawsze żyła w swoim świecie. Poza tym nikt nic nie wie. – Po chwili zastanowienia dodał: – Leokadia może pamiętać tę sytuację, ale ona nic po sobie nie pokaże.

– To prawda. Wiele bym dała, żeby się dowiedzieć, o czym ona myśli. Mieszkanie z nią to prawdziwy koszmar. Teresa uciekła, a ja ledwo wytrzymuję.

– Może chciałabyś zamieszkać u mnie?

Konstanty aż prychnął oburzony tą propozycją. Sam współlokator był wystarczającym problemem,

a szwendająca się po domu gruba baba byłaby nie do zniesienia.

– Dzięki, ale raczej nie. Kiedyś nie wyszło nam wspólne życie i nie należy mieć złudzeń, że dziś byłoby inaczej.

Kot odetchnął z ulgą. Ta kobieta była mądrzejsza, niż mogłoby się wydawać.

– Marysi bardzo zależy, żebyśmy wyremontowały mój dom. Spodobało jej się mieszkanie bez matki i chciałaby tam jak najszybciej wrócić. Myślę, że powinnam pozwolić jej to zrobić. Potem... po prostu zobaczę.

Wstała i ruszyła do furki. Współlokator szedł za nią. Konstanty przez moment rozważał, czy nie zmienić miejsca, ale tu, na słońcu, było tak dobrze, że nawet łapą nie chciało się ruszyć. Zresztą tamci już skończyli rozmawiać.

– Skaranie z tym kotem! Czy ty musisz leżeć właśnie pod nogami? – Seweryn, zamiast grzecznie go ominąć, zrobił krok nad Konstantym.

Poszedł do domu, mamrocząc pod nosem coś o samotności. Ale to chyba dotyczyło kobiety. Bo czyż ktoś, kto ma za współlokatora stworzenie tak inteligentne i wybitne, jak on, Konstanty, może odczuwać samotność?

Drewniany stół na koziołkach wyglądał na bardzo solidny. To była taka rzecz, którą mógł zrobić pradziadek, a wnuk, stawiając na nim kufel chłodnego piwa, powinien powiedzieć: „Ten stół jest w naszej rodzinie od pokoleń”. Niestety, zamiast tego spytał:

– Janusz, masz podkładkę pod tę szklanekę? Nie chcę, żeby mi się ślady zrobiły – bo jest okropnym pedantem.

Krupski sapnął i wrócił do kuchni. Szukanie tekturowych podkładek zajęło mu chwilę. Piwo w tym czasie zdążyło się ogrzać. Z wyrzutem popatrzył przez okno na pogrążonego w pracy Tadeusza, który wycinał jakieś badyle. Przez to umiłowanie porządku Jezierskiego będzie zmuszony pić ciepłe piwo, a nie ma nic gorszego... A tam, zaraz zmuszony. Janusz wyjął z szafki drugi kufel, nalał do niego piwa prosto z lodówki, tak zimnego, że na szkle natychmiast utworzyła się warstwa szronu. Włożył do tylnej kieszeni spodni dwie podkładki, wziął oba kufle i wyszedł do ogrodu.

– Przerwa dobrze ci robi. Chodź, napijesz się! – zawołał Tadeusza i uważając, by nie pomylić kufli, postawił je na stole.

Jezierski odłożył sekator i usiadł naprzeciw Janusza.

– Dawno razem nie piliśmy – zauważył.

– Wiesz, jak to jest, gorycz piwa dobra, a gorycz stosunków międzyludzkich zła.

– I to niby moja wina?

Janusz podniósł kufel do ust. Piwo było idealnie zimne, smakowało chmielem, jęczmieniem i wolnością.

– Ty nie tyle martwisz się o chłopaka, ile szukasz odpowiedzi. Dlatego, jak mówię, że jest cały, zdrowy, najedzony i śpi w łóżku z prześcieradłem, to ci nie wystarcza. Chcesz go zobaczyć czy też zapytać, dlaczego uciekł?

Milczenie, które dostał w odpowiedzi, potwierdziło, że pytanie było retoryczne.

– A widzisz. Masz do mnie żal, okej. Przejdzie ci. Ja miałem swój, jak Marta była nieprzytomna. Wtedy bym was, Jezierskich, wszystkich pozabijał. A dziś byłem w szpitalu i widziałem ją z Olgierdem, taką szczęśliwą. Tak sobie pomyślałem, że może to było potrzebne, by oni w końcu znaleźli swoją drogę. I nie mam już żalu.

– Miałem zamiar pozwać Brzozowską za to, co zrobiła. Olgierd nie chciał, ale się upierałem. Parę dni temu wydawało mi się, że byłoby to jedynie słuszne i sprawiedliwe.

– A dziś?

– Opada woda, opadają emocje, ale ostatecznej decyzji jeszcze nie podjąłem.

Janusz zajął się kufem. Były tam dwa, może trzy ostatnie łyki, ale gaz już się ulotnił, a na dodatek trunek był ciepły. Po chwili zastanowienia wylał go na trawnik.

– Oj! – Tadeusz spojrział na niego z wyrzutem.

– Janina podlewała ogródek piwem.

– Ogródek, nie trawnik. Niektóre rośliny...

Ostatnie, na co Janusz miałby ochotę, to wykład o uprawie kwiatów. Przerwał więc Jezierskiemu pytaniem, czy ma ochotę na dolewkę, i poszedł do kuchni. Ledwo zdążył otworzyć lodówkę, gdy pozostawiony na ogrodowym stole telefon zagrał motyw z *Crime Story* i Tadek zaczął krzyczeć, że komórka dzwoni.

– Przecież słyszę, nie jestem głuchy.

Jednak telefon zamilkł, gdy Janusz był w połowie drogi. Przez chwilę wpatrywał się w wyświetlacz, jakby próbował sobie przypomnieć, czyj to numer, w końcu zdecydował się oddzwonić.

Gdy odkładał telefon na stół, Tadeusz, który cały czas uważnie przyglądał się swojemu lokatorowi, zapytał, czy wszystko w porządku. Oczywiście uzyskał odpowiedź twierdzącą i nie drażył, choć obaj dobrze wiedzieli, że nie było w porządku, bo to, co usłyszał Janusz, sprawiło, że milczał i już nie pił piwa. A kiedy Tadeusz stwierdził, że czas wracać do pracy, zerwał się, powiedział, że musi zadzwonić do Mateusza, i pobiegł do domu.

Syn powitał go zapewnieniem, że wszyscy zdrowi, a nawet wyjątkowo również trzeźwi.

– Wkrótce to się zmieni – z goryczą zauważył Janusz.

– Dziś nie. Dziś mamy wieczór gier i wolimy zachować jasne umysły.

Janusz przez chwilę się zastanawiał, czy na pewno powinien podzielić się z synem tym, czego się dowiedział. Westchnął.

– Zbyszek Domański nie żyje. – Najprostsze słowa zawsze są najlepsze.

– Szkoda. Nie to, że bym go lubił, nawet go nie znałem i zdaje się, że kradł, ale w zasadzie szkoda faceta. To serce, tak? Bo mówiłeś, że był w szpitalu.

– Był w szpitalu, ale wrócił do więzienia i to nie było serce, tylko kosa.

– Poważnie? Za co?

– Nie wiadomo. Był spokojny, nikomu nie wadził, z nikim nie miał zatargów. Czas pokaże, o co poszło. A może nigdy się nie dowiemy, wiesz, jak jest. No w każdym razie chciałem, żebyś wiedział.

– Dzięki.

– Powiesz...?

W słuchawce trzasnęło i Janusz myślał, że syn się rozłączył. Nie, to tylko zakłócenie sygnału, bo po chwili Mateusz znów się odezwał.

– Na razie nie. Zobaczymy, jak się sprawy potoczą. On i tak jest wystarczająco skołowany. Nie trzeba mu jeszcze takich wiadomości.

– Może trzeba? Głupi, rozpieszczony bachor. Tadek powinien zwracać uwagę na jego zachowanie i w odpowiednim momencie...

– Wziąć pas i spruć go na kwaśne jabłko? – wszedł mu w słowo Mateusz.

Janusz poczuł, jak zaciskają mu się szczęki.

– Nie mam żalu, jeśli o to chciałbyś zapytać – kontynuował syn. – Z perspektywy czasu nawet wydaje mi się to zabawne. Wiesz, ja dojrzywałem i całkiem odbiło mi na punkcie mojej męskości. Miałem zeszyt, w którym zapisywałem długość i obwód. Nie tylko ja, takie rzeczy były normalne u nas w szkole. Sprawdzaliśmy, kto ma większego. Pewnie za twoich czasów młodzież nie miała takich rozrywek. Kidżej był trochę wstydliwy, nie chciał, żebyśmy się porównywali, ale wypił piwo i zmienił zdanie. Na to wszedłeś ty i kończy się tu ta miła retrospekcja. A chciałem ci przez to powiedzieć, że jestem sto procent macho, gdy tymczasem mój ojciec wyprowadził się od matki, by mieszkać z innym facetem, więc...

– Pieprz się, gnoju!

– Cóż za urocza rozmowa ojca z synem, prawda?

Janusza zaskoczył fakt, że woli prowadzić takie rozmowy, niż nie prowadzić ich w ogóle. Istniała szansa, że wyprostują to, co między nimi pokręcone, kiedy będą do siebie mówili i słuchali się nawzajem. Naprawa relacji nigdy nie odbywa się w ciszy.

– Jest jeszcze jedna sprawa. Słuchaj, może rozważyłbyś przeniesienie do Rubinia? – zapytał nieśmiało. Syn w niecenzuralnych słowach ustosunkował się do tego pomysłu. – Wiesz, matka by się ucieszyła. Marta... no, wygląda na to, że pogodziła się z Olgierdem. Przydałoby im się trochę spokoju.

– Lepiej, żeby matka marnowała moje życie niż Martusi?

– Zaraz marnowała. Matka się o was troszczy.

Mateusz, ubawiony tymi słowami, roześmiał się głośno.

– Pomyślę o tym – zapewnił.

Janusz jeszcze przez chwilę trzymał telefon. Patrzył przez okno na zgarbionego Tadeusza, który grzebał w ziemi. Czy najgorsze już na niego spadło, czy dopiero nadejdzie? – zastanawiał się. Szkoda mu było przyjaciela. Nagle przypomniał sobie durną insynuację Mateusza. Idiota! Zaklął ze złości. Nikt, nikt na świecie nie potrafił go zdenerwować tak jak własny syn.

Wieczór jakby wiedział, jak ciężki był poprzedzający go dzień, postanowił więc uprzyjemnić ludziom życie. Był ciepły i rześki jednocześnie. Słońce zatrzymało się nad zachodnim horyzontem, jak gdyby jeszcze nie chciało się za nim schować. Jego długie promienie złociły wszystko i w tej chwili ogród Leokadii wyglądał precudnie. Jego właścicielka usiadła na fotelu. W dłoniach trzymała wielki, kamionkowy kubek wypełniony naparem z melisy. Zabawne, pomyślała, jak zaskakujące są zmiany, jakie zachodzą w człowieku na starość. Na przykład kłopoty ze snem, które pojawiły się pięć lat temu. Leokadia polubiła wieczorny rytuał związany z parzeniem i pićm ziół, mimo że wiele nie pomagały. Dużo lepiej sprawdzała się literatura, zwłaszcza klasycy prozy rosyjskiej. Dwadzieścia stron Tołstoja i już drzemała, przy Dostojewskim jeszcze szybciej. Zwłaszcza *Biesy* w cudowny sposób ją usypiały. Obdarzyła leżący na stoliku tom pełnym wyrzutu spojrzeniem. *Doktor Żywago* nie sprawdził się w leczniczej roli. Zainteresował Leokadię, wciągnęły ją splątane losy bohaterów, a opisy przyrody zrobiły duże wrażenie.

„Och, jak chciałoby się czasem uciec od tej bezsensownej nudy ludzkiego gadulstwa, od tych górnolotnych wyrażen, schronić się wśród przyrody tak cichej albo pogrążyć się w ciężkiej pracy...”. Gdy czytała te słowa, czuła, jakby zostały zaczerpnięte z jej duszy. To było niezwykle doświadczenie – czuć i myśleć jak inny człowiek. Wobec tego porozumienia fakt, że ją i autora dzielił czas, przestrzeń, płeć, narodowość, język, nie miał znaczenia. Leokadia czuła się pisarzem i bohaterem książki jednocześnie.

„Okazało się więc, że tylko życie podobne do życia wokół nas, przenikające się równomiernie, jest życiem prawdziwym, i że szczęście, którym się nie dzieli, nie jest szczęściem”. To prawda, nie znalazłaby się w jej życiu ani jedna radosna chwila, w której nie pomyślałaby o mężu i o tym, o ile lepsze byłoby to wszystko, gdyby stał obok. Z czasem nauczyła się żyć samotnie i być szczęśliwą. To możliwe, choć trudne. Niedawno pojawiła się Marta i Leokadia przestała tęsknić za Konradem.

Słońce stoczyło się już na zachód i teraz stało czerwone na linii horyzontu. Dawało mało światła, litery zaczęły się zamazywać. Leokadia z żalem zamknęła książkę i dopiła zimny napar.

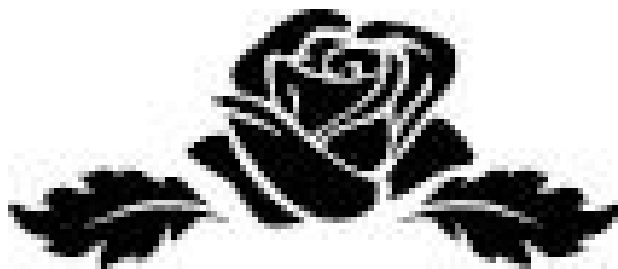
Zrobiło się chłodniej. Teraz w wieczornym powietrzu dawało się wyczuć wilgotną zgniliznę. Ziemia nad rzeką wciąż śmierdziała po niedawnej katastrofie. Mimo to Leokadia nie chciała jeszcze wracać do domu. Przytuliwszy do siebie książkę, serdecznego przyjaciela, rozmyślała.

Jeszcze dwa tygodnie temu siedziała tu, czekając na powrót Marty, która wyszła biegać. Było nawet cieplej i zdecydowanie mniej komarów brzęczało nad głową. Wtedy nic nie zapowiadało katastrofy. No bo w życiu nigdy nic nie zapowiada katastrofy. Leokadia westchnęła, wspominając powódź. To był dla wszystkich czas zjednoczenia, jednak już tak jakoś z nami jest, że nie potrafimy wyciągać wniosków ani

długo wytrwać w jedności. Maria i Janina, które wtedy obejmowały się jak siostry, dziś znów patrzą na siebie wilkiem. Jakby Janusz Krupski był wart, by poświęcić dla niego łączącą je tyle lat przyjaźń. Agata wyszła zła od Karoliny. Pewnie tamta już zapomniała, kto tamtej nocy ratował ją i dzieci. Tak to już między ludźmi bywa.

Nie wszystko jednak źle się potoczyło. Olgierd siedzi teraz przy łóżku Marty, a dziewczyna promienieje. Jest tak, jak Leokadia sobie wymarzyła.

– I dlatego trzeba być czujną – powiedziała do siebie. – Bo katastrofa przychodzi niezapowiedziana.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

### Róża Leda

*Róża Leda to historyczna róża krzewiasta o rodowodzie sięgającym początku dziewiętnastego wieku. Ma pokrój szeroki, krzaczasty, osiąga półtora metra wysokości i świetnie sprawdza się w naturalnych ogrodach oraz jako róża żywopłotowa. Czerwone, kuliste pąki zmieniają się w szerokie kwiaty o miseczkowatym kształcie, z dobrze widocznym oczkiem. Płatki są krótkie, białe z karminowym brzegiem, i ładnie kontrastują z ciemną zielenią matowych liści. Róża ta nie powtarza kwitnienia. Rekompensuje to jednak ciekawą barwą kwiatów, upajająco słodkim zapachem, dużą odpornością na upały, mrozy i deszcz. Początkujący hodowca bez trudu sobie z nią poradzi.*

*Kochana moja Tereniu!*

*Kiedy będziesz czytać ten list, mnie już nie będzie. Pewnie płaczesz, pewnie się obwiniasz, najdroższa. Nie rób tego. Wszystko, co się stało, to moja wina. Tylko głupiec może myśleć, że ścieżka zła doprowadzi go do czegoś dobrego.*

*Koledzy z celi (Cóż za ironia, prawda? Kiedyś miałem kolegów od brydża, dziś kumpli z ancla) twierdzą filozoficznie, że miłość to dziwka. Milczę, gdy tak mówią, choć nie zgadzam się z nimi. Miłość bywa egoistyczna, głupia i wredna, ale ma też lepsze momenty. Prawdziwą dziwką jest władza. Trudno uwierzyć, co robi z człowiekiem. Dzieje się to powoli i ciągle, do samego końca masz wrażenie, że nad tym panujesz. Tak naprawdę jednak nie jesteś w stanie zapanować nad chorobą, która się rozwija w twoim mózgu.*

*Nie chcę o tym pisać w ostatnim liście, ale muszę, bo inaczej możesz nie zrozumieć tego wszystkiego, co się stało. Kiedy przestałaś mnie odwiedzać w więzieniu, uznałem, że przyczyną jest smutek z powodu sytuacji, w jakiej się znalazłem. Jest jej żal, nie może na to patrzeć – tak sobie tłumaczyłem. Tymczasem to była złość. Miałaś pretensję, wściekłaś się na mnie. I słusznie. Źle się jednak stało, że nie powiedziałaś mi o tym. Odłożyłem pewne środki, które pomogłyby ci przetrwać. Wrócę jeszcze do tego pod koniec listu. Teraz chcę pisać o czymś innym. O nas.*

*Pamiętasz, jak się poznaliśmy? To był najpiękniejszy dzień mojego życia. Ja – taki młody, szalony i pełen ideałów i ty, tak doskonale zrównoważona. I taka piękna. Nigdy wcześniej ani nigdy później nie widziałem tak ślicznej dziewczyny. A pamiętasz naszą podróż poślubną, kiedy to pojechaliśmy do moich dziadków na wieś? Pamiętasz ten letni wieczór i zabawę w remizie? Kurz unosił się z podłogi. Z czterech chłopaków, którzy grali do tańca, tylko jeden miał poczucie rytmu, ale nikomu to nie przeszkadzało. Stałaś w rogu sali i nie mogłem od Ciebie oczu oderwać. Czując mój wzrok, odwróciłaś się i delikatnie uśmiechnęłaś. Pomyślałem: Oto moja żona, i porwałem Cię do tańca tak szalonego, że świat zawirował. Pamiętasz ten wieczór, gdy szłaś polną drogą między łąkami wciąż jeszcze lekko*



zielonej pszenicy? Pamiętasz kwiaty w zbożu? Zauważyłaś, że teraz prawie ich się nie widuje? Ale wtedy było pełno chabrów, maczków, rumianków i kąkoli. Zaczęłam je zrywać, chaotycznie, część powyrywałam z korzeniami. Ogromnie mnie rozczuliło, że tydzień później te kwiaty wciąż stały w wazoniku na komodzie. To były zwykłe polne chwasty, a Ty ich nie wyrzuciłaś, bo podobnie jak ja czułaś, że to, co nas łączy, jest niezwykle. A wtedy, jak się spotkaliśmy u Jadzi, powiedziałaś, że wychodzisz, bo następnego dnia musisz być w pracy. Pracowałaś w niedzielny ranek. Pomyślałem wtedy, że muszę tak wybrać drogę życiową, żebyś nie musiała wstawać o czwartej. Udało mi się, prawda? Żyłaś jak w cudownym śnie, bez zmartwień i trosk. Spełniałem Twoje zachcianki i marzenia, jeszcze zanim zdążyłaś o nich pomyśleć. I gdyby tak było, gdybym koncentrował się tylko na uszczęśliwianiu Ciebie, nic złego by nas nie spotkało. Siedziałbym dziś na ławeczce przed domem i patrzył na Ciebie, jak ścinasz róże.

Niestety, postanowiłem posłuchać głosu swojego egoizmu, który radził, by się samorealizować, by do czegoś dojść, mieć ambicje. Gdybyż to dotyczyło ogrodu albo wędkarstwa. Ale nie, postanowiłem się realizować w polityce. Widziałem tych, co się zeszmacili przede mną, ale wmówiłem sobie, że ja jestem inny. No i byłem – do momentu wzięcia pierwszej łapówki. Nic wielkiego, przetarg na drogę dojazdową do osiedla. Niby dlaczego ma to robić firma z Wrocławia, skoro może nasz rubiński przedsiębiorca? Owszem, weźmie trochę więcej, ale to u nas płaci podatki, naszych ludzi zatrudnia, w naszych sklepach wyda zarobione pieniądze. Zawsze, kiedy tego chcesz, znajdziesz jasne strony sytuacji. Sztuka polega na tym, żeby to były naprawdę jasne strony, a nie wymyślone po to, by nie widzieć tych ciemnych. Jak jakiś idiota oszukiwałem siebie na wszystkie możliwe sposoby. Oszukiwałem też Ciebie, gdy wracałem do domu i mówiłem, że wszystko w porządku. Tak naprawdę byłem uzależniony od władzy i pieniędzy. Zarabiałem tyle, że wystarczało nam na ekskluzywne życie. Tych nielegalnych pieniędzy nawet nie można było wydać, ale myślenie o nich sprawiało, że czułem potrzebę zdobywania więcej. Wiesz, na naszą wspólną przyszłość. Na tę przyszłość, której nie będzie.

Jedyna pociecha jest taka, że razem z pieniędzmi z polisy stanowiąc to będzie kwotę, dzięki której dasz sobie radę.

Oczywiście rozważałem powrót do domu. Powołując się na mój ciężki stan zdrowia, prawnik mógł mnie z tego wyciągnąć. Dobry prawnik, oczywiście, a nie taki idiota jak młody Jezierski. Wybacz, ukochana, ale to nie był najlepszy pomysł zatrudnić właśnie jego. To nie tak, żebym od razu oczekiwał cudu, ale jak mawiają koledzy z celi, „dobry papuga to dobry papuga, a kiepskiego niech szlag trafi”. Czego i ja Jezierskim życzę. Rozmawiałem z lekarzem, powiedział, że jeśli będę uważał, odpowiednio się odżywiał, unikał stresów, to mogę jeszcze trochę pożyć. Optymizm to zawodowa przywara lekarzy. Ja podszedłem do tego racjonalnie i pomyślałem, że lepiej wcześniej niż później. Lepsza śmierć niż życie po wylewie.

Raczej nie obejdzie się bez śledztwa i ktoś zjawi się u Ciebie z pytaniem, czy miałem wrogów albo kto mógł mi to zrobić. Dla swojego dobra nic nie mów. Wiedzą, jak wyglądały ostatnio nasze relacje, uwierzą więc, że nic nie wiesz.

Pamiętasz te piękne szachy, które kupiłaś mi na pięćdziesiąte urodziny? Mam nadzieję, że ich nie wyrzuciłaś, bo właśnie tam trzymam klucz od skrytki depozytowej. Gdy to wszystko się uspokoi, będziesz mogła korzystać z tego, co uzbierałem.

To, co zamierzam zrobić, będąc głupim, jest jednocześnie najlepszym rozwiązaniem. Miałem dużo czasu, by wszystko sobie przemyśleć, poukładać, pogodzić się z konsekwencjami. Żał mi opuszczać Ciebie, bo tak ogromnie, bezgranicznie Cię kocham, wiem jednak, że beze mnie będzie Ci lepiej. Cokolwiek mówić, pieniądze wiele ułatwiają.

Gdybyś nie mogła sobie poradzić, wiem, że możesz, ale różnie w życiu bywa, więc gdybyś nie mogła i potrzebowała pomocy, to Tadeusz Jezierski robi dla Ciebie wszystko. Nienawidzę go i wiem, że Ty też nie najlepiej o nim myślisz, może się jednak zdarzyć, że będziesz potrzebowała wsparcia. Jednak przez

wzgląd na mnie postaraj się z tego nie korzystać, chyba że w ostateczności.

*I nie martw się, kochana. Wszystko Ci wybaczam. Jakże mogłoby być inaczej? I Ty mi wybac. Byłem głupcem, który nie potrafił docenić swojego szczęścia. Mam jednak nadzieję, że tam, po drugiej stronie, stoi dom, taki jak nasz, Frufru biega po ogrodzie i kwitną Twoje ulubione mieczyki. Tam będą na Ciebie czekał. Tylko się nie śpiesz. Poczekam, ile będzie trzeba.*

*Kocham Cię!  
Twój na zawsze Zbyszek*

Seweryn Starski doszedł do wniosku, że jest idiotą. To było odkrycie smutne i inspirujące zarazem. Nazywał siebie różnymi określeniami męskiego przyrodzenia, bo miało to bardzo oczyszczające działanie, i myślał o tym, co zrobił, czego nie zrobił i co zrobić powinien.

Niedawna rozmowa z Wandą tak na niego wpłynęła. Po jej wyjściu niechętnie odwrócił wzrok i spojrzał w swoją przeszłość. Nie miał złego życia, to musiał sprawiedliwie przyznać. Jednak szczęśliwy bywał tylko chwilami. W większości były to te chwile, które spędził z Janiną. Dlaczego miał ich tak mało?

Seweryn pochylił się z troską nad donicą, w której rosły białe pelargonie. Nie zauważył, że spora część kwiatów przekwitła, zmieniając się w podobne do ptasich dziobów nasienniki. Jeśli pragnie się obfitego kwitnienia, nie można pozwolić roślinie, by wytworzyła nasiona, bo to tak, jakby odebrać jej motywację do tworzenia kwiatów. Wyjął z kieszeni mały sekator i zabrał się do porządków w donicy. Potem musi sprawdzić begonie i surfinie, których ozdobne girlandy zwisały z doniczek na tarasie. Piękne kwiaty, należało jednak pamiętać, by znajdowały się pod dachem. Zbyt dużo słońca szkodziło im równie mocno, jak zbyt wiele deszczu. Do nich też trzeba zajrzeć.

Próbował zrozumieć Janinę. Była kobietą, miała męża, dzieci i zasady z czasów, gdy do relacji damsko-męskich przykładano inną miarę. Ale świat się zmienił. Dziś rozwód jest zjawiskiem powszechnym. Komuś może się to nie podobać, może psioczyć na brak szacunku dla wartości rodzinnych. Tylko zapytajcie o zdanie tych, którzy z własnej głupoty utknęli w małżeństwie z niewłaściwą osobą.

To właśnie powinna zrobić Janina – rozwieść się z Januszem. Nie ma już wymówek w postaci dzieci. Nie dość, że są dorosłe, to córka zaliczyła już rozpad małżeństwa. Matka powinna wziąć z niej przykład. Gdy się wali, trzeba od razu pędzić do wyjścia ewakuacyjnego, zamiast stać i się zastanawiać, czy jest szansa, by cokolwiek ocalić.

Próbował zrozumieć siebie. Janina poświęcała się dla rodziny. A dla kogo on się poświęcał? Dlaczego tak łatwo zgodził się na układ, w którym był tym trzecim? Raczej bywał, bo ich romans nie trwał przez lata, stanowił raczej wiele epizodów, które zdarzały się wtedy, gdy ona go potrzebowała. Seweryn zaś w chwilach, gdy potrzebował wsparcia, mógł liczyć tylko na siebie.

Jeśli wziąć pod uwagę fakt, że przeżył już większą część swojego życia i mógł liczyć jeszcze najwyżej na dekadę dobrego zdrowia, należało coś zrobić.

Nie może przecież siedzieć i w samotności czekać na śmierć. Pożegna się z Janiną i ruszy przed siebie. Może spotka kogoś, z kim spędzi tę przeszłość, która mu została.

Olgierd patrzył na Leokadię, która z trudem pochylała się nad grządką. Babcia zawsze wydawała mu się stara, a przecież gdy przyszedł na świat, była niewiele starsza niż on teraz. Zawsze też uważał ją za groźną. Jej spojrzenie, ton, którym wypowiadała swoje bezkompromisowe poglądy, pełne siły fizycznej ruchy i pewność siebie w zachowaniu sprawiały, że jako mały chłopiec czuł przed nią ogromny respekt. Nie bał się jej, bo nie była złą kobietą, ale brakło mu odwagi, by wdrapać się jej na kolana czy opowiedzieć głupi dowcip. Być może ten szacunek dla babci był powodem, dlaczego nigdy jej nie

okłamał.

– Czy teraz nie powinnaś już tylko cieszyć się kwiatami?

Na jego widok oczy Leokadii rozblęły. Wiedział, że ucieszyła się z tych odwiedzin.

– Tylko taki ogród, którego ogrodnik ciągle dogląda, ma szansę rozkwitać i trwać. Z relacjami międzyludzkimi jest podobnie.

Olgierd, biorąc te słowa za przytyk, posłał jej przepaszający uśmiech.

– Nie miałam na myśli nas, mój chłopcze. Jesteś moim wnukiem i kocham cię absolutnie. Miałam na myśli ciebie i Martę.

Nie zważając na to, że deptał jakieś rośliny, przeszedł przez grządki i stanął obok Leokadii. Z bliska wyglądała naprawdę staro. Miała pomarszczoną skórę wokół oczu i ust, nawet policzki nie pozostały gładkie, a szyja wyglądała jak owinięta siecią rybacką. Tu i ówdzie pojawiły się ciemniejsze plamy. Na twarzy mniej, za to ręce były nimi upstrzone. Palce odkształciły się przez te lata ciężkiej pracy i wyglądały teraz jak ptasie szpony, a ziemia za paznokciem potęgowała to wrażenie. Ów obraz starości nie był dla Olgierda brzydki, wręcz przeciwnie, widział w nim dostojne piękno i bezbronność jednocześnie. To go ośmieliło i przytulił babkę.

– Też cię kocham – wyznał.

– Patrz, gdzie stajesz. Podepczesz mi cebulki – fuknęła, zawstydzona tym wybuchem czułości. – Pomógłbyś lepiej.

Olgierd poczuł, jak kąciki jego ust wędrują ku górze. Posłusznie pochylił się nad grządka.

– To co mam robić?

– Wybieraj cebulki. – Leokadia z zadowoleniem wyprostowała plecy. – Nie wiesz, co to cebulki?

Olgierd bezradnie rozłożył ręce. Jego dotychczasowe spotkania z ogrodnictwem ograniczały się do zrywania kwiatów. Przeważnie na klombach miejskich, zwykle nocami i zawsze dla Marty. Uznał, że babcia nie musi o tym wiedzieć. Grzecznie poprosił o wytyczne i postępując zgodnie ze wskazówkami, wyjmował z ziemi wilgotne bryłki, które po oczyszczeniu okazywały się niewielkimi cebulkami. Układał je w drewnianej skrzynce, dziwiąc się, jak dużo ich jest.

– Te największe to hiacynty. Po kolorze cebulki widać, jaki będzie kwiat. Najbardziej lubię różowe. Miałam bardzo dużo białych, ale w zeszłym roku podarowałam część Sewerynowi do jego monochromatycznego ogrodu. Te podobne do łez to cebulki tulipanów. Są jeszcze szafirki, przebiśniegi, krokusy i narcyzy. A największe żonkili.

– Takie żółte to na Wielkanoc, prawda? – Ucieszyło go, że może się pochwalić wiedzą. Leokadia skinęła głową; widać było, że myśli staruszki gdzieś odpłynęły.

– Twoja mama uwielbiała żonkile – powiedziała. – Sama za nimi nie przepadam, ale sadzę je co roku ze względu na nią. To była niezwykła kobieta.

Olgierd miał w pamięci pudełeczko, w którym przechowywał najcenniejszy skarb – wspomnienia o mamie. Niektóre były wyraźne jak film w HD, inne wyblakłe niczym stare fotografie. Czasem były to długie ciągi wydarzeń, czasem strzęp rozmowy czy jeden zamazany uśmiech. Zaglądał tam często, ale mówił o matce rzadko.

– Nie ma dnia, żebym o niej choć przez chwilę nie pomyślała – kontynuowała Leokadia. – Twój ojciec dokonał słusznego wyboru. – Umilkła na chwilę. – Ty również. Marta jest mądrą i dobrą kobietą. Udowodniła też, że jest bardzo odważna.

– Nie musisz mi tego mówić.

– Muszę. Kolejnej szansy nie dostaniesz.

– Myślisz, że nie wiem?

Podniósł skrzynkę z ziemi, a Leokadia dała mu znak wzrokiem, że należy zanieść cebulki do garażu. Była to osobna budowla z czerwonych cegieł, postawiona na końcu podjazdu. Nigdy, nawet na chwilę, nie wjechał tu żaden samochód. Służyła za skład narzędzi ogrodniczych. W dzieciństwie Olgierd lubił

tutaj przesiadywać, wyobrażał sobie, że to jego zamek. Tyle lat, a tu wciąż tak samo pachniało, wilgocią i ziemią, ale przyjemnie, rześko, nie tak jak czasem w starych budowlach – stęchłą i grzybem.

Postawił skrzynkę pod ścianą. Wracając do babci, zastanawiał się, co jej powiedzieć. Marta nazajutrz miała opuścić szpital. Upierała się, że wróci tu, a nie do własnego domu, co złościło jej matkę. Janinie nie podobał się również pomysł wyjazdu, ale to była kwestia niepodlegająca dyskusji – Marta potrzebowała rehabilitacji. Olgierd wmawiał sobie, że to jedyny powód, dla którego chce wywieźć żonę z Rubinia. Jednak sam sobie nie wierzył. Nie chciał, żeby Marta dowiedziała się o ciąży Sylwii, jeszcze nie teraz. Przyjdzie dzień, kiedy będzie gotowa wysłuchać tej historii, kiedy będzie się z niej śmiała. Tylko trzeba trochę czasu, by ich relacje się ułożyły.

– Zrobię wszystko, żeby była szczęśliwa. Kocham ją – wyznał.

Leokadia popatrzyła na niego tym swoim przenikliwym spojrzeniem, które było jak rentgen duszy, i zaczął się zastanawiać, czy ona wie. Chyba nie. Poza nimi wiedział jeszcze Michał, może Agata, a jeśli ona, to również Karolina, wątpliwe jednak, by ta wieść dotarła do kogoś jeszcze. To nie jest taka informacja, którą pragniesz się dzielić z sąsiadami.

– Naprawdę ją kocham – zapewnił.

– Marta opowiadała mi, co się między wami działo. Nie mogła zrozumieć, dlaczego nie potraficie ze sobą rozmawiać. Mnie się wydaje, że to była twoja wina. Zamiast szczerze powiedzieć, co cię boli, co ci przeszkadza, milczałeś, aż z drobiazgu robił się problem. Musisz jej mówić prawdę.

Olgierd podniósł do ust pomarszczone i brudne od ziemi dłonie babki. Ucałował je z szacunkiem i zapewnił, że będzie z Martą szczerzy. To nie była prawda. Po raz pierwszy w życiu okłamał babkę. Nie miał wyrzutów sumienia, bo to nie było nic wielkiego. Po prostu nie było sensu tłumaczyć Leokadii, że brak szczerości wobec Marty wynika ze szlachetnych pobudek. Olgierd się o nią troszczył. Po prostu.

Michał odłożył telefon na biurko. Jak to śpiewali w Kabarecie Olgi Lipińskiej? Co się polepszy, to się popieprzy? Chyba tak. Na pewno tak, jeśli chodzi o jego sytuację. Jeszcze miesiąc temu był szczęśliwym człowiekiem. Miał śliczną, nową żonę i szczeniaczka. Żona numer jeden, zainteresowana Olkiem Jezierskim, odpuściła i przestała uprzykrzać im życie małymi aktami wandalizmu.

Wszystko szło ku lepszemu, ale wtedy spadł ten cholerny deszcz. Agata uciekła, bo panicznie bała się powodzi, Sylwii odbiło, a Michał, zanim się zorientował, co robi, siedział przy szpitalnym łóżku swojej byłej i nadstawiał ramię, w które mogłaby się wyplakać.

To oczywiście rozwścieczyło Agatę. Wyjechała do matki. Co prawda wróciła, ale tylko dlatego, że matka wkurzała ją bardziej niż mąż. Gdyby nie ustawiczne telefony od Sylwii, pewnie udałoby się unormować sytuację małżeńską. Co prawda Agata mówiła z uśmiechem: „To matka twojej córki i teraz przeżywa trudne chwile. A po to ma się rodzinę, by nas w takiej sytuacji wspierała”. Tak się jednak składało, że staż Michała w związkach z kobietami wynosił w sumie dwadzieścia pięć lat. To wystarczająco dużo czasu, by nawet idiota, a Michał zdecydowanie głupi nie był, nauczył się, że gdy kobieta mówi „tak”, myśli „nie”, gdy mówi „nie”, myśli „nie”, a gdy mówi „tak”, myśli „tak” i gdy mówi „nie” myśli „tak”. Jednym słowem nigdy nie jest tak, jak by się mogło wydawać, słowa czasem znaczą to, co znaczą, choć zwykle coś zupełnie innego. Za owym „pomogaj Sylwii” niewątpliwie kryło się „lub nie, jeśli mnie kochasz”.

Pewnie łatwiej by im było, gdyby wrócili na Różaną. Agata mogłaby się zajmować domem, spacerować z psem, rozmawiać ze znajomymi. Mieszkanie w „przechowalni”, jak żartobliwie nazywali stworzone naprędce lokum na tyłach biura, działało klaustrofobicznie, wyzwalając w obojgu zachowania agresywne. Na próżno każde z nich próbowało zorganizować sobie fragment własnej przestrzeni. Zawsze to drugie znajdowało się za blisko, na linii wzroku, na wyciągnięcie ręki.

Oczywiście Michał mógł się rzucić w wir pracy. Sytuacja, gdy praktycznie rzecz biorąc, mieszkał

we własnym biurze, bardzo to ułatwiała. Niestety, praca była równie skomplikowana, jak życie osobiste. Powódź kazała ludziom zatrzymać się na chwilę i zadumać nad kruchością ludzkiego życia. W takim momencie nikt nie idzie ze zleceniem do firmy informatycznej. Na razie zrobił się zastój. To przekładało się na spadek dochodów, to zaś na kolejne frustracje, bo przecież na Różanej stał dom, który należało wyremontować. I to za swoje, bo gość z ubezpieczenia uznał, że straty są minimalne. Minimalne! Na samo wspomnienie tamtej rozmowy twarz Michała przybierała kolor karmazynowy. Inspektor, którego przysłał ubezpieczyciel, wydawał się miły. Nie służalczo uprzejmy, w stylu przeznaczonym dla klientów, tylko po prostu naprawdę miły. Powiedział, że powódź to okropna sprawa i że nikt, kto tego nie przeżył, nie jest w stanie sobie wyobrazić ogromu strat, które powoduje, a które dają się we znaki przez lata. Podczas oględzin domu cały czas sprawiał wrażenie zatroskanego. A w protokole napisał, że woda wyrządziła minimalne straty, najbardziej ucierpiały meble, które nie były ubezpieczone. Dom da się przywrócić do poprzedniego stanu kilkoma puszkami farby. Miało się to nijak do opinii majstra z ekipy remontowej, który sugerował, by zerwać wszystkie płyty kartonowo-gipsowe. A na pytanie Michała, czy to niezbędne, odpowiedział: „Jakoś pan grzybiarz amator, to niekonieczne”. Suma, której sobie zażyczył, sprawiła, że Michałowi osłabły kolana. Różnica między wypłatą z ubezpieczenia a kosztami remontu była ogromna.

A kiedy Michał rozważał, czy na pewno stać ich na kolejny kredyt, Agata naciskała, by już, natychmiast remontować. Wyrzucała mu, że nic nie robi, i patrzyła podejrzliwie na jego relacje z Sylwią, które przecież nic, zupełnie nic nie znaczyły.

Odbyta przed chwilą rozmowa z deweloperem pogłębiła przygnębienie Brzozowskiego. Dowiedział się, że nie będzie kompleksowego remontu segmentów. Cena tych niesprzedanych zostanie tak obniżona, że tylko głupi nie skorzysta z okazji.

– Po co ja mam, panie Brzozowski, łądować kasę w remont, skoro ten, co kupi, i tak zechce zrobić wszystko po swojemu, nie? To tylko wywalone pieniądze, nie?

Nie! Miał ochotę krzyknąć Michał. To oszustwo. Powinien pan chociaż elewację odnowić. Nie powiedział tego. Rozłączył się, głęboko przekonany, że go oszukano.

Rozmyślania przerwał telefon. Sylwia. Masakra! Rozważał, czy odebrać, ale w końcu się złamał po długiej walce wewnętrznej. Przecież ktoś, kto potrzebuje nisko oprocentowanego kredytu, musi dbać o dobre relacje z szefową banku.

Na wszelki wypadek zaczął od tego, że ma masę rzeczy do zrobienia i nie może jej nigdzie zawieźć.

– Kobieta w ciąży nie pije alkoholu, więc może prowadzić – zaśmiała się w odpowiedzi. – Wiesz, czasem są gorsze dni – mówiła już poważnie – i wtedy naprawdę potrzebuję wsparcia. Za które jestem ogromnie wdzięczna i odwdzięczę ci się hurtowo, ale nie dziś.

Michał, który nie do końca rozumiał jej słowotok, zapytał, o co chodzi.

– O naszą córkę. Cudownie by było, gdybyś potwierdził to, o czym przekonuje ją matka.

– Czyli?

– Wszyscy faceci to świnię, kłamcy i potwory.

– Naprawdę uważasz, że wszyscy?

– Rozumiem, że masz o sobie lepsze mniemanie, ale z mojej perspektywy dobrze to nie wygląda. Zostawiłeś mnie samą z dzieckiem dla dwudziestoletniej siksy.

– Wybacz, ale nie mam w tej chwili ochoty analizować przyczyn rozpadu naszego związku.

– A myślisz, że ja mam? Nigdy nawet mi do głowy nie przyszło, żeby po to do ciebie dzwonić.

Jasne!, pomyślał Michał.

– Wiem, co myślisz, ale spróbuj podać przynajmniej jeden przykład takiego telefonu. Aha! Nie potrafisz. Bo nie dzwoniłam z takimi pierdołami, tylko z poważnymi sprawami.

– Opowiadanie Julce, że męski ród jest zły, uważasz za poważne?

– Ona mi nie wierzy. Jest przekonana, że przemawia przeze mnie życiowe zgorzknienie.

– A dlaczego sądzisz, że ja ją przekonam?

– Nie chodzi o to, żebyś ją przekonał, tylko o to, żeby spojrzała na sprawę z męskiego punktu widzenia.

Całymi nocami płacze za tym złamasem Krupskim, a on nie dzwoni, nie esemesuje. Nawet nie polubił na fejsie ich wspólnego zdjęcia. Rozumiesz, dramat. Julka oczywiście nie daje złego słowa na niego powiedzieć, wyszukuje usprawiedliwienia. Dlatego oczekuję, że przyjedziesz do niej i powiesz: Kochanie, to palant, podobnie jak ja. Rajcują nas majtki. Kiedy zobaczymy jedno, zapominamy o drugich. Najszybciej zapominamy o tych zdjętych. I rzadko kiedy pozostajemy wierni jednym.

– Nie powiem tego naszej córce.

– Ujmij to, jak chcesz, ale z nią porozmawiaj. Ona cierpi.

To ostatnie zostało powiedziane szczerze, ze smutkiem i przekonało Michała, że córka potrzebuje wsparcia. Zapewnił więc Sylwię, że zajrzy wieczorem.

No i kolejny problem. Bo jak tu delikatnie poinformować Agatę, że spędzi wieczór sama, ponieważ on musi zajrzeć do domu byłej żony.

W tym momencie, jakby ściągnięta jego myślami, do biura weszła pani Brzozowska numer dwa. Uśmiechnęła się na dzień dobry. Michał chciał od razu powiedzieć jej o Julce, chociaż nie znalazł jeszcze właściwych, delikatnych słów, ale Agata mu nie pozwoliła.

– Muszę zawieźć Terenię w kilka miejsc. Ona nie ma nikogo, a jest tyle spraw do załatwienia w związku z pogrzebem. Wiesz, że ta biedaczka nawet nie ma prawa jazdy? Zajmiesz się Freddym, bo ja nie wiem, kiedy wrócę. Pilnuj, żeby dużo pił, bo może się odwodnić. Czytałam, że psy... – Spojrzała na zegarek. – Powinnam już wychodzić. Nie czekajcie na mnie z kolacją. – I przesławszy Michałowi całusa, zniknęła za drzwiami.

W pierwszej chwili pomyślał z ulgą, że nie musi informować Agaty o swoich planach na wieczór. Jednak druga myśl nie była już tak optymistyczna. No bo jeśli przyjąć, że się polepszyło, to gdzie się spieszy?

Są ludzie, którzy uwielbiają niespodzianki, ale Janina Krupska do nich nie należała. To, co zaskakujące, zawsze niweczyło jakiś plan. Tworzył się wtedy chaos, a ona nie potrafiła się w nim odnaleźć i czuła się zagrożona. Świadomość tego, co ma być, działała uspokajająco. Gdy zaczynały się niespodzianki, Janina nie mogła spać.

Rok temu miała wszystko pod kontrolą. Janusz był kochającym mężem – no, może z tym kochającym to lekka przesada, ale trudno oczekiwać szalonych porywów serca po trzydziestu latach małżeństwa. Było im ze sobą na tyle dobrze, że należało ten układ szanować, bo coś takiego nie zdarza się często, zwłaszcza w dzisiejszych czasach. Wystarczy spojrzeć na Martę.

Tak, córka zdecydowanie okazała się niespodzianką. Najpierw wszystko dobrze i nagle wszystko źle. Wraca do domu, płacze, bo nienawidzi Olgierda za zdradę, kłamstwo i grzech. Wiąże się z Tomkiem, wygląda na to, że wszystko będzie dobrze, Janina już planuje następny krok, czyli jaką będzie babcią, a tu nagle córka skacze do wody, żeby ratować byłego męża. Teraz patrzą sobie w oczy i trzymają się za paluszki. Janina ze swoim zdroworozsądkowym spostrzeżeniem, że to długo nie potrwa, została uznana za wroga publicznego numer jeden. Jakby tego było mało, stara Jezierska buntuje Martę przeciwko matce. Zemsta za Marysię, którą Janusz jakoś mało jest zainteresowany, a będzie jeszcze mniej, gdy do niego dotrze, że to nie jest tamta dziewczyna, którą kochał ponad trzy dekady temu.

Janina знаła swojego męża. Wiedziała, iż jego rycerskość wobec kobiet wynika z szowinistycznego przekonania, że są to istoty słabsze i głupsze. Nie zdrada była tym, czego nie mógł jej wybaczyć, tylko fakt, że okazała się sprytniejsza.

Dlatego Janusz się wyprowadził, a ona została sama. Samotna i stara.

– Wcale nie jesteś stara – bezskutecznie próbowała przekonać samą siebie. Codziennie rano patrzyła

w lustro i zawsze widziała ten sam obrazek – kobietę, która była matką i żoną. Jej czas płynął tak, jak czas jej dzieci. Ich dorosłość oznaczała jej starość i nic nie mogła na to poradzić.

A gdyby tak zrobić coś wbrew schematom, inaczej, niespodziewanie, samolubnie i chaotycznie?

Weszła na piętro, do łazienki, której kiedyś używali Marta i Mateusz. Stał tu stoik z solą do kąpieli, gwiazdkowy prezent od córki. Na folii zabezpieczającej pokrywkę zebrała się cieniutka warstwa kurzu. Janina strzepnęła ją nad umywalką i poszła na dół. W kuchennej szafce znalazła wino. Po zakończeniu roku szkolnego zostało kilka butelek i praktyczna Janina zaopiekowała się jedną, nie ma bowiem nic lepszego niż gęś pieczona w winie. Janusz bardzo ją lubił. Ale w tej chwili nie było w kuchni ani Janusza, ani gęsi, tylko ona, Janina. Nie znalazła korkociągu, wbiła więc korek do środka trzonkiem od noża. Nalała sobie do szklanki; nie mieli kieliszków do wina, bo w domu się nie piło ze względu na Janusza, który lubił rozładowywać stres alkoholem. Chodziło o to, żeby nie musiał walczyć z pokusami we własnym domu.

Szklanka, wino, jeszcze sól. Zachwycona ruszyła do łazienki. Odkręciła wodę i z radością patrzyła, jak wypełnia wannę. Sypnęła garść soli, potem kolejną. Czy nie będzie za dużo? Pewnie było napisane na opakowaniu, ale za nic nie mogła przeczytać tych mikroskopijnych litereczek, a nie będzie teraz szukać okularów.

Właśnie tego potrzebowała! Wody, piany i wina. Szkoda, że nie pomyślała o muzyce. Nic to, wystarczą gazety. Janusz miał zwyczaj zanosić nieprzeczytane tygodniki do łazienki, by wypełnić czymś czas, który trzeba tam spędzać. Janinę to irytowało, ale z czasem się przyzwyczaiła. Wstała, zachwiała się i ledwo złapała równowagę na śliskim dnie wanny. Przydałaby się mata dla seniorów, pomyślała i strasznie ją to rozbawiło. Znalazła kolorowy dodatek do weekendowego wydania. Termin przydatności do czytania minął rok temu, ale kto by się tym przejmował. Z radością oglądała zdjęcia ślubne aktorki, która teraz była już po rozwodzie.

Dolała sobie wina, bo bardzo jej smakowało. Dlaczego wcześniej nie robiła takich rzeczy? To przyjemne. Powinna żyć bardziej na luzie. Może to właśnie jest źródło małżeńskich problemów? Nie było w niej nic, co mogłoby zaskoczyć Janusza.

– Nic dziwnego, że wzdychał do romantycznej enigmatycznej poetki.

Tylko że dziś jest dzień szalonych pomysłów. I Janina była gotowa na największe szaleństwo świata. Zaskoczy swojego męża. Zwali go z nóg. Opróżniła szklankę do końca, owinęła się ręcznikiem i pobiegła do kuchni. Znalazła telefon.

– Janusz, czy mógłbyś przyjść do domu, bo mi tu taka rura pękła i cieknie! – Zachichotała, ubawiona szczerze słowem „rura”.

– Wszystko w porządku?

– No nie. Przecież rura pękła.

– Zakręć główny zawór. Będę za pół godziny. W pracy jestem.

Pół godziny? Myślała, że zjawi się natychmiast. Nie ma tego złego... w oczekiwaniu na męża robi się na bóstwo. Wróciła do łazienki. Ładnie pachniała po kąpieli, ale odrobina perfum nie zaszkodzi. Jak to mówią? Kobiety spryskują się tam, gdzie chcą być całowane. Czyli na całym ciele? Chyba za dużo, wystarczy na szyję. Puder? Nie. Marta miała coś takiego fajnego do twarzy. Janina pobiegła do pokoju córki i znalazła jej kosmetyczkę. Nigdy nie używała zbyt wielu kosmetyków, ale Marta była prawdziwą ascetką. Błyszczyk, tusz do rzęs i krem B&B. Tego szukała. Choć ten błyszczyk też fajny, tak ładnie połyskuje. Po chwili zastanowienia wzięła wszystko. Zachwiała się na schodach, na szczęście poręcz uratowała ją przed upadkiem. Stała przed lustrem.

– Świetnie wyglądasz jak na swój wiek. Na pewno dużo lepiej niż Marysia.

Zadowolona z siebie pokryła twarz cienką warstwą kremu. Od razu ubyło jej pięć lat. Jeszcze rzęsy, błyszczyk. Super.

Dzwonek do drzwi miał w sobie pewną natarczywość. Jakby ten ktoś nie wiedział, że ona jeszcze nie

zdecydowała, czy wyjść w rękawniku, czy w szlafroku. Zdecydowanie szlafrok. Nie pasował do pory dnia, ale był bardziej prawdopodobny. Przecież Janusz nie uwierzy, że czekając na niego pół godziny, nie zdążyła się ubrać. Praca policjanta zmieniła jego sposób myślenia. Wszędzie wietrzył intrygę i kłamstwo.

Z najpiękniejszym uśmiechem otworzyła drzwi i zamarała.

– Co ty tu robisz, Seweryn?

– Musimy porozmawiać.

Opary alkoholowe, które otaczały Janinę, czyniąc świat różowym, ulotniły się w jednej chwili.

– To nie jest dobry moment.

– Nigdy nie będzie dobrego momentu. Myślałem o tym, co między nami było...

W tym momencie Janina zauważyła parkującego po drugiej stronie ulicy Janusza. Dobrze wiedziała, co sobie pomyślał: „Znalazłaś sobie lepszego hydraulika”. Słyszała to w warczeniu silnika, gdy Janusz wrzucił wsteczny, by zawrócić i odjechać. Mogła podjąć próbę zatrzymania go, tylko po co? Tłumaczenia nic by nie dały. Wypomniałby jej przeszłość, a wtedy o przyszłości nie byłoby mowy.

A Seweryn wciąż stał na progu.

– Chciałeś powiedzieć: jest. O tym, co między nami jest. Ja też tęskniłam. – Przytuliła się do niego.

Dzieci odeszły, Janusz też. Może nie ma sensu próbować tego naprawić? Może Seweryn to jedyna opcja, jaka jej jeszcze została?

W pierwszej chwili nie odwzajemnił jej uścisku. Był napięty, jakby zaskoczony tym, co się stało.

– Na pewno chcesz rozmawiać? – zapytała zmysłowo. – Bo otworzyłam dobre wino...

Położyła rękę na jego karku, a po chwili długiej jak wieczność poczuła jego dłoń na swoim pośladku.

– No chodź... – To zdecydowanie nie było zaproszenie na pogawędkę.

Godzinę później, kiedy zmordowany Seweryn miarowo pochrapywał, Janina pomyślała, że właśnie dlatego nienawidzi niespodzianek.

Mateusz Krupski zajął miejsce w przedziale pociągu jadącego do Wrocławia. Ponieważ naprzeciwko niego siedziała ładna blondynka, podziękował Dobremu Losowi. Kobiecie towarzystwo mogło mu umilić podróż. Na dodatek miał nową książkę Łukasza Orbitowskiego; mogła się przydać, gdyby dziewczyna wysiadła zbyt szybko.

Udawał, że jest całkowicie pochłonięty gapieniem się w okno, za którym migały urbanistyczne widoki Ursusa i Grodziska. Kiedy za Żyrardowem zastąpiły je zielone pola i lasy, Mateusz podjął pierwszą próbę nawiązania kontaktu. Liczył się z porażką i to, że na pytanie „Czy pani daleko jedzie?”, otrzymał lakoniczną odpowiedź, że owszem, wcale go nie zraziło. Znał zasady i mechanizmy. Miał taką teorię, że kobiety są jak zegarki. Z zewnątrz każdy wygląda inaczej, ale mechanizm tkwi w każdym taki sam. I kiedy zajrzysz do wnętrza, to zupełnie nie wiesz, do czego służą sprężynki i zębátky. Ale wystarczy przyjrzeć się mechanizmowi i gdy w końcu pojmiesz jego działanie, wiesz, że każdy kolejny skonstruowany jest tak samo. Oczywiście miał na myśli zegarki na sprężynę, bo tak było romantyczniej. Porównywanie kobiet do zegarków elektronicznych (nieskomplikowane, tanie i jednorazowe) zdarzało mu się tylko w chwilach szczególnie silnego przypływu cynizmu.

Dziewczyna łyknęła wody niegazowanej z małej butelki i przerzuciła stronę w kolorowym czasopiśmie. Mateusz patrzył na to z głębokim podziwem. Na kartce nie było więcej niż pięćset słów, a laska gapiała się na nią przez dziesięć minut. Pewnie uważnie przyglądała się zdjęciom modelek. A mówi się, że to mężczyźni są wzrokowcami.

– Nie wie pani, o której będziemy we Wrocławiu? – zapytał.

Odruchowo spojrzała na zegarek. Potem podała mu godzinę przyjazdu.

– Ale na pewno się spóźni. Zawsze się spóźniają.

– Bo ja pierwszy raz – skłamał. – Martwię się, że przegapię stację. – Uwielbiał robić z siebie



niezaradnego idiotę. Zadziwiająco, jak często ten zabieg działał.

Tak było i tym razem. Ślicznotka zaoferowała pomoc, nic porozumienia została zadzierzgnięta i wszystko szło świetnie, do momentu gdy Mateusz wpadł na pomysł, by jeszcze bardziej rozluźnić atmosferę dowcipem.

– Nie rozumiem – powiedziała, wysłuchawszy puenty.

W takiej sytuacji nie należy opowiadać żartu po raz drugi. I pod żadnym pozorem nie należy go tłumaczyć. Bo jeśli kobieta pomyśli, że uważasz ją za idiotkę, nie będzie chciała mieć z tobą do czynienia. Co akurat jest rozsądnym podejściem.

– Bo spaliłem. Wybacz, idiota ze mnie. – Zrobił strapioną minę.

A ona była z tych, które lubią pocieszać. Pociąg jeszcze nie dotarł do połowy trasy, gdy Mateusz już pewnie zmierzał do drugiej bazy.

Wysiedli z pociągu czule objęci. Pojechali do niej, bo współlokatorki akurat nie było. Napili się wina i wspólnie wzięli prysznic.

Kiedy zasnęła, Mateusz napisał na kartce, że jest niezwykła, że rano ma spotkanie i nie chce jej budzić. Zadzwoń albo niech ona zadzwoni do niego. Podał swój numer telefonu, zupełnie przypadkowo zamieniając miejscami dwie cyfry. Cicho wyszedł z mieszkania i ruszył z powrotem na dworzec, gdzie wsiadł w ostatni pociąg do Węglińca.

Na miejscu okazało się, że podjął złą decyzję. Gdyby poczekał we Wrocławiu na bezpośredni do Rubinia, nie musiałby teraz rozważać, czy spędzić kilka godzin na podupadającej stacji, czy maszerować piechotą kilkanaście kilometrów.

Rozejrzał się. Czas nie był łaskawy dla tego miejsca. Upadek następował szybko, a przecież kiedyś był to taki piękny dworzec. Mateusz pamiętał z dzieciństwa gryfy, które siedziały pod sufitem wielkiej sali barowej. Zajrzał przez zakurzone okno i zrobiło mu się smutno. Wielka dziura w suficie wróżyła rychły koniec rzeźbom, które rozpały jego chłopięcą wyobraźnię, gdy siedzieli, czekając na pociąg, który miał ich zawieźć na tak wyczekiwane wakacje.

Jakież wtedy wszystko było proste. Rodzice byli mamą i tatą, a nie kobietą, która ma romans z sąsiadem, i facetem udającym inwalidę. Marta była starszą siostrą i układała sobie plany na przyszłość, a zamieniła się w mimozę dryfującą po życiu bez celu. On sam był Mateuszem, marzycielem, małym chłopcem, który oczekiwał, że gryfy ożyją, sfruną i zostaną jego przyjaciółmi. Skończył jako podrywacz. Nie, to nawet nie wydawało się najgorsze. Skończył jako policjant, a to doprawdy było zasmucające.

Mateusz pokręcił się po dworcu i w końcu doszedł do wniosku, że piesza wędrówka to nic złego. Zarzucił swój podróży worek na plecy i ruszył w stronę Rubinia. Podczas marszu mógł rozmyślać, a tego potrzebował. Ostatnio działał bardzo spontanicznie. Choćby ta decyzja o wzięciu kilku wolnych dni i wyjeździe do domu. Wersja oficjalna, ta, którą podał Konradowi, gdy tłumaczył przyjacielowi, że zostawi go na parę dni samego, była taka, że wziął sobie do serca słowa starego i postanowił wystąpić o przeniesienie do Rubinia. Tak naprawdę chodziło o to, co Janusz Krupski powiedział podczas ich ostatniej rozmowy, czy raczej czego nie powiedział na temat śmierci Zbyszka Domańskiego. Mateusz wiedział, jak bardzo może to wpłynąć na sytuację przyjaciela. Biedny Kidziej! Trzeba zrobić wszystko, by ocalić mu tyłek przed ciężką łapą sprawiedliwości.

Marsz dobrze mu zrobił. Czuł się zmęczony, ale silny i cieszył się, że nie siedzi teraz na dworcu w Węglińcu. Pierwsze co poczuł, gdy znalazł się na Różanej, to zapach kwiatów. Intensywny jak w kwiaciarni, słodki, lekko wilgotny upojny zapach niezliczonych kwiatów, które teraz kwitły. Przyjemnie było nim oddychać. Na jednej z sąsiednich uliczek rozległo się szczekanie psa, a po chwili ucichło, nie budząc nikogo, i znów zapanowała cisza.

W żadnym domu nie paliły się światła. Dom Krupskich też był pogrążony w ciemnościach. Mateusz cicho otworzył drzwi. Był głodny i spragniony, dlatego od razu skierował się do kuchni.

Przy kuchennym stole ktoś siedział. Obcy mężczyzna. Mateusz zapalił światło, a tamten, przestraszony,

zerwał się gwałtownie. Mrużąc oczy, starał się zrozumieć sytuację.

– To ja, panie Starski. Przyjechałem na parę dni. Nie chciałem pana przestraszyć...

Seweryn ciężko klapnął na kuchenny stołek.

– Nie powinno mnie tu być.

Też tak uważam, pomyślał Mateusz. Bez słowa wyminął tamtego i podszedł do lodówki. Znalazł butelkę gazowanej wody mineralnej. Przez chwilę rozważał, czy należy być gościnnym, ale uznał, że matka już elegancko przyjęła sąsiada.

– Kobiety są skomplikowane – wyraził swoją opinię Starski.

– Nie sądzę. – Mateusz miał inne zdanie.

– Nie sposób ich zrozumieć. Same z nimi problemy.

– To akurat prawda. A teraz, gdyby był pan tak uprzejmy i wyniósł się z mojego domu, byłbym zobowiązany.

Starski wstał i przez chwilę nad czymś się zastanawiał.

– Zostawiłem spodnie na górze – wyznał w końcu.

– Odbierze je pan po moim wyjeździe. Ja tylko na kilka dni.

Seweryn skinął głową i wyszedł, Mateusz wypił wodę i poszedł spać. Jakoś odechciało mu się jeść.

Julka miała doła głębokiego jak Rów Mariański. Leżała w swoim pokoju, gapiała się na nocne niebo i rozmyślała. Świat okazał się czarny, zły i niesprawiedliwy. Ani jedna osoba nie była w stanie pojąć tego, co się działo w jej duszy. A dużo się działo.

Po pierwsze, Emilka. Najserdeczniejsza przyjaciółka opuściła ją, stwierdzając, że ma dosyć rozmów o Mateuszu. Oświadczyła, że Julka powinna odpuścić, gość jest dla niej za stary, więc nawet jakby co, to byłby to związek bez przyszłości. Poza tym beznadzieja, bo jak facet nie dzwoni, to oznacza, że się wypiął. Wyśmiała hipotezę Julki, że Mateusz ma taką pracę, która nie pozwala mu na kontakty z ukochaną.

– Nie oglądaj więcej Bourne’a – poradziła. – Najlepiej nic nie oglądaj, bo wrócisz jutro z lasu i powiesz, że widziałas Smerfy. Staw czoło rzeczywistości, facet się na ciebie wypiął.

W to Julka zupełnie nie mogła uwierzyć. No bo jak to możliwe, że spędzasz z kimś czas, gadacie i jest tak super, on jest świetny, ty jesteś świetna. A potem on wyjeżdża i zapomina? To niewiarygodne. Coś musiało się stać.

Tym czymś był problem numer dwa – matka. Julka była głęboko przekonana, że Sylwia zdobyła numer Mateusza i powiedziała coś, co sprawiło, że nie zadzwonił. Zapytana wprost oczywiście zaprzeczyła. Powiedziała: „zdecydowanie nie”. A przecież wiadomo, że jak ludzie mówią „zdecydowanie nie”, to kłamią. Bo szczere zaprzeczenie nie wymaga dodatkowego podkreślenia. Matka, owszem, miała w życiu lepsze momenty i generalnie Julka nie mogła na nią narzekać, ostatnio jednak całkiem ześwirowała. Zaczęło się, kiedy ojciec i Agata zamieszkali razem na Różanej. Trochę się jednak uspokoiła, gdy na horyzoncie pojawił się Olgierd. Wyglądało na to, że sprawy idą w dobrym kierunku, ale coś się wydarzyło. Matkę, która wpycha faceta do wody, każdy ci wypomni, dlatego Julka unikała swoich znajomych w necie i realu. Nie chciała się tłumaczyć.

Skutek tego dramatycznego rozstania mamy z potencjalnym chłopakiem był taki, że całą uwagę skupiła na córce. Bez przerwy robiła jej wykłady na temat męskiego świńskiego szowinizmu, bogato ilustrując ową tezę przykładami ze swojego życia. Dlatego Julka nie miała wątpliwości, że rodzicielka sabotuje jej związek.

A teraz jeszcze, nie wiadomo dlaczego i skąd, zjawił się tu pan dyrektor domu kultury i zaczyna gadkę o Maciejewskim. Zdenerwował Julkę, która zupełnie nie mogła zrozumieć, w jaki sposób sprawy Adama miałyby jej dotyczyć. Nawet jeśli trochę z nim flirtowała, to było to wieki temu, a robiła to tylko dlatego, że Maciejewski puszczał kłamliwe plotki o Emilce i należało go ukarać, żeby zrozumiał, jak to jest, gdy

ktos podle z toba postepuje. Tylko to bylo dawno. Pewnie ze trzy miesiace temu, moze wiecej. Powinien byl juz o niej zapomniec, a jezeli tego nie zrobil, to jest glupi. Julka zawsze uwazala, ze jest glupi. Ta wizyta mocno ja przestraszyła i zdołowala.

I jakby tego wszystkiego bylo malo, dzis zjawia sie ojciec. Niby interesowal sie, co slychac, ale tak naprawde przyjechal, bo mama prosila, zeby porozmawial z Julka. I ta rozmowa oczywiscie dotyczyla Mateusza. I ojciec powiedzial, ze odpuść, nie ufaj, masz czas. Czas na co? Jest juz prawie dorosla i wlasnie teraz musi zyc i kochac. Przeciez nie bedzie sobie ukladala zycia na stare lata, tak jak ojciec czy mama. Z czasem ludzkie mozgi i serca kostnieja i nie maja juz szans na wielkie namietnosci. Ona jest teraz w najlepszym zyciowym momencie, by oszalec z miłości.

I oczywiscie oszalala. Bo jakze inaczej? Mateusz byl sliczny, slodki i zabojczo przystojny. Do tego dowcipny i czytany. Julka uwielbiala w nim wszystko. Sposob, w jaki nosil ramoneske, to, jak poprawial sznurówki swoich wojskowych butow. Ten ruch, ktorým ściskal kieszen, by sprawdzic, czy sa tam papierosy. Nawet to, jak palil, uznala za cudowne, seksowne i tajemnicze, choc dotad byla przeciwniczka papierosow.

Najcudowniejszy ze wszystkiego wydawal sie sposob, w jaki na nia patrzyl. W jego spojrzeniu byla mieszanina czulości i zaciekawienia, ktora przytępiala zmysly i Julka czula sie tak, jakby wypila puszkę piwa – niby trzeźwa, a jednocześnie swobodna i radosna. W oczach Mateusza malowala sie tez obietnica szczesciwej przyszłości. Dlatego Julka nie mogla uwierzyc tym, ktorzy mówili, ze chłopak juz o niej zapomniat. Jakzeby mogl, skoro ona pamietala? I tęsknila! I wciaz marzyła, jak to bedzie, gdy znów sie spotkaja.

Na sasiedniej ulicy zaszczekal pies. Ten odglos na chwile zmamil nocna cisze. Julka ze zdziwieniem zauwazyła, jak juz jest pozno. A ona sie nie umyla, nie przebrala w pizame, tylko tak lezala i myslala o Mateuszu.

Nie pojdzie teraz do lazienki. Mama spi, a obudzona bedzie zla. Wscieka sie o byle co, drazliwa sie zrobila. Pewnie to poczatek klimakterium.

Noc. Julka podeszla do okna. Patrzyla na tonace w kwiatkach domy przy Różanej. I wtedy zobaczyla Mateusza, jak wchodzil do domu swoich rodzicow.

Miala racje! Pamietal o niej i wrócił. Rzucila sie na lozko, a lzy szczescia poplynely jej po policzkach.

Lozko bylo dzis jej wrogiem. Maria westchnela i po raz kolejny poprawila poduszke. Ulozyla sie wygodnie, otulila kołdra. Zamknela oczy i juz czula, jak nadchodzi poprzedzany znuzeniem sen. Juz, juz prawie sie w nim zanurzyla, gdy myśli, jak stado psow zbudzonych naglym dzwiekiem, zerwaly sie i zaczeły jazgotac, wypełniajac jej glowe hałasem.

Serce zalomotalo jak szalone, w klatce piersiowej poczula cos jakby uklucie szpilka. Potrzasnela glowa i odwróciła sie na drugi bok. Nie pomoglo. Poprawiajac pościel, starala sie zapanowac nad umyslem. Nie mysl o tym teraz, pomyslisz jutro.

Jutro bedzie za pozno. Jutro Leokadia zobaczy gazete i Maria uslyszy cala mase okropnych slow pod swoim adresem. Niesprawiedliwych i niezgodnych z prawda slow. Byc moze matka nie uzyje okreslenia „dziwka”, ale na pewno pojawi sie ono w jej myslach. Zawiśnie między nimi i wplynie na wzajemne relacje. Mama nie zrozumie, nawet nie bedzie probowala, Marysi zas nie starczy sily, by szczerze wyznac, jakie pobudki nia kierowaly.

Nie ma co sie oszukiwac, nie zdoła teraz zasnac. Wstala. Usiadla i rozejrzala sie za swoimi goralskimi kapciami. Stopy marzly jej nawet latem. Potem podeszla do biurka, w ktorego szufladzie lezal egzemplarz gazety Marciniaka. Byl tam wywiad z nia, okraszony zdjeciami. Wysly świetnie, duzo lepiej niz sam wywiad. Zwlaszcza portret na tle różanej pergoli bardzo sie Marii podobal. Do tej pory nie miala takich fotografii, tylko takie do dokumentow albo szkolne. A tu, prosze, ona, taka upozowana, niby zamyslona, romantycznie usmiechnieta. Zapytala Teodora, czy nie da sie zrobic odbitek, i powiedzial, ze wypali jej plytke. Miala nadzieje, ze w zakladzie fotograficznym sobie z tym poradza, bo koniecznie chciala

podarować takie zdjęcie Januszowi.

Jeśli on cokolwiek jeszcze od niej przyjmie po tym wywiadzie. Bo co będzie, jeśli nie zrozumie, że to o nim mowa? Wyciągnęła gazetę z szuflady.

*Teodor Marciniak: Kiedy postanowiła Pani pisać wiersze?*

*Maria Jezierska: Tego się nie postanawia. To płynie z potrzeby serca.*

*T.M.: No więc kiedy Pani poczuła tą potrzebę?*

Westchnęła ciężko, patrząc na to zdanie w druku. Gdy rozmawiali w kawiarni, w ostatniej chwili powstrzymała belferskie „Nie zaczynamy zdania od więc”. Jakaż była wtedy z siebie dumna. A teraz musi patrzeć nie tylko na „więc”, ale jeszcze na „tą” tam, gdzie powinno być „tę”. Jak to możliwe, że ktoś, kto wydaje gazetę, nie zna zasad rządzących rodzimym językiem? Należało tylko mieć nadzieję, że w jej wypowiedziach nie ma błędów.

*M.J.: Poezję interesowałam się zawsze, to chyba kwestia wrażliwości. Kiedy byłam mała, dzieciom czytano wierszyki. To były czasy, gdy rodzice częściej wybierali poezję niż prozę. Jachowicz, Tuwim, Konopnicka stali się ulubionymi autorami mojego dzieciństwa. Moja mama wymagała, byśmy uczyli się wierszy na pamięć. Ja i mój brat mieliśmy obowiązek deklamować wiersze patriotyczne w ważne święta narodowe. Moja mama przywiązywała dużą wagę do daty jedenastego listopada czy trzeciego maja.*

Czytając te słowa, Maria słyszała już w głowie głos Leokadii: „Wyszłaś z takiego porządnego domu, tyle trudu włożyłam, abyś stała się przyzwoitą kobietą”. Słowo „pryzwoitą” będzie jak cios zadany szczerbcem.

*T.M.: Czyli rozumiem, że zaczęła Pani pisać w dzieciństwie?*

*M.J.: Nie. Wtedy tylko czytałam dużo poezji. Nawet więcej niż prozy. Ona odpowiadała mojej wrażliwości i emocjonalnej dojrzałości. Wcześniej straciłam ojca i to mocno na mnie wpłynęło.*

Znowu usłyszała głos Leokadii: „I jeszcze ojca w to mieszasz!”.

*To ciągle czytanie poezji sprawiło, że zaczęłam myśleć poezją i wkrótce zapragnęłam w ten sposób wyrazić swoje uczucia. Pierwszy wiersz napisałam w czasie wakacji poprzedzających ostatnią klasę podstawówki. Świadomość zmian, które wkrótce miały nastąpić w moim życiu, bardzo mnie przerażała, ten wiersz był manifestem lęku. Kiedy dziś go czytam, wciąż czuję emocje, które wtedy mną szarpały. I tak się zaczęło. Po pierwszym wierszu powstały kolejne. Gdy dziś patrzę na swoje juvenilia, widzę, że nie mam się czego wstydzić, w tym pierwszym, młodzieńczym okresie byłam poetką świadomą, choć warsztatowo wiele mi brakowało.*

*T.M.: To ja zapytam teraz o źródła inspiracji. Gdzie Pani ich szuka?*

*M.J.: W sobie. W odróżnieniu od prozy, która jest zewnętrzna i opisuje świat, poezja opowiada o uczuciach człowieka. Strach, miłość, tęsknota czy nostalgia nie dadzą się wyrazić inaczej niż poprzez mowę wiązaną. Dlatego poetami zostają osoby, które czują mocniej i jednocześnie potrafią o tym*

opowiadać. Dlatego sama jestem dla siebie źródłem inspiracji. Można powiedzieć, że wciąż prowadzę operację na własnym otwartym sercu.

T.M.: A skoro zostało ono wspomniane, to zapytam, czy to serce do kogoś należy?

M.J.: Tak. Od wielu lat niezmiennie, stale i ponad wszystko kocham pewnego mężczyznę. To on jest adresatem moich wierszy, jemu opowiadam o tym, co czuję. Oczywiście nie jest jedynym odbiorcą mojej poezji, ponieważ uczucia są wartością uniwersalną.

Maria przypomniała sobie, że w tym miejscu dużo mówiła o emocjonalności ludzi. Marciniak widocznie uznał to za nieciekawe i skrócił wypowiedź, by przejść do ciekawszych, jego zdaniem, kwestii.

T.M.: Czy może Pani uchylić rąbka tajemnicy i zdradzić czytelnikom, kim jest ów tajemniczy kochanek?

M.J.: To ktoś, kto pojawił się w moim życiu dawno temu i w pewien sposób w nim pozostał. Jednak zawirowania życiowe nie pozwoliły nam być razem. Więcej powiedzieć nie mogę.

T.M.: Więc i my nie nalegamy. Ja powiem tylko, że prawdopodobnie wśród czytelników naszego pisma, jak również wśród czytelników Pani poezji nie ma mężczyzny, który by nie zazdrościł temu tajemniczemu panu tak namiętnej kochanki.

Oczywiście Maria od razu zaprotestowała. Wyjaśniła, że od wielu lat uczucie, które ich łączy, jest czyste i platoniczne. Na co dzień przyjaźnią się tylko i są dla siebie bardzo życzliwi. Przez wiele lat nie mówili o swoich uczuciach, niedawno mieli okazję wrócić do tego, co kiedyś ich łączyło. Niestety, życie znów się skomplikowało i zmuszona jest czekać na dalszy rozwój wypadków. Jednak Teodor Marciniak uznał to wszystko za tak mało istotne, że nic z tego, co powiedziała, nie znalazło się w druku.

Przebiegła wzrokiem trzy ostatnie pytania. Dotyczyły natchnienia i planów na przyszłość. Marciniak zakończył wywiad laudacją. Wychwalał talent, wyczucie poetyckie i sprawność pióra. Gratulował nagrody.

Maria odłożyła gazetę. Po głowie tłukły jej się dwa słowa: „masakra” i „kurwa”. Było to dziwne, bo nigdy nie przeklinała, unikała również wyrażen slangowych. Ale teraz naprawdę nie była w stanie znaleźć innych słów, by wyrazić to, co czuła.

Bała się reakcji matki, a jednocześnie na myśl o niej odczuwała irytację. Cokolwiek matka powie, będzie to niesprawiedliwe i dla Marii krzywdzące. Buntowała się przeciw tej niesprawiedliwości i własnej bierności, która kazała jej opuszczać nisko głowę, ilekroć mama robiła jej wyrzuty, nazywając ją pustą, leniwą czy głupią. Przecież Maria nie była taka. Przez całe życie bardzo się starała dowieść, że jest dobrym człowiekiem i dobrą córką. Ciężko pracowała, by pomóc matce, i nigdy nie szukała własnej wygody. Matka nie tylko tego nie doceniała, zachowywała się tak, jakby nie zauważała poświęcenia Marii. Leokadia była ślepa na to, co robiła i jaka była jej córka. I nie ma nadziei, że z czasem coś się zmieni. Bez względu na to, jak bardzo Maria by się starała.

A dlaczego właściwie masz się starać? – zapytała samą siebie. Dlaczego mam być lojalna wobec kogoś, kto wobec mnie taki nie jest?

I nagle poczuła, że jest gotowa zbuntować się przeciwko rodzicielskiej władzy. Czuła w sobie dość siły, by stanąć do konfrontacji z matką i zaważać o swoją wolność.

Zasmakowała jej już wcześniej, gdy przeprowadziła się do Wandy. Tylko że wtedy była to ucieczka. Teraz Maria wyprowadzi się z domu tak, jak czynią to ludzie dorośli, by prowadzić swoje dorosłe, prywatne życie. Matki w nim nie będzie, nie tylko fizycznie. Teraz Maria nie będzie o niej myślała za

każdym razem, gdy przyjdzie jej podjąć jakąś, nawet najbłahszą, decyzję. Ten głos w jej głowie, wyrażający wątpliwości i stawiający zarzuty, nie będzie już głosem Leokadii.

Za trzy dni, a w zasadzie to już za dwa, odbierze nagrodę za swoje wiersze. Wcześniej postanowiła, że przeznaczy ją na remont domu Wandy. Nie warto dłużej czekać. Już dziś wezmą się do roboty. Wandzie przyda się trochę ruchu. Jest na skraju załamania i jeśli jeszcze nie wróciła do picia, to stanie się to niebawem.

Oto plan – zaraz rano zabiorą się do porządkowania domu Wandy, właściwie ich domu, i postarają się doprowadzić go do takiego stanu, by mogły obie tam zamieszkać. Mama zaś niech sobie robi, co chce. Maria ma dość przejmowania się jej opiniami. Właśnie skończyła z byciem dobrą córką.

I z tą myślą zasnęła.

Letnie poranki na Różanej przypominają sorbet malinowy – są słodkie, ładnie pachną i kojarzą się z wakacjami. Rześkie, nawet po parnej nocy, sprawiają, że człowiek chce się obudzić, jest zadowolony, cieszy się i latem, i słońcem.

Marta, która do tej pory cierpliwie znosiła pobyt w szpitalu, dziś nie mogła tam wytrzymać. Gdy się obudziła, pomyślała o tych wszystkich kwiatowo miodnych zapachach, wypełniających powietrze na jej ukochanej ulicy, i już nie była w stanie znieść szpitalnego zapachu, tej ohydnej mieszanki środków czystości, która nieudolnie maskuje wszystkie wyziewy ludzkiej fizjologii. Miała od tego mdłości i chciała wyjść już, natychmiast, musiała jednak czekać na wypis. Czuła się jak więzień, nawet przyszło jej do głowy, że trzymali ją tu zbyt długo. Hospitalizacja nie musiała tyle trwać, pewnie w innej sytuacji wypisano by ją dużo szybciej, ale ponieważ stała się bohaterką, lekarze chcieli pokazać, jak bardzo im zależy. Starali się, otoczyli Martę opieką i sączyli w jej żyły życiodajne płyny z foliowych worków.

Bohaterka. Cóż za idiotyczne słowo! Jaka głupia sytuacja! Był u niej nawet ktoś z gazety. Zapytał, jak to jest być bohaterem. Powiedziała, zgodnie z prawdą, że każdy w jej sytuacji zrobiłby to samo. Zrozumiał to dosłownie, a przecież Marta nie miała na myśli ratowania tonącego człowieka, tylko ocalenie miłości. Gdy się nad tym zastanowić, w jej czynie był ogromny egoizm. Uświadomiła sobie, że nie potrafi żyć bez Olka, ratowała go więc nie dla niego, tylko dla siebie samej.

Mówi się, że w chwili śmierci człowiek widzi całe swoje życie. Marta doświadczyła tego, kiedy zobaczyła Olgierda wpadającego do wody. Jednak to było coś więcej niż kalejdoskop obrazków z dzieciństwa. To było olśnienie. Zrozumiała. Wreszcie zrozumiała siebie.

Szpitalna biurokracja ciągnęła się w nieskończoność. Wreszcie ostatni podpis ozdobił kartę wypisową i była wolna. Olek już na nią czekał, skracając sobie czas zabawą telefonem. Pomysł, że były mąż odbierze Martę ze szpitala, nie spodobał się jej matce. Twierdziła, że to zły pomysł, podobnie jak to, że Marta wróci do Leokadii. Janina wprost wysypki dostawała, słysząc nazwisko Jezierskich. Poddała się dopiero poprzedniego dnia wieczorem. Wysłała lakoniczny SMS, w którym informowała, że pogodziła się z sytuacją. Marta nie miała czasu zastanawiać się, co spowodowało zmianę decyzji. Pewnie matka się obraziła. Trudno, Marta nie będzie już jej słuchać ani tym bardziej przejmować się opiniami. Wierząc w coś, co było fałszem, zrujnowała coś, w co należało wierzyć. Los dał jej drugą szansę i tym razem jej nie zmarnuje.

Wsparta na ramieniu Olgierda opuściła szpital.

– Możesz się tu zatrzymać? – zapytała, gdy skręcił w Różaną. – Chciałabym się przejść.

Dochodziło południe, słońce stało wysoko na niebie, a stare drzewa rzucały długie cienie. Rozgrzane powietrze, przesycone kwiatową wonią, otuliło jej ciało jak delikatny, jedwabny szal. Marta poczuła, jak gdzieś głęboko w niej kiełkuje jakieś zapomniane uczucie. Rosło gwałtownie i w końcu eksplodowało. Marta zrozumiała, że to radość z życia. Tak wielka, że aż bolało w piersiach.

Olgierd zostawił ją przed furką domu Leokadii i wrócił po samochód. Marta patrzyła na ogród. Był

przepiękny. Jednocześnie zmienił się i pozostał taki sam. W końcu zakwitła róża Acapella, potwierdzając słowa Leokadii, że warto czekać całą zimę, by zobaczyć jej kwiaty – eleganckie, stożkowate, o płatkach, które wewnątrz miały kolor najciemniejszego różu, od zewnątrz zaś były białosrebrzyste. Sąsiedztwo białej róży Kent, o niepozornych kwiatach, wydobywało z Acapelli wszystko, co najpiękniejsze. Różom towarzyszyły krzaczkę różowej werbeny i bratków, na przemian białych, błękitnych i fioletowych. Marta poszukała wzrokiem miejsca, gdzie rosły obok siebie dwie rośliny kwitnące na niebiesko. „Ma znaczenie, jak je sadzisz – powiedziała wtedy Leokadia. – Im piękniejszy ogród, tym mniej przypadkowości. Istotna jest kompozycja, a ogrodnik musi mieć świadomość zmian, jakie będą w niej zachodzić. Na początku kwietnia bratki, które mogą zaoferować tylko swój kolor, nie mają w ogrodzie zbyt wielkiej konkurencji. Po chwili to się zmieni. Daj im szansę, by przyciągały wzrok, i zasadź je z pomysłem”. Wtedy Marta nie rozumiała, ale teraz, widząc, jak barwa kwiatów przepływa łagodnie od bieli przez błękit do fioletu, zrozumiała sens tych słów.

– Piękna róża, prawda? – zapytała Leokadia. Marta była tak zamyślona, że nie zauważyła nadejścia starszej pani.

– „Gdy Zeus chciał dać kwiatom królową, to róża niosła koronę”. To Safona. W szpitalu miałam sporo czasu na czytanie.

Jeszcze przez chwilę stały obok siebie jak dwie zupełnie obce osoby. Próbowwały zapanować nad uczuciami, które szalały w ich sercach. Pierwsza nie wytrzymała Marta i chwyciła starszą kobietę w objęcia. Mocno przyciskała ją jedną ręką, trochę słabiej tą, którą musiała trzymać kulę. Czuła, jak staruszka topnieje w tym uścisku, jak z lodowej i zdystansowanej staje się ciepłą, serdeczną kobietą, jak się przytula.

– Witaj w domu. – I z oczu popłynęły im łzy.

Pierwsza ochłonęła Leokadia.

– Ktoś by pomyślał, że nie widziałyśmy się przez lata, a przecież przedwczoraj byłam u ciebie w szpitalu.

– Od kiedy obchodzi nas, co myślą inni? – Marta się roześmiała. – Nawet nie wiesz, jak bardzo tęskniłam za ogrodem. Uwierzyć nie mogę, jak dużo się tu zmieniło.

– W ogrodzie jak w życiu, moja droga, jedyną stałą jest zmienność. – Znow się objęły, tym razem bez łez. – A Olek nie wejdzie? – zapytała Leokadia.

– Chyba nie chciał uczestniczyć w tym mokrym powitaniu – zażartowała dziewczyna.

– Podejrzewam, że jeszcze długo nie będzie go ciągnęło do wody.

Marta, która już podnosiła rękę, by gestem zaprosić męża do wejścia, słysząc te słowa, zmieniła zdanie.

– Chciałabym, żeby się zmienił. Moglibyśmy się odciąć od przeszłości i zacząć na nowo.

Przez chwilę Leokadia przyglądała jej się uważnie. Wydawało się, że chce powiedzieć coś ważnego, ale milczała. Zawołała wnuka, wydała mu mnóstwo poleceń, zakrzętnęła się wokół herbaty, że trzy razy zapytała, czy nie są głodni. Dopiero gdy Olek pojechał do Michała, a one zostały same w altanie, gdzie pijąc herbatę i kontemplując ogród, czekały na Janinę, Leokadia wreszcie odniosła się do słów Marty z początku rozmowy.

– Nigdy nie odetniesz się od przeszłości. To ona sprawia, że jesteśmy tacy, jacy jesteśmy. Sprawia, że wyruszamy silniejsi w naszą przyszłość. Wyciągnięcie wniosków z przeszłości chroni nas przed popełnieniem znów tych samych błędów. Lecz bez względu na to, jak bardzo byśmy chcieli, nie jesteśmy w stanie jej zmienić. Możemy tylko ją zaakceptować i neutralizować skutki.

Marta skinęła głową, że rozumie. Nie uważała za słuszne polemizować z tymi stwierdzeniami, miała jednak inne zdanie. Wspomnienie zdrady Olka pomoże w budowaniu ich obecnej relacji? Szczerze w to wątpiła. Tylko jeśli oboje zapomną, będą mogli ruszyć naprzód.

– Nie zakładałabym też, że on się zmieni. To zbyt optymistyczne. I nawet do ciebie nie pasuje, bo aż tak

pozytywne myślenie nie leży w twojej naturze.

Nastąpiła chwila ciszy. Ukryty pod krzakiem pigwy kos gwizdnął radośnie, odpowiedziała mu makolągwa, która uwiła sobie gniazdko w głogu. Tuż nad uchem Marty zabrzączał komar, uznał jednak, że jej krew nie nadaje się jeszcze do konsumpcji, i odleciał.

– Każdy z nas ma wady. Powinniśmy kochać innych ludzi dla ich zalet i pomimo wad. Tak myślę. Wiem. Sama byłam młoda, kochałam męża i walczyłam z jego wadami. Czasem tak sobie myślę, że gdybym nie była uparta, starając się zmienić Konrada, moje dzisiejsze życie wyglądałoby inaczej. Oczywiście nie wiadomo, czy byłoby lepsze. Wiem jednak, że zamiast męża zmienić, straciłam go.

– Mam zaakceptować to, że Olgierd mnie zdradza? – zapytała Marta. Leokadia spojrzała na nią z wyrzutem.

– Twój mózg jeszcze nie pracuje zbyt dobrze – fuknęła. – Wiesz, w ogrodzie istnieją połączenia idealne. Jednym z nich jest posadzenie razem róży pnącej i powojnika. Gdy obsypią się kwiatami, oczu nie można oderwać. Ty i Olgierd też stanowicie idealne połączenie. Pamiętaj jednak, że róża ma kolce, a klematis delikatne łodygi. On ciebie zrani, choć tego nie chce, bo trafi w czułe miejsce. Myślisz, że dobrze robisz, gdy odpowiadasz tym samym?

Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale w tej chwili przed furtką stanęła Janina. Marta ucieszyła się na widok matki, po pierwsze dlatego, że za nią tęskniła, po drugie, że jej przyście przerwało ów dziwny wywód, którego dziewczyna za nic nie mogła zrozumieć.

Marta spodziewała się, że matka będzie miała do niej pretensje i nawet jeśli ze względu na obecność Leokadii nie będzie czyniła wyrzutów, swoim zachowaniem da córce odczuć, jak bardzo jest urażona.

Nic takiego jednak nie nastąpiło. Janina była w wyśmienitym humorze i wprost promieniała. Trudno się dziwić, córka w końcu opuściła szpital, a przyjazd Mateusza dopełnił szczęścia.

Gawędziły więc żywo, radośnie, a kiedy rozmowa zesła na ogrodnictwo, wydawało się przez moment, że nigdy się nie zakończy. Leokadia zastanawiała się głośno, czy dobrym pomysłem jest założenie wrzosowej grządki, bo była ostatnio w ogrodniczym i bogactwo kolorów kwiatów i listków tych uroczych krzewinek ją zachwyciło.

– Mogłabyś je sadzić różnymi kolorami w skośnych pasach. Albo otoczyć nimi małe poletka, na których rosłyby zioła – doradziła Janina.

– Pomysł ze skośnymi pasami bardziej mi się podoba.

Marta słuchała ich z przyjemnością. W końcu Janina spojrzała na zegarek i zdziwiła się, że już tak późno.

– Muszę iść, jeśli chcę zdążyć z kolacją. Czekam na ciebie i Olgierda o osiemnastej. Będzie mi miło – zwróciła się do Leokadii – jeśli ty również przyjdiesz.

– Zaskoczyłaś mnie, mamo. To miłe, ale chyba niepotrzebne. Poza tym chciałam wykorzystać wieczór na pakowanie. Wiesz, że jutro wyjeżdżamy.

Janina popatrzyła ze zdziwieniem na córkę.

– Myślałam, że przełożyliście wyjazd ze względu na pogrzeb.

Teraz Marta spojrzała na matkę tak, jak tamta na nią przed chwilą.

– Jutro o trzynastej jest msza, a później pogrzeb Zbyszka Domańskiego. Ze względu na niego i Tereskę nie wyobrażam sobie, by kogoś z Różanej mogło zabraknąć – powiedziała Janina.

Marta skinęła głową. Jeden wieczór, jedna kolacja z jej rodzicami, jeden dzień, szereg ustępstw, do których zmusza ją matka, a ona zaraz będzie nakłaniać do tego Olka. Może właśnie to miała na myśli Leokadia? Marta myślała, że wrócą do przerwanej rozmowy, gdy Janina odejdzie, tak się jednak nie stało.

Szalony entuzjizm, który ogarnął Marię, nie udzielił się Wandzie.



Przyjaciółka obudziła ją bladym świtem i radośnie oznajmiła, że idą sprzątać w jej domu.

– Przecież już to zrobiliśmy – mruknęła w odpowiedzi Wanda i naciągnęła kołdrę na głowę.

– Masz na myśli wrzucenie wszystkich przemoczonych rzeczy do kontenera? To, moja droga, było tylko usuwanie skutków powodzi, nie sprzątanie.

– Mówiłam ci wtedy, żeby wywalić wszystko. Nie musiałybyśmy sobie teraz zawracać tym głowy.

Maria westchnęła i szarpnęła za kołdrę.

– Wstawaj, nie leń się. Jest piękny letni dzień, a przed nami sporo pracy. Na śniadanie jajecznicą czy sadzone?

Wanda, absolutnie wbrew sobie, skapitulowała. Wstała, ubrała się i bez marudzenia zjadła zbyt rzadką jajecznicę.

Prawda była taka, że nie chciała wracać do tamtego domu. Nie chciała wracać do przeszłości. Uznała to za znak, gdy woda zalała dom i zniszczyła wspomnienia, których ona nie potrafiła odrzucić. Powrót tam nie był przyjemny. Zresztą dlaczego miałyby wyprowadzać się od Jezierskiej, w końcu nie jest taka zła. Nie jest zła? Ją samą zaskoczyło to stwierdzenie. Chyba to objaw syndromu sztokholmskiego, uznała. Nawiązuję więź z oprawcą.

– Pośpiesz się – przynagliła ją Maria, podniecona jak jamnik w lesie.

Wstawiając brudny talerz do zlewu, Wanda podjęła kolejną niemrawą próbę uniknięcia wizyty w domu i związanych z nią retrospekcji.

– Nie musimy tego robić.

Przyjaciółka spojrzała na nią z pobłażliwym uśmiechem.

– Wiem, co czujesz.

Przez ułamek sekundy Wanda miała nadzieję, że Maria rzeczywiście rozumie jej stan. O tym, jak bardzo naiwne było takie przypuszczenie, przekonała ją to, co usłyszała chwilę później.

– Jest ci smutno, bo myślisz o tych wszystkich rzeczach, które prawdopodobnie straciłaś. Wiele z nich miało dla ciebie wartość sentymentalną, wiem. Pamiętaj jednak, że to tylko przedmioty. Masz wspomnienia i tych nikt ci nie odbierze.

Nawet nie wiesz, moja droga, ile bym dała za amputację niektórych wspomnień. Właściwie wszystkich wspomnień. Amnezja na życzenie to byłoby coś, pomyślała Wanda. Coś z tego musiało się odbić na jej twarzy i Maria to zauważyła, podeszła do przyjaciółki i serdecznie ją uściskała.

– Przejdziemy przez to razem. Ty mi pomogłaś, teraz ja pomogę tobie. Uporządkujemy dom, bo tutaj mieszkać nie możemy. Towarzystwo mamy nie wpływa dobrze ani na ciebie, ani na mnie.

I pociągnęła Wandę do drzwi. Chwilę później stały przed domem Zdunkowskiej. Dziwnie było się tu znaleźć. Zatrzymały się przed furtką, w której tkwił korzeń przyniesiony przez wodę. Dzika zieloność, która przez nikogo niepilnowana, tak niedawno otaczała dom zwartym gąszczem, teraz była wspomnieniem. Nic nie zabija roślin okrutniej niż nadmiar wody. Duszą się wtedy, a ich zielone liście zwisają martwe, bez szansy na ratunek.

– Tak, smutno to wygląda. Pamiętaj jednak, że w większości były to chwasty, które i tak należało usunąć. Tylko tej dzikiej róży trochę szkoda. Ładnie pachniała. – Maria, uznawszy to pocieszenie za wystarczające, pchnęła furtkę i dziarsko ruszyła ku domowi.

Kiedy pół roku wcześniej Wanda weszła tutaj pierwszy raz po wielu latach, uderzyło ją, jak bardzo nic się nie zmieniło. Meble, obrazy, zdjęcia zajmowały dawno przydzielone im miejsca. Kolory wyblakły, wszystko pokrył kurz i były to jedyne różnice między obrazem, który zapamiętała, a tym, co zastała.

Po powodzi, gdy wyrzucano zniszczone rzeczy, starała się nie zaglądać do domu. Kręciła się po podwórku, zaglądała do Teresy, przynosiła napoje, robiła wszystko, by nie stanąć twarzą w twarz z przeszłością. Było to dziwne, bo przecież po przyjeździe zamieszkała w tym domu. Inna sprawa, że wtedy na ogół nie była trzeźwa. Alkohol to świetny lek przeciwbólowy, zwłaszcza gdy kogoś boli dusza. Potem Wanda znalazła sobie cel, jakim było zadośćuczynienie Marysi za popełniony wobec niej grzech

zaniedbania, i skupienie się na tym działaniu pozwalało, aby jej myśli biegle w inne strony. Na koniec Maria zamieszkała tu razem z nią, a jej irytujące towarzystwo sprawiało, że Wanda nie była w stanie myśleć o niczym innym.

No i wcześniej było tak, że wyznaczyła sobie w domu bezpieczne ścieżki, a poruszanie się po nich trzymało ją z dala od niebezpieczeństw. Omijała przedmioty, przywołujące najgorsze wspomnienia. Krzesło, na którym się opierała, gdy dziadek wymierzał jej karę, postawiła w kącie pod oknem. Kubek, z którego piła gorzkie ziółka, słuchając słów babci: „Dziadek nie jest zły, po prostu ma trudny charakter, musisz się starać być grzeczniejsza”, schowała głęboko do szafki nad lodówką.

A teraz będzie musiała wziąć do ręki każdy przedmiot, każde wspomnienie.

– Powiem ci, Wandziu, że nie wygląda to najlepiej! – krzyknęła Maria z kuchni. Wanda, czując się tak, jakby przełamywała ścianę lodu, weszła do środka.

Wyglądało tak strasznie, że poczuła ulgę. Na parterze nie było mebli, bo kazała wszystko wyrzucić. Klepki parkietu wypaczyły się i wybrzuszyły, czekając na sygnał, by czym prędzej odskoczyć od podłogi. Zamoczona tapeta odpadła od ściany; linia wody odcinała się wyraźnym brunatnym pasem. Ktoś zdjął ze ściany fotografie i położył je na parapecie.

– I jak to widzisz? – zapytała Maria, gdy Wanda przekroczyła próg kuchni. – Tu w kartonach jest trochę drobiazgów, ale podejrzewam, że nie obesli się z nimi delikatnie. – Poruszyła pudłem, by dać do zrozumienia, co ma na myśli.

– Nie szkodzi. Wyrzucimy to.

– Ale, Wandziu, możesz potrzebować tych rzeczy...

– Kieliszków? Do czego?

– Racja. Szkło można wyrzucić.

Wanda wzięła jeden z dużych, czarnych worków, przyniesionych przez Marysię, powiedziała: „Musimy się pozbyć wszystkiego”, i wzięła się do roboty. Wyrzucała to, co wpadło jej w ręce. Przyjaciółka przyglądała jej się ze źle ukrywanym zainteresowaniem. Jakby nie mogła pojąć, dlaczego tanta tak robi.

– Nie potrzebuję starych kubków i talerzy. Nawet nie wiem, czy wolno ich używać – tłumaczyła jej Wanda, choć nie musiała.

Maria rzuciła niepewnie: „No tak”, i przyłączyła się do przyjaciółki. Była jednak mniej stanowcza i pytała o każdą rzecz, czy Wanda na pewno nie będzie jej potrzebowała.

Pokoje na górze wyglądały dokładnie tak, jak Wanda je zostawiła. Woda tu nie dotarła, ale wilgoć tak. Zapach był nieprzyjemny, stęchły.

– Wywał wszystko z tamtego pokoju – zdecydowała Wanda. – Ja zajmę się tym.

– Mam wszystko wyrzucić? Jesteś pewna?

– A ty jesteś pewna, że chcesz tu zamieszkać? – Zabrzmiało to jak jazgot rozzłoszczonego kundla. –

Przepraszam. Wcześniej, kiedy tu mieszkaliśmy, obie miałyśmy poczucie tymczasowości. Przeniosłaś się, by mnie pilnować, ale twój dom był u Leokadii. Dlatego łatwiej zносиłaś ten zasyfiony antykwariat. Jeśli jednak teraz zamierzasz mieszkać tu na stałe, to chyba nie w tych warunkach, prawda?

Maria skinęła głową jak zbesztana uczennica. Masz za swoje, pomyślała Wanda, w końcu to był twój pomysł, ja się nie wrywałam na tę imprezę. Patrzyła chwilę za Marią, która zniknęła w sypialni dziadków, sama zaś ruszyła do pokoju należącego kiedyś do matki.

Z tym pokojem wiązało się jedno z najwcześniejszych wspomnień Wandy. Pamiętała, jak przez szparę w uchylonych drzwiach zaglądała do środka, nie mając odwagi wejść. Widok płaczącej mamy bardzo ją onieśmiał.

– Nie mogę tak dłużej – powiedziała wtedy mama. – Zabiorę Wandzię i wyjadę. Nie zniosę tego, nie dam rady.

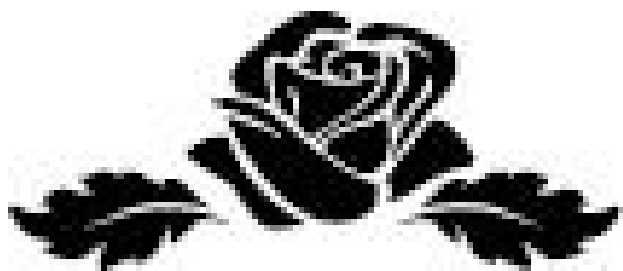
– Wielkie mi co – odezwała się babcia, której Wanda nie widziała. – Nie ubędzie ci. Co ty z dzieckiem w świecie zrobisz? Gdzie znajdziesz robotę?

- To wyjadę sama. Znajdę robotę, a jak się urządzę, wrócę po małą.
- On ci jej nie odda. Ojciec nie jest zły. On... On ma tylko trudny charakter.

Tu wspomnienie się rozpływało. Pojawiało się jednak inne, które sprawiło, że tamta dziwna scena nabrała sensu.

Przez te wspomnienia znowu była teraz tamtym dzieckiem, stojącym w drzwiach i czującym strach przed wejściem do środka.

- Wandziu, ale listy od ojca to chyba chcesz zatrzymać? – Głos Marii dobiegł jakby ze studni.
- O czym ty mówisz, Marysiu? W życiu nikt nie pisał do mnie listów.
- Jak to? Są zaadresowane do ciebie, a z tyłu podpisano „tato”.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

### Róża Grandhotel

*Róża Grandhotel to klasyczna czerwona róża parkowa. Jest wysoka i gęsto się rozkrzewia. Smukłe bordowe pączki rozwijają się w duże, pełne kwiaty o płatkach jaskrawokrwistoczerwonych z aksamitnym połyskiem. Również ciemnozielone liście tej róży są błyszczące. Kwitnie obficie od czerwca do września. Emanuje wigorem, co znajduje odzwierciedlenie w jej ponadprzeciętnej odporności na mróz, upał, deszcz i choroby. A przy tym ma małe wymaganie glebowe. Przy całej gamie zalet ma jednak wadę – nie pachnie.*

Kot Konstanty patrzył z politowaniem na współlokatora, który był szczęśliwy jak kocur w marcu. Z tego samego powodu. Jednak w przeciwieństwie do przedstawicieli gatunku Konstantego współlokator inaczej podchodził do całej sprawy. Zamiast leżeć na boku i lizać obolałą męskość, biegał po domu, wzdychał i snuł plany na przyszłość. To było irytujące. Zwłaszcza gdy mijając Konstantego, wciąż powtarzał pytanie: „Czy ty musisz leżeć na środku drogi?”. Oczywiście odpowiedź brzmiałaby, że on, Konstanty, leżał tu na długo przedtem, zanim jego współlokator postanowił tędy przechodzić, jednak udzielenie jej byłoby poniżej godności kota. Milczał więc z wyższością. Nie komentował również żalonych monologów Starskiego.

– Może na początku sierpnia zabrałbym Janinę na wycieczkę? Taki romantyczny wyjazd, tylko we dwoje, z noclegiem w jakimś romantycznym hoteliku. Zostałbyś sam na jedną czy dwie noce?

Oczywiście, Konstanty chętnie zostałby sam nawet na więcej nocy. W końcu używał współlokatora tylko jako otwieracza do konserw. Może przez jakiś czas jeść suchą karmę. Może nawet zjeść to, co upoluje.

– Nie wyjechalibyśmy daleko. Może zamek Książ albo Dolina Pałaców i Ogrodów? Jak myślisz, lepiej zapytać, czy też zrobić jej niespodziankę? Niespodzianka! Któż nie lubi niespodzianek?

Ja nie lubię, pomyślał Konstanty.

Współlokator, zupełnie niezrażony obojętnością kota, mówił dalej:

– To byłby zwykły poranek. Teraz Janina ma wakacje, nie musimy czekać na weekend. Zresztą wtedy jest dużo ludzi, a w taki wtorek czy środę ruch niewielki. Pojechalibyśmy sobie w stronę Wałbrzycha, może wpadlibyśmy na chwilę do Chełmska Śląskiego. Wiesz, że są tam domy tkaczy, opisane przez laureata Nagrody Nobla? Też nie miałem pojęcia, ale byłem tam wiosną i trochę pozwiedzałem. Jest tam taki sklepik, cukiernia U Apostoła. Kupiłbym Jance ładną apaszkę w róże i poczęstowałbym ją kawałkiem bomby, to takie ciastko, bardzo słodkie. Zaraz by zaczęła mówić, że od tego przytyje, a ja bym obiecał, że pomogę jej spalić. Wiesz, co mam na myśli?

Niestety, bo wolałbym nie wiedzieć. Konstanty odwrócił się na drugi bok, by nie mieć stóp

współlokatora na linii wzroku. Ludzie to jednak żałosne istoty. Ich podejście do spraw damsko-męskich jest nienaturalne, romantyczne, a na dodatek lubią o tym mówić. Konstancy miał do czynienia z tyloma samicami, ilu współlokator na oczy nie widział, i jakoś nie opowiadał o tym przy wieczornej szklaneczce mleka. Ale Starskiemu brak było ogłady. Ciągłe tylko paplał, jaka to Janinka zgrabna, jaka ładna, jakie ma okrągłutkie piersi. To ostatnie było najdziwniejsze. Bo kto zwraca uwagę na gruczoły mleczne samicy?

– Może byśmy poszli do ogrodu? Śliczny dzień się zapowiada. Mógłbym go spędzić z Janką, gdyby nie ten gówniarz. Kiedyż ten Mateusz wyjedzie?

Olgierd jeszcze twardo spał, gdy Marta się obudziła. Delikatnie, żeby nie zbudzić męża, wyswobodziła się z jego objęć. To wcale nie było łatwe. Złamane żebra wciąż dokuczały, gdy wykonywała gwałtowne ruchy. Noga, tkwiąca w gipsie, utrudniała samodzielne poruszanie. Na szczęście Olek miał mocny sen. Zamruczał tylko pod nosem i spał dalej. Nic dziwnego, kilka minut po piątej to dla większości ludzi jeszcze noc, nawet jeśli robi się już jasno.

Marta pokuśtykała do okna i delikatnie odsunęła firankę. Z ich pokoju rozciągał się widok na park. Patrzyła na drzewa otulone ciemną szarością poranka i nadawała im imiona. Kiedyś rozpoznawała tylko kasztanowce, dęby i brzozy. Teraz wiedziała, że te drzewa o korze jak odlanej z metalu to buki. Wiedziała, że pojawiające się na wiosnę igiełki modrzewi zachowują swoją delikatność do jesieni, kiedy to żółkną i opadają. Znała białe i czarne topole, wiązy, graby, robinie i osiki. Po liściach rozróżniała gatunki lip, a po igłach gatunki sosen i świerków. Krzaki również przestały być tylko krzakami. Tamaryszek różnił się od tawuły czy jaśminu, a cis od jałowca. Wiedziała, że pigwowe kwiatki o pomarańczowych płatkach zamieniają się w złote owoce, które świetnie nadają się na nalewkę.

Najbardziej ucieszył ją fakt, że potrafiła nazwać niektóre gatunki róż. Tu, w parku, rosło ich wiele przy alejkach, którymi kuśtykała. Patrzyła na ich kwiaty i poznawała je, jakby zobaczyła znajome twarze. Barkarole poznała po płatkach, jakby wyciętych z bordowego zamszu. Tożsamość Rokoko zdradzał unikalny, falisty brzeg płatka. Armadę trudno pomylić z innymi ze względu na charakterystyczny, smukły różowy kwiat, którego piękno podkreślały błyszczące, ciemnozielone liście. Na obrzeżach parku w zwartych, nieprzebytych zaroślach natrafiła na dziką różę. Nie była do końca pewna, czy to *Rosa arvensis* czy też *Rosa canina*. Wiedziała jednak, że najłatwiej rozpoznać je po zapachu, a świadomość posiadania tej wiedzy cieszyła ją niezmiernie.

Ładne było to miejsce, do którego przybyli, choć dojazd stanowił nie lada udrękę. Normalnie trudno wytrzymać długą jazdę samochodem, a cóż dopiero, gdy ma się unieruchomioną kończynę!

– Zmiana klimatu i odpoczynek dobrze ci zrobią – powiedział wcześniej Olgierd.

To on znalazł to urocze miejsce wśród lasów, nad jeziorem. Jaka szkoda, że ona nie jest sprawna. Tak bardzo chciałaby zobaczyć każdy tutejszy zakątek. Niestety, noga miała tkwić w gipsie jeszcze przez cztery tygodnie. Jeden z lekarzy w szpitalu kazał jej nie obciążać, drugi, wręcz przeciwnie, mówił, że powolne obciążanie jest kluczem do sukcesu. Jeden kazał łykać preparaty przyspieszające zrastanie, drugi powiedział, że jeśli ktoś wymyśli środek przyspieszający zrastanie, dostanie Nobla. Obaj byli zgodni, że odpoczynek dobrze zrobi pacjentce, bo kluczem do zdrowia fizycznego jest zdrowie psychiczne. O to drugie Olek zadbał wyjątkowo, zapewniając jej różnorodne atrakcje, które miały sprawić, że poczuje się lepiej. Były zabiegi kosmetyczne i masaże. A wczoraj poszli na dansing dla seniorów do miejscowej kawiarni.

Marta się opierała, uważając, że to głupi pomysł. Nie mogła zbyt wiele chodzić, a cóż dopiero tańczyć.

– Zupełnie cię nie rozumiem – śmiał się Olek. – Nie ty jedna będziesz tam z balkonikiem.

Okazało się jednak, że tylko ona potrzebowała kul, by się poruszać. Większość senierek była stokroć sprawniejsza od Marty. Może jej się tylko tak wydawało, ale też wyglądały lepiej – wystrojone,

umalowane, ze starannie ułożonymi fryzurami.

– To głupie, chodź stąd. – I próbowała się odwrócić w drzwiach, co nie było łatwe, bo wciąż jeszcze nie całkiem dobrze manewrowała kulami.

– Wejdźmy, napijemy się czegoś i posłuchamy muzyki – namawiał Olek.

– Państwo wchodzą czy wychodzą? – zapytał starszy pan w sztruksowej marynarce, który stanął za nimi. Była z nim kobieta w czarnej wieczorowej sukni.

„Wychodzą” Marty i „wchodzą” Olka padły jednocześnie. Zdezorientowany mężczyzna patrzył to na niego, to na nią.

– Może jednak państwo wejdą. Moja żona będzie grała do tańca.

– Będzie mi bardzo miło. – Kobieta uśmiechnęła się ciepło i poprawiła szal przykrywający jej ramiona.

Marta skinieniem głowy wyraziła zgodę i przeprosiła uśmiechem za sytuację w drzwiach. Przy pomocy Olka dokuśtykała do najbliższego wolnego stolika. Widziała, że wzbudzili zainteresowanie, i teraz marzyła, by stać się niewidzialną.

– Czy ja nie będę przeszkadzał? – Starszy pan, z którym spotkali się przy wejściu, stanął przy ich stoliku. Olek zaprosił go gestem, przedstawił Martę i siebie.

– Ja jestem Stanisław Leszczenko, a ta piękność przy pianinie to moja żona, Krystyna. Państwo na wakacjach? – spytał nowy znajomy.

Olgierd przejął na siebie ciężar konwersacji i wkrótce pan Leszczenko wiedział, skąd i dlaczego przyjechali, oni zaś poznali historię jego wyprowadzki z Poznania i uroków spędzania emerytury w niepozornej mieścinie, gdzie w sezonie nie dzieje się zbyt wiele, a poza sezonem jeszcze mniej.

– Przyjeżdżają tu głównie osoby starsze, bo młodzi wolą góry czy morze.

– Morza nie lubię, a gór się boję – odpowiedział Olgierd.

Pan Stanisław przez chwilę się zastanawiał.

– To Tuwim?

– Albo Staff. Nie pamiętam.

– Lubi pan poezję?

– Moja ciotka lubi. Uczy polskiego, przez lata pomagała mi w lekcjach i kładła szczególny nacisk na mowę wiążaną.

Marta pochwyciła rzucone na nią spojrzenie i była pewna, że pan Stanisław zaraz zapyta, jaki jest jej stosunek do poezji. Rozpaczliwie szukała jakiejś rozsądnej odpowiedzi. Na szczęście Krystyna Leszczenko uznała, że najwyższy czas zacząć grać. Kawiarniana sala wypełniła się skocznymi dźwiękami. Nie trzeba było długo czekać na pierwsze pary. Marta patrzyła z zazdrością na popisy senierek. Bywały w jej życiu długie dni, ale te spędzane z nogą w gipsie należały do najdłuższych. Chciała biec, chciała czuć wiatr we włosach. Starła się nie myśleć o jesiennym maratonie we Wrocławiu. Wiedziała już, że w tym roku nie wystartuje, nie trzy tygodnie po zdjęciu gipsu. To było po prostu niemożliwe. A wiosenny maraton w Krakowie? Wciąż szaleństwo, ale chyba możliwe do zrealizowania. Łzy zakreśliły jej się w oczach, gdy pomyślała o swoim utraconym marzeniu. Tyle morderczych treningów. Była gotowa, by pobiec i ukończyć bieg z dobrym wynikiem. Oczywiście nie winiła Olka. Znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. A co z Sylwią? Owszem, początkowo Marta była na nią wściekła, ale to mijało. Teraz była zła głównie na siebie. Dlaczego wcześniej nie wzięła udziału w zawodach? Dlaczego odkładała realizację marzeń? Przecież wystarczy chwila, by żadnego „później” nie było.

Z zamyślenia wyrwał ją głos Olgierda.

– To nasza piosenka. Zatańczysz?

Spojrzała na niego zdziwiona. Śpiewany niegdyś przez Aleksandra Żabczyńskiego przedwojenny przebój nigdy nie był ich piosenką. Tak naprawdę nie mieli własnej piosenki, pewnie dlatego, że w ich

życiu narzeczeńskim i małżeńskim nie zdarzały się zbyt często imprezy taneczne. Grill z przyjaciółmi, spotkanie przy winie, parapetówki i trzy wesela – to wszystko, w czym razem uczestniczyli.

– To nie jest nasza piosenka.

– Jak to nie? Śpiewałaś ją, kiedy byłaś mała. Darłaś się na całą ulicę.

Marta się roześmiała. Nikt nie potrafił jej rozśmieszyć tak jak Olek.

– Zamiast wciskać mi fałszywe wspomnienia, przyznaj, że wybrałaś tę piosenkę, bo jest wystarczająco wolna dla kobiety w gipsie. – I przyjęła jego pomoc, by podnieść się z krzesła. Przekuśtykała kilka kroków od stolika i wsparta trochę na mężu, trochę na kuli, zaczęła się delikatnie kołysać w rytm cikliwej piosenki.

– „I nie zapomnisz mnie, gdy moją piosenkę spamiętasz” – zanucił cicho Olgierd wprost do jej ucha.

Miał ładny głos, ciepły i aksamitny. Jedna czy dwie nuty zabrzmiały fałszywie, ale to nie przeszkadzało. Marta położyła mu głowę na ramieniu i pozwoliła, by jej śpiewał. To był tak cudny, tak romantyczny moment, że chciałoby się móc go schować do pudełka na skarby. Kiedy będziemy starzy, pomyślała, wspomnimy tę chwilę i uznamy, że była najpiękniejszą z pięknych chwil naszego życia.

Kiedy fortepian umilkł, okazało się, że Olek śpiewa dość głośno. Jego delikatnie wibrujące solo wypełniło salę. Marta podniosła głowę – wszyscy na nich patrzyli.

– „Wspomnienia, wspomnienia silniejsze będą niż ty”. – Olek skończył śpiewać i pocałował Martę tak, że zabrakło jej tchu i w głowie się zakreśliło.

Rozległy się oklaski i pomruki aprobaty dla tej publicznej deklaracji miłości. Marta była zawstydzona, Olek zadowolony. Jeszcze bardziej, gdy pani Krystyna podeszła do niego i zaproponowała wspólny występ.

– Sympatyczny chłopak z tego pani męża – powiedział pan Stanisław i Marta nie mogła zaprzeczyć. I nagle wieczór, który już był romantyczny, stał się na dodatek magiczny. Oparty o pianino Olgierd śpiewał przedwojenne szlagiery, emerytki na parkiecie wywijały, jakby miały po dwadzieścia lat, a Marta sączyła wodę z listkami mięty. Gdy występ się skończył, siedzieli we czwórkę przy stoliku i rozmawiali o tym, jak było, jak jest i jak będzie w ich życiu i miłości, aż zmęczona kelnerka oświadczyła, że naprawdę muszą już zamykać.

Letnie niebo miało głęboki, granatowy kolor i wydawało się, że wisi tuż nad wierzchołkami parkowych drzew. Gwiazdy wyglądały na większe i jaśniejsze, a może było to tylko takie wrażenie, bo gdy wracali powoli do hotelu, nie świeciły się już latarnie. Olgierd pomagał Marcie, na ile pozwalała mu jej niezależność. „Nocami w gwiazdy spoglądam i myślę z lękiem...” – nucił, a ona się śmiała i cieszyła, że mężczyzna, którego kocha, śpiewa dla niej piosenkę.

Teraz, patrząc na park wypełniony poranną ptasią krzątanicą, myślała o tym magicznym wieczorze i czuła takie ciepło w okolicach serca i ucisk w gardle, jakby miała się zaraz rozpłakać albo roześmiać w głos. W taki stan wprowadzała ją dotychczas jedynie scena z filmu *Pan Wołodyjowski*, gdy Ketling tłumaczył Basi, czym jest kochanie, a patrzył przy tym na śliczną Krzysię z tak przejmującym smutkiem, że Marcie chciało się płakać nad ich nieszczęsnym losem.

– „Kochanie to niedola ciężka, bo przez nie człek wolny niewolnikiem się staje. Kochanie to kalectwo, bo człek ślepy świata poza swoim kochaniem nie widzi. A jednak jeśli miłować ciężko, to nie miłować jeszcze ciężiej. Bo kogóż bez kochania nasyci rozkosz, sława, bogactwo. A ponieważ każdy by chętnie oddał życie za kochanie, tedy kochanie więcej jest warte od życia” – powiedziała szeptem, nie odrywając wzroku od śpiącego męża.

Tyle razy słyszała te słowa w ukochanym filmie i dopiero teraz zdała sobie sprawę z ich mądrości. Bez zastanowienia wskoczyła za Olkiem do wody, bo kochanie więcej było dla niej warte niż życie.

– Chyba powinnaś przyznać się przed sobą, Marto Krupska, że masz odrobinę romantyczne usposobienie.

Ale tylko tak odrobinę. Przecież poza ukochanym *Panem Wołodyjowskim*, oglądanym i czytany

dziesiątki razy, nie przepadała za lekturą książek o miłości czy komediami romantycznymi. Tylko ta jedna opowieść o dwóch zakochanych parach, których uczucia się poplątały, by potem szczęśliwie się rozplątać... Szczęśliwie? Twierdza krzemieniecka z hukiem wylatuje w powietrze. Mężczyźni odchodzą na wieczną służbę, kobiety zostają ze złamanymi sercami.

Dziewczyna doświadczyła bardzo nieprzyjemnego uczucia, że z jej miłością będzie podobnie – Olgierd spowoduje eksplozję, która jej, Marcie, złamie serce.

Popatrzyła na śpiącego męża. Zarost tworzył ciemny cień na jego policzkach. Wyciągnęła rękę, jakby chciała dotknąć jego twarzy, choć było to niemożliwe, łóżko stało ponad metr od niej. Przecież jeśli się w życiu czegoś bardzo pragnie, to można to zdobyć. A Marta ponad wszystko pragnęła Olgierda.

Ach, cóż to był za pogrzeb!, pomyślała Teresa. Siedziała w swoim salonie, wspominając uroczystości sprzed czterech dni. Jak wspaniale żyć w społeczeństwie, w którym o zmarłych mówi się dobrze albo wcale. Niech żyje cudowna obłuda i jej syn fałsz. Nie zapominajmy o ciekawości, bo to ona była odpowiedzialna za tłumnie przybyłych, żądnych sensacji gapiów. Ku ich wielkiemu rozczarowaniu obyło się bez fajerwerków. Z wdzięcznością pomyślała o Agacie. Gdyby nie ta młoda kobieta, sprawy mogły przybrać zupełnie inny obrót, bo Teresa nie była zdolna myśleć logicznie.

Zbyszek, odbierając sobie życie, odebrał jej wszystko. Niestety, zrozumiała to zbyt późno. Czuła się winna i miała ochotę wyznać przepytującemu ją policjantowi całą prawdę. Chciała kary, która może uczyniłaby poczucie winy znośniejszym. Powstrzymała ją przed tym Agata. Gdy zatrzymały się przed posterunkiem, na który Teresa została wezwana, by, jak się ładnie wyraził dzwoniący do niej oficer, „odpowiedzieć na kilka pytań, które pomogą nam zrozumieć tę całą, przykrą dla pani sytuację”, Brzozowska zauważyła, co się z nią dzieje.

– Widzę, że jesteś rozżalona i chcesz wziąć winę na siebie. To będzie głupie. Lepiej nic nie mów – ostrzegła ją. – Słów, które raz padły, nie da się wymazać, zwłaszcza gdy zostaną zaprotokołowane.

– Mam kłamać?

– A co w tej chwili jest silniejsze, twoje uczucia czy rozum? – Agata nie potrzebowała odpowiedzi. – Kiedy emocje opadną, a ty uznasz, że jednak chcesz coś zeznać, będziesz mogła to zrobić. Daj sobie czas, by się uspokoić i wszystko przemyśleć. Teraz możesz tylko popełniać błędy.

– Skąd ta mądrość?

– Oglądam sporo seriali kryminalnych.

Teresa wysiadła z samochodu Agaty, nie miała zamiaru słuchać rad tamtej. Jednak gdy znalazła się w pokoju przesłuchań i zobaczyła kraty w oknach oraz fałszywy uśmiech mającego ją przesłuchać funkcjonariusza, uznała, że być może młoda kobieta ma rację i trzeba wszystko przemyśleć.

– Kiedy ostatnio widziała się pani z mężem? – padło pierwsze pytanie.

– Byłam u niego w szpitalu.

– A wcześniej?

– Nie pamiętam dat, pewnie pan wie lepiej. Gdy Zbyszek trafił do aresztu, odwiedziłam go kilka razy, a potem... potem zaprzestałam odwiedzin. Nie robiły nam dobrze. To było przygnębiające i smutne dla nas obojga.

– Czy podczas ostatniej wizyty odniosła pani wrażenie, że mąż się zmienił?

– A mogłam odnieść inne?

– Chodzi mi o to...

– Czy zdarzyło się panu spotkać człowieka, który, trafiwszy do więzienia, pozostał sobą? Ten Zbyszek Domański, jakiego znałam, odszedł. Człowiek, którego widziałam w więzieniu, to był ktoś obcy. I uprzedzę pana kolejne pytanie, czy obcy ludzie wyjawiają sobie sekrety? Nie. Dlatego nie mogę panu pomóc, choćbym chciała.



Oczywiście nie mógł pozwolić, by ostatnie słowa należały do niej, dlatego zadał jeszcze kilka pytań. W końcu, uznawszy, że jego służbowy autorytet nie ucierpi, pozwolił jej odejść.

– Co im powiedziałaś? – zapytała Agata.

– Prawdę. Ale było jej niewiele.

Potem się rozplakała, a młoda Brzozowska w milczeniu podawała jej chusteczki. Im więcej łez płynęło, tym Teresa czuła się słabsza. A kiedy wytarła ostatnią, wiedziała, że nie da rady niczego, absolutnie niczego zrobić. Ta bezsilność przeraziła ją bardziej niż cokolwiek innego.

Na szczęście obok była Agata. Nie pytała, czy może pomóc, tylko zwyczajnie wzięła sprawy w swoje ręce. Załatwiała formalności z wprawą starego rutyniarza. Niestraszne jej były pertraktacje z księdzem, kościelnym i organistą. Wchodziła do kostnicy jak do siebie, wypełniała formularze równym, czytelnym pismem, zaznaczając wszystkie miejsca, w których Teresa miała złożyć podpis. I właściwie wkład małżonki Zbigniewa Domańskiego w zorganizowanie jego ostatniej drogi ograniczył się właśnie do tych kilku podpisów. Inne sprawy – msza, pogrzeb z przemowami i stypa – były zasługą Agaty. To dzięki niej wszystko zadziało się sprawnie jak mechanizm szwajcarskiego zegarka.

Teresa, ogarnięta apatią, była w stanie tylko kiwać głową, gdy tamta pytała. Czy zgadza się, by burmistrz przemówił na pogrzebie. Świetnie. Kilka słów w imieniu rodziny powie Janusz Krupski, wybaczyć, ale nie masz nikogo bliskiego, a sąsiedzi z Różanej są jak rodzina. Co myślisz o tym, żeby Maria powiedziała jeden ze swoich wierszy? Ja też sądzę, że to idiotyczny pomysł, ale chyba jej zależy. Tylko może nie tak od razu po Januszu. Wiedziałaś, że ona się w nim kocha? Zabawne. To może poprosimy pana Starskiego o kilka słów od rodziny? Jest taki miły, lubię go. Czy masz jakiś czarny zakiet? A rajstopy? Jaki numer butów nosisz? Mam czarny toczek z woalką, nie pytaj skąd, będziesz elegancko wyglądała. Zapowiadają, że będzie dwadzieścia pięć stopni. Dobrze, że nie trzydzieści, bobyśmy się ugotowały w tych czarnych ciuchach.

W końcu nadszedł dzień pogrzebu i Teresie pozostało jedynie odegrać rolę pogrążonej w żałobie wdowy. Oczywiście, że cierpiała. Czuła się tak, jakby ktoś wyjął jej serce, położył na desce do krojenia i tępy nożem usiłował je przeciąć na pół. Jednak ból, choć ogromny, nie manifestował się na zewnątrz łkaniem czy łzami. Raczej otepiał jak spora dawka nerwosolu. Pomysł Agaty z woalką był świetny. Teraz wystarczyło, by Teresa raz po raz przykładła do oczu rożek chusteczki. Ukryta za siateczką cieniutkich nitek obserwowała otaczających ją ludzi. Sylwia Brzozowska przyszła z córką. Obie bardzo piękne, choć Sylwia jakby zmęczona, cerę miała ziemistą, a oczy podkrążone. Patrzyła z nienawiścią na Martę, wspartą na ramieniu Olgierda. Tamta niczego nie zauważyła, skupiona na tym, by nie okazać, jak trudno jej ustać. Nic dziwnego, gips w taki upał to musi być udręka. Ciekawe, co ona robi, gdy ją swędzi? Leokadia patrzyła na wnuka z nieskrywaną dumą. Nie było wątpliwości, że cieszy ją ponowne zejście się tych dwojga. Janina Krupska stała z Mateuszem. Julka Brzozowska gapiła się w niego jak w obraz, co zniesmaczyło kilka starszych pań. Szeptaly między sobą, raz po raz wskazując na dziewczynę. To, że młoda jest zakochana, to nic złego. Jeśli już czemuś się dziwić, to temu, że Seweryn Starski stał tuż za Janiną, a Marii towarzyszył Janusz. Wanda wyglądała tak, jakby chciała się napić za zdrowie nieboszczyka. Był też Tadeusz, Teresa jednak udała, że go nie widzi.

Obserwowanie ludzi było pewną ulgą. Sprawiało, że myśli Teresy krążyły wokół nich, nie wokół jej spraw. To przynosiło spokój i pozwalało odpocząć duszy, udręczonej tęsknotą za Zbyszkiem i wyrzutami sumienia. Docierała do niej ostateczność tego, co się stało. Nigdy już go nie zobaczy, nie dotknie, nie usłyszy jego głosu. Nigdy nie była za bardzo wierząca; kiedy chodzenie do kościoła szkodziło wizerunkowi Zbyszka, to nie chodziła, kiedy pomagało, szli razem na niedzielną mszę. Modliła się bez przekonania, wierzyła jednak, że po życiu doczesnym coś ją czeka. Jednak w chwili, gdy grabarze opuszczali trumnę do grobu, zdała sobie sprawę z nieodwracalności tego, co się stało. Po śmierci nie ma raju, nie ma miejsca, gdzie Zbyszek będzie na nią czekać. Mogła się oszukiwać, roić sobie, że ich dusze się spotkają, onapoprosi o wybaczenie, a on go udzieli. Jednak prawda była taka, że sama sobie musi

wybaczyć głupotę, która doprowadziła do śmierci męża. A to nie będzie łatwe. Nie wiadomo nawet, czy w ogóle się uda.

Ociężała podniosła się z fotela. Chciała iść do kuchni, by zaparzyć sobie herbatę. Przez ostatnie kilka dni całe jej pożywienie stanowiła czarna herbata. Nie tylko dlatego, że w szafkach niewiele już pozostało. Myśli o jedzeniu były tak nieznośnie obce, jakby Teresa w całym swoim życiu nic nie brała do ust. Tylko herbatę mogła przełknąć bez obrzydzenia. Jednak nim doszła do drzwi, usłyszała w przedpokoju głos Agaty. Od jakiegoś czasu tamta już nie czekała, by jej otworzono. Pukała i prawie jednocześnie naciskała na klamkę, a gdy drzwi były zamknięte od wewnątrz, używała klucza, który „na wszelki wypadek” otrzymała od Teresy.

– Jak się dziś czujesz? – zapytała jak zwykle i jak zwykle usłyszała kłamstwo, że wszystko w porządku. – Jadłaś obiad? Wiesz, Teresko, że musisz coś jeść?

– Wiem.

– Śliczny dziś dzień, więc pomyślałam, że wpadnę do ciebie i wypijemy razem kawę na tarasie. Co ty na to?

– Świetny pomysł. – W głosie Teresy brakowało entuzjazmu.

– No to na co czekasz? Wstaw wodę. Po drodze do ciebie kupiłam smakową kawę, wolisz rumową czy czekoladową? Byłam też w cukierni, wzięłam szarlotkę, która, jak znam życie, tylko mnie pójdzie w biodra.

Tak naprawdę Teresa cieszyła się z towarzystwa dziewczyny, tylko nie potrafiła tego okazać. Ból i następujące po nim otępienie sprawiały, że nie miała siły na inne emocje.

Usiadły na tarasie. Zapach kawy unosił się w ciepłym powietrzu tego ślicznego, ostatniego lipcowego dnia. Nad talerzykami z szarlotką kręciły się muchy. Przyleciała też osa. Przysiadła w bezpiecznej odległości, wyginała głowę i czułki w różne strony, nie do końca przekonana, czy warto się zbliżyć. Po chwili podjęła decyzję, dźwignęła swoje żółto-czarne ciało i z brzęczeniem przefrunęła na brzeg talerza Agaty. Ta gwałtownie zamachała ręką. Osa odleciała, ale wiadomo było, że wróci.

– Musimy to zjeść, zanim się zlecą wszystkie osy z okolicy.

Teresa wzięła widelczyk i talerzyk, ale tylko trochę podziobała w jabłkowej masie. Ani okruszek nie trafił do jej ust. Odstawiła ciasto na pastwę much i os, patrząc ze smutkiem na ogród. Wyglądał jak zabetonowany; gruba warstwa błota, która pokryła wszystko w czasie powodzi, teraz zaschła, tworząc morderczą skorupę.

– Zajmowałam się w życiu tylko mężem i ogrodem – powiedziała. – Teraz nie mam już nic.

– Wiem, że ci smutno. – Agata nie miała odwagi nazwać uczuć Teresy po imieniu. – Dlatego pomyślałam, że może przywróciłybyśmy świetność twojemu ogrodowi.

– To niemożliwe.

Brzozowska się roześmiała. Głośno i szczerze.

– W jedno popołudnie zamieniłaś moje podwóreczko w zaczarowany zakątek. Tutaj też możesz to zrobić, jeśli zechcesz.

– A jeśli nie chcę?

– To będzie znaczyło, że poświęcenie twojego męża poszło na marne. Nie mówisz mi wiele, ja o nic nie pytam, ale głupia nie jestem. Przez lata nie najlepiej układało mi się z własną matką, bo bardzo się różnimy i nie mogłyśmy dojść do porozumienia. Nigdy jednak nie wątpiłam w jej rozsądek. Powiedziała mi kiedyś, że każdy człowiek musi znaleźć sobie zajęcie, które lubi. To go uszczęśliwi.

Naiwność dziewczyny wywołała ironiczny uśmiech na ustach Teresy.

– Chyba nie sądzisz, że mam jeszcze szansę na szczęście.

Agata upiła łyk kawy, a potem zaczęła mówić.

– Ludziom się wydaje, że szczęście to coś podobnego do sylwestra, połączenie fajerwerków ze złudną nadzieją na schudnięcie pięciu kilogramów. A to raczej taki stan, gdy doceniasz wszystko, co dobre

w twoim życiu.

– To, co było dobre w moim życiu, przepadło.

– Postaraj się o coś nowego. Kup sobie psa. Weź udział w akcji adoptowania afrykańskich dzieci. A na początek przywróć ładny wygląd swojemu ogrodowi.

– Może zajmę się tym za kilka dni – powiedziała obojętnie Teresa.

W tym momencie Agata zerwała się tak gwałtownie, że filiżanki zabrzęczały, a przestraszona osa, która spokojnie konsumowała okruch szarlotki, błyskawicznie wzbiła się w górę.

– Freddy! Freddy! Tak nie wolno! – krzyknęła. Po czym odwróciła się do Teresy. – Mój pies już zaczął przekopywać twój ogród. Jeden dół na roślinę już mamy, ale lepiej zabierzmy go stąd, zanim zrobi ich więcej. Jedziemy.

– Dokąd?

– Najpierw do sklepu ogrodniczego. Później do zoologicznego po psie kajdanki.

Nie. To na pewno nie było szczęście, ale Teresa cieszyła się z towarzystwa tej młodej kobiety. Dlatego dała się namówić na wyjazd do centrum ogrodniczego, świadoma, że to Agata zapłaci za zakupy. Nie martwiła się tym, wiedziała, że wkrótce spłaci długi zawiązką. Bo skoro z najbliższej rodziny Teresy nikt nie pofatygował się na pogrzeb, a brat Zbyszka, mieszkający w Anglii, nawet nie zadzwonił, nie warto się łudzić, że w przyszłości jej sprawy będą bardziej ich obchodziły. Zwolniona tym z obowiązku wdzięczności wobec nich, pomyślała, że wszystko, co ma, zostawi Agacie. Brzozowska zasłużyła sobie na to dobrym sercem i bezinteresownością. Była przyjaciółką, pierwszą i jedyną, jaką miała Teresa.

Kiedy Karolina zobaczyła Tomka Jabłońskiego na Różanej, serce jej zabiło gwałtowniej. Tak trochę z radości, że idzie do niej, a trochę... Trochę z powodu, którego nie potrafiła określić. Może to obawa, że zjawił się tu z zupełnie innej przyczyny? A nawet jeśli, to co? Nie może podejść do furki i powiedzieć „dzień dobry”? Poprawiła włosy i sprawdziła dokładnie, czy na bluzce nie ma dowodów, że jej synowie jedli śniadanie. Żadnych plam, zacieków czy resztek jedzenia. Cudownie! Zajrzała jeszcze do salonu, by sprawdzić, jak teleniania radzi sobie z dziećmi. Na ekranie Spiderman właśnie tłukł stwora podobnego do ośmiornicy, co wprawiło malców w ogromny zachwyt. Nie ruszą się stąd teraz, by siać zniszczenie, Karolina miała więc chwilę, by swobodnie pogadać z nowym znajomym.

Niestety. Minął jej dom i teraz kierował się w dół ulicy, pewnie do Zdunkowskiej. Ciekawe, co go sprowadziło? Popatrzyła na dom i przewyciężywszy wyrzuty sumienia, ruszyła za Tomkiem.

– Tak myślałam, że to ty. Bo widziałam cię przez okno w kuchni, ale nie byłam pewna... W każdym razie miło cię widzieć. – Umilkła, zawstydzona swoją paplaniną.

– Dzień dobry! – Wyglądało na to, że ucieszył się na jej widok. – Przyszedłem do pani Marii. Jej matka powiedziała, że tam ją znajdę. – Wskazał dom Wandy.

Karolinie wystarczyło jedno spojrzenie na dwa samochody zaparkowane przed bramą. Jeden, stary i wysłużony, należał do Janusza Krupskiego, drugi, elegancik prosto z salonu, był własnością faceta, który ostatnio kręcił się koło ciotki Marysi.

– Na twoim miejscu teraz bym tam nie szła. Dwóch facetów, jedna kobieta, być może leje się krew.

Tomek popatrzył na nią zdezorientowany.

– Chciałem z nią porozmawiać o dzisiejszej uroczystości.

Cóż za cudowna okazja.

– Poczekaj u mnie, aż odjadą. Albo przynajmniej jeden z nich. Zapraszam, napijemy się kawy. – „Ale czy ja mam kawę?”, zapytała samą siebie. – No albo czegokolwiek.

Krzyk dziecka usłyszeli, gdy wchodzili do domu. Karolinie prąd przeszedł po plecach. Pędem rzuciła się do salonu. Kacper siedział na podłodze, krzyczał i przyciskał rączki do twarzy, a między palcami czerwieniła się krew.

– Co się stało, synku? Co się stało? – pytała. Chciała, żeby powiedział, że nic, że to pomyłka, a ona nie jest okropna matką, która zostawiła bez opieki dwoje małych dzieci. Tymczasem synek tylko płakał i nie chciał odsłonić buzi.

– Spokojnie – usłyszała nad sobą głos, który w tym momencie zabrzmiał jak obcy i potrzebowała chwili, by zdać sobie sprawę, do kogo należy. – Jeszcze bardziej go straszysz.

Tomek ukląkł na podłodze i delikatnie uwolnił chłopca z objęć Karoliny.

– Przynieś mokry ręcznik. No, spokojnie, mały, nic takiego się nie stało. Boli? No trochę boli. Wiem, jak to jest. Jeśli pokażesz, co ci się stało, pokażę ci moją bliznę. Fajowa jest.

Chłopczyk troszkę się uspokoił. Dziecięca ciekawość była silniejsza niż ból. Tomek to wykorzystał i spokojnie mówił dalej. Opowiedział, jak spadł z roweru i rozciął sobie skórę na nodze. Podwinął spodnie, by pokazać białosiną, dziwnie poszarpaną bliznę.

– Teraz twoja kolej. Pokaż buzię i powiedz nam, co się stało – zachęcił.

Kacperek odsunął rączki od twarzy, lecz gdy tylko zobaczył krew, znów zaczął przeraźliwie krzyczeć. Karolina rzuciła się ku niemu, ale Tomek ją powstrzymał.

– Przecież mówiłem, że tylko jeszcze bardziej go straszysz. Zajmij się lepiej winowajcą. – Wskazał na Kubusia, przycupniętego za fotelem.

– Skąd wiesz, że to on?

– Jak ty to powiedziałaś? Tam, gdzie dwóch mężczyzn, zaraz leje się krew? – Uśmiechnął się do niej ciepło.

Karolinie nie było jednak do śmiechu.

– Jestem okropna matką. – Wolała sama to powiedzieć, niż usłyszeć od kogoś innego.

– Dlaczego tak uważasz? – Spojrzał na nią zdziwiony.

– Nie widzisz? Mojemu synowi coś się stało, bo zostawiłam ich samych. Powinnam była pilnować dzieci. To przeze mnie.

Tomek wyglądał, jakby chciał powiedzieć, że ma rację, jest okropna. Karolina usłyszała głos męża mówiącego: „Tak, nie radzisz sobie”, i miała wrażenie, że widzi rysy Konrada w twarzy tego prawie nieznanego człowieka. Czekwała na te słowa, trochę na niego zła i bardzo wściekła na siebie. Jednak zamiast wymówek usłyszała:

– Kiedy opanujemy sytuację, opowiem ci, co sobie zrobiłem na oczach mojej mamy. Musisz zrozumieć, jakim wyzwaniem jest wychowywanie chłopców. A teraz daj ten ręcznik i idź po plaster, to tylko skaleczenie.

Kwadrans później sprawa była wyjaśniona. Kuba, głęboko przekonany, że jest Spidermanem i ratuje świat, rzucił w brata pilotem, tak mocno, że przeciął delikatną skórę na buzi Kacperka. Teraz ranka była zdezynfekowana i opatrzona plasterkiem z misiem. Poszkodowany siedział przy jednym końcu stołu i rysował samochód, a winowajca, który został usadzony po drugiej stronie, również rysował samochód. Ich matka wciąż nie była przekonana, czy powinna się śmiać, bo nic się nie stało, czy też płakać, bo to jednak był wypadek, który mógł mieć gorsze zakończenie.

– Jeśli mnie pamięć nie myli, miałem dostać kawę.

Karolina się zawahała. Chciała, by sobie poszedł, i jednocześnie chciała, by został.

– Nie miałeś jakiejś sprawy do Marysi?

– Owszem. Pomyślałem jednak, że to nie jest najważniejsza rzecz, jaką mam dziś do zrobienia.

– A co jest?

– Wypicie filiżanki kawy.

Teodor Marciniak był człowiekiem prostym. Jak ktoś mu mówił „rybka”, widział rybkę, a nie od razu całe akwarium. I właśnie dzięki temu daleko w życiu zaszedł. Syn szwaczki i wiecznie pijanego

spawacza, chłopak z ledwo skończoną budowlanką, dziś był człowiekiem majątnym i szanowanym. Miał salon samochodowy i dwa warsztaty, dom, była żoną, teraz szczęśliwie zamężną z pewnym Niemcem z Bawarii, i syna, który mimo sprzeciwu ojca postanowił być lekarzem. Ponieważ jednak syn ostatnio znalazł sobie dziewczynę, należało mieć nadzieję, że dzięki temu zmądrzeje, przestanie sobie niszczyć zdrowie na nocnych dyżurach i przejmie część interesów ojca. Teodor chętnie wyzbyłby się branży samochodowej, by pozostać tylko przy kulturze. Wydawanie gazety sprawiało mu przyjemność. Miał taki polityczny zmysł, dzięki swojej wewnętrznej prostocie właśnie. Ludzie, którzy myślą zbyt abstrakcyjnie, dają się sprowadzić na manowce. Ludzie prości są solą ziemi, myślą logicznie i nie pozwolą zamydlić sobie oczu kłamstwami. Dlatego też Teodor pełnymi ciętymi dowcipami artykułami rozprawiał się z władzą na każdym szczeblu. Czytelnicy go uwielbiali, dostawał setki listów z podziękowaniami, choć zdarzały się również pogróżki. Nie dbał o to. Zresztą to nie walka z polityczną hydrą była najważniejsza. Kultura! To było to, co pragnął krzawić. Bo im głupszy naród, tym łatwiej nim kierować, bo ludzie jak te barany idą za pasterzem nawet na rzeź. A człowiek kulturalny, na przykład taki jak on, Marciniak, to się zatrzyma, zastanowi, podchwytliwie zapyta, o co tu chodzi. Robił więc, co mógł, by popularyzować czytelnictwo, reklamować dobre książki, głównie popularnonaukowe, i słowniki. Pisał też o poezji. Cóż, trzeba się przyznać do słabości, bywał sentymentalny.

Spotkanie z Marią Jezierską stało się ważnym wydarzeniem w jego życiu. Słyszał o wieczorze poezji w domu kultury, nawet się tam wybierał, ale sprawy zawodowe pokrzyżowały mu plany. Zadzwoił jednak na drugi dzień do Tomka Jabłońskiego z pytaniem, czy ten nie ma kilku zdjęć z imprezy, bo akurat jest wolna szpalta w gazecie i można by napisać, że impreza okazała się wielkim sukcesem. Jabłoński coś tam bąkał pod nosem, że nie wszystko poszło, jak trzeba. Dziwny chłopak. Mało obrotny i jakiś taki flegmatyczny. W końcu jednak zgodził się przesłać zdjęcia.

– Mam też jeszcze kilka tomików wierszy, gdyby pan był zainteresowany.

Teodor był, posłał więc zaraz jednego z chłopaków do domu kultury. Błąd to był, bo bałwan prosto od samochodu z brudnymi łapskami poleciał i zostawił na okładce odciski usmarowanych paluchów. A to ładna okładka była. Ta róża taka elegancka i tytuł zachęcający. Zajrzał... i można powiedzieć, że się zakochał. Strof tak wzruszających i szczerych nigdy jeszcze nie czytał. No i odważnych. Od razu poznał, że to poezja erotyczna. „Piersi moje wzgórze białe, stok ich biegnie ku dolinie, dalej las”. Czy tu można mieć wątpliwości? Potem sprawy szybko się potoczyły. Poezja, nagroda, poznanie autorki, która wywarła na nim jeszcze większe wrażenie niż jej strofy. Wspaniała kobieta. Z pozoru skromna, zamknięta w sobie, ale ostra, zadziorna, a pod lodową skorupą wyczuwał wulkan zmysłowego szaleństwa.

To, że liczył na przeniesienie ich znajomości na wyższy poziom, nie powinno dziwić. Wolny mężczyzna, trochę samotny, spotyka kobietę, którą podziwiał i chce ją uczynić panią swojego życia. Kobieta wydaje się nie mieć nic przeciwko temu, bo dla czegoż miałyby mieć, skoro Teodor był majątny i nieszeptny?

Plan miał taki, że dzisiejszą galę spędzą razem. Wcześniej zjedliby we dwoje obiad w jakiejś drogiej restauracji, a przed powrotem do domu wstąpiliby na lampkę wina. Kobietom nic nie wydaje się tak romantyczne, jak picie wina tuż przed wschodem słońca. Tylko Maria zdaje się nie pić wina. W takim razie wypiliby szampana. Szampan nawet lepszy. Wyznaliby sobie uczucia. Może padłyby jakieś deklaracje.

Niestety. Obecność gburowatego znajomego Marii, o którym mówiła, że to stary przyjaciel, pokrzyżowała te wspaniałe plany. Teodor podjął co prawda kilka elokwentnych prób pozbycia się intruza, ale ten chyba odznaczał się wysoce impregnowanym słuchem, bo nic do niego nie docierało. Marysia była zażenowana tym chamstwem przyjaciela, dlatego Teodor w końcu odpuścił. Pożegnał się uprzejmie, powiedział, że zobaczą się na gali. Wyraził również nadzieję, że po imprezie Marysia pozwoli mu odwiedzić się do domu, obiecał bowiem jej matce, czarującej pani Leokadii, że zaopiekuje się córką.

Mieszkanie w małym miasteczku ma swoje zalety. Wszędzie jest blisko, można więc umówić się na wizytę u ginekologa w przerwie na lunch. Życie w małym mieście ma też wady. Wiadomości szybko się rozchodzą. Za dzień czy dwa wszyscy będą wiedzieli, że Sylwia Brzozowska jest w ciąży. Będą również wiedzieli z kim, wszak dość ostentacyjnie prowadziła się z Olgierdem. Mówi się, że plotka wylatuje wróblem, a wraca wołem. Cóż, w takich miasteczkach wielkość zwierzęcia wracającego jest odwrotnie proporcjonalna do rozmiarów miejscowości. Dlatego w Rubiniu należy się spodziewać czegoś na miarę tyranozaura. I jeśli Sylwia nie chciała, by ją zdeptał, musiała wyprzedzić plotki. Weźmie dziś zaświadczenie od lekarza i pokaże je w pracy. Będzie cały czas mówiła o urokach posiadania dzieci, prawach kobiet... prawach matek, świadomym macierzyństwie i urlopach wychowawczych. Zapewne znajdzie się garść naiwnych, którzy uwierzą, że to świadomy wybór, a nie wpadka.

Pewnym krokiem weszła do prywatnej przychodni, która od kilku lat działała na skrzyżowaniu ulic Grodzkiej i Solnej, w pięknie wyremontowanej kamienicy. Przyprawiała tu Julkę do prywatnego ortodonta, bo kolejki w państwowej służbie zdrowia liczyły sobie już kilometry, a dziewczynka rosła i nie można było pozwolić, by krzywe zęby zeszpeciły jej uśmiech. Sama Sylwia do lekarzy, tak państwowo, jak i prywatnie, zaglądała niezwykle rzadko. Zęby miała ładne i zdrowe, przeziębienia ją omijały, a o wizycie u ginekologa przypominało jej wezwanie na obowiązkową cytologię.

Teraz to się zmieni. Nawet stan zębów może się pogorszyć, bo mały pasożyt będzie zabierał wapń ze wszystkich kości żywicielki.

Podeszła do recepcji, podała cel wizyty i chwilę później siedziała przed drzwiami gabinetu numer siedem na pierwszym piętrze. By skrócić sobie oczekiwanie, sięgnęła po kolorowe czasopismo, lecz już po chwili odrzuciła je ze wstrętem. Kto, u licha, wymyśla te bzdury i dlaczego nazywają się historiami prawdziwymi? Kto, do cholery, widział w życiu same szczęśliwe zakończenia?

Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy – wszystko się skomplikowało. Na dodatek Michał wciąż się nie określił. Widać było, że oddalali się od siebie z Agatą. Tamta cały czas spędzała teraz z Domańską. W sumie szlachetnie, bo przecież Teresa została sama. Kiedy nie ma się rodziny, każda życzliwa osoba jest na wagę złota. Z drugiej strony ta kobieta sama jest sobie winna. Chciała jej się wygodnego życia, bez dzieci, pieluch, mleka podgrzewanego o drugiej w nocy. Tymczasem Sylwia będzie mogła liczyć na wsparcie Julki i... Trzeba się zastanowić nad imieniem dla dziecka. Zrobi to po dzisiejszym USG.

– Jeszcze czekasz? – Pojawienie się Michała było radosne i nieoczekiwane. Wyraziła swoje zdziwienie, bo przecież nic mu nie mówiła.

– Owszem, mówiłaś. Kiedy ostatnio odwoziłem cię do domu, zapisywałaś sobie datę w kalendarzu. Mówiłaś, że jeśli tego nie zrobisz, zapomnisz.

Sylwia się uśmiechnęła. Ucieszyła się, bo on zapamiętał bez zapisywania i przyszedł bez zaproszenia.

Drzwi gabinetu w końcu się otworzyły. Kobieta, która w nich stanęła, wyglądała, jakby ktoś złośliwie wtłoczył w nią bardzo dużo powietrza. Miała opuchnięte dłonie, a jej stopy dosłownie wypływały z tenisówek. Szerokie uda do granic wytrzymałości rozpychały materiał bawełnianych spodni, a wielki jak piłka plażowa brzuch rozrywał szwy szarego podkoszulka.

Nie chcę tak wyglądać, pomyślała Sylwia, wchodząc do gabinetu.

– To badanie USG, ojciec może uczestniczyć. – Lekarz zaprosił Michała życzliwym gestem i zanim Sylwia zdążyła wyjaśnić ich skomplikowaną sytuację rodzinną, ten już zajmował miejsce obok leżanki.

Ginekolog posmarował zielonym żelem brzuch Sylwii, wciąż ładny i płaski, i rozpoczął się pokaz. Życie miało trzy miesiące, wielkość kciuka, sporą głowę i malutkie rączka. Wisiało jak dziecięca zabawka na końcu sznurka, który łączył je z matką. Podobno z łożyskiem, ale Sylwia w to nie wierzyła, dobrze wiedziała, że pępowina łączy maleństwo bezpośrednio z jej sercem.

– Wiadomo już, czy to chłopiec czy dziewczynka? – zapytał Michał.

– Na początku wszyscy jesteśmy dziewczynkami. Miejmy nadzieję, że w tym przypadku tak zostanie, potrzebujemy pięknych kobiet.

Sylwia uśmiechem podziękowała za komplement i papierowym ręcznikiem starła żel z brzucha. Skojarzenie ze spermą było tak nagłe i nieprzyjemne, że z trudem powstrzymała odruch wymiotny.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Michał, który widać zauważył, że pozieleniała.

Oczywiście, że dobrze, przecież to tylko ciąża. Wymęczy, ale minie. Za pół roku będzie trzymała w ramionach dziecko.

Lekarz wręczył jej wyniki badania. Już na korytarzu jak urzeczzeni patrzyli z Michałem na zdjęcie dziecka.

– Supersprawa – zachwycał się Michał. – Ojciec powinien móc zobaczyć dziecko, gdy jest ono w brzuchu matki. Szkoda, że jak byłaś w ciąży z Julką, nie robili takich badań.

– Nie urodziłam Julki w dziewiętnastym wieku – zaśmiała się Sylwia. – Kiedy byłam z nią w ciąży, też robiło się USG.

– To szkoda, że wtedy z niego nie skorzystałaś.

– Skorzystałam. Ty nie skorzystałeś. Nie chciało ci się iść.

Michał przyjacielsko poklepał ją po plecach.

– To nie może być prawda. Pamięć płata ci figle.

Pamiętała dobrze, ale nie miała ochoty dalej prowadzić tej rozmowy, która mogła się zmienić w miłe przekomarzanie albo w ostre wymówki. Raczej w to drugie, bo po tym klepnięciu w plecy Sylwia zupełnie straciła humor.

Po powrocie do pracy jeszcze przez kwadrans wpatrywała się w zdjęcie, rozmyślając. Wreszcie sięgnęła do torebki po telefon. Trzasnęła migawka, gdy fotografowała wydruk z USG. Wyślij, jako MMS, lista kontaktów, Olgierd, gotowe.

Ojciec powinien móc zobaczyć dziecko, gdy jest ono w brzuchu, czyż nie?

Janina stała przed lustrem w swojej sypialni. Jakiś czas temu odkryła, że wciąż ma ciało. Czuła się tak, jakby znalazła w szafie nienoszoną od lat sukienkę, która teraz świetnie na niej leżała. Dostrzegła swoje ciało na nowo i nie mogła się nim nacieszyć. Zachwycona ponownie odkrytą kobiecością, raz po raz spoglądała w lustro, poprawiała włosy, dotykała twarzy, piersi, bioder.

Pokochała swoje ciało, niemłode już, ale wciąż jędrne i ładne. Żałowała, że tak źle się z nim obchodziła, wydając je na pastwę żądz Janusza. Dlaczego to robiła, nie mogła pojąć, przecież był kiepskim mężem i jeszcze gorszym kochankiem. Toporny, ciężki i egoistyczny w łóżku, sprawił, że uznała życie intymne za rozczarowujące. Seweryn był zupełnie inny, ale trafiwszy na zamkniętą na seks kochankę, nie mógł jej otworzyć. Ich romans był namiętny raczej w sferze emocjonalnej niż fizycznej i dlatego Janinie tak łatwo przyszło z niego zrezygnować.

Tym razem było inaczej. Nie miała już nic do ukrycia, nic do stracenia. To nie z Janiną, ale z jej desperacją Seweryn poszedł do łóżka. Ona była jak proch, on jak ogień, musiało dojść do eksplozji.

– Jesteś niesamowita – wyszeptał, zwalając się ciężko na mokre od potu prześcieradło.

Zasłuchana w jego wyrównujący się oddech, myślała, że rzeczywiście taka jest. Czuła jedwabistość swojej skóry, jej słonawy smak i zapach podobny do woni wilgotnej topolowej kory. Seweryn spał, a ona wodziła opuszkami palców po wszystkich tych miejscach, gdzie jej dotykały jego wargi. Płatek ucha, linia włosów na karku, ramię, pacha pokryta odrastającym meszkiem, pępek, fałdka tłuszczu na brzuchu, biodra, wzgórek łonowy, wewnętrzna strona ud. Nagle okazało się, że ignorowane przez lata części ciała mogą dostarczyć niezmiernych doznań. Czuła, jak krew, która jeszcze przed chwilą pulsowała w tych wszystkich miejscach, spływa jej w podbrzusze. Czekala tam, by Seweryn na nowo doprowadził ją do wrzenia. Janina chciała go zbudzić, bała się jednak, że zareaguje podobnie jak Janusz – burknie coś przez sen, odwróci się na drugi bok i zostawi ją w poczuciu osamotnienia.

Ale Seweryn nie był Januszem. I kiedy wreszcie, przełamawszy opór, delikatnie go dotknęła, stanął na

wysokości zadania. Spełniał każdą jej zachciankę, każde niewypowiedziane pragnienie. Śmiała się i płakała jednocześnie, bo nigdy, przenigdy w życiu nie była tak szczęśliwa.

Po tej pierwszej nocy, która miała być czasem samotnego picia wina, a stała się nocą nieopisywalnych rozkoszy, obudziło ją stukanie naczyń w kuchni. Pewna, że to Seweryn, zbiegła na dół. Tylko to, że jej syn miał zwyczaj pogwizdywania, uratowało Mateusza przed zobaczeniem matki *au naturel*. W ostatniej chwili Janina zdołała ukryć się w łazience. I pomyśleć, że stary szlafrok Janusza, uwielbiany przez właściciela, a przez nią znienawidzony, uratował ją przed najbardziej żenującą sytuacją w życiu.

– Kiedy przyjechałeś? – zapytała, gdy już ubrana zjawiała się w kuchni.

– W nocy. Nie chciałem cię budzić.

Zaczerwieniła się, zawstydzona myślą, że być może słyszał jej krzyki. Dla dzieci matki powinny na zawsze pozostać matkami.

Jednak kobiety są kobietami. Gdy zapadł zmrok, Janina ostrożnie wymknęła się do Seweryna. Weszła przez taras, chciała być cicho, ale w ciemności nadepnęła na kota, który podniósł ogromny raban. Co za głupi zwierzak! Musiał się położyć dokładnie na środku drogi?

Może jednak dobrze się stało, bo gdy Seweryn poznał tożsamość włamywacza, roześmiał się serdecznie, a jego śmiech sprawił, że Janinę całkiem opuściło skrępowanie. Była wolną kobietą, ciekawą i otwartą na sugestie. Było im wspaniale, dni stały się zbyt długie, noce za krótkie, a seks smakował jak *croquembouche*.

Teraz, stojąc przed lustrem, Janina, nie mogąc się doczekać wieczoru, zaczęła dotykać swojego ciała, by choć przez chwilę poczuć się tak, jak w objęciach Seweryna. Kark, szyja, piersi. Nagle jej dłoń się zatrzymała. Oczywiście tego, co wyczuła pod palcami, była przerażająca. „Ziarnko fasoli w kłębku waty” – tak mówił lekarz. A ona przez lata nie potrafiła sobie wyobrazić, jak to może wyglądać, biegała więc do przychodni za każdym razem, gdy coś wzbudziło jej podejrzenia. Teraz już wiedziała, jak wygląda to, czego powinno się szukać.

Usiadła na brzegu łóżka. Przestała nagle być gorąca i kobieca, przypominała raczej lodówkę – zimną i ciemną w środku. Oczywiście nowotwór można wyciąć. Należy mieć nadzieję, że zdążyła na czas i nie będzie przerzutów. Przycisnęła pierś ręką. Da się bez niej żyć. Tylko... nie można już być kochanką. Westchnęła i sięgnęła po telefon.

– Cześć, Seweryn... Nie przyjdę dziś... Słuchaj, ja... ja chciałabym ci powiedzieć, że z nami koniec.

Nastąpiło długie, bardzo długie milczenie. A potem usłyszała słowa, które były jak sopel lodu wbity w jej serce.

– Wiesz, Janina, ile razy mówiłaś, że z nami koniec? Nie liczyłem, ale to już nie ma znaczenia, bo dziś zrobiłaś to po raz ostatni.

Bywają dni, które wyobrażamy sobie zupełnie inaczej, niż one w rzeczywistości przebiegają. Wtedy każda różnica między wyobrażeniem a realnością irytuje. Jeśli nie potrafimy nad tym zapanować, dochodzi do katastrofy.

Maria bardzo się bała dnia odbioru nagrody. Owszem, jakaś cząstka niej czuła dumę i podekscytowanie, ale całą resztę wypełniał strach. Pojawiły się problemy, których nigdy wcześniej nie miała. Jak powinna się ubrać? Czy jej wyjściowy żakiet, którym opędzała wszystkie szkolne uroczystości, nie jest zbyt skromny? Czy w ogóle się nadaje? Może powinna mieć suknię? Zdecydowanie nie. Nic, co miałoby w sobie choć odrobinę erotyki. Mogą przypisać to określenie do jej wierszy, lecz nie do niej. To okropne, że relacje z Janinką stały się teraz takie napięte. Przyjaciółka знаła się na modzie i nawet mogłaby pożyczyć Marii coś eleganckiego. Może do niej pójść? I co powiedzieć? „Kochana, wybieram się po odbiór nagrody Purpurowego Erosa. Wiesz, za te wiersze, co to je pisałam dla twojego męża. Janusz ze mną jedzie, więc chciałabym ładnie wyglądać. Pożyczysz mi coś eleganckiego?”



A przecież ciuchy to był najmniejszy z problemów, które zaprzętały myśli Marii w dniach poprzedzających imprezę. Należało zdecydować, jak dojechać do Wałbrzycha, bo uroczystość miała się odbyć na zamku Książ. Teodor Marciniak zaproponował co prawda, że zawiezie tam Marię, bo przecież on jechał tam „niejako służbowo”, ale grzecznie odmówiła. Wołała tłuc się pociągiem lub autobusem. W skrytości serca pragnęła, by to Janusz ją zawiózł. Chciała trzymać go za rękę, kiedy wyczytają jej nazwisko. Nie śmiała jednak poprosić. Relacje między nimi były, eufemistycznie mówiąc, poplątane. Janusz był daleki, obcy, zajęty sprawami własnej rodziny. Maria, zawsze nieśmiała, nie potrafiła zapytać go wprost, czy ciągle coś do niej czuje. Czekala tyle lat, mogła poczekać jeszcze trochę. Chciała tylko wiedzieć, czy to ma sens.

Kilka dni temu sprawy niespodziewanie przyjęły zupełnie inny obrót. Wciąż porządkowały dom Wandy, gdy któregoś dnia zajrzał do nich Janusz i zapytał, czy Maria nie chciałaby pójść na kawę albo coś.

– Zaproponowałbym spacer nad rzekę, ale nie jest tam teraz zbyt ładnie.

– Ładnie! Tam jest paskudnie. Myślisz, że to minie?

– Wszystko w życiu mija.

Poszli więc Różaną w górę, kawałek Wałbrzyską i dalej uliczką między domkami jednorodzinnymi. Było tu zupełnie inaczej niż na Różanej, dużo betonowej kostki i równo przyszyronych trawników, dużo dzieci i rozszczekanych psów. Aż trudno uwierzyć, że kilka kroków dalej ciągnęła się ulica jak z bajki, gdzie czas płynął wolniej.

Przez większą część czasu milczeli. Krótkie, urywane zdania dotyczyły spraw tak błahych, jak pogoda. Nie potrzebowali jednak słów, by wyrazić, co czują. Maria wiedziała, że Janusz uporał się ze swoimi rodzinnymi sprawami i był gotów ruszyć dalej sam albo z nią. Ponieważ to drugie bardziej jej odpowiadało, delikatnie zadeklarowała swoje uczucia. Odważyła się również wspomnieć o nagrodzie, choć nie wgłębiała się w szczegóły.

– To wspaniale! – Janusz autentycznie się ucieszył. – Jeślibyś chciała, mogę cię zawieźć na tę galę.

Czy chciałaby? Cóż za pytanie! Czula się uszczęśliwiona. Pomyślała, że po raz drugi opuszcza dom matki i po raz drugi jej życie od razu wskakuje na właściwe tory.

Wieczorem po tym spacerze zaczęła snuć plany dotyczące owego wielkiego dnia, gdy odbierze nagrodę. Najpierw były to romantyczne marzenia, obrazki jak z filmów, bajecznie kolorowe. Z czasem stawały się coraz bardziej konkretne. Janusz w eleganckim garniturze podjedzie po nią tuż po południu. Maria włoży czarną ołówkową spódnicę, błękitną bluzkę z koronkowym kołnierzykiem i żakiet. Skromnie i elegancko jednocześnie. Wołałaby bordową suknię do samej ziemi z długim rozcięciem, ale we wszystkich trzech rubińskich sklepach odzieżowych usłyszała, że coś takiego mogłaby znaleźć bliżej sylwestra. Czy to zresztą ważne, co będzie miała na sobie, skoro Janusz i tak powie jej, że ślicznie wygląda?

Po drodze wstąpią na obiad do jakiejś przytulnej restauracyjki. Tam wyzna Januszowi, za co jest ta nagroda i dlaczego postanowiła ją przyjąć. On zrozumie jej szlachetne pobudki. Co więcej, we wszystkim ją poprze. Może da jej pierścionek? Może to ona powinna Januszowi o nim przypomnieć? Po głębszym zastanowieniu uznała, że jeśli on nie zadeklaruje się przed galą, wtedy ona to zrobi już po odebraniu nagrody. Stworzy okazję, by byli sami w jakimś romantycznym miejscu. Wyzna mu, jak bardzo go kocha, jaki jest dla niej ważny. Powie, że chce być przy nim w zdrowiu i chorobie już do końca życia.

Tak, to miał być jeden z najpiękniejszych dni w jej życiu i dlatego tak bardzo się bała.

Już rano czuła, że coś pójdzie nie tak. Jej obawy okazały się prawdziwe, gdy przed furtką domu Wandy zaparkowały jednocześnie dwa samochody – Janusza i Teodora. Maria miała nadzieję, że szybko pozbędzie się Marciniaka, ten jednak był uparty. Koniecznie chciał ją zawieźć na tę uroczystość.

– Mogę nie jechać – rzucił Janusz, jakby było mu obojętne, z kim Maria wsiądzie do samochodu.

Poczuła złość, ale się opanowała. Opanowała też sytuację, tłumacząc Marciniakowi, że Janusz jest

szczególnym przyjacielem, że od lat łączy ich coś wyjątkowego i dlatego to on będzie jej towarzyszył w tym szczególnym dniu.

– Przepraszam za Teodora – powiedziała, gdy szczęśliwie udało się go w końcu wypchnąć za drzwi. – Łączą nas tylko sprawy zawodowe, więc nie rozumiem, dlaczego tak się narzuca.

Janusz odparł na to, że on szczególnego narzucania nie zauważył i że mogą już ruszać.

– Tylko najpierw się przebierzesz?

– Nie. Jestem gotowy.

Maria zagryzła wargi, żeby nic nie powiedzieć. Janusz nie miał na sobie garnituru i może dlatego z nich dwojga to on bardziej przypominał poetę. Bardzo biednego, głodnego i obdartego poetę sprzed stu lat. No może przesadziła, sto lat temu byłby bosy, a dziś na szczęście miał na nogach adidas.

Po drodze nie zajechali do uroczej restauracji. Janusz zjadł hot doga na stacji benzynowej, a Maria zadowolona się herbatą z papierowego kubka. Głód potęgował jej irytację, starała się jednak robić dobrą minę. Czy to wina Janusza? Przecież gdyby mu powiedziała, żeby się przebrał albo zatrzymał gdzieś na obiad, na pewno by to zrobił. Problem polegał na tym, że nie chciała go prosić o romantyczne gesty, pragnęła, by sam je wykonywał.

Dobrze, że w ogóle dojechali na galę, bo tuż przed Wałbrzychem Janusz pobłądził. Mógł zapytać o drogę, jednak tego nie zrobił, uparcie twierdząc, że wie, gdzie jest, wylądowali więc gdzieś między polami rzepaku. Gdy Maria usiadła wreszcie przy stoliku, była zmęczona i zakurzona, chciało jej się jeść i pić, a fryzurę diabli wzięli, bo Janusz nie miał klimatyzacji w samochodzie, a przez otwarte okna wiało.

Na domiar złego zjawił się Teodor we fraku i z kwiatami dla niej. Różnica między nim a Januszem była widoczna i irytująca. Maria była wręcz wściekła na nich obu i na własną głupotę.

Część oficjalną wypełniły przemówienia. Dużo nudnych słów, wypowiedzianych przez ludzi, którym się wydawało, że robią coś ważnego. Maria nie słuchała, zbyt była zajęta próbami opanowania pomruków, które wydobywały się z jej żołądka.

W końcu, kiedy już każdy, kto miał coś do powiedzenia, skorzystał z mikrofonu, nastąpiło wręczenie nagrody. Maria wyszła na środek sali, gdzie wojewódzki ktoś tam od kultury wręczył jej figurkę Erosa, miła kobieta obdarzyła ją kwiatami i uśmiechem, przewodniczący jury wręczył kopertę, a jakaś dziewczynka papierową torbę z gadżetami od sponsorów.

Poproszona o kilka słów wydukała, że bardzo się cieszy. Jest wzruszona i serdecznie dziękuje. Poezja jest ważna, mówi o naszych emocjach. Potem jeszcze raz wylewnie wszystkim za wszystko podziękowała.

Kiedy szła do stolika, myślała tylko o tym, że za chwilę będzie mogła coś zjeść.

– Możesz mi powiedzieć, za co ta nagroda? – zapytał Janusz.

– Za moje wiersze.

– Słyszałem wyraźnie, jak powiedzieli, że to poezja erotyczna.

Może dlatego, że była głodna, Maria wcześniej nie zauważyła, że był poruszony. Dopiero teraz to do niej dotarło.

– Uspokój się. To nic takiego. Zaszło nieporozumienie – wyszeptała – a ponieważ my z Wandą potrzebujemy pieniędzy, bo widziałeś, jak wygląda jej dom, zdecydowałam się przyjąć tę nagrodę.

Janusz patrzył na Marię, jakby nie do końca rozumiał sens tego, co powiedziała.

– Czy mi się wydaje, czy pisałaś te wiersze dla mnie?

– Oczywiście, że dla ciebie. Do ciebie, właściwie. Ty byłeś adresatem.

– Więc piszesz do mnie wiersze erotyczne...

– Miłosne – sprostowała. – Ten cały erotyzm to pomyłka.

– Jak to może być pomyłka, skoro dostałaś nagrodę? Myślisz, że ludzie, którzy ci ją dali, nie umieją czytać?

Ukryta w jego słowach szpileczka ukłuła boleśnie i Maria nie chciała być dłużna.

– Pewnie potrafia. A ty potrafisz? Przeczytae moje wiersze?

Nie musia odpowiaa.

– No waa, bo gdyby przeczyta cho jeden, wiedziaaby, e nie ma tam odrobiny erotyki. Jest tylko mioc. Moja wielka, goraca mioc do ciebie, ktora przetrwaa tyle lat.

Poniewaz czesc oficjalna juz sie skonczya, w sali pojawili sie kelnerzy z bulionowkami wypeinionymi kremem z borowikow. Smakowity zapach rozniosl sie po sali i dotarl do Marii, co sprawilo, ze jej zoladek rozglosnym burczeniem poinformowal, jak bardzo pragnie sie wypeinic ta smakowita zupa.

– Gdyby naprawde mnie kochala, nie sprzedalaby tych wierszy za pare groszy. – Janusz tez postanowil mowic, co myśli.

– Potrzebuj tych pieniedzy. Musimy wyremontowac parter domu Wandy, a jej na to nie stac. Nie mozemy mieszkac jak bezdomne.

– Ale dlaczego uparla sie tam mieszkac? Masz dom.

Poprawka. To moja matka ma dom. Ta sama matka, ktora uwaza, ze nie jeste dla mnie odpowiedni, ktora mnie tlamsi i wysmiewa moje wiersze. Dlaczego ja nie mowie tego na glos, zastanowila sie Maria. Opanuj nerwy i powiedz mu wszystko spokojnie, polecila sobie w myslach.

Odczekala, az kelner, ktory postawil przed nimi bulionowki, bedzie poza zasiegiem jej szeptu.

– Pragne niezaleznosci. Nie dogadujemy sie z mama. Poza tym Wanda mnie potrzebuje. Jestem jej przyjaciolka. Gdybym wiedziala, ze tak zareagujesz...

– A myslalasz, ze jak zareaguje? Bede tu siedzial i szczyrzy zebny? Hej, sluchajcie, to ja jestem Podmiot Erotyczny!

– Wydaje mi sie, ze odrobine przesadasz.

– Ja? Czy ty wiesz, co sie bedzie dzialo, jak ludzie sie dowiedza? Najpierw skandal na twoim wieczorze poetyckim, teraz tutaj.

Skandal? Jak to, skandal? O czym on mowi? I dlaczego patrzy na nia tak, jakby...

– Uwazasz, ze to moja wina?

– A komu zachcialo sie pisac wiersze? I to na dodatek erotyczne?

– Jak ty nic nie rozumiesz!

– Nie, Marysiu. To ty niczego nie rozumiesz. Jestem policjantem w malym mieście. Ludzie powinni mnie szanowac, a nie smiac sie za plecami, bo przyjaciolka mojej zony pisala dla mnie wiersze erotyczne.

– Do ciebie – znow go poprawila, bo to przeciez roznic.

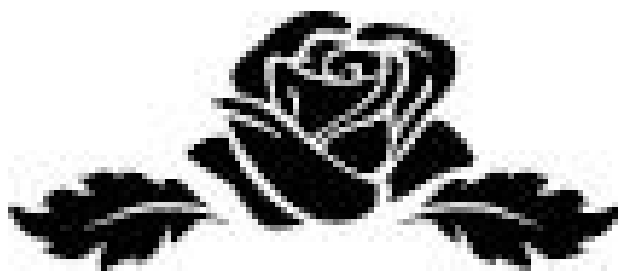
Janusz ja zignorowal.

– Powinna byla mi je pokazac i zapytac o zdanie, zanim zdecydowalas sie wydac. Postapilas samolubnie.

I Janusz wstal, i sobie poszedl.

– Nawet ich nie przeczytales – wytknela mu, ale juz nie uslyszal.

Rozejrzala sie po sali, wypeinionej ludzmi, a wydawalo sie, ze teraz pustej, i zdala sobie sprawe z dwuch rzeczy. Po pierwsze, nie czula juz glodu. Po drugie, Janusz Krupski, męczyzna, ktorego kochala ponad trzydzieci lat, nie byl wart tego uczucia. To sprawilo, ze zrobilo jej sie bardzo, bardzo smutno. Jednoczesnie poczula sie wolna.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

### Róża Bleu Magenta

*Bleu Magenta to róża ramblerowa, wprowadzona do ogrodów na początku ubiegłego wieku. Zebrane w grona kwiaty zachwycają mocno fioletową barwą, którą zachowują niezmienną przez cały czas życia kwiatu. Kwitnie raz, jednak obficie, a jej przyjemny lekki zapach wypełnia ogród. Posiada wielką wartość ogrodniczą, ponieważ jest odporna i rośnie nawet w półcieniu. Jej długie pędy dzielnie wspinają się po koronach drzew, co dla tych ostatnich tylko dlatego może być przyjemne, że pędy tej róży praktycznie są pozbawione kolców.*

Teresa zaparzyła sobie poranną herbatę i trzymając w dłoniach pękaty kubek w charakterystyczne dla bolesławieckiej ceramiki niebieskie wzorki, wyszła na taras. Z lubością patrzyła na ogród. Wiele miała jeszcze pracy przed sobą, ale ten skrawek ziemi między domem a ulicą nie przypominał już pobojuwiska.

Założenie ogrodu w połowie sezonu wegetacyjnego nie stanowi dziś problemu. Sklepy ogrodnicze oferują wszystko, czego można potrzebować, gdy chce się błyskawicznie zmienić kawałek nieużytku w mały raj na ziemi. Czasem bywa jednak tak, że od tego przybytku boli głowa. Rośliny, pięknie wyeksponowane i odpowiednio oświetlone, potrafią wywołać zakupowy szał. Jeśli zaszalejemy z bratkami, pelargoniami czy chryzantemami, mamy problem, ale tylko jednoroczny. Ale jeśli podejmiemy złe decyzje co do krzewów czy drzew, przez lata możemy nie osiągnąć harmonijnej kompozycji, na jaką liczy każdy ogrodnik.

Pierwszym wyzwaniem, przed którym stanęła Teresa, było podjęcie decyzji, jak powinien wyglądać jej nowy ogród. Przez lata specjalizowała się w roślinach cebulowych. Od przedwiośnia do późnej jesieni na jej grządkach królowały przebiśniegi, krokusy, szafirki, żonkile, narcyzy, a potem tulipany, hiacynty, lilie, mieczyki i zimowity. Towarzyszyły im konwalie, irysy i piwonie, funkcie i ozdobne trawy. Parę różanych krzewów było jak klejnoty w koronie.

Woda, która przez kilka dni stała w ogrodzie Teresy, na zawsze zmieniła jego oblicze. Cebule źle znoszą nadmiar wilgoci, a cóż dopiero mówić o zalaniu. Ogrodniczka cieszyła się z tych, które wyjęła z ziemi, gdy przekwitły. Co trzy lata wykopywała z ziemi cebule wiosennych kwiatów, by rozdzielić zbyt duże kępy, sprawdzić ich stan i wyrzucić te, które nosiły ślady chorób. Dzięki temu miała teraz na strychu pełną skrzynkę, dającą nadzieję na wiosenne kwiaty.

Jeśli zaś chodzi o te, które pozostały w ziemi, to nie było nadziei, że zakwitną, i dlatego należało je czymś zastąpić. Musiała również znaleźć nowy pomysł na ogród, a to wcale niełatwe na Różanej.

Seweryn Starski sadił w swoim ogrodzie tylko białe rośliny. Janina wykorzystywała kontrasty między kolorami żółtym i pomarańczowym a fioletowym i niebieskim. Tadeusz wybrał stylizację rustykalną. Karolina posadziła to, co łatwe w uprawie. Leokadia specjalizowała się w różach.

Teresa, dotąd specjalistka od cebul i kłaczy, teraz chciała spróbować czegoś nowego. Gdy pojechały z Agatą do centrum ogrodniczego, przypomniała jej się wyprawa, którą odbyły wiosną. Jakież to było ekscytujące, otwierać przed młodą Brzozowską drzwi do nieznanego jej świata. Planowanie ogrodu i wybieranie roślin dostarczyło wtedy Teresie tyle radości. Podczas obecnej wyprawy było podobnie, z tą różnicą, że wtedy wiedziała, co wybrać. Gdy teraz miała się zdecydować na coś dla siebie, przychodziło jej to trudniej. Istniało przecież tyle możliwości i tylko jedna realizacja.

Chodziła więc po sklepie, nie wiedząc, czy lepiej postawić na kolor, czy na kształt. Zmęczona kotłowaniną myśli, zatrzymała się przy budlei Dawida, zwanej motylim drzewem. I przyszła jej do głowy koncepcja genialna w swej prostocie – posadzi wszystko, co pachnie. Za późno już było na konwalie, fiołki i bzy, wciąż jednak mogła się cieszyć szałwią, miętą, różami, lawendą, tymiankiem i wiciokrzewami. Mogła posiać koniczynę i koper, bo nie chodziło o zapach ładny, tylko intensywny. Jeśli pomysł się sprawdzi, wiosną będzie go dalej realizowała, sięgając po coraz nowe rośliny. Jeśli rozboli ją głowa, sięgnie po łopatę i szybko pozbędzie się nadmiaru olejków eterycznych z powietrza.

Gdy podzieliła się tym planem z Agatą, ta aż klasnęła w dłonie z uciechy. Zakupowy wózek szybko wypełniały doniczki. Pełna ekscytacji rozmowa dwóch kobiet przyciągała zainteresowane spojrzenia innych kupujących, nie zwracały jednak na to uwagi, wciąż coś dokładając, a czasem wyjmując z koszyka.

Zanim Teresa ostatecznie się zdecydowała i wybrała rośliny, zanim dojechały do domu, upalny letni dzień przemienił się w nie mniej gorący wieczór. Trzeba było zabezpieczyć rośliny, by nie zwiędły przez noc. Agata zaproponowała, że pomoże, ale Teresa stanowczo ją odprawiła. Chciała już zostać sama.

Nazajutrz wstała o świcie, zanim jeszcze słońce zdążyło nagrzać ziemię. Przekopywała, podlewała, zmywała błoto z różanych krzewów z nadzieją, że może tli się w nich jeszcze odrobina życia. Wykopując w ziemi dołki na nowe rośliny, z żalem patrzyła na gnijące cebulki, które nigdy już nie wydadzą kwiatów. Zginęły, tak jak i Zbyszek zginął.

Zapominała. Wciąż i wciąż na nowo zapominała, że to się stało. Budziła się rano w poczuciu ogromnej straty. Szła do łazienki, a później do kuchni, wciąż usiłując sobie przypomnieć, co smutnego ostatnio się stało. „Zbyszek nie żyje” – mówił jakiś głos w jej głowie i nagle robiło jej się słabo, jakby pierwszy raz słyszała te słowa. Siadała wtedy w fotelu i płakała albo tępo gapiła się w ścianę. Czuła się jednocześnie winna i skrzywdzona, ból mieszał się z ulgą. Wstydziła się, że nie rozpacza, miała jednak świadomość, że jeśli pozwoli pęknąć tamie, która powstrzymywała cały jej smutek, niechybnie wkrótce zwariuje. Chciała żyć, a jednocześnie nie mogła nic jeść, jakby jej ciało postanowiło umrzeć w tajemnicy przed nią samą.

Z zadziwiającą racjonalnością obserwowała to, co się z nią działo. Nie po raz pierwszy straciła kogoś bliskiego. Najpierw odeszła jej mama. Teresa ledwie skończyła czterdzieści lat. Czuła się staro i głównie o tym rozmyślała całymi dniami. Czy nie jest zbyt gruba, czy podoba się Zbyszkowi, czy krem, którego używa, jest skuteczny. Kiedy w środku nocy zadzwonił telefon i roztrzęsiony ojciec oznajmił, że mamę zabrali do szpitala, najpierw pomyślała, w co powinna się ubrać. Chciała wejść na szpitalny korytarz i nie wyglądać jak wyrwana ze snu kobieta, która właśnie przekroczyła półmetek swojego życia. Pragnęła wyglądać elegancko. Głównie dlatego włożyła szpilki, które irytująco stukały, gdy szła w stronę rejestracji. Podała swoje nazwisko, poinformowała, kogo szuka, a później skierowała się w stronę sali operacyjnej, gdzie miała być jej matka.

Stuk, stuk, stuk – ten dźwięk wydawał się spotęgowany przez nocną ciszę szpitalnego korytarza. Lekarz, który rozmawiał z ojcem, odwrócił się. W jego spojrzeniu Teresa dostrzegła zmęczenie i obojętność. Było je też słychać w głosie, którym poinformował, że to wylew krwi do mózgu i nic nie dało się zrobić. Nie rozumiała, dlaczego zestawienie słów „krew” i „mózg” powoduje bezsilność lekarza. Dopytywała się z uporem, mimo że po twarzy lekarza widziała, jak bardzo ten człowiek miał jej dość. W końcu po prostu poszedł, zostawiając ją i ojca samych.

W ostatnich latach Teresa i matka nie dogadywały się zbyt dobrze. To, że Domańscy postanowili nie

mieć dzieci, było dla wielu osób niezrozumiałe. Tylko że obcy nie poruszali tego tematu przy każdym obiedzie. Jednak pomimo wszystkiego, co je różniło, Teresa bardzo kochała swoją matkę i dotkliwie odczuła jej śmierć. Gdyby było to możliwe, pogrzyżałaby się w czarnym morzu smutku. Niestety, uprzedził ją ojciec, który pozwolił, by ogarnęła go rozpacz, a córce pozostawił do odegrania rolę dzielnej i wspierającej. Trzy lata później, kiedy po półrocznej chorobie odszedł, Teresa nie rozpaczała, bo była zła. Odebrał jej możliwość należytego przeżywania śmierci matki, tak bardzo pogrzyżył się w żalu, że popadł w depresję i kiedy dowiedział się o chorobie, praktycznie poddał się już na starcie. Ona miała teraz po nim płakać? O nie.

Śmierć bliskiej osoby nie przypomina odry, która raz przechorowana, daje człowiekowi odporność na całe życie. Prawda jest taka, że nigdy nie jest się na to przygotowanym, a reakcje są różne, zaskakujące dla nas samych. Chwilę po śmierci matki Teresa myślała tylko o tym, że powinna zdjąć szpilki. Gdy zmarł ojciec, ogarnęła ją ulga, bo już nie czuł bólu, ale też złość, bo nie podjął walki. A teraz, gdy odszedł Zbyszek, stwierdziła, że została oszukana. Jej starość miała wyglądać zupełnie inaczej. Teresa wymyśliła sobie przyszłość, w której to ona umiera pierwsza. Dlaczego tak się nie stanie? Dlaczego mąż zdecydował inaczej? Nie mógł przecież być na tyle głupi, by wtedy, gdy widzieli się po raz ostatni, uwierzyć w jej pretensje. Przecież ją znał. Wiedział, że bywa samolubna i złośliwa, mówi rzeczy, których tak naprawdę nie myśli. A jeśli wiedział, że pretensje Teresy to tylko pozory, to czy na pewno zrobił to dla niej? A może dla siebie? Jeśli tak było, to miała prawo czuć się oszukana.

Nazajutrz po zakupach z Agatą Teresa pracowała w ogrodzie przez cały dzień. Było gorąco i pot zalewał jej twarz, spływał po plecach i brzuchu. Wilgotny biustonosz coraz boleśniej obcierał skórę, rozboleły wygięte plecy, a mięśnie pulsowały od ciągłego napinania. Jednak im większy ból fizyczny gnębił jej ciało, tym większą ulgę czuła dusza. Wieczorem, po całym dniu w ogrodzie, Teresa z przyjemnością zjadła dwie kromki sześcioramiennego chleba, posmarowane resztką masła i obficie posypane solą.

Dziś wyszła na taras z herbatą, świadoma, że może ją pić z przyjemnością i myśleć o tym, co wydarzyło się ostatnio, ze spokojem. Mogła już sobie pozwolić na smutek i tęsknotę, przeżywać żal, a co najważniejsze, mogła zająć się porządkowaniem tych wszystkich spraw, z którymi Zbyszek ją zostawił.

Agata wyczuła, że Teresa nie życzy sobie teraz jej towarzystwa. Nie miała o to żalu. Każdy człowiek potrzebuje chwili, by pobyć sam ze sobą. Przyjaciółka, przybita niespodziewaną śmiercią męża, początkowo potrzebowała wsparcia i pomocy. Teraz jednak chciała w samotności przeżywać swoją żalobę. Nie należało się narzucać.

Inna sprawa, że w ten sposób Agata straciła zajęcie, które wypełniało jej dni. Na włączenie się w remont domu było jeszcze za wcześnie. Owszem, prace już trwały, ale polegały na zbijaniu mokrych tynków i kładzeniu nowych. Snuła się więc po mieście z Freddym albo sama, gdy pies odmawiał wychodzenia na upalny świat. Dużo rozmyślała o sobie, Michale i ich małżeństwie.

Pasowali do siebie, tego była pewna. Była na tyle nieromantyczna, że śmiała się, gdy któraś z koleżanek mówiła o dwóch połówkach pomarańczy. Agata nigdy nikogo nie szukała, nigdy na nikogo nie czekała. Może dlatego, że zawsze był przy niej jakiś facet. Najpierw Artur, z którym chodziła na początku liceum. Był o rok starszy, miał kręcone blond włosy i kilka piegów na zadartym nosie. Spędzali ze sobą przerwy, delikatnie trzymając się za ręce. Po roku zdecydowali się na seks, dla obydwójga równie dziewczęcy, i odkrywali swoją seksualność.

Emocje były wtedy ważniejsze niż efekty ich nieporadnych działań. Kiedy po maturze Artur wyjechał na studia do Poznania, Agata zamierzała czekać, ale nie poczekała, bo zjawił się Bartek. Był wysoki, udawał dorosłego, palił tanie papierosy i dużo mówił o seksie. Zaczęła się z nim spotykać z ciekawości, szybko się jednak przekonała, że facet silny w gębie może być słaby gdzie indziej. Porzuciła go bez żalu,

tym łatwiej, że dostała się na studia do Wrocławia. Tu spotkała Marka, który był zabawny, miły i przyjacielski. Nigdy wcześniej Agata nie poznawała tylu ludzi. Szalone, napędzane imprezami życie sprawiło, że poczuła się zmęczona i wypalona. I właśnie wtedy pojawił się Grześ, geolog. Podobnie jak Marek był zabawny i miły, jednak w przeciwieństwie do tamtego cenił sobie spokojne życie. Gdy Agata zapragnęła być jego częścią, Grzegorz przyjął ją z otwartymi ramionami, mocno i szczerze zakochany. I pewnie skończyłoby się ślubem, gdyby nie impreza i noc z Michałem.

Z żadnym z mężczyzn, z którymi się kochała, nigdy nie przeżyła czegoś takiego. To było jak pozawerbalna rozmowa, jak spotkanie dwóch ciał, które się znają, dwojga ludzi, którzy powinni być razem, bo pasują do siebie, jak... no po prostu pasują idealnie. I wydawało się, że nie ma możliwości, by coś to zepsuło.

A teraz tak się stało. Agata próbowała postąpić zgodnie z poradami matki i zachować spokój, ale nie mogła. Intuicja podpowiadała jej, że dzieje się coś złego. Czuła się tak, jakby dotychczas ona i Michał siedzieli na jednej krze lodowej i dryfowali rzeką, sami przeciw światu. Ale owa kra pękła i teraz byli obok siebie, wystarczy jednak byle drobiazg, by podryfowali w zupełnie innych kierunkach.

Nie wiedziała, jak Michał, ale ona, Agata, bardzo tego nie chciała. Kochała męża ponad wszystko na świecie.

Przerwała te rozmyślenia, by zająć się prozą życia. Sprzątnęła prowizoryczne mieszkanie, umyła naczynia, które od razu musiała powycierać, bo nie mieli tu ociekacza.

Zastanawiała się, czy nie poprawić relacji z Karoliną. To nie był głupi pomysł. Zmieniła rozciągnięty podkoszulek na ładną, letnią bluzeczkę, wygrzebała z pudła, które było szafką na buty, różowe japonki. Zostawiła Michałowi kartkę z wiadomością, gdzie może ją znaleźć, i wyszła. Sama, bo Freddy, widząc, jak wkładała klapki, wlaź pod łóżko, dając jej tym samym odpowiedź na pytanie, czy jest tu jakiś pies spragniony spacerku.

Szła powoli, chłonąc piękno ulicy i zachwycając się ogrodami. Te, których nie zniszczyła woda, z daleka wyglądały jak impresjonistyczne obrazy, pełne słońca i kolorów. Obficie kwitły róże, kosmosy, wyzliny, werbeny i portulaki. Pelargonie i petunie zdawały się rozsadzać skrzynki, w których je umieszczono. Powietrze było gęste i słodkie jak miód.

Agata znajdowała się dziesięć metrów od domu Jezierskich, gdy wyprzedził ją wysoki mężczyzna. Nie zdążyła się przyjrzeć jego twarzy na tyle, by móc powiedzieć, kto to, wiedziała jednak, że zna tego gościa.

On tymczasem zatrzymał się przed furtką Karoliny, otworzył ją i kilkoma długimi krokami pokonał dystans, dzielący go od drzwi. Nawet nie zapukał, po prostu wszedł do środka.

Agata przystanęła. Wiedziała już teraz, że to Tomek, kierownik domu kultury. Ten, z którym spotykała się Marta. Może dlatego przyszedł do Karoliny, może ma jakąś sprawę związaną z Krupską.

Nie bądź idiotką, zganiła samą siebie po chwili. Mężczyzna wchodzi do domu kobiety jak do siebie, by zadać kilka pytań o byłą dziewczynę? Takie myślenie to szczyt naiwności. Trzeba się raczej zastanowić, kiedy to się zaczęło. Czy Karolina mści się na mężu, czy też to on, zostawiając ją samą z dziećmi w środku Armagedonu, zemścił się na niej.

Jakkolwiek by na to patrzeć, dupek z tego Konrada, uznała Agata. Zawróciła i nieśpiesznym krokiem oddalała się od Różanej. Jak można tak się zachowywać? Uziemił Karolinę, zostawił ją z dwójką dzieci, nigdy w niczym jej nie pomógł, nawet go przy niej nie było. W najgorszej chwili opuścił rodzinę, którą powinien chronić. Ukrył się nie wiadomo gdzie i dlaczego. Kto tak robi? A mimo to biedna Karolina za nim rozpacza. Agacie przypomniawszy się scena, gdy przyjaciółka prawie obarczyła ją winą za zniknięcie męża. Prawie, bo skończyło się na tym, że wina spadła na Leokadię i jej słynną klątwę. To wtedy Karolina i Agata tak nagle się od siebie oddaliły. Ta pierwsza zajęła się szukaniem zastępstwa dla nieobecnego męża. Ta druga miała się zająć wykazaniem bzdurności przesądu, który mówił, że na Różanej nie będzie szczęśliwego małżeństwa. Miała to zrobić, lecz zapomniała, gdy zajęła się sprawami

niespodziewanie owdowiałej Teresy.

Gdy tak szła, rozmyślając, nie wiedzieć kiedy nogi zaprowadziły ją pod budynek komendy policji. Było to gmaszysko stare, przedwojenne i przerażające. Solidne mury z czerwonej cegły strzegły ukrytych w nim tajemnic. Grube kraty w oknach mówiły dobitnie, że nie ma żadnej drogi na zewnątrz. Powinien być jeszcze napis nad wejściem: „Porzućcie wszelką nadzieję, którzy tu wchodzicie”, pomyślała Agata, popychając metalowe drzwi.

W środku panował przyjemny, wilgotny chłód, zapewniany nie przez klimatyzatory, tylko przez grube mury. Agata aż westchnęła; z przyjemnością mogłaby tu zamieszkać.

– W czym mogę pomóc? – zapytał obojętnie młody policjant.

– Szukam pana Krupskiego.

W odpowiedzi wskazał jej krzesła dla petentów. Podniósł słuchawkę telefonu, powiedział kilka słów, których nie mogła zrozumieć, i dał znać uśmiechem, że sprawa załatwiona.

Chwilę później podszedł do Agaty młody chłopak. Nawet gdyby go nie znała, domyśliłaby się, kim jest. Jasna grzywka opadała mu na oczy, uderzająco podobne do oczu Marty. Tyle tylko, że o ile Marta patrzyła na świat z rozbijającą szczerością, w spojrzeniu tego faceta kryło się coś tajemniczego.

– W czym mogę pomóc? – W jego pytaniu dało się słyszeć szczerze zainteresowanie.

– Szukam pana Krupskiego – powtórzyła Agata.

– Pan Krupski to ja.

– Raczej pański ojciec.

Mateusz się roześmiał.

– Kiedy kolega powiedział, że szuka mnie śliczna dziewczyna, pomyślałem, że to mój szczęśliwy dzień. Tymczasem pani szuka mojego ojca. Czuję się oszukany.

– Nie jest mi przykro.

– Nie wątpię. Jednak mnie jest. Nie tylko dlatego, że to nie mnie pani szuka, ale również dlatego, że drugi pan Krupski nie może pani pomóc. Nie ma go tutaj.

– Nie szkodzi. Przyjdę innym razem.

– Ale ja naprawdę mogę pomóc.

– To sprawa prywatna.

Mateuszowi rozbłyły oczy.

– Zaintrygowała mnie pani – wyznał.

Agata bez słowa podeszła do drzwi. Nie zdążyła ich otworzyć, bo młody Krupski zrobił to za nią. Pożegnała się skinieniem głowy. Wyszła i natychmiast poczuła ochotę, by wrócić. Fala gorąca omal nie ścięła jej z nóg. Jakby siłą jej umysłu drzwi otworzyły się ponownie. To Mateusz wyszedł także.

– Moja propozycja wygląda tak: pójdziemy na kawę i jeśli będzie mi pani chciała powiedzieć, o co chodzi, to fajnie. Jeśli nie, to spędzę przerwę obiadową w miłym towarzystwie. Co pani na to?

– Agata. Mam na imię Agata. – Od razu zrozumiał, że to oznacza zgodę.

– To naprawdę miłe, że zgodziłeś się z nimi posiedzieć. – Karolina postawiła przed Tomkiem szklanekę malinowego kompotu, który sama ugotowała. Nie wyszedł najlepszy, był zbyt wodnisty i miał nieładny kolor, w zasadzie jego jedynym atutem była temperatura.

– I tak nie miałem żadnych istotnych zajęć – odpowiedział i prawie duszkiem wypił zimny kompot.

Karolinę ucieszyły te słowa. Wiedziała, że trwa akcja „Lato w mieście” i Tomek mógł mieć istotne zajęcia, a jednak, gdy zapytała, czy nie posiedziałyby godzinę z jej chłopcami, od razu się zgodził.

– To może dziwnie zabrzmieć, ale naprawdę nie mam ich z kim zostawić – tłumaczyła.

– Z przyjemnością zostanę babysitterką. Tymczasem ty załatwisz swoje sprawy.

Oczywiście mogła skłamać, że to coś w urzędzie, albo mogła nic nie mówić, postawiła jednak na



szczerosc.

– To w zasadzie drobiazg. Muszę pojechać do sklepu ogrodniczego. Chcę kupić trochę ziemi i roślin.

Chłopcy się tam nudzą i zaczynają siał zniszczenie, a ja nie mogę ich poskromić.

Mina Tomka sprawiła, że pożałowała swojej szczerosci.

– Jedziesz kupować ziemię?

Teraz było już za późno na kłamstwa. Skinęła więc głową, przekonana, że on nazywa ją w myśli idiotką, która zostawia dzieci z obcym facetem, by kupować sobie kwiatuszki. Tak, zdecydowanie jest nieodpowiedzialna.

– Nie ma mowy!

Słyszac to, westchnęła z rezygnacją. Nie udało się, znów przyjdzie jej płacić za rozbite przez chłopców doniczki.

– Nie ma mowy, żebyś jechała sama. Nie pozwolę ci nosić worków z ziemią.

Naprawdę to powiedział?

– Już to robiłam. Nie są wcale takie ciężkie. Problem zaczyna się, gdy muszę jednocześnie pilnować wózka i dzieci

– Rozumiem. – Tomek podszedł do lodówki i nalał sobie jeszcze jedną szklankę kompotu. – We dwójkę powinniśmy dać radę ze wszystkim. Mogę powiedzieć chłopcom, że jeśli będą grzeczni, to zabierzemy ich na lody?

Karolina pozwoliła, by oznajmił chłopcom tę radosną wieść, i z przyjemnością słuchała ich podekscytowanych głosów. Cała czwórka udała się do garażu, gdzie stał jej samochód. Tomek najpierw z niezwykłą opiekuńczością usadził malców w fotelikach i dwukrotnie sprawdził zapięcia pasów, później otworzył Karolinie drzwi po stronie pasażera, a sam zajął miejsce kierowcy.

– Przepraszam – powiedział zacerwieniony, gdy przeszukawszy starannie kieszenie spodni, nie znalazł tam kluczyków. I już chciał wysiadać, ale go powstrzymała. Nie miała nic przeciwko temu, by prowadził.

Pierwsze przekręcenie kluczyka obudziło silnik tylko na chwilę. Zgasł z żalonym pomrukiem.

– Czasem tak się dzieje – wyjaśniła.

Nic nie odpowiedziała, gdy Tomek zapytał, czy była z tym u mechanika. Wybierała się, jednak powstrzymywała ją obawa, że samochód zostanie w warsztacie na kilka dni, a zupełnie nie wyobrażała sobie życia bez auta. Matce z dwójką dzieci niełatwo jest funkcjonować, nawet kiedy ma samochód. Bez niego zaś życie byłoby niewyobrażalnie trudne.

Marząc o życiu rodzinnym, Karolina wyobrażała sobie letnie popołudnia z dymiącym grillem i roześmiane kobiety, które z leżaków obserwowały, jak ich pociechy korzystają z dobrodziejstw piaskownicy czy dmuchanego baseniku. Rzeczywistość różniła się od jej wizji jak dzień od nocy. Konrad, wiecznie zajęty w pracy, nie miał czasu dla żony ani dla dzieci. Brakło mu go także, by utrzymywać relacje ze znajomymi, których pociechy były w wieku ich synów. To skazywało Karolinę na samotność, bo jej koleżanki nie miały dzieci. Przez to wszystko czuła się jak Roszponka zamknięta w wieży – mogła oglądać świat, ale nie mogła uczestniczyć w jego życiu.

Utrata samochodu zmieniałaby wyjście po mleko do sklepu w wielką wyprawę. Powiedziała o tym Tomkowi. Nie, wcale nie chciała narzekać. Tak naprawdę była szczęśliwa i nie wyobrażała sobie życia bez chłopców. Tylko teraz są mali, potrzebują jej opieki. Przedszkole byłoby dobrym rozwiązaniem, ale Konrad nie chciał o tym słyszeć. Mówił o wartościach rodzinnych, wspominał własną matkę, która poświęciła się wychowaniu synów. Z takim argumentem Karolina nie mogła polemizować. Gdyby chociaż mąż znalazł dla niej trochę zrozumienia i poprosił swoich krewnych, by udzielili wsparcia. Przecież tamci mieli sporo wolnego czasu. Ale zamiast zająć się dziećmi, Tadeusz i Leokadia woleli pielęgnować ogródki, a Maria pisała wiersze.

Tomek słuchał, nie przerywał, nie dopytywał się ani jej nie pocieszał. Rozumiał, że Karolina po prostu

musi się wygadać, a część tych pretensji wynika z jej żalu do świata i samej siebie.

– Chyba powinniśmy zaparkować możliwie najbliżej wyjścia. – To były pierwsze słowa, które wypowiedział po jej długim monologu. Ucieszyła się, że nie musiała usłyszeć kłamliwego: „Tak, w pełni to rozumiem”. Przemilczenie było pełnym empatii komentarzem.

– Woda zniszczyła mi część ogródka. – Karolina postanowiła całkowicie zmienić temat. – Nieładnie to wygląda. Muszę znaleźć jakieś fajne rośliny.

– Znajdziesz nas w dziale z kosiarkami do trawy. – Tomek wskazał głową odległy koniec sklepu. Jednak nawet stąd można było zobaczyć mały zielony traktor.

– Tylko niczego nie kupujcie – przestrzegła go i pchnęła wózek ku połaciom zieloności ustawionym na wielkich stołach.

Rośliny, których wybór zasugerowała Karolinie Sylwia, były dziecioodporne i okazały się na tyle silne, że całkiem dobrze zniosły podtopienie. Kiedy Karolina zmyła z ich liści szary błotnisty nalot, prawie wszystkie podniosły główki do słońca. Prawie. Niektóre nie poradziły sobie z wodą, inne z suchą skorupą, w jaką zmieniła się ziemia w ogródku. Trzeba było je wyrwać, a puste miejsca uzupełnić. Trudno podjąć decyzję, gdy nie ma obok Sylwii. Rozchodniki, astry, wrzosa? A może to, co ma takie fajnie omszone liście? Ciekawe, jak się nazywa?

Minęła stanowisko z różami, jednak po chwili namysłu wróciła i stojąc naprzeciwko krzewów, przypominała sobie to, co o nich przeczytała. Poza niektórymi delikatnymi odmianami, wymagającymi szczególnej troski, róże były łatwe w uprawie. Słońce, woda, odrobina nawozu i przepuszczalna gleba – to wszystko, czego potrzebowały. Nawożenie nie stanowiło problemu, opakowania zawierały dokładne instrukcje, Karolina już to wiedziała. Gorzej z tą glebą, wciąż nie potrafiła odróżnić dobrej od złej, gliniastej od piaszczystej, a kwasowość to już w ogóle była dla niej czarna magia. Można jednak założyć, że skoro w sąsiednich ogrodach róże rosną, to i u niej dadzą sobie radę. Im dłużej na nie patrzyła, tym bardziej pragnęła je mieć. Jakby tkwił w nich jakiś magiczny urok, a ona została zaczarowana. Popatrzyła na ceny. Tanie nie były, wyglądały jednak na warte swojej ceny – duże, zdrowe krzaki obsypane kwiatami. Wiosną widziała róże sprzedawane w folii – kilka patyków i tekturka z kolorowym zdjęciem. Tamte, choć dużo tańsze, nie zachęcały do kupna, gdy tymczasem te róże kusily. Już je widziała w swoim ogrodzie. Dwie albo trzy na początek. Jeśli nie sprostą wyzwaniu, posłucha porad Sylwii i polubi hortensje.

Ruszyła w stronę kosiarek, by poprosić Tomka o pomoc w napełnianiu wózka worami z ziemią. Mogła to zrobić sama, nie chciała jednak, by poczuł się urażony, uznawszy, że odrzuciła jego pomoc. Jednak ani Tomka, ani jej synów przy kosiarkach już nie było.

– Mąż z chłopakami wyszli obejrzeć ekspozycję na zewnątrz – wyjaśnił życzliwy pracownik sklepu.

– To nie mój mąż – postanowiła wyjaśnić pomyłkę.

Mężczyzna westchnął w szczerym żalu nad światem, który schodzi na psy.

– Pani kochana, ja wiem, jakie teraz są czasy. Ale ja się nie będę zastanawiał za każdym razem, jak do sklepu przychodzi babeczka z dziećmi i chłopem, czy on jest dla niej konkubent, narzeczony czy chłopak. Ja jestem staromodny i dla mnie taki facet to jej mąż. – Pogardliwym prychnięciem wyraził swoją dezaprobatę dla wolnych związków i poszedł w stronę działu z narzędziami.

Karolina nie mogła się ruszyć z miejsca. Więc tak wyglądamy? Jak rodzina?, powtarzała w myślach, nie mając odwagi odpowiedzieć sobie na to pytanie.

Chwilę później zjawili się chłopcy i Tomek. Na trzy głosy opowiadali o wielkiej cudowności samobieżnej kosiarce do trawy. Na Karolinie większe wrażenie niż ów cud techniki wywarł wyraz oczu jej synów. Patrzyli na Tomka, jakby był Panem Bogiem.

Załadowali ziemię i masę doniczek z kwiatami, bo Karolina zakupami chciała zagłuszyć wyrzuty sumienia. Czuła się tak, jakby zdradziła Konrada, ale nie to wywołało oburzenie jej wewnętrznego strażnika moralności. Dla niego znacznie gorszym przestępstwem był jej brak strachu przed tym, że

zdrada mogłaby stać się faktem.

W drodze do cukierni Karolina uspokoiła się na tyle, że mogła się włączyć do wesołej rozmowy, którą Tomek prowadził z jej synami. Kiedy zajmowała miejsce przy stoliku, była radosna i zadowolona. Zdjęcia wielkich pucharków wypełnionych mrożonymi smakołykami sprawiły, że pozwoliła sobie na łakomstwo. Jakby mało jej było czekoladowego szaleństwa, poprosiła jeszcze o mrożoną kawę.

Niedługo potem zjawiała się kelnerka, dokonując cudów ekwilibrystyki zastawioną tacą. Stawiając pucharki na stole, przeprowadzała weryfikację zamówień.

– Ty chciałeś truskawkowe, dla ciebie bananowe, czekoladowe dla pani. Kawa dla pana? Nie. Kawa też dla żony, dla pana lody owocowe i woda mineralna.

Gdy padło słowo „żona”, Karolina zamarła i popatrzyła w napięciu na Tomka. Wydawało się jednak, że nie zrobiło to na nim wrażenia.

– Nazwała mnie twoją żoną – szepnęła.

– Słyszałem – odpowiedział również szeptem. Rzucił szybkie spojrzenie za odchodzącą kelnerką. – Owszem, ładna. Ale nie podoba mi się na tyle, bym czuł potrzebę tłumaczenia jej, że jestem do wzięcia.

Uśmiechnął się łobuzersko i zatopił łyżeczkę w bitej śmietanie.

Karolina przymknęła oczy, starając się powstrzymać łzy, które napłynęły jej do oczu. Przecież nie może się teraz rozpląkać. Nie może zepsuć tej jedynej od wielu lat chwili, kiedy tak po prostu, po ludzku jest szczęśliwa.

„Jak cię widzą, tak cię piszą”, „Co inni o tobie pomyślą?”, „Co ludzie powiedzą?” – jakże często to słyszymy. Czy aby nie za często? I czy nie sprawia to czasem, że nasz obraz we własnych oczach staje się mniej istotny niż opinia innych osób?

Wanda dlatego tak daleko w życiu zaszła i dlatego piła, że miała o sobie nie najlepsze zdanie. Dawno temu, gdy była dzieckiem, nasłuchiwała się na swój temat wielu okropnych rzeczy. A ponieważ mówili jej najbliżsi, ludzie, których kochała, uwierzyła we wszystko. Czuli ją, przez którą jej mama musi tkwić w tym okropnym domu. Wiedziała, że według babki zmarnowała życie swojej matce. Nie oczekiwała od siebie zbyt wiele, bo jak wielokrotnie powtarzał dziadek: „jest kurwą z kurewskiego rodu i jak tylko podrośnie, sprowadzi kolejnego bękarta”. Kiedy podrosła, marzyła tylko o tym, by uciec z tego domu, gdzie nikt nie był dla nikogo dobry. Nie marzyła o miłości, szczęściu i dzieciach. Pragnęła udowodnić swojej rodzinie, że może zejść daleko. Chciała, by zmienili zdanie na jej temat, bo wiedziała, że wtedy sama też spojrzalaby na siebie inaczej. Może nawet zaczęłaby siebie lubić?

Zanim jednak Wanda zdołała się stąd wyrwać, umarła mama, pozostawiając ją w poczuciu nie tyle straty, ile żalu, że nie dostała przebaczenia. Śmierć sprawiła, że słowa: „Jesteś najlepszą córką na świecie, jestem z ciebie dumna i bardzo cię kocham”, nigdy nie padły. Matka poświęciła się dla niej i odeszła, nie dowiedziawszy się, że jej ofiara miała sens. Tego nie dało się przeboleć. Zresztą, nawet gdyby potrafiła sobie poradzić z tą traumą, babka by na to nie pozwoliła. Nie mogła obarczyć siebie winą za śmierć córki, a jako że bała się rzucić odpowiedzialność na męża, pozostała tylko Wanda – zagubiona, samotna dziewczynka. Na szczęście dla Wandy babka przeżyła swoją córkę zaledwie o dwa lata. Jak dobrze było już nie słyszeć: „Zmarnowałaś matce życie, tyle trosk jej przysporzyłaś, że biedaczka umarła. I kto się teraz o mnie zatroszczy na stare lata? Samiuteńka zostałam, samiuteńka”.

Została z dziadkiem. Niczym skazaniec w więzieniu skreślała kolejne dni, wiedząc, że już tylko kilka miesięcy dzieli ją od matury i upragnionej wolności. Słuchając wszystkich okropnych epitetów, zaciskała mocno usta, by nie przedłużyć sobie wyroku karą za złe zachowanie. Ze zdziwieniem również obserwowała zmianę, jaka zaszła w zachowaniu dziadka po śmierci babci. Widać było, że cierpiał. Zaczął mówić o żonie z szacunkiem, który objął również córkę. Teraz źli byli tylko Wanda i jej ojciec, którego „zła krew” sprawiła, że dziewczyna to „nic dobrego” i nie ma dla niej nadziei.

W tych ostatnich dniach, które ze sobą spędzali, Wanda nasłuchiwała się o ojcu więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Niestety, nie było w tym nic nowego. Nie знаła nazwiska ojca, bo nie zgodził się, by je nosiła. Nie chciał matki, nie uznał córki – taka była wersja, którą Wanda słyszała, zanim jeszcze urosła na tyle, by samodzielnie o to zapytać. Już od kołyski karmiono ją opowieściami, jakim łajdakiem był jej ojciec.

Był czas, kiedy Wanda postanowiła w to nie wierzyć. Uznała, że wszyscy kłamią, tatuś ją kocha i pewnego dnia przyjedzie, by zabrać córkę do siebie. Przez wiele kolejnych niedziel ubierała się jak najstaranniej, siadywała na ławeczce w ogrodzie i czekała. Jednak jego kroki nie zaszurały na ulicy, żaden samochód nie zaparkował przed ich domem. Nie pojawiając się, ojciec potwierdził słowa dziadka i Wanda zdecydowała, że nie będzie już na niego czekać.

Teraz, pół wieku później, siedziała w pokoju, który zajmowała jako dziecko, i trzymała w ręku plik listów od ojca. Chciał zabrać głos w dyskusji o tym, czy był łajdakiem, czy też nie, jednak Wanda wciąż mu go nie udzielała.

Bała się, to jasne. Podejrzewała, że po tej lekturze będzie wściekła. Może powinna się napić? To jedna z takich chwil, które alkohol czyni łatwiejszymi. Po dwóch kieliszkach wódki znalazłaby odwagę, by otworzyć te koperty. Po trzech wszystko, co przeczytałaby w listach, wydałoby się jej zabawne.

W końcu trzeba to zrobić. Nerwowo poprawiła się na krześle, stojącym w miejscu, które wcześniej zajmował tapczan, przykryty kapą w zielone wzory. Włożyła okulary do czytania, wybrała jeden list, a resztę położyła na kolanach. Bezskutecznie próbowała opanować drżenie rąk. Kartka pożółkła, niebieski atrament zdążył wyblaknąć. Wanda potrzebowała czasu, by nauczyć się rozpoznawać litery, stawiane zamaszystym pismem. W końcu coś, co wydawało się skomplikowanym wzorem, zaczęło być słowami.

*Kochana moja Wando!*

*W pierwszych słowach mojego listu pozdrawiam Cię serdecznie i pytam o zdrowie. Mam nadzieję, że nie chorujesz. Uważaj na siebie, bo teraz zdradliwa pogoda, a przeziębieniem zmartwisz swoją matkę i mnie. Mam też nadzieję, że uczysz się pilnie. To ważne, żebyś się dobrze uczyła. W dzisiejszych czasach wykształcenie to podstawa.*

*Na tym kończę. Bądź zdrowa!*

*Tato*

Wanda z niedowierzaniem patrzyła na kartkę. Kilka ogólnikowych zdań i nic więcej. Sięgnęła po kolejny list, ale niewiele się różnił od poprzedniego. W następnych znalazła kilka zdań o ojcu, że zmienił pracę, że chorował, że był na rybach. I to wszystko. Nic więcej nie znalazła, choć przeczytała wszystkie po raz drugi. Przyglądała się stemplom pocztowym. Wcześniejsze listy wysyłano z Jeleniej Góry, późniejsze z Krakowa. Ojciec pisywał dwa, trzy razy do roku. Ostatni list przyszedł trzy miesiące przed śmiercią matki.

Emocje, których Wanda się spodziewała, i te, które w tej chwili czuła, były bardzo różne. Spodziewała się wściekłości na ojca, wywołanej jego listami. Myślała, że znajdzie bezsensowne usprawiedliwienia czy też wymówki, które tylko potwierdzą złą opinię, jaką o nim miała. Tymczasem te listy okazały się tak boleśnie zwyczajne. Jakby pisał je ojciec, który jest tuż obok, tylko po prostu wyjechał na kilka dni i trochę z tęsknoty, trochę z poczucia obowiązku wysyła do dziecka te kilka słów. To bolało, bo było tak inne niż wszystko, co Wanda wiedziała. Świat jej dzieciństwa okazał się kłamstwem. Nienawidziła dziadka, babki, matki i ojca. I oczywiście, jak zawsze, najbardziej nienawidziła siebie.

Podeszła do okna, którego teraz nie zasłaniały zakurzone firanki. Maria je zdjęła. Podobnie jak zasłony i kapy. Mówiła, że już ich nie potrzebują, bo po remoncie kupią nowe. Ach, ten remont. Teraz był

motorem działań Marii, podobnie jak wcześniej wyciąganie Wandy z nałogu. I po co? Nie da się naprawić tego domu ani kobiety, która w nim wyrosła. Smutek, żal, złość, kłamstwo utkwily tak głęboko w jej duszy, jak wilgoć w starych murach. Wszystkie działania są powierzchowne. Wanda może nie pić kilka tygodni, ale pewnego dnia wypełznie z niej alkoholizm, jak grzyb na ścianach. Pewnych rzeczy nie da się naprawić. Nie i już.

Patrzyła na ogród, który był cudowną alegorią jej duszy. Wcześniej przypominał dżunglę, złowieszczo płataninę meandrów życiowych. Teraz, po powodzi, wyglądał jak cementarzysko złych wspomnień. Wanda podniosła listy do twarzy i pomyślała o wspomnieniach, których nie miała.

Zdecydowanym krokiem podeszła do drzwi, zawahała się i wróciła do okna. Znow ruszyła do wyjścia, tym razem mniej pewnie. Po co jej to? Dlaczego miałyby się jeszcze bardziej ranić? Czyż dotychczasowe życie nie było wystarczająco bolesne?

Cóż, tym, czego na pewno się w życiu nauczyła, jest prawda, że nie da się uciec przed bólem. Trzeba go przyjąć mężnie i uśmiechać się mimo zaciśniętych zębów. Teraz już wiedziała, że ojcu zależało na niej na tyle, by pisać listy. To sprawiło, że zwątpiła w słowa dziadka: „Nikt cię nie chciał, nawet własny ojciec”. Nie wiedziała jednak, jaka jest prawda i czy okaże się bardziej czy też mniej bolesna. Chciała ją poznać.

Leokadia wycinała przekwitnięte róże. Sekator trzaskał metalicznie, a zeschnięte płatki osypywały się na ziemię w milczącej zgodzie na brutalne działanie. Wanda przypatrywała się temu z pewnym zaciekawieniem. Nie zajmowała się ogrodem. Jak pracowała, nie miała na to czasu, a gdy świat jej się zawalił, straciła ochotę na wszystko. Jednak przez lata zaspokajała potrzebę zajmowania się roślinami, hodując te doniczkowe. Jej dom, gdy jeszcze go miała, wypełniały rozłożyste palmy i fikusy. Sadziła w szklanych pojemnikach ogromne monstery o poszarpanych liściach, by móc podziwiać również korzenie podobne do ziemnych stworzeń. A największą przyjemność dawały jej drzewka cytrusowe. Lubiła ich delikatne kwiaty, a także świeży zapach, który wydzielały liście i owoce. Bo czasem udawało się uzyskać owoce. Teraz, patrząc na ręce Leokadii, poczuła tęsknotę za tamtymi roślinami i domem, który został jej odebrany.

– Potrzebujesz czegoś? – Matka Marii od razu przeszła do rzeczy.

– Chciałam porozmawiać.

Na twarzy starej kobiety odmalował się wyraz zdziwienia. Ruchem głowy wskazała ogrodową ławeczkę i ruszyła ku niej, po drodze zdejmując rękawice. Położyła je razem z sekatorem na kolanach i patrzyła wyczekująco na Wandę, która zamiast usiąść, stała przed nią jak uczennica przed nauczycielką.

– Maria znalazła to w moim domu. – Wanda wyciągnęła w stronę Leokadii plik listów.

– Nie mam okularów.

– Nie musisz ich czytać. Nie ma tam nic ciekawego.

– Więc czemu mi je pokazujesz?

– To listy do mnie... od ojca. Jesteś jedyną osobą, którą mogę zapytać...

Leokadia, która do tej pory z zaintrygowaniem przyglądała się Wandzie, teraz odwróciła wzrok. Jej spojrzenie zaczęło błędzić między różanymi krzakami, przebiegało po grządkach, gdzie delikatne kosmosy towarzyszyły siermiężnym krzakom pomidorów, a złociste nagietki brzuchatej dyni.

– Wiem o nim tylko tyle, że nazywał się Józef Grabowski. Dziadek mówił, że był draniem.

– A matka?

– Matka nie mówiła nic. A mnie się należy prawda.

Leokadia spojrzała Wandzie prosto w oczy.

– Myślisz, że po półwieczu istnieje jeszcze jakaś prawda?

– Więc powiedz mi to, co wiesz – poprosiła Wanda, w końcu siadając na ławce.

W ciepłym, letnim powietrzu wszystkie wonie stawały się intensywniejsze, dlatego od razu poczuła zapach spoconej starczej skóry zmieszany z wonią proszku do prania. Jej własne ubrania pachniały tak samo, bo Maria prała razem rzeczy ich wszystkich trzech w tej samej, ponaddwudziestoletniej pralce automatycznej.

– Wiem niewiele. Jestem stara i mnóstwo rzeczy zapomniałam. Czasem myślę, że pamięć podobna jest do wiadra, a wspomnienia do kropli wody. Na początku, kiedy tych kropli jest mało, bez problemu się tam mieszczą. Z czasem ich przybywa, a w końcu zaczynają przelewać się przez brzegi wiadra. Wydaje nam się, że tracimy te nieistotne, że zapomnieliśmy kupić mleko czy podlać kwiaty. Dopiero gdy próbujemy sięgnąć w głąb pamięci, okazuje się, że straciliśmy również coś cennego. Ja na przykład nie mogę sobie przypomnieć, jakie było pierwsze słowo mojego syna. A przecież to była tak ważna chwila, jedna z najważniejszych...

Wanda milczała, nie chcąc okazać, jak nudzi ją ten zupełnie niepotrzebny wstęp. Czy Leokadia nie może po prostu powiedzieć tego, co pamięta?

– Przed wojną było to niemieckie miasto. Mieszkali tu również Polacy i Czesi, ale stanowili mniejszość. Po wojnie Rubiń, jako część ziem odzyskanych, znalazł się w granicach Polski.

Najpierw alegoria pamięci, teraz lekcja historii. Wanda mimowolnie westchnęła.

– Proces zasiedlania tych terenów wcale nie był łatwy. Niemcy nie chcieli ich opuszczać, Polacy bali się tu mieszkać, mieli poczucie tymczasowości. To znaczy, ci ucziwi, bo dla oszustów i szabrowników to był raj. Nic dziwnego, że jeden drugiemu patrzył na ręce. W kronikach filmowych trąbili o euforii osiedleńców, a tu panowały niepewność i strach. Pamiętam dzień, kiedy nasz pociąg zatrzymał się na rubińskiej stacji. Przyjechałam tu z moją mamą ze wschodu, ojciec zginął w czasie wojny. Byłyśmy bardzo zmęczone, podróż trwała wiele dni, bo pociąg ciągle zatrzymywano, by dać pierwszeństwo składom wojskowym. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jadłam, ale byłam dzielna. Moja mama chorowała, a ja nie chciałam jej martwić. Stałyśmy tak w tłumie ludzi z tobołkami i wszyscy nas popychali. Urzędnicy przydzielali kwatery. Znalazłyśmy się na końcu kolejki, byłyśmy zbyt biedne, by dać łapówkę, i dlatego dostałyśmy najgorszy przydział. Pamiętam, jak wdrapywałam się po schodach. Kilka dni później mama poczuła się bardzo źle i musiałam znaleźć lekarza. Tak poznałam twojego ojca.

– Mojego ojca? Był lekarzem?

– Nie. Ale był pierwszą życzliwą osobą, którą spotkałam na tej obcej, wrogiej ziemi. Wyobraź sobie, miałam dziesięć lat i byłam w mieście, którego nie znałam. Na niektórych budynkach wciąż jeszcze wisiały tabliczki z niemieckimi nazwami ulic. Zniszczone kamienice przeplatały się z placami budowy. Ludzie szukali zarobku, uczciwego lub nie. Nikt nie miał dla mnie czasu. Chodziłam, pytałam, gubiłam się i odnajdywałam drogę, a w mojej głowie kołatała jedna myśl – mama jest chora. W końcu nie wytrzymałam i się rozplakałam. Usiadłam na schodach, które przed wojną pewnie prowadziły do kamienicy, a teraz były jedynym, co po niej pozostało, i płakałam.

– Głodnaś? – zapytał ktoś.

Nie miałam odwagi spojrzeć, kim jest zagadujący mnie chłopak. Wtedy poczułam, jak podtyka mi pod nos kawałek chleba, jeszcze ciepły. Mój żołądek skurczył się tak, że aż zabolowało.

– Masz, weź. Ja już jadłem.

Wytarłam oczy rękawem i przyjęłam poczęstunek. Wojna mnie nauczyła, że nie należy odmawiać jedzenia, bo nie wiadomo, kiedy trafi się następny posiłek. Jadłam i patrzyłam na chłopaka, niewiele starszego ode mnie, piegowatego rudzielca. Gdy się uśmiechnął, widać było, że brak mu górnej dwójki. Wydał mi się przeraźliwie chudy, ale to raczej z natury, bo skórę miał zdrową, a oczy mu błyszcząły.

– Koleżanka zza Buga? – zapytał. Skinęłam głową. – Z rodziną przyjechała?

– Tylko z mamą. Ojciec zginął.

– Moi oboje nie żyją. Ojciec poległ w trzydziestym dziewiątym, mamę rozstrzelali Niemcy, bo uczyła dzieci czytać i pisać po polsku. Ale nie zostałem sam. Kuzynostwo się mną zaopiekowali. Tak i z nimi

trafiłem tutaj. A ty czemu znowu płaczesz?

– Moja mama jest chora. Wysłałam szukać lekarza...

– No to znalazłaś.

– Ty?

– No skądże. Ale mój kuzyn nim będzie. Wiem, gdzie tu jest szpital, i zaraz cię tam zaprowadzę.

Wojna nauczyła mnie nie ufać ludziom i zawsze mieć się na baczności, ale w tym chłopaku było coś takiego, co nie pozwalało wątpić w jego szczerą intencję. Po drodze powiedział, że nazywa się Józek Grabowski, że jego mama miała brata i właśnie ten to wuj, nazywany wujciem Jezierskim, teraz się nim opiekuje.

Nie pamiętam szpitala. Za to świetnie pamiętam lekarza, który przychodził do mamy, zwłaszcza jego czarne bokobrody i to, jak sapał za każdym razem, gdy wspiął się na nasze poddasze. Uśmiechał się smutno i poklepywał mnie po głowie. Oboje wiedzieliśmy, że dla mojej mamy nie ma ratunku. Ale ja chciałam, żeby żyła jeszcze choć kilka dni. Tak bardzo się bałam zostać sama na świecie.

Ale w końcu zostałam. Na pogrzebie byłam tylko ja i Józek. Pamiętam, że to on płakał. Ja tylko zaciskałam zęby, bo postanowiłam być dzielna. Później pewnie trafiłabym do ochronki, gdyby nie sąsiadka z dołu. Biedna kobieta miała sześcioro dzieci. Potrzebowała pomocy. Zostałam w swoim mieszkaniu, trochę chodziłam do szkoły, głównie jednak zajmowałam się dziećmi. Twój ojciec czasem mnie odwiedzał, ale gdy poszedł na studia, straciliśmy ze sobą kontakt.

Leokadia zamilkła. Wyglądała na zmęczoną i znużoną, jakby właśnie wróciła z dalekiej wyprawy. Wanda patrzyła na nią wyczekująco. Z tej historii nie dowiedziała się niczego o swoim ojcu. To, że był chudy i ładnie się uśmiechał, nie wyjaśniało, dlaczego dekadę później nie chciał swojej córki.

– Tylko tyle? – Ton Wandy wskazywał, jak bardzo jest rozczarowana.

– Tyle wiem na pewno. Reszta to plotki.

– Opowiadaj!

Leokadia westchnęła ciężko, podniosła sekator i przez chwilę bawiła się haczykiem, który zabezpieczał ostrza. W końcu odłożyła narzędzie i oświadczywszy, że musi się napić herbaty, ruszyła do domu. Wanda poszła za nią. Była zdeterminowana, by wyciągnąć ze staruszki więcej informacji.

Czajnik zagwizdał. Leokadia wyjęła z szafki kamionkowe kubki. Nalała do nich esencji z czajniczka, który stał na blacie, a później dołała wrzątku. Jeden z kubków postawiła przed Wandą, a ta obserwowała, jak smużki pary zwijają się w fantazyjne wzory. Podniosła naczynie do ust, ale napój był tak gorący, że nie mogła pić. Patrzyła na Leokadię, która siorbała herbatę, złożywszy zasuszone wargi w dzióbek.

– Opowiedz – powtórzyła. W końcu nie przyszła tu, by popijać herbatkę, tylko by poznać prawdę o sobie.

– Ponownie spotkałam twojego ojca na własnym ślubie. Oboje byliśmy zaskoczeni, ale i bardzo uradowani.

Leokadia opowiadała, a przed oczyma Wandy zaczęły się pojawiać obrazy, tak jakby sama uczestniczyła w tamtych wydarzeniach. Widziała dziewczynę w białej sukience i niebieskich pantofelkach zapinanych na kostce, pod rękę z młodym mężczyzną w szarym, przyciasnym garniturze, jak wychodzili razem z urzędu stanu cywilnego, który mieścił się w miejskim ratuszu. Mimo powagi malującej się na ich twarzach czuć było, że są szczęśliwi. Towarzyszyło im kilka osób, równie młodych i poważnych. Ostatni opuścił budynek młodzieniec o ciemnokasztanowych włosach i zawadiackim uśmiechu. Wesołym krokiem podszedł do młodej pary i składając im życzenia, uściskał serdecznie oboje. Małżonkowie wolnym krokiem ruszyli przez rynek do kościoła. Bo przecież w urzędzie to tylko rejestracja, jedynie nic nieznaczący papier. To ksiądz naprawdę uczyni ich mężem i żoną. Konrad początkowo oponował przeciw sakramentowi. Tłumaczył, że może mieć problemy w pracy, że teraz są inne czasy.

– Wojna to były inne czasy – odpowiedziała na to Leokadia. – I Bóg pozwolił nam ją przeżyć. Jeśli teraz odwrócimy się od niego, do kogo pójdziemy, gdy wybuchnie kolejna?

- Nie będzie żadnej wojny.
- Co sprawia, że tak myślisz?
- Ludzie wyciągną wnioski, czegoś się nauczą.

– Ludzie się nie uczą, nie wyciągają wniosków, a jak tylko wyleczą rany, zapominają, co było ich przyczyną. Wciąż i wciąż popełniamy te same błędy. Dlatego potrzebujemy Bożej Opatrzności, by strzegła nas przed samymi sobą. Ja potrzebuję. A jeśli ty nie chcesz się zgodzić na takie moje myślenie, ja się nie zgodzę wyjść za ciebie.

I Konrad wreszcie ustąpił. Uczynił Leokadię panią Jezierską i dał jej syna, który zgodnie z tradycją rodzinną dostał imię po swoim dziadku, a później córkę, nazwaną Marysią.

– To w dalszym ciągu nie jest historia o moim ojcu! – Wanda przerwała opowieść staruszki. Obrazy zniknęły. Znów była w kuchni Leokadii, a herbata zdążyła już wystygnąć.

– Widzisz, pamiętam dzień swojego ślubu, jakby to było dzisiaj. Nawet zapach kwiatów czuję. Nie miałam bukietu, bo żal mi było pieniędzy. Twój ojciec się zorientował. Nie powiedział ani słowa, znikł gdzieś między uliczkami i dopiero pod kościołem pojawił się z naręczem kwiatów. Były tam i piwonie, i trochę akacji, i irysy. Po ślubie zostawiłam te kradzione kwiaty w wazonie na bocznym ołtarzu, ale do dziś czuję ich zapach, silniejszy od kadzideł w kościele. Twój ojciec był niewątpliwie dobrym człowiekiem.

– Dlaczego wciąż to powtarzasz?

– Bo zostawił ciebie i twoją mamę, choć bardzo go potrzebowałyście. Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak postąpił.

Leokadia nie wiedziała, jak właściwie poznali się matka Wandy, Irenka Zdunkowska, i Józek. Po ukończeniu geodezji chłopak dostał pracę w Jeleniej Górze i czasem odwiedzał kuzyna oraz jego młodą żonę. Po mszy, na którą szli wszyscy, zwykle spacerował po rynku, co było zwyczajem młodych ludzi, i do mieszkania Jezierskich zaglądał dopiero w porze obiadu, chociaż głodny, to jak zawsze roześmiany. Pewnie w czasie jednego z takich spacerów po rubińskim rynku spotkał dziewczynę o złocistych włosach, buzi jak cukierek i oczach wystraszonej sarny.

– Nie wiedziałam, kim ona jest, szybko jednak miałam się dowiedzieć. To wciąż jest małe miasto, gdzie wszyscy plotkują, a wtedy, po wojnie, było jeszcze gorzej. Nie musiałam nawet pytać, bo życzliwa sąsiadka poinformowała mnie, by kuzynowi odradzić tę pannę. Gdy zapytałam dlaczego, dowiedziałam się, że jej ojciec był kolaborantem. Niedługo potem ktoś inny mi powiedział, że Irenka jest żydowskim dzieckiem, a Zdunkowscy za jej ukrywanie w czasie wojny wzięli sporo pieniędzy od prawdziwych rodziców. Ktoś inny to sprostował, mówiąc, że cała ta rodzina to Żydzi. Wygadywano o nich okropne głupoty, co świadczyło o tym, że tak naprawdę nikt nic o tej rodzinie nie wiedział. Pewne było tylko, że nie są tutejsi i nie pochodzili z Kresów. Wiadomo też, że mieli pieniądze, bo twój dziadek kupił dużą działkę nad rzeką i od razu zaczął budować dom, choć pracował jako zwykły urzędnik. I wiadomo również, że nie pozwolił Józkowi się ożenić z twoją matką.

– Ale dlaczego?

– Może chłopak wydawał mu się zbyt biedny? A może miał jakiś sekret, który ujrzełby światło dzienne, gdyby ktoś obcy wszedł do rodziny? U mnie nie znajdziesz odpowiedzi. W każdym razie młodzi nie chcieli się rozstać i wymyślili, że jak dziecko będzie w drodze, to z obawy przed ludzkim gadaniem stary Zdunkowski zgodzi się na ślub. Ale on wolał mieć pannę z dzieckiem pod swoim dachem, niż pozwolić Irencie wyjść za mąż.

– Nie mogła po prostu odejść?

– Twój ojciec ją przekonywał, ale nie chciała. Podobno mówiła, że się boi. W końcu Józek już nie bardzo mógł ją przekonywać, bo starzy prawie całkiem zamknęli ją w domu. Szukał okazji. Kiedy zaczęliśmy się budować, przyjeżdżał co sobota i Konradowi pomagał. Biedak, pewnie miał nadzieję, że spotka ukochaną. Później zdarzył się ten wypadek, w którym zginął mój mąż. Musiałam wtedy poprosić



Józka, żeby do nas nie przyjeżdżał. Wiesz, młoda, atrakcyjna wdowa, on był chłop niczego sobie, a ludzie mają języki nie od parady. Zaraz by z nich zrobili użytek. Pisywał do mnie czasem, ale gdy wyjechał do Krakowa, kontakt całkiem się urwał.

Wanda czuła, że Jezierska nie mówi całej prawdy. Było to jak patrzenie na wierzchołek góry lodowej – miało się świadomość, że woda ukrywa o wiele, wiele więcej. Nie sposób jednak tego zobaczyć ani wydobyć.

– Nie jestem z tych, co uważają, że o zmarłych trzeba mówić dobrze albo wcale. Ja zawsze daję pierwszeństwo prawdzie – powiedziała na koniec Leokadia. – Twój dziadek był okrutnym człowiekiem, a twoja mama okazała się za słaba. Zbyt słaba, by odejść od własnego ojca i by zobaczyć sprawy takimi, jakie były, a nie jej się wydawały. Józek zaś był głupi. Dzieci powinno się mieć z miłości, a nie jako argument, który umożliwi zrealizowanie obmyślonego planu. Ci wszyscy ludzie, zwani najbliższymi, wyrządzili ci ogromną krzywdę.

Leokadia podniosła się, zebrała kubki i zaczęła je szorować z większym zaangażowaniem, niż tego wymagały. Miał to być znak dla Wandy, że czas już na nią. Zdunkowska wstała również, rozumiejąc, że niczego więcej się nie dowie. A może jednak?

– Myślisz, że on nie żyje?

– Kto? – Matka Marii nawet nie podniosła głowy znad zlewozmywaka.

– Mój ojciec.

– Powiem ci tak: wielu moich rówieśników już po ziemi nie chodzi, ale zawiadomienia o pogrzebie też nie dostałam. Nie mieliśmy kontaktu od tak wielu lat, że czuję się, jakby umarł. – Odwróciła się i spojrzawszy w oczy Wandy, powiedziała na głos to, o czym tamta myślała. – Chcesz go odszukać? Moim zdaniem to głupie. Poznanie prawdy nie zmieni przeszłości.

– Może jednak sprawić, że przestanę się obwiniać.

Czekanie. Cierpliwe i niecierpliwe. Ekscytacja i łapanie doła. Czekanie w napięciu, radości, złości. Wyglądanie przez okno, kołatanie serca, a potem nic. Tak właśnie wyglądało ostatnio życie Julki Brzozowskiej. Gdy zobaczyła wracającego do domu Mateusza, omal nie umarła z radości. Wyrzucała sobie, że wcześniej nie wyjrzała przez okno, bo mogłaby wybiec na ulicę. Padliby sobie w objęcia i całowali się namiętnie. To będzie do naprawienia, gdy tylko Mateusz się tu zjawi. Liczyła, że zajrzy nazajutrz rano. Potem czekała na niego w południe i wieczorem. Podobnie kolejnego dnia i następnego. Na próżno.

Próbowała sobie wyobrazić, dlaczego tak się dzieje. Ona tak bardzo tęskniła, że każdą minutę rozłąki, ciągnącą się w nieskończoność, wypełniała powtarzaniem imienia ukochanego. Marzyła o nim, przywołując wspomnienie jego uśmiechu, dopóki ból tęsknoty nie stał się tak silny, że odbierał oddech. Snuła plany na przyszłość, wypełnione pocałunkami i miłosnymi szeptami. Jej rzęsy będą łaskotać Mateusza w policzek, jego palce przesuną się po jej twarzy.

Skoro więc miała w sobie tyle miłości, czyż jego nie powinna wypełniać wzajemność? Czyż nie powinien usychać z tęsknoty i pierwsze kroki skierować do jej domu?

Nie istniała na świecie taka logika, która tłumaczyłaby zachowanie Mateusza. A ponieważ nie ma również takiej cierpliwości, która zmusiłaby do czekania siedemnastoletnią dziewczynę, Julka w końcu postanowiła przestać wyglądać przez okno i pójść do domu Krupskich. Ze szklanką w dłoni, bo mimo wszystko potrzebny był pretekst.

– Czy mogłaby mi pani pożyczyć cukru? Znalazłam taki przepis na ciasteczka z płatków migdałowych i jak już zaczęłam je robić, zorientowałam się, że nie mam cukru. To niespodzianka dla mamy – paplała.

Janina Krupska z serdecznym: „Jasne, zaraz ci dam”, wpuściła dziewczynę do domu.

– Co tam u Marty? – zapytała Julka, by podtrzymać konwersację.

– W porządku, wraca za kilka dni.

– Widziałam, że Mateusz też jest.

– Przyjechał na trochę. – Z tymi słowami Janina wręczyła Julce szklanekę wypełnioną białymi kryształkami.

– Na urlop?

– W pewnym sensie tak. Ale co to za urlop, skoro ciągle siedzi na komisariacie.

Julka skinęła głową na znak, że zgadza się z zatrokaną matką, Mateusz powinien odpoczywać, a nie siedzieć w pracy. Co on tam w ogóle robi?

– Co on tam w ogóle robi?

Kiedy już padło to pytanie, przestraszyła się, że zaraz zostanie upomniana za zbytnią ciekawość. Jednak pani Janina uśmiechnęła się tylko.

– Też się nad tym zastanawiam.

Julka liczyła, że dowie się jeszcze czegoś, niestety, nie wyglądało na to, by matka Mateusza chciała zagłębić się w rozmowę na temat sposobu, w jaki jej syn spędza czas wolny. W tej sytuacji należało podziękować za cukier i wracać do domu.

Przynajmniej będę miała pretekst, by znowu tam zajrzeć, myślała po drodze do domu. Może nawet powinienam upiec jakieś ciastka. Przez żołądek do serca. Takie pieczenie to chyba nic trudnego. Znajdę jakiś przepis w necie.

Już miała wejść do domu, gdy usłyszała samochód Agaty. Przystanął przed furtką, która kilka sekund temu trzasnęła za Julką. Z auta wyskoczył Mateusz, uśmiechnięty i zadowolony. Posłał Agacie całusa i zniknął w ogrodzie Krupskich. Nowa pani Brzozowska jeszcze przez chwilę za nim patrzyła. Potem odjechała.

Julka zrozumiała. Zła macocha najpierw odebrała jej ojca, a teraz ukochanego.

– No, moja droga – powiedziała, patrząc w kierunku domu Agaty. – Mogłaś wygrać z moją mamą, ale nie ze mną. Zapłacisz, zobaczysz. – I pobiegła do swojego pokoju, żeby tam płakać.

– Przed chwilą była tu Julka Brzozowska. – Tą informacją matka powitała wchodzącego do domu Mateusza. Miał nadzieję, że jego twarz wyraża absolutną obojętność. – Pytała o ciebie.

– Baby z sąsiedztwa zawsze o mnie pytają. Taki mój los.

– Wydała się... no wiesz, mocno tobą zainteresowana.

Mateusz rozłożył ręce w geście, który miał oznaczać: „Nie próbuj mi wmawiać, że to moja wina”.

– Nic między wami nie było? – odważyła się zapytać.

Podszedł do matki i cmoknął ją we włosy.

– Za kogo ty mnie masz, mamó? Przecież Julka to dzieciak. Gadałem z nią trochę, to wszystko. Jeśli sobie wyobrażała, że to coś więcej, to ja nie ponoszę za to odpowiedzialności. Nastolatki tak mają. Egzaltowane są. – I by zakończyć tę rozmowę, ruszył schodami na górę, do swojego pokoju.

Mało brakowało! Tak mało brakowało, a zaciągnąłby uroczą Julcię do łóżka, bo go okłamała w sprawie swojej metryki. Dobrze, że Kidżej życzliwie poinformował przyjaciela o wieku panienki. Uwiedzenie nieletniej. Gdyby to wyszło na jaw, a nie oszukujemy się, wyszłoby, miałby zdrowo przerażane. Trzeba ją trzymać tak daleko od siebie, jak to tylko możliwe. Przynajmniej przez najbliższe dwa lata.

Otworzył szafkę i wyjął z niej koszulkę, trochę wymiętą, ale świeżą. Ta, którą miał na sobie, nadawała się tylko do prania. W zasadzie jemu też dobrze by zrobił prysznic. Zmyje z siebie całodzienny brud, a przy okazji oczyści umysł. Potrzebował tego, bo ostatnio działy się z nim dziwne rzeczy. Przyjechał do Rubinia głównie po to, by porozmawiać z Jezierskim o sytuacji Konrada. Do tej pory tego nie zrobił. Nie znalazł w sobie odwagi, by stawić czoło ojcu przyjaciela.

Szwendał się więc bez celu, przesiadywał na komisariacie, palił zbyt dużo. Jakby tego wszystkiego było mało, zaoferował pomoc nowej pani Brzozowskiej.

Chciał, żeby myśli o Agacie spłynęły razem z chłodną wodą. To jednak nie było takie łatwe. Fascynująca kobieta. Nie tylko ładna i inteligentna. Miała w sobie niezwykłą siłę. Ona sama jeszcze jej nie odkryła, ale Mateusz, i pewnie nie tylko on, wyczuwał drzemiący w Agacie potencjał, który sprawi, że ta kobieta dostanie w życiu wszystko, po co sięgnie.

W tym momencie Mateusz zdał sobie sprawę, że chciałby, żeby sięgnęła po niego. Maksymalnie odkręcił zimną wodę, ale lodowate strugi nie pomogły. Nie ma łatwych sposobów na rozwiązanie skomplikowanych spraw. W takich sytuacjach dobrym pomysłem może być ucieczka, bo z daleka wszystko wygląda inaczej.

Zakręcił wodę i wytarł się byle jak. Krople spływające z włosów moczyły podkoszulek. Uznał, że w tak ciepły dzień nie ma co ich suszyć.

– A tym razem gdzie? – zapytała go matka, gdy wkładał buty. – Może byś coś zjadł?

Nie czuł głodu. Zapewnił, że niedługo wróci. Był już w drzwiach, gdy się odwrócił, by dodać jeszcze którąś z tych pozytywnych głupot, coś w stylu „nie martw się o mnie”. Powstrzymał go wyraz twarzy matki, taki apatyczny. Nie myślała już o nim, Mateuszu, pogrążona we własnym wewnętrznym zmartwieniu.

Ciekawe, co ją gnębi?, zapytał sam siebie, nie zastanawiał się jednak długo nad problemami matki. Miał własne. Wyjął z kieszeni telefon i zadzwonił do ojca.

– Zaraz zbieram się do domu – rzucił Janusz, gdy Mateusz powiedział, że chce się z nim spotkać.

– A możemy gdzieś na mieście?

Bez względu na to, co ojciec miał na myśli, mówiąc „dom”, oznaczało to niepożądane towarzystwo mamy lub Tadeusza. Mateusz zaś wolał rozmawiać bez świadków. Dlatego też pół godziny później siedzieli w obskurnym barze i pili piwo, zbyt ciepłe, by mogło być smaczne. Mimo to i tak pili.

– Nie dziwi cię, że tak sobie tu siedzimy i gadamy? – zapytał Mateusz, choć nic jeszcze nie zdążyli powiedzieć.

– Trochę dziwi. Pewnie potrafiłbym się do tego przyzwyczaić.

– Ja chyba też.

– Wiesz, zawsze sobie wyrzucałem, że wtedy...

Przerwał ojcu gestem.

– Możemy o tym nie mówić?

– A o czym możemy?

Mateusz wypił ostatnie dwa łyki piwa i pokazał barmance, że chciałby kolejne.

– Na przykład o matce. Jak wychodziłem, była jakaś taka... nawet nie smutna, raczej przybita. To przez ciebie?

– Wiesz, że jeżeli twoja matka płacze, to nie przeze mnie, tylko przez Starskiego.

W tej chwili barmanka postawiła przed Mateuszem piwo i spojrzała pytająco na Janusza. Ten skinął głową i podał jej szklanekę. Na dnie zostało jeszcze trochę płynu, przez wielbicieli zwanego bursztynowym. Według Mateusza przypominał on mocz.

– To, że zostawiłeś ją dla Marysi, twoim zdaniem nie ma z tym nic wspólnego?

Uśmiech ojca był gorzki.

– Zostawiłem Janinę dla Marii i dlatego mieszkam z Tadeuszem, tak? – Janusz łyknął przyniesionego przed chwilą piwa i skrzywił się, nie wiadomo, czy z powodu własnych słów, czy trunku. – Cała ta sytuacja jest bardziej skomplikowana, niż mogłoby się wydawać. No ale cóż, takie jest życie, w niczym nie przypomina poziomicy, która jest prosta od początku do końca i zawsze trzyma pion. – Zamilkł, jakby chciał dać synowi czas na przyswojenie tej cudownej metafory lekko tylko skażonej alkoholem. – Wiesz, nie ożeniłem się z twoją matką z miłości. Kierowały mną szlachetne pobudki, nie chciałem zostawić

dziewczyny samej w kłopotcie. Mimo to mieliśmy w życiu lepsze momenty. Moim zdaniem, nasze małżeństwo było całkiem udane. Do czasu, aż Marta dorosła. Wtedy w Janinę coś wstąpiło. Jak zły duch zawładnęła nią chęć wydania córki za chłopaka Jezierskich, bo imponowali jej swoim kresowym pochodzeniem i tymi wszystkimi dziadkami, co walczyli w powstaniach.

Żeby Marta wybrała Konrada – ciągnął Janusz – to może byłoby lepiej. Nawet po tym, co ostatnio wywinął, wciąż uważam, że to nie jest zły chłopak. Wyznaje właściwe wartości i rodzina jest dla niego ważna. Ale Olgierd? To nie jest facet, który potrafi zapewnić kobiecie szczęście. Powiedziałem o tym twojej matce, ale nie chciała mnie słuchać. Bardzo szybko okazało się, że miałem rację. Po ślubie Marta się zmieniła. Była jak ptak, którego ktoś zamknął w klatce. Serce bolało, gdy na nią patrzyłem. Janina też to widziała, za nic jednak nie chciała się przyznać do błędu. Próbowwała ratować sytuację, ale wiesz, co mówią o dobrych chęciach? No więc zamieniła w piekło nie tylko małżeństwo Marty, ale i nasze. Kłóciliśmy się o wszystko. W zeszłym roku, tuż przed Świętem Zmarłych, nie wytrzymałem i zdecydowałem, że odchodzę.

– W zeszłym roku?

– Wypadek sprawił, że na jakiś czas musiałem z tego zrezygnować. Ale gdy tylko nadarzyła się okazja, postanowiłem z niej skorzystać.

Czułe ucho Mateusza wychwyciło fałszywe nuty w tym, co powiedział ojciec.

– A Marysia? – zapytał, przekonany, że to właśnie ojciec przemilczał. Widząc pewne rozluźnienie na jego twarzy, zrozumiał, że to pytanie było jak niecelne uderzenie.

– Była moją pierwszą, wielką miłością. Nie sposób jej zapomnieć, jakiś sentyment zawsze zostaje. Im gorzej układało się między Janiną a mną, tym bardziej Maria wydawała mi się ważna. Przyszedł nawet taki moment, że chciałem z nią być. Ale wiesz, życie jest jak porządny gliniarz, wszystko zweryfikuje. – W śmiechu Janusza pojawiły się pierwsze bełkotliwe oznaki nadużycia alkoholu. – Nie potrafię żyć w tym jej egzaltowanym świecie. Nie rozumiem, co ona do mnie mówi, czego chce. A jeszcze ostatnio... – Przez chwilę rozważał, czy o tym mówić synowi, alkohol z dna trzeciej szklanki namawiał do szczerości i Janusz go posłuchał. – Poprosiła, żebym ją zawiózł po odbiór jakiejś tam nagrody, co ją zdobyła za te wiersze. Nawet mi nie powiedziała, że to będzie wielka impreza. Mało brakowało, a wystąpiłbym w dresie i klapkach. A tak pojechałem w starym swetrze i wyglądałem trochę jak poeta zaangażowany z lat siedemdziesiątych. A to wszystko nic, bo wiesz, co było najgorsze? Okazało się, że ona w tych wierszach opisywała, no takie sprawy między nami... To wiersze erotyczne. – Powiedział to tak, jakby słowo „erotyczne” było lodową kulą najeżoną szpilkami.

– Ty, staruszkule, nie wiesz, że poezja erotyczna to coś innego niż non fiction? Tam się nie pisze prawdy, to raczej są impresje. – Mateusz umilkł, bo spojrzenie ojca mówiło, że jeszcze jedno słowo, a syn dostanie w mordę.

– Dałem sobie z nią spokój. Zresztą, znalazła sobie sponsora. Widać taki mój los, że baby odstawiają mnie na bocznicy.

Tylko mi się nie upij na smutno, poprosił go w myślach Mateusz. Spojrzał na Janusza, na jego oczy zebrzącego o posiłek spaniela, i doszedł do wniosku, że nie ma szans, by ta prośba została wysłuchana. A w zasadzie, co mu szkodzi pozwolić, żeby staruszek się wyżałił? Przecież ojciec nie ma z kim pogadać.

Podobnie jak ja, pomyślał. Kiedy Karolina jak klin wbiła się między niego i Kidżeja, stracił jedyną osobę, przed którą mógł się otworzyć. Z drugiej strony, skoro umówił się z ojcem, żeby porozmawiać z nim o swoich strapieniach, a kończy się to tak, że słucha festiwalu żalów staruszkule, to być może on sam wcale nie potrzebuje wsparcia?

– Powiem ci, ojczule, ja mam odwrotnie i to też wcale nie jest dobrze.

Poklepał Janusza po ramieniu i dał znak barmance, że bez względu na to, jak bardzo parszywe jest piwo, które serwuje, nadal będą je pili.

– Kobiety są jak zegarki. Patrzysz i niby widzisz, co to. Ale tego mechanizmu w środku za nic nie

pojmisz.

Mateusz parsknął śmiechem. Alkohol zmieniał ojca w smętnego filozofa.

– Powiem ci, tato, że teraz dużo się zmieniło. Zarówno jeśli chodzi o zegarki, jak i o kobiety, wszystko jest prostsze.

Janusz przewrócił oczami w słusznym zdziwieniu nad głupotą produktu własnych lędźwi.

– Jak ty jeszcze życia nie znasz, chłopcze.

Słowa te zakręciły się wirem w świadomości Mateusza i wszystko, co do tej pory było wyraźne, straciło swoją ostrość. Świat lekko zafalował. To przyjemne uczucie lekkiego zawiania, w które wprowadził go alkohol, powoli zamieniało się w mniej przyjemny stan bycia urzęniętym. By zapobiec skokowi na wyższy poziom, zwany nawaleniem, należało przestać pić.

– Wychodzimy, staruszkule! – oświadczył. Choć wypili tyle samo, ojciec dużo gorzej sobie radził ze skutkami nadużycia alkoholu. Należało się cieszyć, że akurat tego Mateusz po nim nie odziedziczył. Generalnie należało się cieszyć, że nie wdał się w ojca. – No, wstawaj! – Pociągnął Janusza.

O ile siedzenie przy stoliku nie sprawiało problemu, o tyle ze staniem było gorzej. Stary Krupski podniósł się z trudem, ale utrzymanie pionu przekraczało jego możliwości. Mateusz, rad nierad, musiał go podtrzymywać. Wyglądało na to, że będzie trzeba zaholować ojca na Różaną. „I tak właśnie kończy się świat nie hukem, ale skomleniem” – zadzwęczał mu w głowie wers z ulubionego wiersza.

Gdzie miał rozum, gdy postanowił zadzwonić do ojca, kierowany irracjonalną potrzebą porozmawiania? Na sto procent szare komórki Mateusza spały. I teraz trzeba ciągnąć smutny efekt niefortunnych pomysłów przez całe miasto. Mocniej chwycił ojca w pasie i nazwał go w duchu spaślakiem. Jednakowoż z drugiej strony nigdy nie byli tak blisko fizycznie, nigdy nie wspierał ojca w chwilach jego słabości i po raz pierwszy od lat w myślach o nim pojawiła się odrobina ciepła. I może dobrze. Łatwiej żyć, gdy w naszych sercach nie mieszka nienawiść. Lżej jakoś.

Jeszcze lżej mu się zrobiło, gdy zwałił ojca na kanapę w salonie Jezierskiego. Sam usiadł w fotelu. Chłodne nocne powietrze i niemały wysiłek fizyczny znacznie go otrzeźwiły. Przesunął fotel tak, by móc zobaczyć ogród, oświetlony mdłym światłem latarni. Ładnie tu dookoła było. Tuż przed domem rosła jabłonka o rozłożystych gałęziach. Wiedział, że między liśćmi kryją się zielone jabłka, pamiętał ich smak z dzieciństwa. Kidziej wypychał niedojrzałymi jeszcze owocami kieszenie spodni i szli nad rzekę. Leżąc w cieniu wierzby, wgrzyzali się w twardy miąższ, a kwaśny sok spływał im na brody. Konrad mówił, że nie należy czekać, aż te jabłka dojrzeją, bo wtedy tracą ten swój smak, a tylko ta kwaśność zapewnia długie, szczęśliwe życie. Chyba wtedy w to wierzyli. Fajnie było, gdy świat jawił się jako nieograniczone możliwości, a nie jako utracone okazje i źle podjęte decyzje.

Jutro porozmawia z Jezierskim, gdy ten rano wejdzie do salonu i zapyta, dlaczego Mateusz śpi w fotelu. W odpowiedzi usłyszy, że muszą o czymś pomówić.

Później Mateusz poprosi ojca o pomoc w znalezieniu dokumentów, o które prosiła Agata. Ale nie będzie się angażował. Jeśli dziewczyna chce się grzebać w przeszłości, jej sprawa. On zachowa dystans, bo zamiast w śledztwo zaangażuje się w nią, a to by było głupie. Ostatnie, czego mu trzeba, to złamane przez mężatkę serce albo zebra połamane przez jej męża. W końcu świat pełen jest kobiet.

Szkoda tylko, że żadna z nich nie ma oczu tak pięknych, jak Agata Brzozowska.

„Jesteś wojowniczką, nie zapominaj o tym” – te słowa usłyszała od Leokadii Marta, gdy widziały się ostatnio. Siedziały na ławeczce w ogrodzie i rozmawiały o kwiatach.

– Kiedy ktoś, tak jak ja, spędza całe dni wśród roślin, zaczyna o nich rozmyślać – mówiła babka Olgierda. – Zaczyna dostrzegać w nich ludzkie cechy. Okazuje się, że niektóre są wrażliwe, inne leniwe, a jeszcze inne naprawdę przebojowe. Są też rośliny odważne, bo kwitną, gdy wszystkie inne się boją, albo rosną w miejscach, gdzie inne nie odważą się zajrzeć. Gdyby te wszystkie dzielne rośliny miały wybrać swoją przywódczynię, z pewnością byłaby nią róża. Piękna i niebezpieczna, prawdziwa z niej wojowniczka. Dlatego kobiety lubią, gdy porównywać je do róż, bo w nas też tkwi czar i siła. Tylko

czasem o tym zapominamy i pozwalamy, by miotał nami ślepy los, jakbyśmy były delikatnymi nasionkami dmuchawców.

– Ostatnie wydarzenia rzeczywiście potwierdzają, że jestem odważna! – Marta się roześmiała.

– To prawda. Ale dziś o tym wiesz, jutro zaczniesz wątpić, a pojutrze, porwana przez wir codzienności, zapomnisz. I cofniesz się do tego miejsca w swojej historii, od którego zaczęłaś wiosną; zagubiona i przestraszona wrócisz do matki. Powinnaś przejąć kontrolę nad własnym życiem, dokonywać wyborów, ponosić konsekwencje, realizować plany. Drugiej szansy nie będzie, a im bliżej jesteś końca, tym bardziej bolą te wszystkie razy, gdy dałaś dupy. – Ponieważ Leokadia nie przeklinała, to jedno słowo uczyniło jej wypowiedź dosadną, a przez to tak bardzo autentyczną, że nie można było wątpić w szczerść staruszki. Później padły słowa, które Marta zabrała ze sobą jak talizman. Powtarzała je każdego dnia, podnosząc kule i patrząc na swoją nogę, uwięzioną w kokonie z bandaży i gipsu.

A dziś o nich zapomniała, tak jak czasem, wychodząc z domu, zapomina się portmonetki. I może dlatego zdarzyło się to, co się zdarzyć miało i stało się to, co miało się stać?

Do pewnego momentu dzień należał do tych bardziej udanych. Pogoda była bajeczna. Temperatura opadła do przyjaznych dwudziestu trzech stopni i Marta z nieopisaną wdzięcznością przyjęła ten dar losu. Nie była sobie w stanie wyobrazić gorszej tortury niż noszenie gipsu w upał.

Olek, zauważywszy, że jej samopoczucie jest dużo lepsze, zaproponował, by wybrali się na kolację w jakieś fajne miejsce. Uznała to za świetny pomysł. Przyjemnie było spędzać razem czas, rozmawiać o głupotach, wspominać. Dobrze było się nie kłócić, nie słyszeć w głowie głosu matki, na każdym kroku krytykującej Olgierda. Marcie czasem się wydawało, że zachowują się, jakby zostali zamknięci w mydlanej bańce. Świadomi jej delikatności, oboje byli bardzo ostrożni.

Miało to swój urok – te gesty, jakby spowolnione, pieczołowicie dobrane słowa i spokój, z jakim były wypowiedzane, dodawały romantyczności całej sytuacji.

– Czuję się tak, jakbyś mnie otulał płatkami róż – powiedziała Marta do Olgierda, a wtedy odrzekł, że to po prostu miłość. Co było cukierkowe, ale urocze, a najważniejsze, że prawdziwe.

Siedzieli na tarasie restauracji, o której wiele można było powiedzieć, ale na pewno nie to, że szef kuchni wie, co robi. Właściwie to powinni wyjść, gdy się okazało, że zupa, na którą czekali prawie godzinę, jest zimna. Prawda była jednak taka, że wcale nie przyszli tu jeść, tylko cieszyć się sobą, a ten taras wydawał się idealnym do tego miejscem. Rozciągał się stąd widok na jezioro i las, porastający jego brzegi. Wokół tarasu w wielkich donicach kwitły najprzeróżniejsze pelargonie. Marta z zainteresowaniem przyglądała się roślinom. Były wśród nich wiszące, o luźnych kwiatostanach, podobne do kwiatowych girland. A także klasyczne. Niektóre z nich miały jasne liście, inne ciemne. Dostrzegła i takie, których okrągłe, falbaniaste liście zdobił ciemnobrązowy, jakby ręcznie domalowany pasek. Ponad to morze różnorodnych liści wystawały kwiaty, czasem zebrane luźno, czasem w regularne baldachy. Ich barwy zaczynały się białą i łososiową, by przez wszystkie odcienie różu i czerwieni zakończyć się na tak intensywnym bordo, że w słabym świetle kończącego się dnia wyglądały na czarne. Leokadia niespecjalnie lubiła pelargonie i wołała do skrzynek surfinie. Marta jednak czuła ogromny sentyment do tych kwiatów, które kojarzyły jej się z najwcześniejszym dzieciństwem. Pamiętała zielone łodygi i kule z czerwonych kwiatuszków, specyficzny zapach i szelest, który wydawały opadające na parapet zeschnięte liście. Kiedy tej wiosny po raz pierwszy zobaczyła pelargonie angielskie, natychmiast zakochała się w karbowanych kwiatkach, jakby wyciętych z różowej bibułki. Zresztą, jak tu się nie zachwycić rośliną, której w głowie tylko kwitnienie? Nawet ktoś, kto tak jak Marta nie miał pojęcia o ogrodnictwie, mógł osiągnąć spektakularne efekty, bo pelargonie wystarczy podlewać.

– Ładne miejsce – podzieliła się z Olgierdem swoimi myślami.

– Te kwiaty przypominają mi Hiszpanię – zrewanżował się tym samym. Marta się uśmiechnęła. Oczywiście, że pamiętała. To była ich druga wspólna, egzotyczna podróż. Nie mogła się wtedy nadziwić roślinom, które znała z doniczek – palmom, fikusom i opuncjom. Rosły wzdłuż dróg i ulic, osiągając

monstrualną wielkość drzew. No i były też pelargonie. By dojść na plażę, musieli przejść kawałek deptakiem, ozdobionym pelargoniovą rabatką.

– To była cudowna podróż. – Uśmiechnęła się i do Olgierda, i do wspomnień, które przywołała.

– Chciałbym cofnąć czas do tamtych chwil.

– A ja nie. Nie chciałabym jeszcze raz przechodzić przez nasze kłótnie, twoje zdrady, rozwód i ten okropny wypadek. Czegoś mnie to wszystko nauczyło i zamierzam to w przyszłości wykorzystać na swoją... na naszą korzyść.

Olgierd podniósł do ust jej dłoń i delikatnie ucałował opuszki palców. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Marta czuła, że jest jak świeca, której chybotliwy płomień oświetlał ich stół – tak miękka, że pod wpływem dotyku Olgierda ugnie się, jak on zechce. I było jej z tym dobrze.

– Poprosić o rachunek? – zapytał.

Zdecydowanie nie chciała jeszcze wychodzić.

– Może o jeszcze jeden kieliszek wina.

Skinął głową, podniósł się i ruszył do wnętrza restauracji. Marta kątem oka widziała, jak rozmawiał z kelnerem, a potem wchodził do łazienki. Odwróciła głowę, by kontemplować ciemną, marszczącą się delikatnie taflę jeziora.

Kelner zjawił się bez poprzedniej opieszałości. Gdy Marta przesuwiała kieliszek, jej wzrok padł na telefon Olgierda. Nie uszło jej uwagi, że ukochany ostatnio częściej na niego spogląda. Uznała jednak, że nie będzie zatruwać ich wspólnego szczęścia głupimi podejrzeniami. Należało mieć nadzieję, że się zmienił, i mu zaufać. Jeśli... nie chciała nawet w myśli wypowiadać tego słowa, ale jeśli, to ona dowie się o tym wcześniej czy później. Prawda ma swoje sposoby, by wyjść na jaw.

To, że sięgnęła po telefon Olgierda, nie było podyktowane podejrzeniami. Chciała sprawdzić godzinę, zrobić sobie zabawne zdjęcie i ustawić mu jako tapetę. Tak po prostu wypełnić czymś te pięć minut, które on spędzał w toalecie. To, że zobaczyła MMS, to był przypadek. Nie chciała go otwierać. Po prostu zaintrygowało ją imię Sylwii. Jakie zdjęcie może przysyłać byłemu mężowi Marty jego była dziewczyna? To, co zobaczyła, okazało się tak zaskakujące i niespodziewane, że na chwilę straciła oddech. Odrzuciła telefon, jakby był nasączony trucizną. Może i był. Marta czuła, jak jej serce wypełnia jad.

Nie chciała wracać myślami do wieczorku poetyckiego nie dlatego, że było to bolesne. Wręcz przeciwnie, choć wtedy tak nie myślała, później zdała sobie sprawę, że zdrada Tomka stała się dla niej wyzwoleniem. Marta mogła uciec od związku, który okazał się pomyłką, nie biorąc na siebie ani winy, ani odpowiedzialności za jego rozpad.

Czy możliwe, że wtedy wyciągnęła fałszywe wnioski z nieprawdziwych przesłanek? Może było tak, że pomyślała dokładnie to, co chciała pomyśleć. Gdyby nie uznała Tomka za winnego, nie zerwałaby z nim i nie skoczyła do wody za Olgierdem. Może by jej nawet tam nie było. Istnieje również prawdopodobieństwo, że nie byłoby tam ani Sylwii, ani Olgierda. Próbowwała sobie przypomnieć, co Olek mówił o tej sytuacji. Nagle jego słowa przestały brzmieć prawdziwie. Nie oszukujmy się, żadna kobieta nie przesyła swojemu byłemu zdjęcia z USG bez powodu. Próby, jakie podjęła Marta, by sama siebie przekonać, że Sylwia zrobiła to ze złośliwości, okazały się nieudane.

Jakież to banalne! Jakież bolesne! Nic, co do tej pory zrobił rozmyślnie Olek, by ją zranić, nie bolało tak, jak to, co zrobił przypadkowo. Marta bowiem nie wątpiła, że to nie było nic planowanego. Podejrzała, że tego seksu z Sylwią było więcej niż to, do czego Olgierd zdecydował się przyznać. On tego nie planował, może Sylwia tak, ale on na pewno nie.

– Wszystko w porządku? – zapytał mężczyzna, o którym rozmyślała i który właśnie nieświadomie wbił jej w serce wszystkie noże świata.

– Wszystko w porządku – skłamała.

– Bo jesteś jakaś zmieniona na twarzy.

– Daj mi jeszcze dwa kieliszki tego wina, a zupełnie mnie nie poznasz – zaśmiała się lekko, podnosząc

do ust kieliszek.

– To zamówić ci jeszcze?

– Nie. Zrobiło się chłodno i zimno mi. Wracajmy już.

Udawała śpiącą i zmęczoną. W hotelowym pokoju od razu położyła się do łóżka. Olgierd uznał pewnie, że jest pijana. Położył się obok, pogładził ją z czułością po głowie, później przewrócił się na drugi bok i zaraz zasnął.

Marta wpatrywała się w sufit. Nie zasnęłaby, nawet gdyby chciała. A nie chciała.

Spodziewała się takiej sytuacji i nieraz wyobrażała sobie, co wtedy zrobi. Myślała, że będzie krzyczeć i powie Olgierdowi, żeby się wynosił. W jej głowie powstawały obrazy pełne fruujących koszul i wrzasku. Trzaskało wieko walizki i raz na zawsze zamykane drzwi. Prawda jest taka, że nie możemy sobie wyobrazić naszych emocji. W żadnej z tych wizji nie pojawił się ból. Owszem, złość, wściekłość nawet, ale nie było gwałtownego bólu katowanego serca. Rzeczywistość tym jeszcze różniła się od wyobraźni, że była zatrwająco cicha. Marta nie miała siły, by krzyczeć. Zresztą po co? Owszem, gdyby jej wrzask mógł sprawić, że dziecko zniknie, darłaby się tak głośno, że usłyszałby ją cały świat. Tylko że ono nie zniknie. Już jest, rośnie w brzuchu Sylwii. Niedługo przyjdzie na świat, takie małe i bezbronne. Będzie potrzebowało matki i, nie oszukujmy się, ojca. To nie jego wina, że trafiło na głupich rodziców. Małeństwo nie może ponosić odpowiedzialności za ich nieodpowiedzialność.

Czy jednak jest w jakiś sposób bardziej uprzywilejowane niż Marta? Czy w jakiś sposób zasłużyło na to, by mieć na własność tego, po kogo ona skoczyła w odmęty wezbranej rzeki?

Odpowiedź brzmiała „tak”. To dziecko jest w części Olgierdem i ta część będzie przyciągać jej byłego męża jak magnes. Marcie pozostaje albo zgodzić się na życie w trójkącie z dzieckiem, albo odejść.

A może niepotrzebnie się zadreczam? – myślała, szarpiąc nerwowo koronkę, którą był obszyty dekolt nocnej koszuli. Osądzam po pozorach, zbyt szybko wyciągam wnioski, nie próbuję znaleźć prawdy. Jestem jak moja matka. A powinnam być sobą. Pamiętaj, jesteś wojowniczką, przypomniała sobie. Jutro spokojnie o tym pomyślę. Porozmawiam z Olkiem, zobaczę, co mi powie. Jutro...

Powtórzyła jeszcze kilka razy to pełne nadziei słowo i zasnęła.

Czego, jak czego, ale pijanego, śpiącego w fotelu Mateusza Tadeusz Jezierski w swoim salonie się nie spodziewał. Janusz śpiący na kanapie – do tego widoku już przywykł, ale Mateusz!?! Co on tu robi?

Gorąco było w nocy, więc chłopak zdjął dżinsy. Zwinięte w kłębek, leżały obok jego bosych stóp. Spał snem głębokim, posapując od czasu do czasu. Kosmyk włosów przykleił mu się do czoła, zasłaniając jedno oko. Tadeusza zdziwiło to, jak bardzo w tej chwili Mateusz przypomina siebie z czasów, gdy miał dwanaście lat, i chyba po raz pierwszy pomyślał ciepło o młodym Krupskim. Bo trzeba szczerze powiedzieć, że nie przepadał za tym chłopakiem, który wydawał się kusić Konrada do złego. Tak naprawdę nigdy nie zrobili nic gorszego niż chodzenie nad rzekę, by tam, w przekonaniu, że nikt o tym nie wie, pić piwo i palić papierosy. Mimo to Tadeusz nie mógł spać spokojnie, dopóki los nie rozdzielił chłopców. Konrad, zgodnie z wolą ojca, poszedł na prawo, a później szybko się ustatkował przy Karolinie. Wszystko potoczyło się jak trzeba. I właściwie się toczyło do momentu, gdy młodszy syn zaginął bez wieści. To, że Janusz Krupski przyjacielsko poklepywał Tadeusza po ramieniu i powtarzał: „Nic się nie martw, wszystko jest pod kontrolą”, prowokowało pewne przemyślenia, które Jezierski nie raz próbował zweryfikować, ale odpowiedź zawsze była taka sama: „Daj mu czas. Przemyśli sobie wszystko, wróci, zobaczysz. Żadne niebezpieczeństwo mu nie grozi”.

Tadeusz czuł, że syn Krupskiego ma jakiś związek ze zniknięciem Konrada. Nie miał pomysłu, jak zaaranżować sytuację, w której mógłby zażądać od Mateusza wyjaśnień. Teraz okazja nadarzyła się sama. Potrząsnął śpiącego za ramię. Chłopak musi z nim porozmawiać!

Mateusz z wolna otworzył oczy. Przez moment były lekko zamglone, później rozbłysły wesołym



blaskiem.

– Dzień dobry, panie Jezierski. Musimy porozmawiać.

Naga stopa przesunęła się po dywanie i trafiwszy na spodnie, przesunęła je w kierunku wyciągniętej dłoni. Chłopak naciągał je na goły tyłek, zupełnie nieskrępowany obecnością Tadeusza.

– Kawy się napijemy, nie? Wczoraj ojciec i ja trochę zahulaliśmy. Wie pan, że pierwszy raz w życiu piłem z moim starym?

Rzeczywiście, jest się czym chwalić, pomyślał Tadeusz, wskazując mu drzwi do kuchni. Nalał wody do czajnika, postawił na blacie kubki i słoik z kawą. Spojrzał na Mateusza, nie wiedząc, jak mocną lubi.

– Dwie łyżeczki kawy, dwie cukru i połowę kubka mleka.

– Nie mam mleka.

– No to trzy łyżeczki cukru.

Tadeusz z trudem powstrzymywał irytację, którą budziło w nim głośnie siorbanie gorącego napoju.

– Wiesz, gdzie jest Konrad? – Odpowiedzią było skinienie głową. – Wszystko z nim w porządku? – Ta sama odpowiedź, co poprzednio. – Ma kłopoty? – Tym razem głowa powędrowała trochę w górę, trochę w bok. No tak, bo elokwencja jest przereklamowana. – Powiesz coś wreszcie?

Mateusz uśmiechnął się szeroko.

– Wszystko powiem. Tylko się kawy napiję, bo mnie trochę głowa boli przez to spanie w fotelu.

I dalej spokojnie pił kawę, a Tadeusz niespokojnie czekał, aż chłopak skończy.

– Wie pan, że kocham Konrada jak brata? – zapytał retorycznie, odstawiając kubek. – Zrobiłbym dla niego wszystko. Wszystko. I on o tym wie. Dlatego gdy wpakował się w kłopoty, przyszedł z tym do mnie. Chciał się schować przed światem, więc pozwoliłem mu na to. Nie chciał, żeby ktokolwiek, nawet pan czy Karolina, wiedział, co się z nim dzieje, więc nie pisałem ani słowa. Konrad potrzebował czasu, by sobie wszystko przemyśleć, pozwoliłem mu na to. Tylko że sprawy przyjęły, delikatnie mówiąc, niekorzystny obrót. I teraz sytuacja wygląda tak, że nie ma szans, by Konrad coś wymyślił. Jest w czarnej dupie i już. Dlatego go okłamałem, mówiąc, że jadę zobaczyć się z siostrą, która szczęśliwie nie umarła, wyciągając jego brata z wody. Nie bez powodu o niej wspominał. Chciałbym, żeby pan sobie uświadomił, że my, młodzi Krupscy, jakoś tak przypadkiem ratujemy pana dzieci od niechybnej zguby. To może pomóc panu pozbyć się wrogiego nastawienia do mnie. No przecież widzę. – I z uśmiechem podał Tadeuszowi kubek, prosząc o jeszcze jedną kawę. – Tylko trochę słabszą.

Tadeusz czekał na wrzątek, odwrócony do Mateusza plecami. Wiedział, że wszystkie emocje, które teraz odczuwał, malowały się na jego twarzy, i chciał dać sobie czas, by nad nimi zapanować. Potrafił to robić. Podobne sytuacje niejednym razem zdarzały się na sali sądowej. Podnosił wtedy skoroszyt z aktami i na moment zasłaniał nim twarz, a gdy go odkładał, wyglądał na niesamowicie spokojnego człowieka.

Z uprzejmym „proszę” postawił przed Mateuszem kubek. Swoją drogą ciekawe, po kim ten chłopak ma w sobie tyle arogancji. Janusz to taki przyzwoity facet. Janinie sporo można zarzucić, choćby ten romans ze Starskim, niemniej nie jest złą kobietą. Nie ma w sobie ani cienia złośliwości, nie jest wredna, raczej trochę zagubiona i nazbyt romantyczna. A syn... jakby nie był dzieckiem swoich rodziców.

– Wydaje mi się, że mnie pan nie zna i ocenia po pozorach. Choć oczywiście mogę się mylić. Ale nawet jeśli się mylę, to mam gdzieś pana opinię. I na tym polega różnica między mną a Konradem. Bo jemu zależy... zależało. Całe życie robił wszystko, by zasłużyć na pana pochwałę. Trochę jak taki pies, co się łąsi, patyki przynosi i nie rozumie, czemu uwaga właściciela jest skupiona na czymś innym. Oczywiście, można by tu wstawić ckliwą gadkę o braku matki, ale moja szczęśliwie żyje, a też miałem problemy z ojcem. Moja siostra też miała z nim problemy, więc widocznie to taki globalny problem, dotyczący rodziców i potomstwa. Tak czy inaczej, Konrad robił, co mógł, a pan i tak uwielbiał Olgierda. Minęło trochę czasu, mój przyjaciel postanowił dorosnąć i urwać się z pępowinki, która go z panem łączyła. Tylko trochę mu się priorytety zaburzyły. Po pierwsze, zapragnął kasy. Po drugie, uznał, że jako prawnik stoi ponad prawem. To się nie mogło dobrze skończyć, jednak do czasu, gdy żył Domański, była

jeszcze nadzieja na wyprostowanie sprawy po cichu. W tej chwili nie potrafię sobie wyobrazić, jak z tego wybrnąć. Dlatego z ogromną przyjemnością zwałę ten problem na pana. W końcu to pański syn.

– Co ma do tego Domański? – Tadeusz nie mógł zrozumieć, więc Mateusz opowiedział mu wszystko ze szczegółami. – O kurwa! – Tylko tak Jeziński mógł skomentować to wszystko, czego się właśnie dowiedział o swoim synu.

– Trafniej bym tego nie ujął. Dam panu trochę czasu na oswojenie się z całą sytuacją. Wpadnę wieczorem i zastanowimy się, co z tym fantem zrobić.

Tadeusz usiłował oprzeć głowę na dłoniach, ale była tak ciężka, że musiał położyć ją na stole. W ciszy, która wypełniała kuchnię, dźwięk łez skapujących na blat rozlegał się głośnie pluskiem. Ostatni raz płakał w szpitalu, chwilę po śmierci Eweliny. Wydawało mu się, że już nigdy w życiu nie będzie się czuł tak zagubiony i samotny. Do dziś myślał, że tamten dzień był najgorszym w jego życiu, teraz się dowiedział, że ten naprawdę najgorszy może dopiero nadejść. Konrad może stracić nie tylko ludzki szacunek i prawo wykonywania zawodu, lecz może również stracić wolność. Mateusz się myli, myśląc, że przyjaciel sam doprowadził do tej sytuacji. Prawda jest znacznie gorsza. To wszystko wina jego, Tadeusza. Tak już urządzony jest ten świat, że grzechy ojców spadają na barki synów.

Dochodzące z salonu postękiwania sprawiły, że wyprostował się na stołku i wytarł oczy. Chwilę później do kuchni wszedł Janusz. Wyglądał jak daniel z bemału dzień później – paskudny zapach, okropny kolor i odpychająca konsystencja.

– Łeb mi zaraz eksploduje. Piłem wczoraj z Mateuszem.

– Wiem, powiedział mi.

– Był tu?

– Na szczęście już sobie poszedł. – I w odpowiedzi na pytające spojrzenie Janusza dodał: – Wybacz, stary, ale strasznie mnie wkurza twój dzieciak.

– Nie przejmuj się. Mnie też.

Pięć minut później, gdy Krupski wysiorbał kawę, spytał Tadeusza:

– Powiedział ci o Konradzie?

Zamiast odpowiedzi dostał skinienie głową.

– I co zamierzasz?

– Spróbuję to wyprostować. Na początek porozmawiam z Teresą.

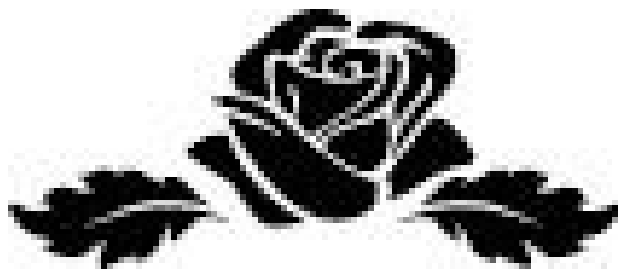
– Gdybyś potrzebował pomocy...

– Nie trzeba. Dam radę.

Lato, które dla roślin jest okresem intensywnej pracy, dla zwierząt powinno być czasem odpoczynku. Przynajmniej kot Konstancy tak to widział. Pragnął wylegiwać się na tarasie w dzień, a na kanapie w nocy. Chciał, by wczesnym rankiem miska wypełniała się świeżym mięsem. Po aferze z wylaną rzeką jakoś nie mógł patrzeć na ryby, ich zapach kojarzył mu się z wilgocią i mokrym futrem. Oczekiwał też spokoju. A czy miał spokój? Oczywiście, że nie. Współlokator, zamiast zająć się pielaniem grządek, snuł się jak jakiś smętek. A gdy tylko zobaczył Konstatego, od razu zaczynał opowieść o kobiecie, która go nie chciała. Wielokrotnie nie chciała. Logiczne pytanie brzmiało, po co do niej laźł. Nie potrafił się powstrzymać. Byli jak świeca i ćma. Oczywiście to współlokator był ćmą i teraz cierpiał, bo świeca zachowała się okrutnie. Konstancy nie bardzo łapał, na czym polegało to okrucieństwo, bo z opowieści wynikało, że zaliczyli marzec. Naturalne jest więc, że później nie chciała współlokatora. Samice tak właśnie mają. W marcu płaczą do faceta, że uszy puchną, a już w maju nie podchodź, jeśli nie chcesz zawierać bliższej znajomości z jej pazurkami.

Widocznie jednak współlokator nie znał oczywistych prawd o świecie. Przypominał trochę kocię, pędzące z zadartym ogonkiem przed siebie, może nawet urocze, ale głupie jak mało kto. Konstancy, który

dobrze się znał na życiu, uznał, że na razie będzie unikał współlokatora. Dom, gdzie obu im przyszło mieszkać, był na tyle duży, że dało się przeżyć dzień bez wpadania na siebie. Jeśli się okaże, że pomimo ostentacyjnego ignorowania przez kota Seweryn nie zaniecha nękania Konstantego bzdurnymi opowieściami ze swego życia, trzeba będzie podjąć jakieś radykalne środki. Pozbycie się uciążliwego towarzystwa przecież nie powinno być trudne.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

### Róża Claude Monet

*Róża Claude Monet należy do Kolekcji Malarzy francuskiego hodowcy Georges'a Delbarda. Jest to odmiana wielkokwiatowa, mieszańc o słabym tempie wzrostu i luźnym pokroju krzewu. Łatwa w uprawie, choć podatna na mączniaka, zimą zaś wymaga okrycia, bowiem słabo znosi mróz. Kwiaty tej róży mają średnicę dziesięciu centymetrów i są półpełne. Złożone z dwudziestu pięciu płatków, których ubarwienie sprawia, że nigdy nie zdarzają się dwa jednakowe kwiaty, bo smugi bieli i żółci odbijają się chaotycznie na czerwonych i malinowych płatkach. Zapach, w którym dominują wonie owocowe, również jest zmienny i przechodzi od świeżo cytrynowego do korzenno-migdałowego. Niewątpliwie jest to odmiana dla miłośników róż cętkowanych. Konserwatywni amatorzy ominą tę różę szerokim łukiem.*

Lato w pełni jest jak dobre wino – ma intensywny kolor, zapach i smak. Rozlało się po Różanej fałdą upału, który wysuszał ziemię. Powódź stała się czymś niewiarygodnie dalekim, onirycznym. Już tylko wprawne oko mogło dojrzeć ślady, jakie pozostawiła woda – ciemna linia na tynku, uschnięty krzak. Przyroda szybko sobie poradziła ze stratami, puste miejsca po zniszczonych roślinach zajęły nowe. Dużo gorzej z odniesionymi ranami radzili sobie ludzie. Może to dlatego, że nie powódź je zadała. Ludzie ranili sami siebie. Głęboko i boleśnie.

Janina Krupska rozpoczęła dzień porządną kawą. Tydzień wcześniej kupiła nowy młynek, by móc wrócić do rytuału, którym przez tyle lat rozpoczynała każdy dzień. Przekonała się, że w słowach babci kryła się prawda. Zachowywane obyczaje zakotwiczą nas w rzeczywistości, a gdy wszystko wokół szaleje, dobrze jest mieć coś, dzięki czemu zatrzymamy się na chwilę. Patrząc na ziarenka kawy, podobne do egzotycznych paciorków, Janina nabierała dystansu. W chwili, gdy aromat świeżo mielonej, zalanej wrzątkiem kawy wypełniał kuchnię, czas się zatrzymywał, a wszystkie problemy traciły na znaczeniu. Wychodziła do ogrodu, by w altance porośniętej różami rozkoszować się cudem letniego poranka.

Patrzyła na swój prześliczny ogród, którego niezwykłość oparła na kolorach żółtym i niebieskim. Pierwszy z nich symbolizuje słońce, światło i radość życia. Drugi jest odcieniem nieba i wody, barwą lekkości i płynności zarazem. Dostępność kwiatów w obu tych kolorach ułatwiała projektowanie rabat. W zeszłym roku Janina tuż obok wejścia do altany posadziła pienną różę Graham Tomas, jedną z tych niezwykłych róż Davida Austina odznaczającą się nostalgiczną klasyczną formą kwiatów, z których każdy wygląda jak dzieło sztuki. Wiosną Janina posadziła wokół niej niebieskie dzwonki, kocimiętkę oraz lawendę o upojnym zapachu i mało imponujących kwiatach. Gdy teraz podziwiała swoje dzieło, miała wrażenie, jakby patrzyła na orszak dumnej księżniczki, której towarzyszą dwórki, może nie tak piękne, jak ona, ale równie urokliwe.

– Czy w przyszłym roku coś zasadzę? – zapytała sama siebie, odruchowo dotykając piersi.

Od czasu znalezienia guza nie spała zbyt dobrze. Szukała sobie niezliczonych zajęć, by zapomnieć, ale

myśl o nim wracała i przebiegała zimnym prądem całe jej ciało. Czasem wmawiała sobie, że to nic, czasem słyszała śmierć, idącą po jej śladach.

Mozna by pomyśleć, że znajdzie wsparcie w synu, tymczasem obecność Mateusza tylko ją irytowała. Zjawiał się w chwili, gdy pragnęła jedynie płakać w samotności, wychodził, kiedy potrzebowała z kimś porozmawiać. Dlatego z ulgą przyjęła jego oświadczenie, że wyjeżdża.

– Załatwiłeś sobie przeniesienie? – zapytała.

– Nie powinno być z tym problemów.

Czyli nie załatwił. A przyjechał do domu z entuzjastyczną wieścią, że będzie się starał o pracę w Rubiniu. Czyżby się rozmyślił?

– Zmieniłeś zdanie? To przez ojca?

– Nie. Ostatnio całkiem dobrze się dogadujemy. Staruszek wydorósł.

– Nie mów o ojcu „staruszek”.

Odpowiedzią był rozbawiony uśmiech, którego nie skomentowała. Kochała swoje dzieci, lecz zupełnie nie rozumiała tego, co z nimi zrobił czas. Gdzie się podział ten miły, słodki chłopiec, którym był Mateusz zaledwie chwilkę temu?

Pewnie wkrótce będzie żałowała, że nie próbowała przekonywać syna, ale w tym momencie cieszyła ją perspektywa rychłego wyjazdu chłopaka. Czuła masochistyczną potrzebę, by przechodzić samotnie przez traumę najbliższych dni.

Z przyjemnością wypijała ostatni łyk kawy i spojrzała na zegarek. Wizytę u lekarza miała o dziesiątej. Było jeszcze sporo czasu, ale pomyślała, że zacznie się już wybierać. Najwyżej poczeka w przychodni.

Zamyślona, nawet nie spostrzegła, kiedy dotarła na miejsce. Podała swoje nazwisko w rejestracji i poszła zająć miejsce w poczekalni. Wyjęła z torebki książkę, jednak nie potrafiła się skupić i wciąż patrzyła na tę samą stronę. Widziała pojedyncze słowa i nie umiała ich połączyć w sensowne zdania, bo nim doczytała ostatnie, zapomniała, jak brzmiało pierwsze.

W pierwszej chwili zupełnie zignorowała „dzień dobry”, które wypowiedział ktoś w pobliżu. Dopiero po chwili do niej dotarło, że sąsiednie krzesło nie jest puste. Podniosła oczy znad książki. Obok siedziała Julka Brzozowska.

– Przepraszam, że jeszcze nie odniosłam cukru. I że nie przyniosłam wtedy ciastek. Nie wyszły najlepsze.

Janina potrzebowała chwili, by zdać sobie sprawę, o czym dziewczyna mówi.

– Nie szkodzi. Pieczenie wymaga pewnej wprawy. Następnym razem pójdziesz ci lepiej.

– Czeka pani na wizytę? – Młodość rzadko kiedy ma wyczucie sytuacji.

– Tak. A ty? – Janina nie była ciekawa, ale wołała, by rozmowa dotyczyła dziewczyny.

– Ja już jestem po. – Wzniosła oczy ku górze i westchnęła teatralnie. – Mama boi się, żebym nie popełniła największego błędu w życiu młodej kobiety. Dlatego poważnie podchodzi do wychowania seksualnego.

Pewnie mówiłaby jeszcze, na szczęście w tym momencie wyczytano nazwisko Janiny. Uśmiechem pożegnała się z Julką i weszła do gabinetu.

Lekarz wyglądał na niewiele ponad czterdzieści lat. Możliwe, że miał mniej, a winę za przeszacowanie ponosiły okulary w zbyt grubych oprawkach. Uśmiechał się z wystudiowaną życzliwością. Dłużej patrzył w kartę niż w oczy pacjentki.

– Co panią do mnie sprowadza? – zapytał, jakby istniało całe morze możliwości, a chęć spędzenia przedpołudnia z mężczyzną ubranym w fartuch i białe klapki była jedną z nich.

– Znalazłam... znalazłam coś w piersi. – Janina nie zdołała wypowiedzieć słowa „guz”.

– Sprawdźmy to zatem. – Gestem zaprosił ją na kozetkę. Janina czuła, jak drżały jej ręce, gdy rozpiniała stanik. Zawsze lubiła swoje piersi, była z nich dumna, ale teraz patrzyła na nie jak na parę podstępnych wrogów. W sekrecie przed nią dały schronienie mordercy. Janina nie chciała jeszcze umierać.

Dłoń lekarza przesuwiała się po jej biuście w sposób tak aseksualny, że aż chciało jej się płakać. Gdy palce wyczuły zgrubienie, twarz mu na moment stężała, a potem przyjęła spokojny i poważny wyraz.

Propozycja zrobienia USG zabrzmiała trochę jak propozycja wypicia kawy. Janina skinęła głową. Wciąż leżąc, obserwowała, jak lekarz przesuwiał aparatem po jej piersiach. Żel przypominał trochę maseczkę, którą raz w tygodniu kładła na dekolt, bo producent w przekonujących słowach zapewniał, że dzięki temu skóra zachowa młodzieńczą jędrność.

A potem beznamiętny głos oznajmił, że to rzeczywiście guz i zważywszy na jej wiek, sugerowane jest usunięcie. Jasne, bo po co kobiecie po pięćdziesiątce piersi? Dzieci karmić nie będzie, seksu nie praktykuje! Janina czuła, jak ogarnia ją wściekłość. Na lekarza, na siebie, na raka.

– Jasne. Wytnijmy to w cholerę.

Lekarz popatrzył na nią badawczo. W jego wzroku była łagodność zaklinacza zwierząt.

– To nie musi być nic złego. Badanie histopatologiczne pokaże jego prawdziwą naturę. Ja jednak jestem zwolennikiem radykalnych rozwiązań.

Gdy Janina opuszczała gabinet, słowo „radykalne” tłukło jej się w głowie jak dzwoneczek w dziecięcej grzechotce. To sprawiało, że dziwnie się czuła, bo dźwięki dochodzące z otaczającego świata zostały zagłuszone.

W tym momencie zadzwonił telefon. Janina wyjęła aparat z torebki i po chwili wpatrywania się w wyświetlacz odebrała.

– Dzwoniła do mnie Marta – odezwał się Janusz. – Chce, żebym po nią przyjechał. Wiesz, co się stało?

– Nie. Nie rozmawialiśmy ostatnio.

– Chcesz jechać ze mną?

A czy jest złą matką? Oczywiście, że chciałyby jechać, uspokoić swoje obawy, przekonać się, że z Martą wszystko w porządku. Przytulić ją, jeśliby tego potrzebowała. Może nawet, dla własnej satysfakcji, powiedzieć, że po Olgierdzie można się spodziewać tylko najgorszych rzeczy. Jednak problem polegał na tym, że w tej chwili, zamiast pomóc córce, obarczyłyby ją swoim zmartwieniem.

– To nie jest najlepszy moment. Po prostu nie mogę.

Janusz burknął w odpowiedzi coś niezrozumiałego i się rozłączył.

– Wszystko OK? – Usłyszała tuż obok.

– Julka? Co ty tu robisz?

– Pomyślałam, że poczekam na panią. Wrócimy razem...

– Nie trzeba. Mam jeszcze coś do załatwienia.

– Nie wygląda pani najlepiej.

Szczerłość brzmiąca w tych słowach odebrała Janinie siłę, by udawać, że nic się nie dzieje. Opadła na najbliższe krzesło, łzy leciały jej z oczu, trzęsącymi się rękoma przeszukiwała torebkę w poszukiwaniu chusteczek higienicznych. Przecież włożyła tam dwie nowe paczki przed wyjściem.

– Jest pani chora? – dopytywała się Julka.

No, są nareszcie. Janina wytarła oczy, na chusteczce pojawiły się czarne smugi tuszu do rzęs.

– Mam guz na piersi.

– Czy to coś złego?

A jak myślisz?

– Jeszcze nie wiadomo. Zrobią mi zabieg.

– Proszę się nie martwić. Wszystko będzie dobrze.

Nie, kurwa, nie będzie dobrze! – zamierzała krzyknąć, ale popatrzyła na Julkę. Zobaczyła małe, przestraszone dziecko, niewinną dziewczuszkę, która oddała swoje serduszko Mateuszowi, ufna, że ten zrozumie. Bez względu na to, co czekało ją, Janinę, przed Julką są jeszcze gorsze rzeczy: rozczarowania, złamane serce, zawiedzione nadzieje.

– Masz rację, kochanie, wszystko będzie dobrze, nawet lekarz to samo powiedział. Tylko ostatnio tak

się martwiłam i teraz... Nerwy mi puściły i rozplakałam się, ale to nic. Już dobrze. Słuchaj, może po drodze do domu wstąpimy do cukierni? Kupię jakieś dobre ciasto i zjemy u mnie w altance. Co ty na to? Miałabyś ochotę na moje towarzystwo?

Julka skinęła głową i Janina odetchnęła z ulgą. Za nic na świecie nie chciała teraz zostać sama.

Drogę od dworca Wanda przemierzyła pieszo. W dawnym życiu zdarzało jej się bywać w Krakowie i nieźle orientowała się w tym mieście.

Po kilku miesiącach spędzonych w Rubiniu Kraków wydał jej się ogromny, głośny i brudny. Wiedziała, że to nieprawda, bo w rzeczywistości jest śliczny i ma swój klimat, a jej odczucia to skutek mieszkania na prowincji.

Wyjęła z kieszeni zakietu zmietoloną kartkę z adresem. Pamiętała, z jakim trudem przyszło jej prosić Janusza o pomoc. Te jego spojrzenia, każde zawierało pytanie: „Czy na pewno chcesz to zrobić?”. Oczywiście, że nie była pewna. Bała się, zarówno samego spotkania, jak i tego, że w ostatniej chwili stchórzy i ucieknie spod drzwi. Dorosłe dzieci nie powinny szukać rodziców, którzy opuścili je dawno temu, bo minął już czas, gdy można było naprawić błędy. Zostaje tylko poczucie krzywdy, a to wątpliwa podstawa budowania relacji.

Ponieważ nalegała i udawała przekonaną do tego pomysłu, Janusz znalazł adres Józefa Grabowskiego. Żył i wciąż był zameldowany w Krakowie. Zgadzało się to z wiadomościami Leokadii i stemplem z ostatnich listów.

Skręciła w wąską uliczkę, przeszła obok sklepu z zabawkami i małej kawiarni, aż wreszcie znalazła się naprzeciwko bramy z właściwym numerem. Rozejrzała się w poszukiwaniu domofonu, jednocześnie próbując wymyślić jakieś wiarygodne kłamstwo, które pozwoliłoby jej dostać się na klatkę. Domofon jednak był tylko wspomnieniem. Z miejsca, gdzie kiedyś się znajdował, sterczało kilka kabli. Wanda pchnęła drzwi i weszła na klatkę schodową, która pachniała naftaliną, zjełczałą pastą do podłóg i kocim moczem. Ruszyła na pierwsze piętro, gdzie za drzwiami z numerem trzecim mieszkał albo jej ojciec, albo człowiek, który ją spłodził, jeszcze nie zdecydowała o swoich uczuciach wobec niego.

Gdy stukała do drzwi, serce waliło jej jak oszałałe. W napięciu oczekiwała jakichś odgłosów z mieszkania, ale nic nie stuknęło, nic nie zaszurało. Cisza. Spróbowała jeszcze raz i jeszcze. W mieszkaniu panowała cisza. Może tylko wyszedł na chwilę, a może wczoraj umarł. Dlaczego myślała, że przyjazd tutaj to dobry pomysł?

– I czego tak wali? Nie widzi, że nikogo nie ma? – W szparze sąsiednich drzwi, uchylonych o tyle, o ile pozwalał solidny łańcuch, ukazała się twarz babuleńki, siwej jak gołąb z krakowskiego rynku.

– Przepraszam.

– No widzi, że nikogo nie ma, ale nie! Wali!

Wanda uznała, że jedno przepraszam to i tak za dużo, bo wcale nie czuła się winna.

– Tu ludzie mieszkają. – Babina była niezmiernie zdziwiona.

– Szukam Józefa Grabowskiego. Podano mi ten adres, ale w mieszkaniu nikogo nie ma.

– Zauważyła, że nie ma? Ale waliła.

– Wyszedł?

Przenikliwy wzrok jak tomograf prześwietlił Wandę od stóp do głów. Pewnie dostrzegł złe zamiary, bo babina zmniejszyła szparę w drzwiach.

– Może i wyszedł.

– To ja poczekam. – Wanda zrobiła taki ruch, jakby zamierzała usiąść na schodach. Wizja czatującej pod drzwiami osoby, którą prawdopodobnie kierowały nieczyste intencje, przeraziła babinę na tyle, że postanowiła wydać Józka.

– On już tu nie mieszka.

– A gdzie? – Jak można się było spodziewać, odpowiedzi nie było. – Ja jestem z rodziny.

– Ja całą jego rodzinę znam.

– Nie wątpię. Mieszkam za granicą. Przyjechałam na kilka dni. Chciałam odwiedzić krewnych – skłamała. Zgodnie z oczekiwaniami szpara w drzwiach troszeczkę się poszerzyła.

– A Józek jaki to twój krewny?

– Wuj. Stryjeczny. Moja mama wyszła za jego stryjecznego brata, zaraz po wojnie. W Rubiniu. Ja się tam urodziłam. Wuj pracował w Jeleniej Górze, a później tu się przeniósł. Ja z domu jestem Jezierska.

Jakiś szczegół tej historii przekonał starszą panią, że całość jest autentyczna. Wanda miała nadzieję, że tak będzie. Dzięki kilku podobnym doświadczeniom zyskała przekonanie, że starsze osoby łatwo tracą świadomość czyjejś uczciwości. Są podejrzliwe, by chwilę później bezgranicznie zaufać obcej osobie.

– Zabrali go do domu opieki. Szkoda trochę, bo to nie był zły człowiek. Ale z drugiej strony to i dobrze, bo sklerozę miał już straszną, a ja spać po nocach nie mogłam ze strachu, że nas wszystkich w powietrze wysadzi. Teraz wnuk wynajmuje mieszkanie studentom i też nie śpię. Ale tak już lepiej. Od tego, że za ścianą chłopaki se piją, to jeszcze nikt nie umarł. Jeden z nich medycynę studiuje i jak mi coś dolega, to zawsze przyjdzie, osłucha, doradzi. Tylko że teraz wakacje. Pod koniec września wrócą.

– A ten dom opieki, to pani wie, gdzie jest?

– Co mam nie wiedzieć? Ma długopis? Niech pisze.

Na odwrocie wymiętej karteczki z adresem Wanda zapisała nowy. Raczej nie było szans, by dotrzeć tam pieszo, będzie musiała skorzystać z miejskiej komunikacji. I pomyśleć, że był w jej życiu czas, gdy po obcych miastach poruszała się wyłącznie taksówkami.

Tramwaj, autobus i trzy życzliwe kobiety sprawiły, że wreszcie Wanda stanęła przed drzwiami domu spokojnej starości. Szydł z nazwą „Złota Jesień” uznała za lekką kpinę.

W holu roztaczały swoją agresywną woń środki czystości, maskując prawdziwy zapach tego miejsca, ten, który wydzielały stare ciała przyobleczone w stare ubrania. Nie był nieprzyjemny, choć u wielu ludzi woń babcinego swetra budzi przyjemne wspomnienia. Wanda jednak do tych osób nie należała. O swoich dziadkach zdecydowanie nie mogła powiedzieć, że byli szczególnie serdeczni i kochający. Ta niewesoła myśl towarzyszyła jej, gdy podchodziła do recepcji. Siedząca tam kobieta stanowczo powinna zmienić styl życia. Dieta i większa ilość ruchu były zdecydowanie wskazane. W przeciwnym razie nie będzie miała szansy się przekonać, że jesień życia nie jest wcale złota.

– Szukam Józefa Grabowskiego... – zaczęła, widząc, że nie ma szans, by recepcjonistka zwróciła się do niej pierwsza.

– Taa?

– Powiedziano mi, że tu przebywa. Józef Grabowski. To mój... – postanowiła nie kłamać. – To mój ojciec.

Tamta spojrzała na nią, nie kryjąc dezaprobaty.

– Pani nie rozumie. To mój biologiczny ojciec. Nigdy w życiu go nie widziałam.

Dało się słyszeć sapnięcie, westchnienie i w końcu pulchna dłoń podniosła słuchawkę telefonu.

– Poinformuję panią kierownik.

Pięć minut później Wanda składała raport ze swojego życia przed drobną, ubraną w szarą garsonkę kobietą, której twarz zyskałaby przyjemniejszy wyraz, gdyby kierowniczka miała inną fryzurę. Oczy, wodniste i mocno wypukłe, przy ściągniętych w koński ogon włosach sprawiały wrażenie, jakby lada chwila mogły wypaść z oczodołów.

– Nie widzę pani na liście najbliższych członków rodziny – oznajmiła chłodno.

– Nie wątpię.

Chrząknięcie miało przywołać Wandę do porządku. No tak, nie powinna pyskować. Nie po to przebyła tak długą drogę, by teraz została odprawiona tylko dlatego, że nie ma jej na liście.

– Rodzina ojca może nawet nie wiedzieć o moim istnieniu. On mnie nie wychowywał. Ale pisał listy. –



Sięgnęła do torebki, by wyjąć dowód rzeczowy. – Może pani tego nie rozumie, ale ja postanowiłam uporządkować pewne sprawy. Chciałam raz w życiu zobaczyć ojca, bo... jestem chora. – To w zasadzie nie było kłamstwo, przecież przewlekłe chorowała na alkoholizm.

W wodnistych oczach kierowniczkę pojawiło się coś, co od biedy można by nazwać szczyptą humanitaryzmu.

– Stawia mnie pani w trudnej sytuacji. Mamy swoje procedury, a pani historii nikt nie może potwierdzić.

– Mój ojciec ją potwierdzi. Nie mieliśmy kontaktu przez lata, ale przecież nie zapomniał, że miał córkę.

Cienkie wargi kobiety wykrzywiły się ironicznie. Szybko jednak ironię zastąpił wyraz służbowej neutralności.

– Dobrze. Pozwolę pani z nim się zobaczyć. Zapraszam do salonu.

Wanda poszła za nią wąskim korytarzem do pomieszczenia, które można było nazwać wszystkim, tylko nie salonem. Szare lamperie, szare linoleum na podłodze, plastikowe stoły i krzesła sprawiały, że było tu smutno.

– To pani ojciec. – Kierowniczka wskazała staruszką na wózku inwalidzkim, który wpatrywał się w wyłączony telewizor. – Może pani z nim porozmawiać, ja poczekam. – I podeszła do okna, z którego rozciągał się widok na ogród.

Wanda czuła, jak trzęsą jej się kolana. Musiała zrobić trzy, góra cztery kroki, a nie było to łatwe, bo każda noga ważyła tonę i przesunięcie jej kosztowało sporo wysiłku. W końcu znalazła się przy wózku. Stała w milczeniu, przypatrując się pomarszczonej twarzy i prawie łysej, pokrytej ciemnymi plamami czaszce. Daremnie poszukiwała śladów podobieństwa w kształcie nosa lub czoła. Miała przed sobą całkowicie obcego, starego człowieka, z którym nic jej nie łączyło. A ponieważ jego wzrok wciąż był utkwiony w ekranie telewizora, wydawało się, że mężczyzna nie widzi, co się wokół niego dzieje. Dlatego też Wanda postanowiła natychmiast odejść, ale wtedy on się odezwał.

– Domańska? Co słysząc, pani Domańska?

Zastygła oszołomiona, a po chwili przykucnęła przy fotelu i w końcu drżącym głosem powiedziała:

– Tato, to ja, Wanda.

– Wanda – powtórzył. – Jak ona się ma? Pewnie już duża. A Irenka? Co tam, pani Domańska, słysząc u Irenki?

– Mama nie żyje. To ja, Wanda, twoja córka. Pamiętasz mnie? Pamiętasz, że miałeś córkę?

– Jak miałbym nie pamiętać? Bardzo kocham moją Wandzię, ona taka śliczna, taka pocieszna. I Irenkę bardzo kocham. Co też u niej słysząc? Zdrowa?

– To ja, Wanda – powtórzyła, czując, że to beznadziejne.

– Wanda. Mojej córce też na imię Wanda. A pani kim jest?

Przytuliła go. Po prostu z całej siły go przytuliła, a potem odeszła. Chciała stąd uciec jak najszybciej. Na korytarzu dogoniła ją kierowniczka.

– Alzheimer. Myślałam, że pani wie.

– Widziałam ojca pierwszy raz w życiu – odparła ze złością Wanda. – Niczego o nim nie wiem.

– Przepraszam. Wie pani, ludzie wymyślają najróżniejsze historie, by pozbyć się uciążliwego rodzica czy dziadka. Dlatego już w nic nikomu nie wierzę. Napije się pani kawy? – zapytała nagle.

Była to zaskakująca propozycja, a jednocześnie Wanda tak bardzo potrzebowała usiąść i wypić kubek kawy.

Poszły do ogrodu. Nie był duży, ale ładnie utrzymany. Dwie stare lipy dawały miły cień, równo przystrzyżona trawa porastała kwadraty wyznaczone przez cztery alejki. Całość okalał żywopłot z bżów, jaśminów i tawuł. Pod ścianami budynku rosły hortensje i bukszpany. Z donic, stojących przy drzwiach, spływały kaskadami czerwone i białe werbeny.

– Pani ojciec trafił do nas pięć lat temu, rok po śmierci żony. Mieli jednego syna, który zginął w wypadku. Jakie były relacje syna i jego żony, to nie wiem. Do nas pana Józefa przywiózł wnuk. Próbował nim się opiekować, ale nie dał rady. Stary, chory człowiek okazał się wyzwaniem, któremu nie podołał. Początkowo wnuk bywał tu często, teraz zagląda od święta. Ale płaci regularnie.

– I ojciec nic nie pamięta?

– Nie wie pani nic o tej chorobie, prawda? Jest straszna. Chory czuje się zagubiony, nawiedzają go demony przeszłości. Nie potrafi uporządkować tego, co jeszcze pamięta, i wtedy się złości. Utrata świadomości przypomina zamykanie się drzwi. W tej chwili to cieniutka szparka. Wkrótce zamkną się na zawsze. – Zamilkła. – Przy najbliższej wizycie u lekarza proszę powiedzieć, że w najbliższej rodzinie był przypadek alzheimera.

Ukryty między lipowymi liśćmi kos zagwizdał przeciągle. Skrzypnęły drzwi i postawna pielęgniarka wypchnęła na alejkę wózek. Siedząca w nim staruszka skrzekliwym głosem zapytała, czy aby nie ma dziś przeciągów.

– Irena to pani mama? Wiele razy ją wołał. Mówił też o Konradzie. Nic konkretnego, ale te imiona często powtarzał.

– Powinnam go stąd zabrać – powiedziała Wanda.

– Wiem, co pani myśli. „To okropne miejsce i, nawet jeśli nic mnie z ojcem nie łączyło, mam obowiązek go ratować”. A co potem? Opiekowała się pani kiedyś kimś tak chorym?

– To chyba nic trudnego?

– Nawet jeśli bardzo się kocha kogoś tak chorego, jak pani ojciec, trudno sobie poradzić z opieką nad nim. Jednak miłość, wspomnienia i więź czasem czynią ten trud znośniejszym. Pani nic z tym człowiekiem nie łączy, nie ma pani również odpowiednich kwalifikacji. Proszę nie czuć się winną. Czasem tak w życiu bywa.

Wanda wyjęła z kieszeni zmiętą karteczkę. Z boku, gdzie było jeszcze trochę wolnego miejsca, zapisała swój adres.

– Czy mogłaby to pani przekazać jego wnukowi? Nie musi się ze mną kontaktować, po prostu...

– Rozumiem. Przekażę. – Wstała i popatrzyła wyczekująco na Wandę, która nie mogła się podnieść. – Muszę wracać do pracy. Pani może tu jeszcze chwilę posiedzieć.

Wanda czuła się tak, jakby wokół jej szyi zaciskała się żelazna obręcz. Przejechała taki kawał drogi tylko po to, by się dowiedzieć, że ojciec zapomniał, czy ją kochał.

Olgierd zaparkował samochód niedaleko rynku. Wciąż nie mógł uwierzyć, że zostawił Martę. Czy można zrobić coś bardziej szczeniackiego? I to kobiecie, którą się tak bardzo kocha?

Miał iść do swojej kawalerki, ale zmienił zdanie. Przemierzył kilka wąskich uliczek, przylegających do rynku, i znalazł się w szerokiej alei Trzeciego Maja, która wywiodła go za miasto, na wzgórze. Dawno tu nie był, a przecież kiedyś było to jego ukochane miejsce. Konrad z Mateuszem snuli się nad rzeką, a on szedł na Kamienną Górę, jak mieszkańcy Rubinia nazywali to wzniesienie, pozostałość wulkanicznego krateru. Niewiarygodne, jaki stary jest ten świat i jak bardzo się zmienił. Patrząc na otulone zielenią miasteczko, trudno było uwierzyć, że stoi się w miejscu, którym kiedyś płynęła lava. Ale czy to naprawdę coś dziwnego? Teraz, ponad miesiąc po powodzi, trudno było także uwierzyć, że Młynówka mogła wylać. Rzeka znów stała się tylko niebieską kreską na planie miasteczka. Zalane wodą miejsca wyglądały jak gojąca się rana. Zieleń wracała na brzegi i niedługo nikt nie uwierzy, że kilka tygodni temu nurt był tak silny, że omal nie zabił Olgierda. Dzięki Marcie, tylko dzięki niej, mógł teraz stać tu i patrzeć na miasto, rzekę i na własną przyszłość. Tę przyszłość, która jeszcze kilka dni temu wyglądała tak różowo. Spędzali razem czas w urokliwym miejscu, rozmawiali o najróżniejszych głupotach. Byli zakochani i szczęśliwi.

I nagle coś się zmieniło. Coś w oczach Marty. To, jak na niego patrzyła. Jej spojrzenie go śledziło, zupełnie jak wtedy, gdy ich małżeństwo znalazło się na krawędzi rozpadu. Początkowo próbował racjonalizować tę sytuację, tłumacząc sobie, że pewnie mu się wydaje albo to hormony, bo właśnie nadeszły te dni, kiedy słodkie kobiety zmieniają się w okropne jędze. Próbował zignorować sygnały nadchodzącej burzy. Wszystko między nimi jest w porządku, mówił sobie.

W przyrodzie czasem tak się zdarza, że burza pomrukuje, zapowiada się błyskami na pociemniałym niebie, a jednak nie nadchodzi. Burze między ludźmi nie mają tej właściwości. Ta między Martą i Olgierdem zaczęła się od pytania:

– Kiedy zamierzałeś mi powiedzieć?

– O czym?

– Nie udawaj, że nie wiesz, proszę cię.

– Nie udaję. Nie wiem.

Pokój hotelowy, który zajmowali, nie był duży. Teraz, wypełniony wściekłością Marty, wydawał się wprost klaustrofobicznie mały.

– Możesz mi powiedzieć, o co ci chodzi?

Starał się, by jego głos brzmiał jak najspokojniej. Nie chciał jej jeszcze bardziej rozżłościć. Jednak wszystkie jego wysiłki były daremne. U Marty następowała eskalacja negatywnych emocji, odbijało się to na jej twarzy, zwłaszcza w oczach.

– Przestań! Oszukałeś mnie.

– To nieprawda.

– Myślałam, że się zmieniłeś.

– Bo tak jest. Kocham cię, kotku. Chcę, żebyśmy byli razem.

Te słowa były jak pocisk, który przebił puklerz jej złości. Marta z trudem usiadła na łóżku. Usztywniona noga ograniczała jej swobodę ruchów. Olgierd patrzył na ukochaną, widział jej nieporadność i nie chciał nic, tylko ją przytulić.

– Wyjaśnij mi, o co chodzi – poprosił.

Marta westchnęła ciężko. Przykucnął obok niej, a kolejne spojrzenie w jej oczy wystarczyło, by zrozumiał, jak jest źle. Chwilę później dowiedział się czemu.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi o ciąży Sylwii?

– Bo nie ma to z nami nic wspólnego.

– Twoje dziecko?

Dopiero teraz zrozumiał. Podejrzewała go. To...

– To niedorzeczne!

– Doprawdy? – Wpatrywała się w niego z ogromną uwagą, by nie przeoczyć najdrobniejszej zmiany w wyrazie jego twarzy.

– Nie pytałem, co zaszło między tobą a tym facetem z domu kultury, bo to twoja sprawa. Jesteśmy dorośli. W tym czasie nie byliśmy razem i każde próbowało ułożyć sobie życie na nowo. Przyznałem ci się, że spałem z Sylwią. Doświadczenie nauczyło mnie, że takich rzeczy nie ma sensu ukrywać, bo wcześniej czy później wyjdą na jaw. Spałem z nią, to fakt. Ale zabezpieczyłem się. Nie ma mowy, żebym to ja był ojcem.

Marta roześmiała się sztucznie, gorzko.

– Masz ponad trzydzieści lat i jesteś na tyle naiwny, by sądzić, że gumka na sto procent uchroni cię przed zostaniem ojcem? Nie chcesz dziecka, to nie idziesz do łóżka, taka jest prawda.

Położył rękę na kolanie Marty i patrząc jej w oczy, tłumaczył.

– Jestem pewien, że to nie moje dziecko. Posłuchaj, kiedy Sylwia powiedziała mi o ciąży, odpowiedziałem, że to nieporozumienie. Słuchasz mnie? Jakieś horrendalne nieporozumienie. Albo intryga.

– I dlatego wepchnęła cię do wody? Żeby wszystko uwiarygodnić? Wybacz, ale bardziej mi to wygląda na wściekłość kobiety zranionej tym, że facet wypiera się współudziału w ciąży.

Delikatnie zdjęła jego rękę ze swojego kolana i przełożyła obok, jakby to nie była część Olgierda, tylko jakiś osobny byt, natrętne zwierzę, które na niej usiadło.

– Marta, ja jestem pewien, że to nie moje dziecko.

– Jesteś pewien? Na sto procent? Zrobiłeś badania czy po prostu chcesz, żeby tak było?

Nim zdążył znaleźć odpowiedź, mówiła dalej.

– Myślałam o tym od kilku dni. Przypadkiem zobaczyłam zdjęcie w twoim telefonie. Pewnie teraz pomyślisz, że znów cię szpiegowałam. Nie będę zaprzeczać, bo nawet jeśli podświadomie, to jednak sięgnęłam po twoją komórkę. Zauważyłam zmianę w twoim zachowaniu. Chyba mam w sobie jakiś wewnętrzny sejsmograf, który odnotowuje najdrobniejsze drgania twojej duszy. Dlatego sięgnęłam po ten cholerny telefon i dlatego znalazłam to cholerne zdjęcie z USG. Wysłane jakiś czas temu i wciąż nieskasowane. To też o czymś świadczy, prawda? Myślisz o Sylwii, myślisz o tym dziecku, chciałbyś, żeby nie było twoje, ale pewności nie masz.

To nie była prawda. Miał pewność. Miał cholerną pewność, że to nie jego dziecko. Po prostu nie chciało mu się usuwać starych wiadomości, dopóki telefon nie jęczał, że brak mu już pamięci.

– Na początku to tak strasznie mnie zabolalo. Chciałam porozmawiać z tobą od razu, potem przełożyłam to na jutro. I znowu na jutro. Fajnie było jeszcze przez jeden dzień poudawać, że między nami jest w porządku. Ale tak nie jest.

– Marta, to, jak jest między nami, zależy tylko od nas samych.

– Nie potrafię... – W jej oczach pojawiły się łzy. – Nie potrafię tego zaakceptować. Wszystko, tylko nie dziecko z inną kobietą.

– Nie mam dziecka z inną kobietą.

Ujęła jego twarz w dłonie i patrzyła mu prosto w oczy. Była tak śliczna i słodka, że aż bolało.

– Byłoby łatwiej, gdybyś tak się nie upierał. Gdybyś powiedział: „To możliwe, przepraszam, że cię zraniłem”. Pamiętasz swoje zdrady? Przekonywałeś mnie, że nic się nie stało, a potem trywializowałeś sprawę. Nigdy się nie przyznajesz, że jesteś dupkiem, że to twoja wina. Wręcz przeciwnie. Kiedy dochodziło do kłótni, zwałaś winę na mnie. Tak jakbym to ja cię do czegoś zmuszała. Tak jakbym to ja była zła, a ty biedny i uciśniony.

Łzy w końcu znalazły drogę z jej oczu na policzki, obok kącików ust i na brodę, a stamtąd kapały na dekolt i wsiąkały w kwiecisty materiał sukienki. Te, które nie mogły się doczekać na swoją kolej, szukały drogi na skróty i wypływały wodnistym śluzem na wargi. Marta odruchowo pociągała nosem, nie przynosiło to jednak rezultatu i w końcu musiała oderwać dłonie od twarzy Olgierda, by wytrzeć twarz. Oboje boleśnie odczuli to zerwanie fizycznej więzi.

– Dorośnij wreszcie – mówiła. – Weź odpowiedzialność za to, co robisz. Kocham cię. Nigdy nikogo w życiu tak nie kochałam i nie pokocham, ale nie mogę żyć w związku, który przynosi mi tylko cierpienie. To przez to, że tak cię kocham, każde zranienie boli tysiąc razy bardziej. Nie mam siły tego znosić. Zrobiłabym dla ciebie wszystko. Skoczyłam do wody, żeby cię ratować.

– Co próbujesz mi powiedzieć?

– Nie zniosę powrotu do tego, czym było nasze małżeństwo. Nie chcę, żebyśmy znowu się kłócili i ranili wzajemnie.

– Nie rozumiem...

– Nie zrozumiesz, dopóki nie dorośniesz. A teraz mnie zostaw.

– Mam wyjść?

Wstał i patrzył na nią z góry, jakby to dawało mu jakąś przewagę.

– Masz wyjechać. Wracaj do Rubinia.

– Przecież nie zostawię cię samej.

– Zadzwońię po ojca, żeby mnie stąd zabrał.

– Ja cię odwiozę – upierał się.

Podniosła na niego zapłakane oczy.

– Nie wsiądę z tobą do samochodu. Za bardzo mam ochotę krzyczeć i wymyślać ci. Boję się tego wszystkiego, co mogłabym powiedzieć w złości.

Przestąpił z nogi na nogę, niepewny, rozdarty między tym, czego chciała Marta, i tym, czego on sam pragnął. W końcu jej „Dam sobie radę”, poprzedzające „No wynoś się wreszcie” skłoniły go do działania. Złapał torbę, upchnął w niej swoje rzeczy i wyszedł. Trzasnęły za nim drzwi. A może to było pękające serce Marty, które po raz kolejny złamał?

Albo jego serce? Tak bardzo go bolało. A jeszcze to cholerne piękno otaczającej przyrody, takiej obojętnej na jego cierpienia, potęgowało wrażenie samotności i beznadziei.

Wdrapał się na wielki głaz, który pozostawiła tu prehistoria. Patrzył na miasto, daleką linię gór, na niebo.

Kiedy był mały, chciał zostać strażakiem. Później marzył o lataniu. Gdy ujawniły się jego artystyczne zdolności, myślał o architekturze. Tyle planów, tyle marzeń, tyle możliwości wyboru, kim będzie się w dorosłym życiu. A ta świetlana przyszłość zrealizowana w praktyce okazuje się najwyżej średnia. Zadziwiające, jak bardzo to, kim chcemy być, różni się od tego, kim jesteśmy. No cóż, trudno, żeby ktoś planował, że zostanie dupkiem.

– Dupek – powtórzył głośno, bo spojrzał prawdzie w oczy i okazało się, że tym właśnie jest. Niedojrzałym, egoistycznym dupkiem. Facetem, który nie był odważny ani waleczny. Nie musiał udowadniać patriotyzmu, umierać za przekonania. Jedyne, co miał w życiu zrobić, to opiekować się tymi, których kochał, zapewnić im poczucie bezpieczeństwa. I nawet tego nie potrafił.

Karolina, stojąc za kuchenną wyspą i nalewając sok do szklanek, uświadomiła sobie, że trzy dni temu znajdowała się dokładnie w tym samym miejscu i robiła to samo. Wtedy jednak był z nią Tomek, który przez szklane drzwi obserwował sytuację w ogrodzie.

– Może to nie był najlepszy pomysł? – Ponieważ nie było jasne, czy skierował to pytanie do siebie, czy do niej, postanowiła nie odpowiadać. – Może nie powinienem był zabierać go ze sobą? – Ruchem głowy wskazał nastolatek siedzącego na ławeczce w ogrodzie. Karolina nie mogła oprzeć się wrażeniu, że widzi tam nie chłopca, tylko monstrualnych rozmiarów pisklę kawki. – Wiesz, on jest taki zagubiony i uznałem, że jakiś czas spędzony z normalną rodziną dobrze mu zrobi.

Określenie „normalna rodzina” uznała za mocno dyskusyjne. Była mężatką w zawieszaniu, jej emocje w stosunku do męża nieustannie się zmieniały, niemniej było coś, co stale je łączyło – zawsze chodziło o uczucia negatywne. Może na początku całej tej szopki ze zniknięciem Konrada były momenty, kiedy się o niego martwiła. Z czasem jednak, zwłaszcza gdy nabrała przekonania, że mężowi nic nie grozi, przestała się niepokoić, a zaczęła wściekać. Pytała, jak można zostawić dzieci, porzucić żonę, opuścić dom, a Konrada nie było w pobliżu, by mógł wyjaśnić przyczyny swojego postępowania. Nieobecni nie mają racji. Co więcej, nieobecni nie mają nic. Bo żona przestaje o nich myśleć, a dzieci coraz rzadziej pytają, kiedy wróci tata.

Tak więc ani mężatka, ani rozwódka z dwójką dzieci i tysiącem wysłanych, pozostawionych bez odpowiedzi SMS-ów, a jej rodzina nie kwalifikowała się do określenia „normalna”.

– Cieszę się, że go przyprowadziłeś – skłamała. Nastroszony młodzieniec już na progu został zakwalifikowany jako kolejna komplikacja. Nie mogła jednak tego powiedzieć Tomkowi, bo lubił chłopaka. A Karolina... Ona po prostu bardzo lubiła Tomka. – Pomożesz mi z tymi szklankami?

– Adam chyba nie czuje się tu dobrze.

Bo to był zły pomysł przyprowadzać go tutaj, pomyślała, a głośno odrzekła:

– Przyprowadziłeś go tutaj, w nadziei, że samo przebywanie z nami dobrze mu zrobi. Tymczasem on potrzebuje czasu, żeby się oswoić, a czuje presję twoich spojrzeń i to mu sprawy nie ułatwia. Może więc uznamy, że sprowadziłeś go tu, by ci pomógł. No wiesz, dwóch dużych chłopców buduje domek na drzewie dla dwóch małych chłopców. Mam jakieś deski i młotki w garażu.

Tomek podszedł do Karoliny i bardzo ostrożnie, gdyż trzymał dwie szklanki z sokiem jabłkowym, uścisnął ją. A jakby tego było mało, wyraził swą wdzięczność pocałunkiem w czoło.

– Jesteś bardzo mądrą kobietą. I najlepszym przyjacielem – powiedział.

Niedługo potem okazało się, że desek mają za mało, gwoździe są za krótkie, a poziomica niezbędna i dlatego wszyscy faceci jadą do sklepu, a Karolina... ona nie jedzie, nie jest im potrzebna. Niech sobie coś porobi, może poczyta, niedługo wróca.

Stała na frontowych schodach, obserwując, jak dokładnie ten chłopak sprawdzał zapięcia pasów przy fotelikach jej synów. Pomachała, gdy odjeżdżali, a potem weszła do domu i zamarła, porażona spokojem, który tu zapanował. Nagle uświadomiła sobie, że od urodzenia pierwszego dziecka aż do dziś nigdy nie była w domu sama. Zdarzało jej się zostawić chłopców pod opieką Marysi czy Leokadii, ale nie po to, by mogła odpocząć, tylko po to, by załatwić jakieś pilne sprawy.

A w tej niezwykłej, niemal magicznej chwili była sama i mogła robić, co chciała. Mogła wykąpać się w pianie, czytać książkę albo oglądać telewizję. Cokolwiek chciała. Zadziwiające było, że zapragnęła ugotować obiad. Prawdziwy, niedzielny, choć był to zwykły wtorek. Pieczony kurczak i młode ziemniaki z mizerią – smak lata, wakacji i najlepszych dziecięcych wspomnień.

I kiedy cztery godziny później zasiadło przy stole czterech umorusanych chłopców, Karolina poczuła, że to najszczęśliwsza chwila w jej życiu.

Wtedy nie wiedziała jeszcze, że te trzy dni będą pasmem podobnych chwil. Teraz, nalewając sok do szklanek, wspominała niektóre z nich, jakby oglądała zdjęcia z wakacji. Ociekający wodą Tomek na środku trawnika. (To Adam namówił chłopców, by zrobili użytek z węża ogrodowego). Kuba, zaciskający zęby, bo wbiła mu się zadra, ale postanowił być dzielny i nie płakać. Kacper, śmiejący się na całe gardło, bo Adam podniósł go nad głowę z okrzykiem „Jesteś samolotem” i nosił po całym podwórku. Wreszcie ona, Karolina zbierająca mokre ręczniki z podłogi w łazience i cicho przemykająca przez korytarz, by nie zbudzić czterech strudzonych budowniczych, którzy zasnęli na dywanie w salonie, zbyt zmęczeni, by jeść popcorn i oglądać *Pioruna*.

Postawiła szklanki na tacy i już miała z nimi wyjść, gdy przypomniała sobie o lodzie. Adam prosił o lód. Na myśl o chłopaku odruchowo odwróciła głowę w stronę ogrodu. Nie mogła stąd dojrzeć Adama, słyszała jednak jego głos i śmiech. Zadziwiające, jaka przemiana w nim zaszła. Nie przestał przypominać ptasiego pisknięcia, ale nie sprawiał już wrażenia kruchego i nastroszonego. Pojaśniał, jakby w jego duszy otworzyły się jakieś okna. Patrzył teraz w oczy i uśmiechał się do rozmówcy. Opalenizna, którą zyskał, wciąż przebywając na słońcu, sprawiła, że wyładniał. A towarzystwo synów Karoliny podziało jak balsam na blizny w sercu Maciejewskiego.

W tym momencie odezwał się dzwonek przy furtce i Karolina zamarła, bo przyszła jej do głowy myśl, że to Konrad. Złość, którą dotychczas czuła w stosunku do niego, osiągnęła wyższy poziom i teraz była to wściekłość. Jakim prawem mąż zjawia się właśnie teraz, gdy ona jest szczęśliwa? Przez tyle lat nie potrafił uszczęśliwić Karoliny, nie powinien więc odbierać jej szczęścia, które samo przyszło.

Przyspieszone tętno nie zwolniło nawet, gdy stanąwszy w drzwiach wyjściowych, Karolina zobaczyła, że to nie jej mąż, tylko troje jakichś nieznanym ludzi stoi za furtką. No jasne. Przypuszczenie, że to mógłby być Konrad, było absurdalne. Przecież to jego dom, dlaczego więc miałby dzwonić? Wszedłby po prostu, tak jak wchodził zawsze.

– W czym mogę pomóc? – zapytała głosem drżącym jeszcze z niepokoju.

– Chcielibyśmy zobaczyć pani ogród.

– Ogród?

– Jesteśmy z komisji. Konkurs na najpiękniejszy ogród ulicy Różanej.

– Miałam nadzieję, że państwo się zjawią. – Czuła, jak uśmiech rozlewa się po jej twarzy i spływa na całe ciało. Otworzyła furtkę i zaprosiła do środka gości – mężczyznę po pięćdziesiątce, w białej koszuli, niebieskim krawacie i okularach w złotych oprawkach, oraz dwie panie. Starsza z nich, wyglądająca na rówieśniczkę mężczyzny, miała na sobie letnią sukienkę w kolorze chabrowy i szare espadryle. Druga, chyba dekadę młodsza, ubrana była w płócienne spodnie i czerwoną bluzkę.

– Długo dyskutowaliśmy na ten temat. Z jednej strony chodzi o podtrzymywanie lokalnej tradycji. Puchar i związany z nim konkurs to coś, do czego wszyscy mieszkańcy zdążyli się przyzwyczaić. Z drugiej strony wszakże ten rok jest wyjątkowy, to całe nieszczęście z powodzią! Wiedzieliśmy, że część ogrodów została zniszczona, i nie chcieliśmy pogłębiać poczucia krzywdy. W końcu jednak zdecydowaliśmy, że mimo wszystko konkurs się odbędzie.

– Super! – wykrzyknęła spontanicznie Karolina. – Bardzo się cieszę – dodała już ciszej.

– I taka postawa mi się podoba. – Przewodniczący komisji nie krył zadowolenia. – To proszę nam pokazać swoje dzieło.

Prowadząc gości za dom, Karolina tłumaczyła, że to nie jest żadne чудо, bo właściwie to ona dopiero zaczyna i uczy się ogrodnictwa. Na dodatek woda zalała część ogrodu i trzeba było zacząć wszystko od początku, więc nie jest idealnie.

– Najważniejsze, że jest – powiedziała kobieta w espadrylach, uśmiechając się przyjaźnie do Karoliny.

– I widzę, że mąż się włączył – zauważyła ta druga. – Co budują?

– Domek na drzewie. Tylko bez drzewa, bo nie mamy. I to nie jest mój mąż – dodała zażenowana. – Tylko brat – skłamała szybko.

– Ale mąż dołączy?

Naprawdę uważasz, że należy mi to utrudniać?, zapytała w myślach Karolina.

– Oczywiście, że dołączy.

Kobieta z aprobatą kiwnęła głową i pośpieszyła do pozostałych członków komisji, którzy zdążyli już ruszyć w obchód po ogrodzie. Na pytające spojrzenie Tomka odkrzyknęli: „Nami proszę się nie przejmować, my tu tylko na kwiatuszki sobie patrzymy”, i spokojnie zaglądali to tu, to tam.

Wreszcie wrócili i stanęli obok Karoliny.

– Źle wypadłam? – zapytała.

Przewodniczący życzliwym gestem położył rękę na jej ramieniu.

– Młoda damo, nie ma złych czy dobrych ogrodów. Są tylko tereny zielone uprawiane z fantazją lub takie, gdzie jej brakuje. Wie pani, dlaczego uwielbiamy przychodzić na tę ulicę? Bo jest tak inna. Nie ma tu monotonnych, pozbawionych jakości ekologicznej rzędów iglaków wytyczających sztywne granice równo koszonych trawników. Nie. Na Różanej rządzi szaleństwo, kolor i zapach. Tu sąsiedzi nie kopiują od siebie nudy i przewidywalności. Każdy ogrodnik na Różanej chce się wyróżnić, pragnie pobić innych pomysłowością i kreatywnością. Może i nie ma pani doświadczenia. Może usychają pani forsycje, a przedziorki niszczą róże. To bez znaczenia wobec faktu, że nie brak pani fantazji. Kiedy patrzę na to miejsce, widzę ogród, w którym wesoło spędza czas szczęśliwa rodzina.

Oszołomiona Karolina podziękowała i uprzejmie pożegnała się z komisją konkursową, która zapowiedziała swą powtórą wizytę jesienią. Chwilę później tamci dzwoniли do furtki Tadeusza, ona zaś wracała do swojego ogrodu, do swojej „szczęśliwej rodziny”.

– Zdradzisz mi, do czego są ci potrzebne? – zapytał ojciec, wręczając Mateuszowi plik skserowanych dokumentów.

– Uwierzyć, jak powiem, że to ze zwykłej ciekawości?

Janusz, oparty o murek przed komendą, klepał się po kieszeniach w poszukiwaniu zapalniczki. Gdy ją wreszcie zlokalizował, wyciągnął w stronę syna zmiętą paczkę. Mateusz wyjął papierosa i cierpliwie czekał, by ojciec podał mu ogień. W milczeniu oddawali się rozkoszom nałogu, w końcu Janusz powiedział:

– Nie wierzę w czystość twoich intencji. Wybacz, ale nie. Znam cię, synu i wiem, że, z całym szacunkiem dla twojej matki, kawał sukinkota z ciebie.

– Twoim zdaniem nie ma we mnie ani odrobiny dobra?

– Tego nie powiedziałem. Cała ta sprawa z Konradem świadczy o tobie jak najlepiej. Uważam jednak, że jesteś cwany, przebiegły i cyniczny.

Mateusz powoli wypuścił dym, po czym ponownie się zaciągnął.

– Potraktuję to jako komplement.

– Wiesz, ja nie jestem taki głupi, na jakiego wyglądam, i zdarza mi się zauważać pewne rzeczy. Ot choćby to, że prosisz mnie o akta sprawy, w której świadkiem był Józef, jak mu tam.. – otworzył teczkę i przebiegł wzrokiem po dokumencie – ...Grabowski, w tym samym czasie, gdy ktoś inny prosi mnie o adres tego Grabowskiego.

– I powiesz mi kto, tylko wtedy, kiedy ja ci powiem.

– W przeciwieństwie do ciebie ja nie jestem tak po prostu ciekawy. – Janusz się roześmiał.

Syn szturchnął go męskim, powściągliwym, a jednocześnie pełnym czułości gestem.

– Zastanawiałeś się kiedyś, co by było, gdyby to Marta była chłopakiem? – spytał.

– To bez znaczenia. Obydwoje was kocham tak samo i obydwójce jednakowo mnie wkurwiacie.

Żeby nie pokazać, jakie wrażenie zrobiło na nim to „kocham”, Mateusz zaciągnął się papierosem ostatni raz, rzucił niedopałek na ziemię i zmiażdżył go czubkiem buta. Niemal czytał w myślach ojca: „Jak on może wytrzymać w tych buciorach? Prawie trzydzieści stopni, a on w wojskowych trepach”. I nagle słowo kocham stało się dalekie, nieprawdziwe, i znowu można było mówić normalnym głosem, bez cienia wzruszenia.

– Agata Brzozowska. Właściwie to chciała prosić o pomoc ciebie. Akurat byłem wtedy w komendzie i przez pomyłkę wezwali mnie. Pomyślałem..

– ...że jest ładna, więc co ci szkodzi – Janusz wszedł mu w słowo.

– Coś w ten deseń. To było głupie, wiem. Zrozumiałem, że ryzykuję konfrontację z Michałem, i odpuściłem. – Spojrzał na ojca, a ten pełnym aprobaty spojrzeniem pokazał, co myśli o decyzji syna. – Spotkam się z nią dziś przed wyjazdem. Dam jej te papiery i dalej niech sama się bawi w odkrywanie tajemnic sprzed lat.

– Wiesz, dlaczego to robi?

– Ze względu na Karolinę. Babska przyjaźń, takie rzeczy. Kiedy Kidżej wyjechał, jego żona bardzo to przeżyła. Podobno. Uznała, że przyczyną ruiny jej związku jest klątwa, którą ponoć babunia Jezierska rzuciła na nas wszystkich przed laty. Zracjonalizowanie tego ma jakoby pomóc Karolinie stawić czoło rzeczywistości.

Janusz roześmiał się rubasznie.

– Poradziła sobie bez tego. Widziałem ją wczoraj, wygląda kwitnąco i chyba nie narzeka na brak mężczyzny.

Mateusz uniósł brwi w niemym pytaniu i dowiedział się, że pan od kultury, jeszcze niedawno wielbiciel Marty, teraz adoruje inną mieszkankę Różanej.

– Powiem szczerze, że nie będę płakał, jeśli Kidżej się z nią rozwiedzie – oświadczył. – To od początku był źle dobrany związek.

– A bo to jeden? Ja i twoja matka też do siebie nie pasowaliśmy, a jakoś udało nam się wytrwać tyle lat. Wiem, co myślisz. Ale popatrz na to z innej strony. Mieliście z Martą dom z dobrą rodzinną atmosferą. Razem z matką staraliśmy się, żebyście byli szczęśliwi.



Wyznanie, że ma się w dupie czyjeś wieloletnie starania, zabrzmiałoby w tej chwili szczeniacko. Ojciec był przekonany, że robił dobrze. Nie wypadało mu powiedzieć, jak mizernie wyglądały w praktyce owe rodzicielskie wysiłki.

– Nigdy by mi nie przyszło do głowy, żeby zamiast wziąć na siebie winę za to, co się spartaczyło, zrzucić ją na klątwę.

– Nie jesteś kobietą. – Mateusz znów szturchnął ojca. – Mam się spotkać z Agatą za kwadrans, więc będę już leciał.

Janusz spojrział na zegarek i zrobił zdziwioną minę.

– Nie spodziewałem się, że już tak późno. Mam jechać po Martę. Zdaje się, że miodowe dni z Olgierdem należą do przeszłości.

To, co powiedział ojciec, wcale Mateusza nie zdziwiło. Przyzwyczyił się, że związek siostry przypomina pogodę w strefie zwrotnikowej – albo susza, albo intensywne opady łez. Kiedy usłyszał, że Marta wskoczyła do wody, by ratować Olgierda, pomyślał, że zrobiła to z masochistycznych pobudek. Bała się, że nie znajdzie na świecie innego faceta, który będzie jej sprawiał tyle bólu i cierpienia.

– Jakbym był kobietą, pewnie bym powiedział, że klątwa. A to po prostu najzwyklejsza głupota. – I uściskawszy ojcu dłoń na pożegnanie, ruszył powoli w stronę rynku, gdzie był umówiony z Agatą.

Uszedł spory kawałek, gdy zdał sobie sprawę, że ten stary lis go wykołował. Mateusz powiedział mu wszystko, a w zamian nie dostał żadnych informacji. Sprytne!

Wszedł do kawiarni, zajął miejsce przy stoliku z widokiem na drzwi i zamówił kawę. Otworzył teczkę i przejrzał jej zawartość. Aż gwizdnął z podziwu. Ojcu udało się zdobyć dokumenty, do których on, Mateusz, nie zdołał dotrzeć. Po namyśle wyjął dwie kartki, złożył je starannie i schował do kieszeni. Ledwo to zrobił, w drzwiach stanęła Agata. Poczul się jak uczeń przyłapany na ściąganiu i zamaskował swoje zawstydzenie uśmiechem.

Szarmancko zamówił jej kawę i podał teczkę, a potem cierpliwie czekał, gdy dziewczyna zapoznawała się z zawartością.

– To wszystko?

– Biorąc pod uwagę, ile czasu minęło, sędzę, że to bardzo dużo.

– Nie to miałam na myśli. Z tych papierów wynika, jakoby Konrad Jezierski spadł z drabiny, bo był pijany.

– Dokładnie tak samo to odczytałem.

Rozczarowana Agata zamknęła teczkę i odsunęła ją od siebie.

– Oczekiwałam czegoś więcej. Zagadki, niewyjaśnionej zbrodni sprzed lat. Czegoś, co dałoby podstawę do...

– Rzucenia klątwy? – Mateusz się roześmiał. – Wypadki się zdarzają. Zwłaszcza na budowach, zwłaszcza gdy ludzie nadużywają alkoholu. Nie ma w tym nic niezwykłego, po prostu proza życia. I nie powinno się wierzyć w takie bzdury, gdy jest się dorosłą dziewczynką. Sami ponosimy odpowiedzialność za nasze czyny, nie sądzisz?

Słuchała jego słów w skupieniu, mieszając kawę. Miała ładne, drobne smukłe dłonie, których jedyną ozdobą była wąska, złota obrączka.

– Tak sobie teraz myślę, że trochę ześwirowałam. Głównie przez tę powódź. Wiesz, ja się panicznie boję wezbranej wody. Trauma z dzieciństwa. Co prawda moja matka nie poskapiła na psychologa, jednak dwadzieścia lat później okazało się, że nie był skuteczny. Zniknięcie Konrada, to, że obie z Karoliną uznałyśmy, że on nie żyje, zrobiło swoje. A później jeszcze pretensje, że to moja wina, bo zabrałam ją z domu. W dodatku mąż, który trochę za bardzo przejął się ciężką byłą żoną, co wzbudziło absurdalną myśl, że może maczał w tym palce. A na koniec zniszczony dom. Wszystko to razem sprawiło, że nie do końca byłam sobą. Przecież jestem ostatnią osobą, która mogłaby wierzyć w klątwy. Podejrzewam, że Leokadia była wtedy załamana i mówiła różne rzeczy. Ale przecież wypowiedziane pół wieku temu

słowa nie mają wpływu na nasze życie, prawda?

– Na nasze życie ma wpływ to, co chcemy, żeby go miało. Jeśli uwierzymy w klątwę, to może nas ona osiągnąć.

Agata odstawiła filiżankę, na której dnie pozostała odrobina kawy, i zaczęła się bawić papierową serwetką. Zaginała i odginała rogi, tworząc dziwaczną składankę. W końcu, zniecierpliwiona, zmiażdżyła serwetkę w dłoni i wrzuciła do filiżanki. Mateusz widział, jak bibułka natychmiast wchłonęła ostatnie krople napoju. Podniósł wzrok i przyglądał się dziewczynie. Zastanawiał się, o czym w tej chwili myślała.

– Powinam już iść.

– Nie musisz. Jeśli chcesz porozmawiać o Karolinie, Konradzie...

– Chcę, ale nie z tobą. Muszę porozmawiać z moją przyjaciółką. Wyjaśnimy sobie pewne sprawy i albo znów będzie dobrze, albo przestaniemy się przyjaźnić. – Podniosła teczkę. – A za to dziękuję.

Delikatnie musnęła ustami jego policzek, a Mateusz odczuł to tak, jakby przyłożyła mu do twarzy kawałek szkła i, wbiwszy go w skórę, przejechała nim od skroni do kącika ust. Siedział nieruchomo, patrząc za odchodzącą Agatą, i dopiero gdy zniknęła, przyłożył rękę do rozpalonej twarzy i potarł to miejsce, w nadziei, że zneutralizuje ból.

Wyjął z portfela banknot pięćdziesięciozłotowy i podał przechodzącej kelnerce. Gdy przyniosła resztę, wysypał wszystkie drobne na stół. Był to całkiem hojny napiwek, więc gdy wychodził, żegnały go serdeczne „do widzenia” i „zapraszamy ponownie”.

Wyszedł na rynek. W przeciwieństwie do kawiarnianej sali było tu ciepło i gwarno. Rozejrzał się, bo miał nadzieję, że jeszcze zobaczy gdzieś Agatę. Pragnął tego i jednocześnie nie chciał. Musisz się z tego otrząsnąć, powiedział sobie. Ruszył przed siebie w stronę Grodzkiej i niespodziewanie wpadł na Julkę Brzozowską. Rzucił jej „cześć”, ale nie czekał na odpowiedź. Pochwycił pełne wyrzutu spojrzenie dziewczyny, nie chciał jednak o niej myśleć. Pragnął, by w jego umyśle zapanowała cisza.

Pogrążony w kontrolowanej bezmyślności dotarł na Różaną. Tak jak się tego spodziewał, znalazł Leokadię w ogrodzie. Sądząc po narzędziu, które trzymała w rękach, właśnie toczyła wojnę z chwastami na grządce. Ile wysiłku ją to kosztowało, widać było po twarzy ocienionej słomianym kapeluszem. Krople potu spływały z czoła po policzkach i nosie staruszki.

– Gorąco – przywitał się z nią.

– Latem to nic nadzwyczajnego. Bardziej mnie dziwi twoja wizyta.

Mateusz się roześmiał.

– Szczerze powiem, że mnie też.

Podszedł do Leokadii, wyjął jej z rąk motyczkę i delikatnie manewrując narzędziem, tak by nie uszkodzić pięknych lilii, których wywinięte, nakrapiane płatki przypominały dziwne instalacje sztuki nowoczesnej, zaczął pielnić grządkę.

– Nie wiedziałam, że to potrafisz.

– Wielu rzeczy o mnie nie wiesz. Ja o tobie też. Dziś na przykład dowiedziałem się tego. – Wyjął z kieszeni kilka kartek i podał je staruszce. Wprawdzie natychmiast oznajmiła, że bez okularów to ona nic nie widzi, ale dobrze wiedział, że zdaje sobie sprawę, co to za dokumenty.

– Prawda jak kłacz perzu, bez względu na to, jak głęboko jest w ziemi, zawsze znajdzie drogę ku światłu.

– Możesz mi wierzyć albo nie, ale to nie ja ją zakopałam. Tu jeszcze, obok dalii, popraw. – Sękatym palcem wskazała miejsce, które jej zdaniem nie zostało dokładnie oczyszczone. – Ciekawi mnie, kto postanowił tę prawdę odkopać.

– Agata.

Po minie Leokadii widać było, że staruszka nie uwierzyła. Dlatego Mateusz wyjaśnił jej pobudki, jakie dziewczyną kierowały, gdy postanowiła grzebać w przeszłości.

– Karolina gotowa cały świat obwiniać, byle nie siebie.

– Któż z nas nie cierpi na tę przypadłość? – zapytał filozoficznie Mateusz, co wywołało szczery śmiech Leokadii. – A tak między nami mówiąc, nie sądzisz, że należałoby wyjawic, jak było naprawdę?

– Pół wieku później nikt już nie wie, jaka jest ta prawda. Zresztą co komu z niej przyjdzie?

– Może kobiety z tej ulicy przestaną wierzyć, że ciąży nad nimi klątwa?

– A twoim zdaniem wierzą? No właśnie. Kiedy trzeba im kozła ofiarnego, by zrzucić na kogoś winę za swoje błędy, wtedy wołają: „To wszystko wina Leokadii, bo nas przeklęła”. Jeśli coś nad nimi ciąży, to klątwa własnej głupoty. I będą cierpieć dopóty, dopóki nie zrozumieją, że to, czy jesteśmy szczęśliwi, zależy od nas samych.

– To takie łatwe?

– Łatwe? To najtrudniejsza rzecz na świecie, niemniej możliwa. Trzeba poznać i zrozumieć nie tylko siebie, ale również ludzi, nauczyć się żyć w harmonii ze światem. Widzisz, ja uprawiam swój ogród i jestem szczęśliwa.

– Ja hoduję kaktusy. I postaram się wziąć sobie do serca twoje nauki. – Schylił się, by podnieść z ziemi chwasty, które przed chwilą pozbawił życia. Było tak gorąco, że wyrwane z ziemi więdły natychmiast. – Nie pokazałem Agacie tych dokumentów. Mimo wszystko uważam, że to twoja sprawa. Zechcesz o tym opowiedzieć ludziom, to opowiesz. Wtedy przestaną gadać bzdury.

– Ludzie, mój drogi, nigdy nie przestaną gadać głupstw. Wiedz, że doceniam twoją powściągliwość. To musiało być trudne, zważywszy, jak ona ci się podoba.

– Kto? – Udał, że nie rozumie.

Leokadia uśmiechnęła się, słysząc to niewinne kłamstewko, i powiedziała:

– Podoba ci się Agata.

– Wiele kobiet mi się podoba.

Ironiczny uśmiezek, który wykrzywił usta Leokadii, sprawił, że Mateusz zdobył się na szczerą.

– Ale o tej pomyślałem, że mogłaby być na całe życie.

– Im szybciej pożegnasz się z tą myślą, tym lepiej dla was obojga – życzliwie poradziła mu staruszka.

– W innym wypadku prędzej czy później będziecie mnie winić i mówić o klątwie.

Wytarł motyczkę i oparł ją o płót, a później ruszył do kompostownika, gdzie wyrzucił chwasty. Zaklęty cykl gnicia i wzrostu sprawi, że choć zaczęły jako zło dla ogrodu, skończą jako błogosławieństwo.

– Muszę już iść, jeśli chcę zdążyć na pociąg.

– To dobrze, że wyjeżdżasz. Choć trochę szkoda. Niegłupi z ciebie chłopak i chętnie jeszcze bym z tobą pogadała.

– Marta wraca. Zdaje się, że lubisz jej towarzystwo.

– Wracają? Telefonowałam wczoraj do Olgerda i nic o tym nie wspominał.

– Bo wracają oddzielnie. Ojciec ma pojechać po Martę.

Leokadia się zaszępiła. Mateusz klepnął ją pocieszająco po ramieniu, a ponieważ to nie pomogło, mocno ją objął. Pachniała jak potpourri, z którego wywierał aromat kwiatów, jak jesienny park w ciepły dzień i trochę jak rozgrzana słońcem ziemia. Nie był to ładny zapach, ale też nie budził obrzydzenia. Uścisk trwał tyle, ile trzeba, by okazać wsparcie. Nie martw się, w myślach prosił staruszkę Mateusz, przecież u nich to normalne. Pogodzą się, wszystko będzie dobrze.

Miał wrażenie, że zrobił coś dobrego. W gruncie rzeczy szkoda, że musi jechać. Z drugiej jednak strony, przyjechał tu z zadaniem, z którego wykonaniem zwlekał zbyt długo. Trzeba wracać do domu, zanim Kidzej wymorduje wszystkie kaktusy i wyhoduje nowe formy życia w lodówce. Trzeba z nim porozmawiać, przekazać wszystko, co ustalili z Tadeuszem. No i najtrudniejsze ze wszystkiego – trzeba przekonać przyjaciela, by wrócił do żony.

Pomachał Leokadii i świadomie szedł wolno, by przyjrzeć się ogródkowi Karoliny. Dobiegał stamtąd wesoły śmiech. Pan od kultury, niedawny amant Marty, teraz tarzał się w trawie z synami Kidzeja.

Może i Karolina uważa, że dotknęła ją klątwa, bo Konrad zniknął bez słowa, ale się myli. Prawdziwa klątwa spadnie na nią wtedy, gdy mąż wróci.

Roślinny świat w drugiej połowie lata sprawiał wrażenie zmęczonego całym tym kwitnieniem i zielonością. Upał dawał się we znaki, podobnie jak walka o światło i wodę, a także szalony pośpiech, by wytworzyć jak najwięcej nasion. Nic dziwnego, że liście, jeszcze niedawno tak świeże, teraz zmatowiały, a kwiaty opuściły swoje barwne głowy. Chłodne wieczory i poranki uświadamiały, że jesień jest bliżej, niż mogłoby się wydawać, co wprowadzało w świat przyrody leniwy spokój, taki, jaki w życie rodzinne wprowadza sobotni wieczór.

Stan otaczającego ją świata stał w sprzeczności z tym, co się działo w duszy Teresy. Od rozmowy z Tadeuszem nie mogła znaleźć spokoju. Były chwile, gdy emocje opadały, wystarczył jednak moment, by jakiś drobiazg skojarzył jej się z wizytą Jezierskiego i obrazy, jeden po drugim, powracały.

Gdy przyszedł, siedziała na tarasie i kontemplowała ogród. „Kontemplowała” to dobre słowo, pasuje dużo lepiej niż zwykłe „podziwiała”, zwłaszcza że nie było się jeszcze czym zachwycać. Owszem, wspólnie z Agatą przywróciły efektowny wygląd niektórym grządkom, jednak spora ich część wciąż wymagała zagospodarowania. Teresa miała jednak nadzieję, że niedługo i one będą wyglądały równie ładnie jak ta, na której stworzyła pasiak z lawendy, mięty i tej odmiany bazylii, która ma brunatnoczerwone liście. Z takich myśli wyrwało ją pojawienie się Tadeusza. Podniosła się niechętnie z ratanowego fotela i zaproponowała herbatę. Odmówił. Powiedział, że muszą porozmawiać, i spojrzął na dom, dając do zrozumienia, że salon będzie bardziej odpowiedni niż taras. Teresa poszła przodem. Staranność, z jaką Jezierski zamknął drzwi, zirytowała ją, co dało się słyszeć w głosie, gdy zapytała, o co chodzi.

– To skomplikowana sprawa. Nie wiem, od czego zacząć.

W takich chwilach zwykle się mówi, że najlepiej od początku, ale Teresa nie była skłonna w niczym pomagać Tadeuszowi. Nie będzie rozładowywać atmosfery wytartym frazesem. Nie chodziło o to, że była zła na Jezierskiego. Wspominając pierwsze spotkanie z sąsiadem, które miało miejsce wiele lat temu, doszła do wniosku, że już wtedy nie wzbudził w niej życzliwości. To był ten rodzaj ulotnego pierwszego wrażenia, kiedy to nie jesteśmy w stanie określić przyczyny naszej niechęci. Zwykle mija i z czasem, gdy nowy znajomy okazuje się sympatycznym człowiekiem, zapominamy o tym pierwszym odruchu. Teresa również z czasem o tym zapomniała, nigdy jednak tak naprawdę nie polubiła Tadeusza. Po prostu odnosiła się do niego uprzejmie, była miła, o tyle, o ile wymagała tego sąsiadzka uprzejmość.

– Może usiądziesz? – zaproponował, jakby to on był u siebie. Z ociąganiem zajęła miejsce w fotelu. Jezierski usiadł naprzeciwko niej. Założył nogę na nogę, splecione dłonie oparł na kolanie. Pewnie nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo widać, że ma wystudiowany wyraz twarzy.

– To skomplikowana sytuacja. Nie chciałbym, abyś wyciągnęła pochopne wnioski z tego, co powiem. Jestem tu, byśmy razem znaleźli rozwiązanie, które będzie satysfakcjonujące dla nas wszystkich. Proszę cię, Teresa, żebyś mi w tym wszystkim pomogła, dobrze?

Skinęła głową. Zawsze gdy rozmawiała z Tadeuszem, miała wrażenie, że ten człowiek delikatnie nią manipuluje.

– Muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego, co ukrywałem przez te wszystkie lata. Wydaje mi się jednak, że świadomość tego pomoże ci zrozumieć, że twoje dobro jest dla mnie istotne i troszczę się o ciebie równie mocno, co o Konrada.

W jego przemowie nastąpiła przerwa. To miał być czas dla Teresy, by mogła dobrze zrozumieć to, co usłyszała. Niestety, intencje Tadeusza wciąż były dla niej nieczytelne. Spokojnie czekała na dalszy ciąg, obojętne, czy w końcu pojmie, o co chodzi, czy też nie.

– Wiesz, jak trudno jest wyznać coś, z czym człowiek krył się przez lata? Ale chyba teraz jest

właściwy moment. Może się domyślałaś... No w każdym razie jesteś mi wyjątkowo bliska. W ten szczególnie sposób... Od lat żywię do ciebie naprawdę głębokie uczucie.

Czy w takim wypadku można powiedzieć: „Dziękuję bardzo, nie trzeba było?“, czy też lepiej zachować milczenie?

– Skoro to już zostało powiedziane i teraz lepiej zrozumiesz pobudki, które mną kierowały, przejdziemy do omówienia sprawy Konrada. Zawiódł mnie na całej linii, ale to przecież mój syn i nie mogę zostawić go samego z tym całym bałaganem, którego narobił. Zresztą on też czuje wstyd. Ta ucieczka, ukrywanie się, wiem, to głupie i szczeniackie, świadczy jednak dobitnie o tym, jak poczuł się bezsilny. Prawdę powiedziawszy, chciałbym mu teraz powiedzieć: radź sobie sam, ale nie potrafię. To mój syn, rozumiesz?

Nie rozumiała. I nie chodziło o to, że nie mając dzieci, nie potrafiła pojąć ojcowskich emocji. To akurat była jedyna rzecz, jaką rozumiała. Nic poza tym. Kiwnęła głową, by mówił dalej, w końcu coś musi z tego wynikać.

– Nie podejrzewałem, że Konrad może zrobić coś takiego. Był moment, gdy widziałem, że nie radzi sobie z tą sprawą, nie chciałem jednak być nadopiekuńczym ojcem. Ustaliliśmy wspólnie pewną strategię i miał się jej po prostu trzymać. Myślę, że kiedy wróci do domu, a wróci, jeśli otrzyma zapewnienie, że nie grożą mu restrykcyjne konsekwencje, będziemy mogli zapytać o przyczyny jego postępowania. W chwili obecnej nie znamy nawet faktów, trudno jest więc wyciągać wnioski. Proponuję, żebyśmy załatwili tę sprawę tak – ja zwrócę ci pełną kwotę, ty zaś nie wniesiesz żadnych oskarżeń przeciw Konradowi. To mogłoby fatalnie wpłynąć na jego dalszą karierę, a i tobie nic by z tego nie przyszło. Teraz, gdy znasz moje uczucia, wiesz, że będąc po stronie syna, jestem również po twojej stronie i szukam rozwiązania dobrego dla nas wszystkich.

– O czym ty mówisz?

– O jak najkorzystniejszym...

– Co masz na myśli, mówiąc, że zwrócisz mi pełną kwotę? – Nie miała ochoty na kolejny długi słowotok. Chciała konkretnych informacji.

– Chodzi o pieniądze, które Konrad, mówiąc oględnie, wyciągnął od ciebie.

– To znaczy, że płaciłam mu więcej, niż powinienam była?

– W pewnym sensie.

– Tak czy nie?

Tadeusz chrząknął i poprawił kant spodni.

– Jak już mówiłem, nie znam faktów, trudno mi więc powiedzieć konkretnie. Istnieją przesłanki, by uważać, że doszło do pewnych nadużyć.

Ta ironia losu rozbawiła Teresę. Nadużycia, do których doszło w czasie prowadzenia sprawy o defraudację, czyż to nie zabawne?

– I teraz chcesz mi oddać pieniądze, które, według istniejących przesłanek, zostały zawłaszczone przez twojego syna?

– Tak. Takie postępowanie wydaje mi się najsłuszniejsze.

– A jeśli się mylisz? Jeśli on niczego takiego nie zrobił?

Tadeusz bezskutecznie próbował sobie poradzić z mimiką. Wyraz jego twarzy zdradzał, jak bardzo jest zakłopotany.

– Chyba pojmuje twój tok rozumowania – ciągnęła Teresa. – Wiesz, że twój syn mnie oskubał. Boisz się, że w końcu to zauważę i go pozwę, dlatego przychodzisz do mnie, by niby to zagrać w otwarte karty. Jednak wciąż istnieje obawa, że mogę oskarżyć Konrada, dlatego prawnik w tobie nie pozwala ci na szczerość. Czy się mylę? – Nie musiała zadawać tego pytania, dobrze wiedziała, że nie. Po prostu chciała usłyszeć, jak on to mówi.

– Nie mylisz się. Pamiętaj jednak, że nie tylko dobro Konrada leży mi na sercu. Twoje też. Widzisz,

Teresa... Ja przez tyle lat... żywiłem uczucie... To... To wydawało się niemożliwe do spełnienia. Obydwoje nie byliśmy wolni. Ja miałem dzieci, ty męża. Nie chciałem komplikować pewnych spraw, ale gdy się okazało, jaki Zbyszek jest nieodpowiedzialny, bezmyślny... Czułem się w obowiązku podjąć pewne działania, mające na celu dać ci przestrzeń potrzebną na zrozumienie, jakim był beznadziejnym mężem. Zupełnie do siebie nie pasowaliście. Ty potrzebowałaś kogoś, kto by się tobą zajął, otoczył cię opieką, dbał o ciebie tak, jak na to zasługujesz. Zbyszkiem kierowały niskie i egoistyczne pobudki. Ta cała zabawa w politykę to jakaś kpina. I jeszcze pójdzie drogą na skróty, by się wzbogacić. Czy takie postępowanie nie powinno zostać ukarane?

Teresa już chciała powiedzieć, że to trafne pytanie i należałoby je zadać, rozważając sprawę Konrada, ale wtedy dotarło do niej coś, co w tej enigmatycznej wypowiedzi wydawało się znacznie ważniejsze.

– Czy właśnie mi powiedziałaś, że to za twoją przyczyną mój mąż wylądował w więzieniu?

– Nie. Niczego takiego nie powiedziałem.

– Ależ ze mnie idiotka! To przecież oczywiste, a ja niczego nie widziałam.

– Teresa, to nie tak.

A jak? Zerwała się z fotela i zaczęła chodzić po pokoju, co miało jej pomóc w złożeniu wszystkich słów Tadeusza w jedną sensowną całość. Jak? Jak? Jak?, powtarzała w myślach. Jak mogła być tak głupia, jak mogła być tak ufna?

– Czy tobie się wydaje, że uczucie daje ci prawo do decydowania o moim życiu?

– Troszczyć się o ciebie.

– Czy ja cię o to prosiłam? Nie! Przyszłam do ciebie i poprosiłam, abys pomógł mojemu mężowi. A ty wykorzystasteś chwilę naszej słabości, pozwoliłeś, by Zbyszek trafił do więzienia. Tłumaczyłeś, że tak będzie lepiej, że liczy się pójdzie na rękę prokuraturze. Tymczasem chodziło o ty, by nas rozdzielić. I udało ci się. Tak bardzo ci się to udało! Straciliśmy łączącą nas więź i nigdy, nigdy jej już nie odbudujemy, bo Zbyszek nie żyje. Obwinałam się o tę śmierć, tymczasem to ty masz jego krew na rękach.

Zasłoniła twarz dłońmi, jakby już nie mogła patrzeć na ten okropny świat, gdzie uczucie w swej istocie tak piękne jak miłość prowadzi ludzi do popełniania okropnych rzeczy. Nie, to nie miłość. To egoizm, żądze, pragnienia i wszystko to, w czym nie ma ani odrobiny szlachetności.

– To, co do mnie czujesz, czymkolwiek to jest, nie daje ci prawa do... nie daje ci żadnego prawa.

Tadeusz wstał, podszedł do Teresy i położył ręce na jej ramionach, by powstrzymać ją przed dalszym miotaniem się po pokoju.

– Ja wiem, kochanie. Ja wiem.

Szarpnęła się i ze wstrętem strąciła jego dłonie.

– Nie jestem twoim kochaniem. I nigdy nie będę. A teraz się wynoś, bo jeśli będę zmuszona patrzeć na ciebie jeszcze przez chwilę, to zwymiotuję.

Nie ruszył się z miejsca, mimo że jej słowa sprawiły mu przykrość. Próbował to ukryć, lecz nie zdołał. Teresa czuła niesamowitą satysfakcję, widząc jego cierpienie.

– Wynoś się. Jesteś podły i egoistyczny. Zabiłeś mojego męża. Nienawidzę cię za to. Zapłacisz mi, za wszystko zapłacisz.

Tak, właśnie tego chciała teraz. Zapłaty. Za upodlenie swoje i Zbyszka. Za to, że on cierpiał w więzieniu, a ona tu, pogrążona w beznadziei, która pchnęła ją poza granice moralności. Kradła! A teraz się okazuje, że najpierw została okradzona. Jeden Jezierski odebrał jej męża, drugi pieniądze. Obaj okradli ją z godności i poczucia własnej wartości. I zapłacą za to.

– Sześćset osiemdziesiąt siedem tysięcy.

Tadeusz nie rozumiał. Patrzył na nią zdezorientowany.

– Tyle mi zapłacisz.

– Ale Konrad nie wziął...

– Procenty, straty moralne. Chcesz o tym porozmawiać? I jeszcze masz zrezygnować z ciągnięcia po

sądach Sylwii Brzozowskiej. – Agatę tyle już kosztowało to, że Michał zaangażował się w pomoc byłej żonie. Jeśli jeszcze miałyby wspierać Sylwię w czasie procesu... To mogłoby się skończyć rozwodem. A Agata jest takim fajnym dzieciakiem, zasłużyła na spokój i szczęście.

Oczywiście, że nie chciał porozmawiać. Skinął głową i powoli ruszył w stronę wyjścia.

– Nie pozwiesz Konrada? – zapytał w drzwiach.

Roześmiała się teatralnie i kazała mu spieprzać. Gdy wyszedł, opadła na fotel, nie mając siły, by płakać, myśleć, by cokolwiek czuć. Siedziała tak, straciwszy poczucie czasu. A później nadeszły emocje, które zalewały ją jak fale nadmorską plażę. Chciała nad nimi zapanować, tak były męczące, niestety, nie potrafiła. Za każdym razem, gdy wchodziła do pokoju, widziała twarz Tadeusza. I od razu coś w niej krzychało: Kto ci dał prawo do wtrącania się w moje życie? Dlaczego je zniszczyłeś? Tak bardzo cię nienawidzę!

Czasem myślała też, że nienawidzi siebie. To było jeszcze smutniejsze. Chciałaby mieć taką siłę, która pozwoliłaby jej cofnąć czas. Podjęłaby wtedy zupełnie inne decyzje. Problem jednak polega na tym, że czas jest jak rzeka, płynie tylko w jedną stronę i nie da się go odwrócić. I teraz, płacąc za błędy, możemy tylko ubolewać, że wcześniej zabrakło nam wiedzy, przenikliwości czy cierpliwości, by podjąć właściwe decyzje.

A jeszcze ten spokój wokół! Zielone liście, prawie nieruchome w rozgrzanym powietrzu, kwiaty, niewzruszenie patrzące w słońce. Ptaki, które wykarmiły pisklęta, przestały się uwijać po ogrodach i teraz siedziały spokojnie na gałęziach, świergocąc od czasu do czasu. Ludzie, rozleniwieni upałem, szukali cienia, by schowawszy się w nim, narzekać na tropikalne temperatury. Za miesiąc będą narzekali na deszcz, później na chłody, na brak śniegu lub jego nadmiar i na to, że temperatura drastycznie spadła poniżej zera. Jednak nawet w tych narzekaniach był jakiś spokój. Wszędzie był, tylko nie w myślach Teresy i to dodatkowo ją irytowało. Żeby choć jakaś burza gwałtowna, wiatr, gradobicie, cokolwiek, co swoją gwałtownością wyrwałoby ją z tego kręgu złości i żalu.

– Chciałabym uciec – powiedziała do siebie. I nagle zdała sobie sprawę, że to może być rozwiązanie.

Agata miała do wyboru dwa zajęcia. Mogła sprzątać albo zrobić pranie. Nie przepadała ani za jednym, ani za drugim, niestety, wyczerpała już wszystkie wymówki, a Freddy głębokim snem demonstrował swoją niechęć do kolejnego spaceru.

Dobra, niech będzie, posprzątam, zdecydowała i w tym momencie dźwięk telefonu zasygnalizował odebrany SMS. To od Teresy, krótkie „Wpadlabys?”. No jasne! Szybko wystukała odpowiedź, wzięła na smycz opierającego się psa, zapewniając, że będzie mógł dokończyć drzemkę u cioci na tarasie, i bez wyrzutów sumienia opuściła zabałaganione mieszkanie. Michał ma czas taszczyć za Sylwią zgrzewki mineralnej, to znajdzie go też na upranie swoich gaci i odkurzenie.

Teresa od kilku dni wydawała się Agacie zmieniona. Coś przeżywała, to było widać, a jednocześnie nie chciała o tym mówić i tak trwała w milczeniu, zamknięta w sobie. Raz tylko się ożywiła, gdy Agata przytасzczyła donicę z różą Papageno.

– A cóż to za paskudztwo?

– Jakbym słyszała Leokadię. Tymczasem to urocza nostalgiczna róża. Dobrze znosi upały i ma zdrowe liście. W samochodzie jest jeszcze jedna, bo przeczytałam, że odmiana jaskrawopomarańczowa z żółtymi promykami i ciemnoczerwona z białymi dobrze się razem komponują. Sprawdźmy to.

– Wyjdzie niewyobrażalna pstrokacizna.

– I cóż to szkodzi? Może czas wyjść poza Rosabell, Montanę czy Elinę i zdecydować się na coś bardziej szalonego niż Blue River czy Cindy?

– Pachnie chociaż?

Agata pochyliła się nad krzakiem.

– Słabo. Możemy posadzić je z tyłu domu. Bierz łopatę. Z czasem się przekonasz, ja uważam, że jest śliczna.

I kiedy oba krzewy zostały posadzone i podlane, Teresa w końcu się uśmiechnęła. Nie trwało to jednak długo, obudziły się demony szarpiące jej duszę i znów popadła w stan wewnętrznego rozedrgania.

Ciekawe, w jakim dziś jest nastroju?, zastanawiała się Agata, przechodząc przez furtkę.

– Uratowałaś mi życie – przywitała gospodynię. – Już miałam brać się do sprzątanía. Ludzie, jak ja nienawidzę tej klity.

Teresa uśmiechnęła się jakoś tajemniczo i zaproponowała coś do picia. Chwilę później siedziały wygodnie w ratanowych fotelach i sączyły mrożoną herbatę z wysokich szklanek. Agata raz po raz potrząsała swoją, by usłyszeć grzechotanie kostek lodu. Sprawiało jej to ogromną przyjemność.

– Jakby ktoś zapytał, co najbardziej kojarzy mi się z latem, powiedziałabym, że właśnie ten odgłos. – I znów potrząsnęła szklanką.

– A mnie rabarbar i słoneczniki.

– To może w przyszłym roku powinnaś posadzić słoneczniki?

– Nie pasują do nowej koncepcji. – A po zastanowieniu dodała: – Zresztą nie wiadomo, co z nami będzie za rok.

Zabrzmiało to nostalgicznie, więc Agata, chcąc rozładować napięcie, zauważyła, że idąc tym tropem, nie wiadomo, co z nami będzie się działo na przykład w przyszły piątek. Teresa lekko, lekuchno się uśmiechnęła.

– Nie wiadomo. Ale mam pewną koncepcję. Ty będziesz siedziała na tym tarasie, pilnując, by Freddy nie zrujnował mojego ogrodu, a ja będę spacerować po plaży.

– Wyjeżdżasz?

– Muszę zmienić otoczenie. Nie wiem, jak długo to potrwa i dlatego mam dla ciebie propozycję. Zamieszkajcie tutaj. Będiesz miała na oku jednocześnie mój dom i swój. Pies nie będzie się męczył w zamknięciu. Ty nie będziesz się męczyła. Co ty na to?

Zamiast odpowiedzieć, Agata wstała i podeszła do Teresy, by ją z całej siły uściskać.

Kiedy wieczorem wracała do domu, czuła się, jakby ktoś podarował jej sandały Hermesa, bo nie szła, ale po prostu unosiła się nad ziemią. Wszystko było takie piękne, takie wspaniałe. Wróć na Różaną, do ciszy, spokoju i przestrzeni. O zmierzchu przez otwarte okna do pokoju będzie wpadać woń kwiatów i chmara komarów znad rzeki. Będzie tak, jakby mieli niekończące się wakacje. Będzie super.

– Michał! Michał! Musimy porozmawiać! – krzyczała od progu.

– O czym? – zapytał, wstając z fotela. – Czy o Mateuszu?

Popatrzyła na niego zdziwiona. Co Mateusz ma wspólnego z ich przeprowadzką?

– Przykro mi, ale się dowiedziałem.

– O czym? – Wciąż nie rozumiała.

– Skoro już wiem, nie musisz udawać niewiniątka i robić ze mnie idioty. Porozmawiajmy jak dorośli ludzie.

Stała w ciasnym przedpokoju jak wielki znak zapytania.

– Wiem o twoim romansie z Mateuszem Krupskim.

Nie wytrzymała, zaczęła się śmiać, bo to, co powiedział, było tak absurdalne, tak zabawne, tak... Wtedy zorientowała się, że Michał mówi poważnie.

– Michał, no co ty? Ty myślisz, że ja...? Poważnie?

– Julka widziała was całujących się w kawiarni. Podobno trwa to już od jakiegoś czasu.

Ach, Julka! To wiele wyjaśnia. Cholerne pasierbice! Powinno się je wysyłać do lasu z bochenkiem chleba. Bez chleba! Jednak złość, która ogarnęła Agatę, nie była argumentem przeciw słowom Julki. Michał uwierzył córce i teraz patrzył na żonę jak na cudzołożnicę.

– Spotkałam się z Mateuszem dwa razy. Zaintrygowała mnie sprawa śmierci męża Leokadii. Po rozmowie z Karoliną chciałam jej jakoś pomóc uporać się ze zniknięciem Konrada. Wiesz, myślałam, że jeśli zracjonalizuje wydarzenia sprzed lat, zrozumie, że zdarzył się wypadek, a słowa wypowiedziane



wtedy przez Leokadię nie mają wpływu na jej obecne życie, to... To przestanie mieć do mnie pretensje i dalej będzie moją przyjaciółką. Potrzebowałam przyjaciółki. Bardzo. Bo nie miałam z kim pogadać o mężu, którego, wydawało mi się, traciłam.

Poczuła, że lada moment łzy napłyną jej do oczu. Łzy żalu i wściekłości jednocześnie. Przyszła z taką cudowną wiadomością, a Michał zepsuł ten moment bzdurnymi oskarżeniami, opartymi na kłamstwie Julki. Agata czuła, jak niechęć męża wznosi między nimi niewidoczny mur. Lada moment dosięgnie on sufitu i już żadne słowa nie zdołają się przez niego przebić. Najgorsze było to, że Michał wciąż stał zapiekły w swej wściekłości. Widać było, że po prostu nie chce jej uwierzyć. Świetna nagroda za pełne zaufanie Agaty.

– Gdzieś w tym bajzlu powinna być teczka z dokumentami. Dał mi ją na tym spotkaniu w kawiarni. Wychodząc, pocałowałam go w policzek. To wszystko. Nie zaprzętał moich myśli dłużej niż pięć minut. Ale ty nie chcesz w to uwierzyć, wolisz słuchać kłamliwych pomówień Julki. Nie przyszło ci do głowy, że ona kocha się w Mateuszu i nagadała tych głupstw z zazdrości? A może jest ci wygodnie wierzyć w te bzdury? Chcesz zrzucić na mnie swoje winy? Mierzyć mnie własną miarą? Czy przez ten cały czas, gdy jesteś na każde skinienie Sylwii, ja powiedziałam choć słowo? Czy okazałam zazdrość o twoją byłą żonę?

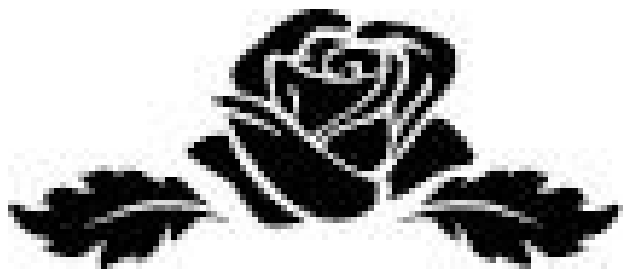
Pojąwszy, co mu zarzuca Agata, Michał zareagował gwałtownie. Powiedział, że to zupełnie inna sytuacja. Sylwia została sama w bardzo trudnej sytuacji.

– Faktycznie, dama w opałach. – Słowa Agaty wprost ociekały jadem. – A dlaczego to ty musisz ją wyciągać?

– Bo Olgierd jest dupkiem i nie przyznaje się do dziecka.

– Na jego miejscu też bym się nie przyznawała do nie swojego dziecka. Sylwia próbuje go zrobić. Pewnie sama nie wie, kto jest ojcem. – Wiedziała, że Michał stanie w obronie byłej. Nie wiedziała tylko, że to tak może zboleć. Gdy ucisk w gardle minął, powiedziała tylko: – Przeprowadzam się do Teresy. Zabieram Freddy'ego. Możesz do nas dołączyć, ale sam. Bez Sylwii i bez Mateusza.

To zadziwiające, jak nasz nastrój wpływa na postrzeganie świata. Ten wieczór już nie wydawał się Agacie tak cudowny.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

### Róża Poker

*Róża Poker to wielkokwiatowa róża biała, która wyszła z domu Meilland, tego samego, który wprowadził do ogrodów najslynniejszą różę wszech czasów, Glorię Dei. Poker jest znacznie mniej znana, nie ustępuje jednak urodą słynnej kuzynce. Kwiaty tej róży mają szlachetną formę dziewiętnastowiecznych mieszańców herbacianych, są duże, bo osiągają do dziesięciu centymetrów, składają się z trzydziestu pięciu płatków i wyrastają pojedynczo na pędzie. Kwiat nie jest czysto biały, wygląda tak, jakby między ciasno zwiniętymi środkowymi płatkami skrywał kroplę różu.*

*Krzaki tej róży osiągają sześćdziesiąt centymetrów wysokości, co wraz ze zwartą i wyprostowaną formą sprawia, że świetnie nadają się do pojemników. Dlatego ogrodnik, który chciałby przyozdobić różą swój balkon czy taras, powinien przychylnie popatrzeć na tę odmianę. Zwłaszcza że to róża odporna, idealna do amatorskiej uprawy, a jej korzenno-brzoskwiniowy zapach jest oszałamiający.*

Lato w ogrodzie zwykle kojarzy się z kolorami. Wiosna, nawet ta najbujniejsza, czaruje odcieniami zieleni. Czasem trudno uwierzyć, że jest ich aż tyle. Pewnie mało kto, poza ogrodnikami, zwraca uwagę na to bogactwo. Seledyn pierwszych listków brzozy, tak delikatnych i prawie przezroczystych, przechodzi w zdrową zielenią trawy, nieśmiało pojawiającą się wśród wyschniętych zimą ździebeł, aż do zieleni zmieszanej z czerwienią, którą przybierają budzące się z zimowego snu pędy piwonii. Ten spektakl jednego aktora kończy się w maju. Przychodzi czerwiec i swoimi obfitymi deszczami spłukuje wszystkie różnice w odcieniach. Cała jednolita zielenią, intensywna od chlorofilu, staje się tłem dla feerii barw, które sprawiają, że każdy ogród zmienia się w miejsce magiczne. Kwiaty nas zachwycają, taka jest prawda. Zachwyca nas też życie, które latem rozwija się najbujniej, i dlatego nie widzimy lub nie chcemy zobaczyć, jak swoje największe żniwo zbiera wtedy śmierć. Owady, które jeszcze przed chwilą szalały w dzikim tańcu nad kwiatami róż, teraz leżą na ziemi. Ich wysuszone przez słońce doczesne powłoki wzięte w palce kruszą się jak zeschnięte liście, nic z nich nie zostaje.

Ludzie czasem myślą, że ich życie jest coś więcej warte, bo trwa dłużej. To złudne wrażenie. Leokadia już to wiedziała. Całe jej życie, od dzieciństwa aż po starość, było jak mrugnięcie powiekami. Teraz przywołała wspomnienia, jakby wydobywała ze szkatułki drogocenny skarb. Nie robiła tego często, nie chciała ich zniekształcać, a wiedziała, że człowiek to stworzenie kłamliwe. Wspomniała dzień, w którym poznała swojego Konrada. Była wtedy młoda i głupia, ale nie na tyle, by, pochwyciwszy jego spojrzenie, nie zdać sobie sprawy, że on już nie popatrzy w ten sposób na żadną inną kobietę, że ona nie zobaczy takiego spojrzenia w oczach żadnego innego mężczyzny. To, że dla Konrada była najpiękniejsza na świecie i najmądrzejsza, czyniło ją taką. Kiedy zmarł, musiała postanowić, kim jest i jaka jest. Nie mogła już potwierdzić własnej tożsamości w oczach męża, z czym trudniej było jej się pogodzić niż z jego śmiercią.

Leokadia uśmiechnęła się na wspomnienie samej siebie, przerażonej myślą o spędzeniu tylu lat w samotności. Tak szybko minęły. Takie jest życie – gdy patrzymy na nie z początku, wydaje się niewyobrażalnie długie, a z perspektywy końca jest tylko mgnieniem oka.

Jaki sens je trwonić, marnować, psuć? Może i była głupia, gdy poznała Konrada, już wtedy wiedziała jednak, jak ważna jest w życiu miłość i to, by spędzić je z właściwą osobą.

Tymczasem Marta i Olgierd zachowują się tak, jakby mieli przed sobą nieskończenie dużo czasu, który mogą trwonić na ciągłe kłótnie i rozstania. Była na nich wściekła. Oczywiście nie okazała tego po sobie. Gdy Janusz przywiózł Martę do Rubinia, a ta, wysiadłszy z samochodu, zastanawiała się, w którą stronę ruszyć, Leokadia podeszła i zabrała ją do swojego domu. Kochała tę dziewczynę i wiedziała, że matka, powtarzając jej: „A nie mówiłam”, to ostatnie, czego biedaczka teraz potrzebuje.

Inna sprawa, że powód zerwania wydawał się wręcz niewiarygodny. Marta uważała, że Sylwia jest w ciąży z Olgierdem. W ciąży! Sylwia! Leokadia widziała ją ostatnio kilka razy i zupełnie nie zauważyła oznak stanu błogosławionego. Podejrzewała, że to wszystko kłamstwo, wszak pierwsza Brzozowska to sprytna manipulantka. Tylko dlaczego wybiera tych mężczyzn, którzy są w szczęśliwych związkach?

Tak czy inaczej, trzeba się dowiedzieć, jaka jest prawda. A później, bez względu na wszystko, pogodzić Martę z Olgierdem. Związek tych dwojga był marzeniem Leokadii i miała prawo, by się spełniło. Takie zadośćuczynienie za jej własne, samotne, pozbawione ukochanego mężczyzny życie absolutnie jej się należy. I dostanie to. Oczywiście wątpliwości Marty dotyczące Olgierda zapewne są jakoś uzasadnione. Należy je jak najszybciej rozwiązać.

Trzeba dać chłopakowi szansę, by wykazał się odpowiedzialnością, troskliwością, dojrzałością. Czy opieka nad chorującą babcią nie będzie dobrą okazją? Z całą pewnością! Dlatego też Leokadia postanowiła, że czas podupaść na zdrowiu.

– Z biegania przerzuciłaś się na nordic walking? – Kiedy Agata zobaczyła Martę kuśtykającą przez Różaną, uznała, że taki żart na przywitanie będzie zabawny. Wypowiedziany nie zabrzmiał tak śmiesznie, jak się spodziewała. – Przepraszam – rzuciła ze skruchą.

Marta uśmiechnęła się i położyła dłoń na ramieniu Agaty.

– Nie musisz. Jesteś pierwszą osobą, która nie wyraziła współczucia ani nie powiedziała, że jestem dzielna. Doceniam.

Przez chwilę patrzyły sobie w oczy, a ponieważ spojrzenia czasem są w stanie wyrazić więcej niż słowa, wcale nie wstydziły się łez, które zakręciły im się w oczach. Padły sobie w ramiona i tuliły się do siebie, dopiero teraz zrozumiawszy, jak bardzo im siebie nawzajem brakowało.

– Powinnam była odwiedzić cię w szpitalu – kajała się Agata. – Myślałam o tobie, ale nie przyszedłam.

– I bardzo dobrze. Wierz mi, te wizyty były udręką. – Marta, wyzwoliwszy się z uścisku przyjaciółki, zaproponowała, by się przeszły.

Agata już miała się zgodzić, pomyślała jednak, że nade wszystko chce z Martą pogadać. Kuśtykanie ze szwedką musi być męczące i przyjaciółka więcej będzie sapać, niż rozmawiać. Dlatego też zaproponowała herbatę u siebie na tarasie. U Teresy na tarasie.

Odpowiedzią na skrzypnięcie furtki był wesoły jazgot Freddy’ego, który zachowywał się tak, jakby nie widział swojej pani od wieków. W jego oczach było tyle miłości, że Agata uznała za słuszne nie zauważyć grudek ziemi na pysku psa. Może zamiłowanie do kopania dziur minie mu z czasem. Szkoda by było, gdyby poszedł na marne trud, jaki włożyły z Teresą w rewitalizację tego ogrodu. Ktoś, kto widział go wiosną, nie uwierzyłby w zmiany, które spowodował koszar powodzi. Ktoś, kto widział ten ogród na początku lata, nie uwierzyłby, że przywrócenie go do życia w ogóle jest możliwe. A jednak. Czerwono kwitnąca mięta sąsiadowała z liliową lawendą, nad nimi zaś huśtały się zielone baldachy kopru, które miały stanowić element chaotyczny, jako że symetria jest estetyką głupców, tak mówiła Teresa.

Usiadły na tarasie, wśród donic i skrzyń wypełnionych miniaturowymi różami. Sugar Baby zdawała się wypływać różową falą z białej, ceramicznej donicy. Obok Maily, trochę niższa od sąsiadki, mniej obficie wydająca swoje skromniejsze czerwone kwiaty. Dalej Guleta i, zdaniem Agaty, najładniejsza w tym towarzystwie Firefly, której jaskrawopomarańczowe kwiaty wyglądały jak języki ognia płonące wśród ciemnej zieleni liści.

– Kiedy ty się kurowałaś, wiele się zmieniło. Ja pomagałam Teresie i w nagrodę dostałam pokój w tym domu. A Michał pomagał Sylwii i w nagrodę dostanie jej dziecko – powiedziała sarkastycznym tonem, stawiając przed Martą kubek z bolesławieckiej porcelany.

– Dziecko Olgierda.

Agata utkwiała wzrok w przyjaciółce. Marta była przekonana, że tak właśnie jest. Jakże musi jej być teraz ciężko. Zaryzykowała życie dla ukochanego. Na pogrzebie Domańskiego, wsparta na ramieniu Olgierda, wprost promieniała szczęściem i miłością. To, co Agata wzięła za skutki rekonwalescencji, to zmęczenie na twarzy przyjaciółki i smutek w oczach, było czymś innym i miało inne źródło.

– Kto ci to powiedział?

– Czy to ma znaczenie?

– W zasadzie nie. – Wciąż patrzyła na Martę, która ze smutkiem opuściła głowę. – Bo to nie Olgierd jest ojcem.

Marta zaczęła mówić, nadal mając pochyloną głowę, toteż początkowo słowa przyjaciółki umykały Agacie; dopiero później, skupiwszy się, usłyszała całą historię. O MMS-ie, kłótni, o wcześniejszych zdradach i wyciągnięciu wniosków. Robiło się coraz smutniej i w końcu Agata uznała, że czas to zakończyć.

– To dziecko zostało poczęte w czasie wieczorku poetyckiego. Tak twierdzi Sylwia i ja jej wierzę, bo przechodziłam wtedy korytarzem i co nieco słyszałam. Dlatego wiem na pewno, że to nie Olgierd był sprawcą okrzyków Sylwii. To mógł być każdy facet, ale nie on.

– Spotykali się, sam mi powiedział.

– I na pewno ze sobą spali. I może zmajstrował to dziecko wcześniej, tego nie wiem. Za to wiem na pewno, że kiedy Sylwia dochodziła w ciemni, Olgierd mył ręce w łazience.

Te słowa jakby tchnęły w Martę nową nadzieję, więc Agata mówiła dalej:

– Zgadzam się, że to nie jest całkiem uczciwy facet, ale w tym nie kłamie. Nie on wtedy był z Sylwią. Zresztą, pomyśl logicznie, komu wierzyć, czy mężczyźnie, który cię kocha, czy świrusce, która przebija opony i wpycha ludzi do wody?

Coś, co od biedy można by uznać za cień uśmiechu, pojawiło się na ustach Marty.

– Wiesz, dopóki nie wysłała do Olka zdjęcia z USG, byłam przekonana, że to Tomek z nią wtedy był. Pamiętasz, jak wyszłam na korytarz, bo nie mogłam znieść tego cyrku? Kiedy mnie znalazłaś, powiedziałaś, że słyszałaś Sylwię w ciemni fotograficznej... Było w twoich słowach coś, co sprawiło, że podejrzewałam Tomka. My wtedy... – Rumieniec zaczerwienił policzki Marty. – No w każdym razie zdarzało nam się korzystać z odosobnionych miejsc w domu kultury. Nie wiem, czy wiesz, jak to jest, gdy spotykasz faceta i to jest...

– Jakbyś ty była laską dynamitu, a on zapałką i eksplozja jest nieunikniona? Wiem. Michał. – Samo jego imię wystarczyło, by w jej podbrzuszu zapłonął ogień. Tęskniła za mężem. Chętnie by mu już przebaczyła, wpuściła do domu i sypialni, postanowiła jednak posłuchać matki. Należało przyjąć, że kobieta, której udało się przeżyć z mężczyzną trzydzieści lat, ma doświadczenie i wie, co mówi. Dlatego Agata nie będzie panikować. Spokojnie wymierzy karę, choć nieproporcjonalną do winy. Ale kara musi być, bo to jej nieuchronność powstrzymuje od recydywy. – Więc myślałaś, że to Tomek? – oderwała się od swoich myśli i wróciła do problemów przyjaciółki.

W odpowiedzi tamta skinęła głową. Jej policzki przestały już płonąć, wciąż jednak były lekko różowe i Agata musiała przyznać, że Marta jest bardzo ładną dziewczyną.

– Nieżle z niego ziółko. Nie wygląda na Casanovę, a tymczasem ty, Sylwia, Karolina...

– Karolina?

– Prawie u niej mieszka. Nie winię jej, bo Konrad zachował się jak świnia, nic dziwnego, że żona poszukała sobie pocieszyciela. Moim zdaniem...

Postanowiła jednak nie wyrażać swojego zdania, zaintrygowana zmianami, które zachodziły na twarzy przyjaciółki. Nie tylko na twarzy, lecz również w oczach, które dotąd były przygaszone i smutne, a teraz nagle zaczęły w nich migotać iskierki determinacji.

– Musimy się dowiedzieć, kto naprawdę jest ojcem – oznajmiła Marta.

– Jak?

– Nie mam pojęcia. Ale nie możemy pozwolić, by Sylwia skrzywdziła Karolinę.

Agata spojrzała na nią pytająco.

– Nie rozumiesz? Ty, Karolina i ja jesteśmy przyjaciółkami. To znaczy, że jesteśmy za siebie odpowiedzialne, musimy się wspierać i sobie pomagać. Akceptować się bez względu na to, jakie mamy charaktery. Pamiętasz, co powiedziałaś tego wieczoru, kiedy Freddy uciekł do naszego ogrodu? Musimy powstrzymać Sylwię, bo skrzywdzi ciebie i mnie. Próbowaliśmy, pierwsza bitwa należała do niej, drugi raz nie pozwolimy jej wygrać.

Pszczoła, podobna do skrawka brązowego pluszu, zabręczczała nad stołem. Zatoczyła dwa kółka i w końcu zdecydowała pofrunąć ku radośnie żółtym kwiatom Guletty. Agata i Marta dyskutowały przyciszonymi głosami, co powinny zrobić, by miłość znów zamieszkała na Różanej.

Wyjazd nad morze pod koniec wakacji okazał się niezbyt szczęśliwym pomysłem. W ciągu dnia plaże były zaścienione ręcznikami tak gęsto, że spacer zamieniał się w udrękę. Wcześniej rano pojawiali się biegacze, wieczorem zakochani. Trzeba było porzucić myśli o spokoju. Na dodatek obecność dookoła rodzin z dziećmi czyniła samotność Teresy dotkliwszą.

Były momenty, gdy podejmowała decyzję, że następnego dnia wróci do domu. Rankiem schodziła do jadalni, powtarzając w myślach wymówkę, jaką poda w recepcji, gdy będzie zwalniać pokój. Przy śniadaniu przychodziły wątpliwości i traciła odwagę. Tłumaczyła sobie, że nie jest jej tutaj ani lepiej, ani gorzej niż gdziekolwiek indziej, a przynajmniej nie musi przebywać w otoczeniu, gdzie każdy drobiazg przypominał o przeszłości. Prawda była oczywiście taka, że nie da się uciec od wspomnień. Nawet jeśli bardzo tego nie chciała, jej myśli wypełniały sceny z dawnego życia. Dlaczego, dlaczego, dlaczego nie można zmienić przeszłości? Wiele by za to dała. Tyle rzeczy zrobiłaby inaczej, tyle innych decyzji by podjęła. Bo nie ma nic straszniejszego niż w wieku niespełna sześćdziesięciu lat zostać samej na świecie.

Doszła już do plaży i jak co dzień ruszyła brzegiem. Zauważyła, że codziennie spacer jest dłuższy. Stawała się naprawdę dobrym piechurem.

Wypowiedziane przez kogoś „dzień dobry” wyrwało ją z zamyślenia. Chwilę trwało, zanim zdała sobie sprawę, że to ją pozdrawiano. Para emerytów z sąsiedniego pokoju również postanowiła wybrać się na poranny spacer. Teresa uśmiechnęła się do nich powściągliwie. Ze wszystkich ludzi właśnie ci dwoje najbardziej ją irytowali. Nie chciała im zazdrościć, a jednocześnie nie potrafiła się powstrzymać. Miała wrażenie, jakby ukradli przyszłość, która należała się jej i Zbyszkowi.

– Podziwiamy pani sportowe zacięcie – usłyszała. Widać jej chłodny uśmiech ich nie powstrzymał.

– Lubię spacerować.

– A nie nudzi się pani samej?

– Nie. Wręcz przeciwnie. W domu córka, zięć, pies. Po sąsiedzku mieszka siostrzenica w ciąży. Jedna siostra się rozwodzi, druga właśnie z kimś się związała. Wnuczka płacze po nocach, bo jest nieszczęśliwie zakochana.

Starsi państwo ze zrozumieniem pokiwali głowami. Nic dziwnego, że ktoś, kto ma takie życie, szuka samotności.

W końcu nie muszą wiedzieć, pomyślała Teresa, że to nie moja prawdziwa rodzina, tylko sąsiedzi.

I ruszyła przed siebie w kierunku tego odległego punktu, gdzie stykały się niebo, morze i ziemia.

Julka trzasnęła drzwiami tak, że omal nie wyskoczyły z futryny. To było najokropniejsze, co mogło jej się w życiu zdarzyć. Ma-sa-kra! Wszystkiego mogła się spodziewać, tylko nie tego. Kiedy rano matka powiedziała, że muszą porozmawiać, myślała, że to zapowiedź kolejnej rozmowy o podłości mężczyzn i o tym, że koniecznie musi zapomnieć o Mateuszu. Jakby sama tego nie chciała. Myśli o nim bolały tak, jakby jej serce rozdrapywano tysiącem haczyków od wędek. To oczywiście nie znaczyło, że matka miała rację. To znaczyło, że Agata jest podłą złodziejką cudzych facetów. Najpierw ukradła tatę, później Mateusza. Julka nie miała wątpliwości, że tamtą powinna spotkać kara, i dlatego powiedziała o wszystkim ojcu.

I dlatego ojciec mieszkał sam w biurze i miał wyjątkowo smutny wzrok. Tęskni za Agatą, ale mu przejdzie. Powinien być silny, w końcu jest facetem.

Ta rozmowa z mamą wcale nie dotyczyła Mateusza. Początkowo Julka nawet nie wiedziała, o co chodzi tak naprawdę, bo mama mówiła dużo o miłości, cierpliwości, o tym, że Julka jest już prawie dorosła, a to, co je łączy, to serdeczna przyjaźń. Wspominała czasy, kiedy dziewczyna była mała, mówiła o własnych odczuciach z tamtego okresu. Powiedziała, że teraz, gdy zostały same, muszą dawać sobie wsparcie. Zapewniała, że jej uczucia wobec córki się nie zmienią. W końcu Julka zapytała, co jest grane.

– Jestem w ciąży. Będziesz starszą siostrą.

– Żartujesz? – rzuciła retorycznie, bo widziała, że matka jest zupełnie poważna. – Nie możesz urodzić dziecka.

– Jestem w ciąży. To kończy się porodem.

– Przecież możesz nie być.

– Co ty mówisz?

– Usuń. Po prostu usuń i nie będzie problemu.

Te słowa zmieniły twarz matki w lodową maskę.

– To nie jest problem. To moje dziecko i moja decyzja. Nie spodziewałam się, że tak zareagujesz. Wiem, że to dla ciebie zaskoczenie, ale trochę przesadziłaś.

Ja przesadziłam? Ja?, wrzeszczała w myślach Julka. To nie ja jestem w ciąży. I jeszcze te ciągłe gadki o tym, żeby nie uprawiać seksu, nie zmarnować sobie życia. Tymczasem to matka zmarnuje jej życie.

– Skompromitujesz mnie. Nie będę mogła pokazać się w szkole.

– Dramatyzujesz – powiedziała matka, a wtedy Julka rzuciła się do drzwi i wybiegła na ulicę. Nie wróci do domu. Zamieszka z ojcem.

Nie zauważyła Maciejewskiego, dopóki na niego nie wpadła. Jeszcze jego teraz jej brakowało. Musi się tu szwendać, łązić za nią i wywracać oczami? Jakby ona potrzebowała tej miłości. Niech ją sobie wsadzi. To właśnie mu powiedziała.

Popatrzył na nią ze spokojnym uśmiechem.

– O czym ty mówisz? Ja już dawno cię nie kocham.

Mały dzwoneczek zabręczał trącony otwieranymi drzwiami i Aldona podniosła się ciężko z fotela na zapleczu. Odłożyła krzyżówkę, gdyż wciąż brakowało trzech haseł. Jak brzmiało nazwisko kobiety, która jako pierwsza zdobyła Mount Everest? Kusiło ją, by zadzwonić do wnuka. Wakacje, pewnie spędza je przy komputerze i szybko znalazłby babci potrzebną informację. Tylko że to byłoby oszustwo. No i trochę wstyd, że sama nie wie. Jak wyjdzie klient, poświęci na to jeszcze trochę czasu, może coś jej przyjdzie do głowy.

Zapach wnętrza kwaciarni jest niepowtarzalny, lekko wilgotny, trochę ziemisty, świeży, słodkawy. By

rośliny zachowały jak najdłużej ładny wygląd, musi tu panować optymalna temperatura. No i oczywiście same kwiaty w licznych wazonach, kuszące swoimi barwami i zapachami. To wszystko sprawia, że kwiaciarnia to bardzo przyjemne miejsce i Aldona nieraz się cieszyła, że wiele lat temu, rozważając otworenie własnego biznesu, nie zdecydowała się na sklep obuwniczy czy, co gorsza, mięsny. Co prawda z czasem interes zaczął iść gorzej, ostatnio ludzie chętniej obdarowywali się czekoladkami niż różami, ale wystarczało na przyzwoite życie.

Przez chwilę przyglądała się klientowi. Był to młody, elegancki mężczyzna. Bardzo przystojny. Gdy miała dwadzieścia lat, do takich właśnie uciekały jej oczy. A potem się zakochała. Ziutek był z metra cięty, barczysty, tak że wyglądał jak kwadrat. Nos miał podobny do kartofla i oczka jak szparki. Usta miał ładne, ale zęby już nie za bardzo. Górne jeszcze w miarę równe, ale z dolnych każdy rósł w swoją stronę. Dopiero kilka lat temu wyprostował je dentysta. Szpetny z wiekiem być nie przestał, ale ona ani przez moment nie przestała go kochać. W wypadku Aldony powiedzenie, że miłość jest ślepa, było całkowicie prawdziwe.

Widząc zagubione spojrzenie mężczyzny, zapytała, w czym może pomóc.

– Chciałbym kupić bukiet.

– Z których kwiatów?

– Ze wszystkich. Widzi pani, bardzo skrzywdziłem pewną wspaniałą kobietę. Chcę ją przeprosić. Powinienem dać jej milion kwiatów, ale może te wystarczą. Może mi przebaczy.

# Spis treści

[ROZDZIAŁ PIERWSZY](#)

[ROZDZIAŁ DRUGI](#)

[ROZDZIAŁ TRZECI](#)

[ROZDZIAŁ CZWARTY](#)

[ROZDZIAŁ PIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ SZÓSTY](#)

[ROZDZIAŁ SIÓDMY](#)

[ROZDZIAŁ ÓSMY](#)

[ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ DZIESIĄTY](#)



# Table of Contents

[ROZDZIAŁ PIERWSZY](#)

[ROZDZIAŁ DRUGI](#)

[ROZDZIAŁ TRZECI](#)

[ROZDZIAŁ CZWARTY](#)

[ROZDZIAŁ PIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ SZÓSTY](#)

[ROZDZIAŁ SIÓDMY](#)

[ROZDZIAŁ ÓSMY](#)

[ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ DZIESIĄTY](#)